

Józef Ignacy Kraszewski

Boleszczyce



calibre 0.9.27

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI / Boleszczyce

CYKL POWIEŚCI HISTORYCZNYCH OBEJMUJĄCYCH

Dzieje Polski

Redaguje Komitet
pod przewodnictwem

Prof. Dra WINCENTEGO DANKA

oraz honorowym
przewodnictwem

Prof. Dra JULIANA KRZYŻANOWSKIEGO

v

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Boleszczyce

Powieść z czasów Bolesława Szczodrego

**Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
Warszawa 1976**

Komitet Redakcyjny:

Prof. Dr WINCENTY DANEK

Rektor WSP w Krajuwie

Prof. Dr JAN ZYGMUNT JAKUBOWSKI

Prof. UW

Dr HELENA KAPEŁUŚ

Pracownik naukowy IBL

Przedśłowie napisał

WINCENTY DANEK

Przygotował do druku, posłowie i przypisami opatrzył

STANISŁAW SIEROTWIŃSKI

Ilustracje wybrała i objaśniła

JOLANTA WYLEŻYŃSKA

Przedślowie

Kiedy w kwietniu 1887 roku odbył się uroczysty pogrzeb Kraszewskiego w Krakowie, w grobach zasłużonych kościoła Paulinów na Skałce, gdzie w 1079 roku poniósł śmierć biskup Stanisław Szczepanowski, „Przegląd Katolicki”, organ warszawskiej kurii biskupiej, skomentował ów fakt w taki sposób w numerze 18 pisma tegoż roku:

„W powieści swojej *Boleszczyce* postać św. Stanisława biskupa maluje Kraszewski w sposób osobliwy. Jest w niej po trochu wszystkiego: są rysy piękne, podniosłe, właściwe świętemu, a są i nader nędzne, wręcz świętości przeciwne i zupełnie ją wykluczające. Obok spokoju, umiarkowania, świątobliwości, jest w tej postaci duma, a co gorsza, święty ten występuje w *Boleszyczach* jako zdrajca narodu, knujący zmywy z Czechami.

Wprawdzie Kraszewski tłumaczył tę zradę dobrą intencją świętego, ale bądź co bądź, święty, odpowiednio do konceptu nowych, podejrzaną wiary historyków, miał być zdrajcą.

Dziwną ironią losu pod stopy wielkiej postaci świętego, panującej swym męczeństwem na Skałce, złożono jednego z tych, co szerzą zdanie jego oszczerców, jakby z myślą o tej ekpiacji, że właśnie to ma być największym dlań zaszczytem, iż złożony został pod cieniem pamięci tego męczennika, którego tak ciężko znieważył”.

Przypomnijmy obecnie te fragmenty naszych kronik historycznych, które, jak *Dzieje Polski* Jana Długosza (XV w.), opierającego się na *Kronice* Wincentego Kadłubka (XIII w.), przekazały legendę o męczeństwie świątobliwego kapłana, z drugiej zaś przypatrzmy się urywkowi *Kroniki* Galla Anonima (XI w.); na podstawie jego krótkiej wzmianki oparli swe tezy historycy, piszący o wewnętrznym konflikcie o władzę i o skazaniu biskupa wyrokiem królewskim na zwyczajową wtedy karę obcięcia członków.

Pisze zatem Długosz, że król Bolesław Śmiały wysłał członków swej drużyny wojskowej, aby zabili biskupa, kiedy odprawiał maszę świętą w kościele na Skałce, obok Wawelu. Trzykrotnie jednak oprawcy wracali, nie mogąc wykonać rozkazu, porażeni świętością przyszłej ofiary. Wtedy: „Król Bolesław dobywszy zatem miecza, danego sobie, tak jak każdemu królowi i księżęciu, z łaski Bożej, nie dla krzywdzenia niewinnych, ale bronienia ich raczej od krzywd i niezasłużonej śmierci, wściekły i zapieniony od złości, zgrzytający pragnieniem zemsty, wpada do kościoła, którego przy koronacji poprzysiągł bronić od krzywdy wszelakiej, i nie zważając, na miejsce ani na czas ani na dostojność biskupa, nie lękając się ołtarzy i obecności świętych, król bezbożny i występny biskupowi, odprawiającemu.

ofiarę w mszy świętej, mieczem głowę rozcina i krew męża Bożego zmieszawszy z świeżą Baranka niewinnego ofiarą, rąbie i trupem ściele św. Stanisława biskupa” (Jan Długosz, *Dziejów polskich ksiąg dwanaście*, Kraków 1867, t. I, s. 334. Tłumaczył Karol Mecherzyński).

Czytamy dalej, że cztery orły zleciały się, aby strzec rozrzuconych szczątków ciała męczennika. Wkrótce szczątki te zrosły się cudownie, tak, że nienaruszone ciało można było uroczyście pogrzebać.

Przypatrzmy się obecnie, jak wyglądał najwcześniejszy zapis źródłowy, zamieszczony we wspomnianej *Kronice* Galla Anonima:

„Jak zaś doszło do wypędzenia króla Bolesława z Polski, długo byłoby o tym mówić; tyle wszakże można powiedzieć, że sam będąc pomazańcem Bożym, nie powinien był [drugiego] pomazańca za żaden grzech karać cieleśnie. Wiele mu to bowiem zaszkodziło, gdy przeciw grzechowi grzech zastosował i za zdradę wydał biskupa na obcięcie członków. My zaś ani nie usprawiedliwiamy biskupa zdrajcy, ani zalecamy króla, który tak szpetnie dochodził swych praw [...]” (Anonim tzw. Gall, *Kronika polska*, przełożył Roman Grodecki. Biblioteka Narodowa seria I, nr 59, s. 56 — 1965).

Kraszewski zdecydował się na śmiały krok, kiedy w roku 1877, tj. wobec zbliżania się 800-letniej rocznicy śmierci biskupa Szczepanowskiego, ogłaszał kronikę powieściową na temat konfliktu króla Bolesława Śmiałego z biskupem krakowskim. Kraków, gdzie powieść drukowano, przygotowywał się do uroczystego obchodu tej rocznicy, Znany historyk, ksiądz Walerian Kalinka, ojciec duchowy konserwatyizmu polskiego i poniekąd osobisty przeciwnik Kraszewskiego, przygotowywał już wtedy zapewne odczyt na posiedzenie Akademii Umiejętności, wygłoszony 3 V 1879 i wydany w postaci broszury, zatytułowanej, *Męczeństwo św. Stanisława* [...]. Rozprowiał się tam z historykami kwestionującymi historyczne podstawy legendy o biskupie-męczenniku.

Jeśli chodzi o Kraszewskiego, konflikt Bolesław Śmiały — biskup Szczepanowski narzucał się wprost jako temat kolejnego ogniwa cyklu kronik powieściowych o losach władzy w państwie polskim, zwłaszcza w dobie walki papieżstwa z cesarstwem o panowanie nad światem chrześcijańskim. Tyle popełniono wtedy gwałtów i morderstw, tyle wszczęto walk zbrojnych, a poszukiwanie winnych tonęło w sprzecznych relacjach źródeł historycznych, względnie w subiektywnej ich interpretacji. Podjęcie się wymienionego tematu wymagało ze strony Kraszewskiego sporej dozy odwagi cywilnej i przewyciężenia oporów wewnętrznych, ideowych. Sumienie historyka nie pozwalało mu pójść za wszechwładną legendą, uznającą w biskupie świętego i męczennika, legendą, która kreowała go na patrona Polski i opiekuna jej wojennych sukcesów. Przecież na słynnym obrazie Matejki *Grunwald* (1878) św. Stanisław błogosławi zwycięskiej walce Polaków i Litwinów z Krzyżakami — że się

ograniczymy do tego najważniejszego przekazu ikonograficznego. Znał też Kraszewski niewątpliwie wiele przekazów legendarnych, utrwalonych w piśmiennictwie religijnym: żywoty świętych, litanie, pieśni łacińskie i polskie, średniowieczne i z okresu renesansu, utwory dramatyczne z XIX wieku Franciszka Wężyka i Józefa Korzeniowskiego. Wszystkie one podtrzymywały legendę.

Nauka rozpoczęła dopiero w oparciu o wydany w r. 1821 w tłumaczeniu polskim tekst *Kroniki Galla* podważać korzenie legendy i kwestionować stereotyp świadomości społecznej o królu rozpustniku i niewinnej jego ogierze, zwracać uwagę na polityczne podłoże konfliktu, obnażać historyczne jego korzenie.

Z drugiej strony niekłamanie poczucie związków z katolicyzmem nakazywało pisarzowi ostrożność w poruszaniu tematu. Trzeba było mieć pewność, że się postępuje słusznie, „szargając” jedną ze świętości narodowych w dobie, kiedy katolicyzm, prześladowany przez carskie prawosławie i Bismarckowskie rządy, uchodził za ostoję polskość. Widać jednak Kraszewski był przekonany o celowości obrazu powieściowego, który kwestionował świętość wyniesionego na ołtarze — i to gdzie — w katedrze Wawelskiej, patrona narodu i państwa. Po zapoznaniu się z przekazami źródłowymi pokonać musiał, widać, pisarz opory wewnętrzne, jeśli z kreacji powieściowej biskupa Szczepanowskiego zdjął aureolę świętości, stworzoną przez Kadłubka oraz Długosza i wystąpił przeciw zakorzenionemu, do rangi mitu awansującemu wyobrażeniu zbiorowemu o świętym męczenniku i jego zbrodniczym zabójcy.

Świadectwem wahań pisarza jest następujący fragment z listu do Brata Kajetana z 17 VI 1876, kiedy przystępował do pisania *Boleszczyców*: „[...] Gdy naród cały w swych tradycjach uświęca postać lub potępia, ja skłaniam głowę. Nigdy nie dopuszczę, aby św. Stanisław zwano zdrajcą, gdy *vox populi* [głos ludu] wyniósł do dostojności reprezentanta idei wielkiej — i nigdy nie będę rehabilitował, co potępił ogół. Ogół na grobach stawi posągi nie pytając, co leży w grobie. Co on stworzył na pożytek duchowny, to trzeba poszanować. Choćby historia przeczyła i miała rację, od historii prawdziwszą jest bajka, która wieki z ducha swojego stworzyła. Zostawmy świętych na ich podnóżach, a łotrów na szubienicach.”

Wydaje się rzeczą słuszną, aby w tym miejscu wyjaśnić, jak to wyglądała sprawa z religijnością pisarza i z jego katolicką ortodoksją, bo w istocie cała koncepcja powieści, prowokacyjna wobec obiegowych sądów społeczności kościelnej i wierzeń ogółu, nie będzie zrozumiała, jeśli nie ukażemy jej w kontekście faktów, które wyjaśniają, jaki był charakter religijności pisarza i jak się kształtował jego stosunek do kościoła jako instytucji.

Autorowi tych słów wypadło się już wypowiedzieć na powyższy temat

w przedśłowiu do powieści J. I. Kraszewskiego *Lubonie*. Aby czytelnika nie odsyłać do owego tekstu, warto przypomnieć, że Kraszewski wyniósł z religijnego, katolickiego domu mocne podstawy tolerancji w sprawach wiary. Wśród przodków jego ze strony matki byli i prawosławni, i kalwini. Ze studiów nad dziejami Wilna wzięły krytycyzm wobec działalności zakonu jezuitów i hierarchii kościelnej. Przeżywał pod wpływami żony i zaprzyjaźnionych księży, jak biskup Hołowiński i ksiądz Chłoniowski, falowanie nastrojów religijnych. Udzielenie pisarzowi admonicji przez źle poinformowanego papieża Piusa IX na audiencji w r. 1858, jak i szereg innych czynników sprawiło, że gdzieś od tego roku Kraszewski zaczął występować przeciw Państwu Kościelnemu i takim polskim hierarchom, jak arcybiskup Ledóchowski, zaś od r. 1869 przeciw projektowi dogmatu o nieomyślności papieża, projektowi wniesionemu pod obrady soboru watykańskiego. Do r. 1871 trwał ostry konflikt publicystyczny pisarza z polską prasą klerykalną i konserwatywną, która go okrzyknęła wrogiem Kościoła i polskości. Mimo to Kraszewski w wypowiedziach listowych i publikowanych deklarował się jako katolik, przy czym stworzył sobie własną koncepcję „dobrego”, staropolskiego katolicyzmu, dalekiego od nietolerancji tego kierunku w życiu Kościoła, który nazywamy ultramontanizmem.

W czasie kiedy pisarz obmyślał koncepcję cyklu powieści historycznych o dziejach Polski, tj. gdzieś od roku 1875, ucichły tony walki prasowej z klerykalno-konserwatywnymi przeciwnikami, ale jak już wspomniano, uznawał nadal Kraszewski-historyk hierarchów kościelnych i stojący za nimi Watykan za jedną z głównych sił odśrodkowych i destruktywnych, które dla swych własnych celów przeszkadzały krzepnięciu terytorium państwowego i umacnianiu się władzy panujących.

Tak się przedstawia tło genezy kroniki powieściowej o zatargu biskupa krakowskiego z królem polskim o przydomku Śmiały. Jego zalety jako władcy, polityka i wojownika przeszły też w legendę. Rzecz znamienna, iż kult dla biskupa, legenda o jego męczeństwie i cudach, jakie się miały dziać przy rozsiekanych, wiara w niebieski patronat Stanisława nad Polską nie pociągnęły za sobą automatycznie potępienia zabójcy. W opinii historyków, w tradycji ustnej, a także literaturze pozostał on jednym z największych władców, mimo intensywnej antypropagandy kościelnej. Jak wspomniano, Kraszewski pisał swą powieść w czasie, kiedy jeszcze historiografia polska nie zbadała dokładnie okoliczności konfliktu i nie dokonała odpowiedniej interpretacji tekstu *Kroniki Galla*. Dopiero znacznie później przyjęto tezę o królewskim wyroku sądowym, aby ukarać przez obcięcie członków kościelnego feudała spiskującego z przeciwnikami wewnętrznymi i z wrogami zewnętrznymi. Dlatego w powieści jest jeszcze król sam zabójcą biskupa, a królewska drużyna Boleszcyców pastwi się

nad martwym już ciałem. Dlatego też Kraszewski czyni Bolesława pokutnikiem, na co nie posiadamy żadnych dowodów historycznych. Mimo braku zaplecza naukowego i autorytatywnego stanowiska historiografii (słynne *Szkice historyczne XI w.* T. Wojciechowskiego noszą datę dopiero 1904 r.), odważył się Kraszewski na akt prowokacyjny wobec nietykalnej świętości narodowej, jaką był kult kanonizowanego w 1253 r. Stanisława Szczepanowskiego. Mianowicie w powieści jest to przede wszystkim c z ł o w i e k, dumny hierarcha, choć moralnie wyższy od swego przeciwnika, ale jednak postać centralna politycznej opozycji przeciw królowi. Człowiek, ale nie święty. Dlatego nie można się wycofać z wypowiedzianej uprzednio opinii, że trzeba było wiele odwagi cywilnej, aby się przeciwstawić przez cały naród czczonej legendzie i odejść od sądów Długosza, którego *Kronika* była poza tym źródłem dla fabularnego ukształtowania powieści i częściowo dla charakterystyki postaci. Ideologiczny kształt powieści z pewnością świecki, racjonalizujący legendę, wystawia świadectwo naukowej rzetelności Kraszewskiemu, który nie chciał się sprzeciwić własnemu sumieniu historyka nawet w dziele literackim. Nie pierwszy zresztą raz i nie ostatni odmitologizował legendy dziejowe. Rzecz znamienna, iż choć występował przeciw oficjalnego Kościołowi i przeciw gorącej wierze katolickiej zbiorowości, sam uparcie się do wspólnoty z nią przyznawał, mimo gróźb wykluczenia z niej, głoszonych przez klerykalną prasę.

Zainteresuje czytelnika, jak wyglądał dalszy bój hierarchii kościelnej o „duszę” pisarza. W marcu 1879 r. próbowano ze strony prasy konserwatywnej interpretować jego przemówienie na jubileuszowej uroczystości drezdeńskiej w duchu kapitulantstwa ideowego, tak że Kraszewski musiał dementować w prasie liberalnej podstępą wykładnię jego wypowiedzi. Biskup krakowski, Albin Dunajewski, godził się wziąć udział w uroczystościach jubileuszowych pisarza w Krakowie w październiku 1879 r. pod warunkiem, że on przystąpi do spowiedzi i że się będzie publicznie komunikował, na co się oczywiście nie mógł zgodzić. Posądzano go o przynależność do masonerii, bo posiadał wysokie odznaczenia od króla włoskiego utrzymywał korespondencję z uczonymi i działaczami politycznymi zjednoczonych Włoch, podejrzewanymi o karbonaryzm i masonerię.

Mimo ciągłej właściwie nagonki ze strony oficjalnych czynników kościelnych, czuł się związany z Kościołem. Oto charakterystyczna wypowiedź Kraszewskiego z listu do T. Lenartowicza z dnia 17 V 1882 r. Obaj mianowicie odmówili udziału w kongresie Międzynarodowego Towarzystwa Literackiego w Rzymie z powodu wolnomyślicielskiego programu tegoż kongresu i choć nasz pisarz był honorowym przewodniczącym Towarzystwa. Pisał Kraszewski do przyjaciela:

„Dobrze robisz, że nie jedziesz na kongres. Można nie być papalinem (papistą) i stańczykiem itd., ale żeby Polak papieżowi pod nos śwędził, to już grzech i zbrodnia. Może nasz katolicyzm nie ortodoksm (!), ale byliśmy i jesteśmy katolikami, i nimi zostać powinniśmy. Mnie odpychają ortodoksi, to mi wszystko jedno, ale po swojemu Kościołowi wiernym zostanę. W takim położeniu, jak jest papież, nam robić demonstrację przeciw niemu, byłoby nikiemnością.”

Trzeba umieć czytać takie wyznania. W warunkach wynaradawiającej polityki zaborców katolicyzm był w Polsce synonimem polskości, także i dla Kraszewskiego.

Kiedy w 1885 wypuszczono Kraszewskiego na urlop z twierdzy w Magdeburgu ufundował on votum dziękczynne i polecił je umieścić w kościele Karmelitów w Krakowie. Znowu akt solidarności z Kościołem wiernych.

Mimo to wszystko oficjalne czynniki nie dowierzały pisarzowi, wbrew stanowisku kleru niższego, odprawiającego nabożeństwa w całej Polsce z okazji jubileuszu w roku 1879. Gorszący targ o katolicką prawomyślność pisarza, zmarłego w 1887 r. w Genewie bez ostatnich sakramentów, dopełnia obrazu ciągłego konfliktu, w którym Kraszewski pozostał z oficjalnym Kościołem.

W konflikcie tym nie zajmuje ostatniego miejsca wznawiana obecnie powieść historyczna *Boleszczyce*, jeden z wielu dokumentów wewnętrznego rozłamania człowieka, wierzącego po swojemu i w imię prawdy przeciwstawiającego się legendom, nawet wyposażonym w znamiona świętości.

Rodzina pisarza, a przede wszystkim młodszy z braci, Kajetan, zdeklarowany konserwatysta i klerykał, nie cieszyła się powieściowym obrazem historycznego sporu między królem i biskupem. Ciężła przecież na Kraszewskich herbu Jastrzębiec legenda o współudziale ich protoplastów, członków drużyny Bolesława Śmiałego, w zabójstwie św. Stanisława. (Zob. na ten temat odnośny ustęp w Posłowiu.) Dlatego więc Kajetan zamówił nabożeństwo w kościele na Skałce w czasie jubileuszu 50-lecia pracy pisarskiej Józefa Ignacego Kraszewskiego w Krakowie, w 1879 r. Intencję tego nabożeństwa wyjaśnił najlepiej w swym dotąd nie opublikowanym pamiętniku. Cytujemy dosłownie trochę nieporadną relację Kajetana:

„Zwróciłem był pierwiej uwagę Józefa na traf szczególny, że gdy w tradycji rodowej naszej jest jakoby owo należenie do zabójstwa św. Stanisława, po którym rodzina pochodząca z Krakowskiego zmuszoną była z hańbą uchodzić ze stron tamtych i osiedliła się w Płockiem[...], owóz dzień w dzień prawie, bo również jak wychodźstwo z Krakowskiego w jesieni, w lat 800 (1079-1879), roku, w którym Kraków obchodził

rocznicę św. Stanisława, brat Józef wprowadził za sobą do Krakowa całą rodzinę naszą ze wspaniałym obchodem w triumfie, jakoby lata już zmały winę, a Bóg miał jej przebaczyć — wniosłem więc, żebyśmy zamówili nabożeństwo na Skałce osobne i zebrali się na nie. Józef myśl pochwalił bardzo i polecił mi zająć się tą sprawą.”

Kajetan opowiada dalej, że na nabożeństwie była obecna „cała rodzina” i opisuje przebieg ceremonii. Nie wymienia jednak wyraźnie osoby pisarza i nie podaje dokładnie dnia, kiedy się nabożeństwo odbyło. Prasowe i książkowe sprawozdania z jubileuszu, które śledzą każdą prawie godzinę pobytu Kraszewskiego w Krakowie, nie notują owego faktu. W liście do brata z 13 XI 1879 r. napisał Kajetan: „Wśród tego gwaru i zamętu niepostrzeżenie przeszło nasze nabożeństwo na Skałce” — i nie odwołuje się do pamięci pisarza, a nawet dokładnie opowiada, jakim to szczęśliwym trafem udało się nabożeństwo zamówić. Widać szczegóły te nie były jubilatowi znane i Kajetan nie przekazał mu ich w Krakowie.

Czy J. I. Kraszewski uczestniczył w nabożeństwie na Skałce, czy nie, sprawa chyba nie istotna. Ze stanowiska swego, przedstawionego w powieści, nie wycofał się bowiem nigdy. Kiedy w 1885 r. kończył w twierdzy magdeburskiej *Wizerunki książąt i królów polskich*, nie zmienił w niczym swego sądu o królu Śmiałym i biskupie Szczepanowskim.

Wincenty Danek

Bratnim rodom, co Jastrzębca w godle noszą,

poświęca A u t o r

D. 1 stycznia 1877 — Drezno

TOM PIERWSZY

Rozdział I

Było to na wiosnę 1079 roku.

Drzewa już się rozwijać zaczynały, gdzieniegdzie dąb głuchy stał tylko jeszcze z pączkami nabrzękłymi, niedowierzając wczesnemu w tym roku ciepłu, słońcu i pogodzie. Dokoła szumiała i woniała Niepołomicka Puszcza. Wśród niej na zielonej łące, u strumienia, przy którym złościły się gęsto rozkwitłe łotocie, w cieniu drzew kilku, które występowały z lasu, siedzieli i leżeli na ziemi odpoczywający podróżni czy myśliwcy. Czeladź ich przy małym ogniu grzała sobie strawę i przypiekała mięsiwo; panowie, na pagórku zasiadłszy, gwarzyli między sobą po cichu. Było ich pięciu ludzi, średniego wieku, raczej młodych niż starych, a po odzieży i z twarzy łącznie rozpoznać mógł każdy, że do możliwych należeli rodów. Patrzało im z oczów, że rozkazywać byli nawykli, a choć do lasu przystrajać się nie potrzebowali, wszystko, co na sobie mieli dowodziło dostatku i zamięłowania w pewnej wytworności.

Pod samym dębem starym, który stał w pośrodku, z rękami w tył zarzuconymi siedział z odkrytą głową, lat średnich mężczyzna, przystojnej twarzy, butnego wyrazu, z jasną, bujną brodą, która mu się szeroko na piersi rozkładała. Rumiany, zdrów, z oczyma niebieskimi, nosem orlim, na ustach miał uśmiezek pogardliwy zarazem, wesoły i dumny. Odziany w kaftan skórzany, wyszywany barwisto, na którym drugi lżejszy wisiał wolno porozpinany, odjął był miecz, złożywszy go na boku, i czapkę przykrył; piersi miał na pół odsłonięte, włos porozrzucany. Widać, że mu błogo było tak wygodnie wyciągniętemu na suchej ziemi, mchu i darni, używać wczasu w cieniu. Umieścił się też, jak mógł najlepiej, nie wiele troszcząc, jak to będzie wyglądać.

Obok niego siedzący, młodszy z twarzy, a rysami doń podobni, równie byli porozpierzani wygodnie, rozkładali się ze swobodą, jedni na pół leżąc, drudzy na rękach głowy złożywszy. Ubiory wszystkich były krojem i barwami do siebie podobne, cienkich tkanin, kaftany jednym szyte wzorem, obuwie misternie pookowy-

wane, szłyki¹ lekkie futrzane jednego kształtu i sierści. Poza nimi i około nich porzucane były łowieckie i rycerskie przybory, łuki, lekkie oszczepy, ostrymi zakończone żelazcami, miecze małe i noże w bogatych oprawach. I te znać z jednego wychodziły skarbca, bo wszystkie były prawie jednakie.

Toż co o stroju i zbroi, powiedzieć było można o ludziach spojrzawszy na twarze; widać było, że z jednego pochodzili rodu, bo choć w obliczach tych wyraz był nieco odmienny, choć wiek różny, rysy mieli dziwnie do siebie podobne. Orle ich nosy, ciemniejszych nieco lub światlejszych odcieni włosy jasne, usta mięsiste, pociągłe twarze, wysokie czoła, wszyscy mieli jednego kroju. W ruchach też ich było pokrewieństwo, w mowie dźwięki brzmiały tonem jednym. Była to jedna krew, w różnych rozkwitnienia stanach, jeden typ urozmaicony odmianami, jakie do nieskończoności umie mu nadawać natura.

Siedzący pod dębem, był widocznie najstarszym z braci, i zdawał się też rej wieść między nimi.

Słońce się już było ku zachodowi skłaniać zaczęło, ale promienie jego mocno jeszcze dogrzewały; gromadka też odpoczywająca nie myślała się ruszać z wygodnej zaciszy i chłodem a cieniem lasu się rozkoszowała. Pomiędzy nimi stały rogowe kubki podróżne ponalewane miodem i naczynia z wodą, którą ludzie z niedalekiego zaczerpnęli źródła. Niedaleko od nich na łące, pasły się bujną trawą wiosenną, konie zażywe z sierścią lśniąca, grzywami długimi, suchymi nóżkami, nieco dzikie. Niekiedy podnosiły głowy, jakby się rozpatrzeć chciały, a te, które się napasły, zaczepiały się do zabawy i walki wyzywając. Wesole to były stworzenia, jak panowie co pod dębami spoczywali.

Ludzie nie spuszczały ich z oka, na uboczu siedząc przy dogasającym ognisku, otoczeni zgrają psów, z których jedne leżały, drugie resztek jadła szukały do koła. Na berłach², wbitych w ziemię, widać było osadzone trzy zakapturzone i spętane ptaki.

Szum wiatru, rżenie koni, skowyczenie psie i swary, cichy szept czeladzi, przerywały tylko milczenie. Młoda owa drużyna siedziała, jakby odpoczywając po znużeniu, ust nawet leniąc się

otworzyć. Czasem który sięgnął do kubka z miodem lub naczynia z wodą, napił się, otarł usta i legł znowu, pół drzemiąc, na pół czuwając. Spoglądali na cienie od słońca, jakby wyczekiwali nadchodzącego wieczora.

Choć rażno a butnie wyglądali myśliwcy, nie można było powiedzieć, aby się na ich twarzach odbijało wesele; rycerska ochota była w spojrzeniu, lecz z niepokojem pewnym zmieszana. Niekiedy wzrok starszego utkwiał w dali nieruchomy, a myśl się widocznie zabłąkała też daleko od puszczy i doliny. Drudzy dumali również nad wiek poważnie i tęskno.

— A co! Czas by może do powrotu? — odezwał się ziewając ten, co u dębu siedział, a któremu imię Borzywój było.

— Czegóż się tak spieszyć mamy! — odparł drugi wyciągnięty na ziemi, szczypiąc trawę i wrywając drobne kwiatki, którymi był otoczony. Zwano go Zbilutem, a chłopak był piękny, rumiany i włos miał obfity, złocisty, który mu spadał na ramiona. — Czego się spieszyć mamy? Nic nie pędzi, a tu jak u Boga za piecem cicho i wygodnie, człek choć spocznie.

— Pewnie — odezwał się trzeci — łowy też teraz, żal się Boże, nic potem; słońce piecze jak śród lata, zwierz chudy, skóra z niego na licha się nie zdała, darmo się ganiać po lesie.

Ten, który to mówił, Dobrogost było mu imię, do starszych należał i twarz miał zmęczoną, a wyraz jej posępny.

Pozostali nawet się nie odzywali, gdy Borzywój z pod dębu dodał:

— Na służbę do pana przecie warto pospieszyć, aby mu tam tęskno, ani gniewno nie było, żeby którego nie zażądał...

— E — odparł jeden z tych, co milczeli, zwany Odolajem — jest komu nas zastąpić. W lesie człek trochę odetchnie, gdy na zamku we dnie i w nocy spoczynku nie ma.

— Kiedy ci się tak odpoczywać chce — przerwał dotąd milczący Ziema — jedź doma do pana rodzica, albo do Jakuszowic do dziada, jeżeli stary ślepiec cię przyjmie, a nie było ci się zaciągać na dwór królewski. Kiedyś grzyb, to leż w kosz, o miłym spokoju nie ma co i prawić.

Rozśmieli się drudzy.

— To prawda — rzekł Odolaj — że u nas o pokoju ni myśleć, ni pytać, a jednak bym ci Wawelu na Jakuszowice nie mieniał, ani na Zborów... W Jakuszowicach u dziada ledwie bym się zdał ślepemu na parobka, w Zborowie ojcu na nic, a na Wawelu, u boku pana służąc, choć w pocie czoła, człowiek się czegoś kiedyś dochrapie...

Borzywój się rozśmiał niemal pogardliwie.

— A, co my wiemy, czego się dosłużymy i kiedy — rzekł. — Albo się dobije który bardzo wiele, albo gorzej niż nic, boć to u nas wojna nieustanna, a co najpewniejsza w niej — to guzy. Niech Bóg da królowi panu wszyćko dobre, pan dla swoich i obcych szczodry jak żaden, ale w inną godzinę srogi, zapamiętały, i tak mu łatwo dać skarb, jak głowę zdjąć.

— A no — rzekł Ziema — królem ci jest, to mu przystało. Najgorszy bodaj taki co ni ciepły, ni zimny, bo człowiek przy nim zagnije i roześni się. Wojennemu rzemiosłu trzeba raz w raz jak w łaźni, to ukropu, to zimnej wody.

— Pewnie — rzekł pierwszy — król musi w dłoni wszyćko dzierzyć a krzepko, gdyby cugli popuścił ludziom, roznieśliby go na cztery wiatry. A co było za Mieszka³, gdy król szalał, a baba musiała rządzić?

— Jemu też na sile nie zbywa — odezwał się Borzywój. — Od Bolka Wielkiego pana u nas takiego, jako ten nie bywało... Drży przed nim, co żyje i co żywe słuchoć go musi...

— Oj! oj, — przerwał Zbilut — nie tak to wszyscy mu się korzą a bardzo słuchoją. Podczas gdyśmy w Kijowie gościli, dużo się wyprzęgło i wiele do roboty zostało, póki znowu się w ład wprowadzi. Ho! ho!

— Wszyćko się to zrobi powoli, czekaj — dodał Borzywój — początek już jest, przyjdzie koniec.

— I ja nie wątpię — rzekł Zbilut — gdyby tylko z rycerstwem było do czynienia, z ziemiany i z żonkami ich, co sobie pohulały, gdy im się na mężów czekać sprzykrzyło, dawno by już koniec temu był, ale się biskup wdał... a to już bieda, kiedy z szablami trze-

ba pod próg kościelny, i z tym panem do boju, który ma za oręż laskę krzywą, co jej nie odbić mieczem, a na głowie mitrę jak królik jaki. W kościele on też królem.

Namarszczył się Borzywój i westchnął.

— Bodaj żeby i wszędzie po całej ziemi oni królami być nie chcieli, a królów za namiestników swych nie trzymali. Ano z biskupem jednym rada by może łączniejsza była — mówił Dobrogost — choć i to człek twardy i uparty, gorzej, że poza nim stoi dużo władyków i rycerstwa, którzy wolać księdza w rękę całować, niż królowi się pokłonić. Tym w gębie wędzidło nie smakuje, jużci im lepiej z rąk biskupów panować, niż królewskie spełniać rozkazanie.

— Kiedyś też z nimi się przyjdzie rozprawić — rzekł Ziema — do tego się gotuje i musi dojść. Próżno ich biskup zasłania... a i z tym biskupem...

Rozmowa ta chmurami twarze powlokła.

— Co tam o tym naprzód prawić! — odezwał się po chwili Borzywój na pół ziewając. — Kto wie, co się stać może, my jedno znać powinniśmy: wszyscy, jak tu stojemy, Boleszczyce jesteśmy. Przewano nas tak, drużynę pańską, jakby na urągowisko, dlatego, że przy królu Bolesławie stoimy — my się chwalimy tym imieniem, żeśmy Boleszczyce, prawi słudzy jego! Znajmyż to, że gdy skinie, my za nim w ogień czy w wodę!

— W ogień i wodę! — zawołali wszyscy, a Zbilut dodał śmiejąc się:

— A jak na biskupa skinie?

— To co? — odparł Borzywój. — My swej woli nie mamy, tylko jego, ja pójdę kędy powie.

Drudzy zmilczeli patrząc po sobie.

— E — cicho, przebaknął Ziema — gdyby się jednak z biskupem mir złożył, lepiej by było. Bodaj księdza nie zaczepiać. Mają oni takie siły i moc, której żaden król nie ma. Prawda, że król żelazny i mężny, ano i ten twardy, kamienny, bo czuje poza sobą nie tylko władyków, ale anioły i świętych!

— O świętych i aniołach co my tam wiemy, prości ludzie —

rzekł Borzywój — dosyć tego, że ma za sobą duchowieństwo i biskupów naszych i tych, co w Rzymie są i gdzie indziej! Wszyscy się oni za ręce trzymają. Nawet proboszcze, którym teraz żenić się zakazują, muszą iść jak żołnierze posłuszni.

— To co — odparł Zbilut — przecie ich tam lik nie tak straszny, a ludzie do boju niewprawni. Ja mówię, przyjść do tego musi, że się z nimi wyrębać będzie trzeba. I czym prędzej tym lepiej. Cóż to jest? Król co na Rusi zwycięzcą był, na Węgrzech panem⁹, wszędzie gdzie doszedł, rozkazywał, żeby w domu panem nie był?? Zasię!

— Czekaj! — rozśmiał się Borzywój. — Nie znasz chyba Bolka, będzie on i doma panem, byle czas miał. Myśmy od początku jego panowania gośćmi w domu, nie było się czasu rozpatrzyć. Królowa albo namiestnicy siły nie mieli, wszystko się rozlazło i rozpuściło. Teraz, gdy król sam na swoich śmieciach, zrobimy porządek, zrobimy!

Zbilut w żart to obrócił.

Naprzód około żonek trzeba zrobić porządek... niech nam król zda to na ręce...

— Cha! cha! — rozśmiał się Ziema. — Ty byś naprzód poszedł ład zaprowadzać u Krysty, u samego króla, ty jakiś!

— Ano, jeszcze by się tu kto znalazł może, co by się tego samego podjął! — mruknął Borzywój.

Tymczasem cień się długi wyciągnął, do koni!

— Do koni! Do koni!

Wszyscy z wolna ze swych legowisk się ruszać poczęli, skinąwszy na ludzi, którzy zrywali się szybko biegnąc na łąkę, gdy odjazdu znak dano, a psy za nimi pobiegły, wesoło się przeganiając, aby pasące się pochwytać wierzchowce. Te, choć popętane, uciekać nie mogły, rwały się i skakały.

W milczeniu młodzież przypasywała mieczyki. Każdy, broń swą rozpoznając, brał z kupy, głowę nakrywał, kaftan zapinał. Niektórzy kubki dopijając, chowali je do worków u pasa.

Gotowano się tak do odjazdu, gdy na drodze, co nieopodal wybita szeroko szła lasem ku Krakowu, zatętniało z dala. Wszyst-

kich oczy zwróciły się w tę stronę, skąd głos przychodził, schylając się, aby pod gałęzmi zobaczyć przybywających. Liście jeszcze nie puściły były wszystkie, więc zza nich drogę dobrze widać było.

Milczeli pospieszając przypasywać miecze i łuki mieć w pogotowiu, choć żadnego nieprzyjaciela obawiać się nie mieli powodu. Tętent, zbliżając się, poczynął mieszać z gwarą rozmową kilku jezdnych.

Borzywój, który naprzód najdalej się wysunął, dał znak ręką braciom, i odwróciwszy się, szepnął ku nim.

— Mścislaw z Bużenina! — To mówiąc rozśmiał się szydersko.

— Czyżby go nie pozdrowić — boć to zasłużony człek! — złośliwie, z przekąsem rzekł Zbilut do braci.

— Od nas, Boleszczyców, poznałby się na drwinach — odezwał się drugi — dać mu pokój. — Ma on i bez tego zgryzoty dość.

Wszyscy ciekawie zagłądali, chcąc się przypatrzeć zapowiedzianemu. Droga szła tak blisko od ognia i miejsca, na którym stali Boleszczyce, iż pominąć ich, nie widząc, nie było podobna. Wszyscy jeszcze podsunęli się o kilka kroków naprzód i stanęli niemal wyzywająco. W boki się pobrali, twarze nastroili butno a szydersko, czapki pokładli na głowy, przewiesiwszy je na ucho. Strasznie zaczepnie i zwadliwie im z oczów patrzyło.

Wtem na drodze orszak jezdnych się pokazał. Przodem ich jechało trzech; rycerz lekkobrojni, ciemnych już, siwiejących nieco włosów, twarzy rozgniewanej, pochmurnej, smętnej — mąż w czerni wyglądający na kapłana, i młode pachole wesole, zręczne, z wesołymi oczyma. Za nimi szło ludzi zbrojnych sześciu, wiozących broń i w sakwach zapasy podrózne.

Ten, który się dowodzić zdawał, nazwany Mścislawem z Bużenina, choć wyraz jego rysów gniewny stan duszy malował, w innych ludziach obudziłby raczej politowanie niż szyderstwo, tak z oczów i czoła głęboki w nim panował smutek.

Gdy nadjeżdżającym pokazali się ci, co nad drogą stali, zachnął się nieco Mścislaw, brwi zmarszczył, usta mu się zatrzęśły, ręka zdawała się szukać czegoś; oczyma powiódł po ludziach

swych, ale wnet jakby ochłonawszy, koniowi popuścił cugli, uderzył go, pospieszył. Mijając wszakże Boleszczyców, wejrzenie groźne, śmiałe skierował ku nim, jakby chciał dowieść, że się ich nie lęka. Ręką się wziął w bok i tak ich mijał, jakby żadnego nie znał.

Ani Boleszczyce, ani ów podróżny, którego oni Mścislawem z Bużenina nazwali, cicho między sobą żarty zeń strojąc jawne nie myśleli się pozdrawiać. Oczyma się mierzyli, ścigali z pogardą i gniewem, lecz ni z jednej, ni z drugiej strony wzrok sobie nie chciał ustąpić. Widać było, że mało co brakło, by się nie rzucili na siebie.

Pan z Bużenina konia zrazu podpedził, potem namyśliwszy się, strzymał go umyślnie, stępią jadąc minął Boleszczyców i czeladź ich, która z końmi nadciągnęła. Dopiero gdy cała gromadka o kilka kroków odjechała, a Mścislawa plecy tylko już widać było, w kupce stojących nad drogą parsknęły śmiechy głośne, dojmujące, szyderskie. Zdawało się, że Boleszczyce z nimi wybuchli naumyślnie, popisując się z hałaśliwą wesołością, zanosili się rozlegającymi śmiechami, jedni po drugich i co który ustał, poczynął inny, a reszta mu wtórowała.

Jeźdźcy, odjechawszy nieco gościńcem, stanęli, jakby się namyślali, czy mają upomnieć o zniewagę; słyhać było głos męski gniewny i drugi duchownego, który hamował i uspokajał. Boleszczyce stali nieulęknieni, niewzruszeni, brali się tylko do mieczyków, poglądając po sobie, lecz po chwili te tent koni powolny oznajmił, że jeźdźcy dalej ciągnęli w milczeniu.

— Nieboszczyk mąż pięknej Krysty! On sam! Poznałem go z dala! — odezwał się Borzywój. — On sam!

— On! on! — potwierdzili inni. — Ale jakże zestarzał.

— Słyszę, teraz żonę dopiero kochać strasznie począł, gdy mu ją król wziął — mówił Dobrogost — rady sobie po niej dać nie może....

— A ty byś lepszy był, gdybyś ją miał i wzięto ci ją? — rzekł Zbilut.

Zapytany nie odpowiedział.

— Zważaliście — rzekł Borzywój — wszak ci księdza z sobą

miał! Ani ruszy teraz bez nich. Ten, co z nim jechał, przy biskupie jest w Krakowie. Mścisław też teraz u biskupa pierwszy sługa, popycha go gdzie zechce.

— Jać bo mówiłem — powtórzył Zbilut — komu by taką żonkę wzięto, ten szukając ratunku, nie z biskupem a z diabłem by gotów się pokumać!

Ofuknął nań Borzywój oglądając się.

— Cicho byś był, w drodze pod noc takie lichy wspominać!

— Sam sobie winien — głupi człek — dodał Ziema — nie przyszłoby do tego, żeby rozum miał...

— Cóż by mu rozum pomógł? — odezwał się drugi.

— Nie zaszkodziłby — mówił Dobrogost. — Tyś na to nie patrzył jak my, a gadasz, myśmy świadkami byli, wiemy jak sprawa szła; nam nie tobie sądzić o tym. — Tyś jeszcze podówczas, czy w Jakuszowicach, czy w Zborowie za łaniami latał...

— A nauczcież miłościwie, jak to było? — rzekł młodszy — ciekawym.

— Naprzód głupi człek — mówił starszy — że taką śliczną, młodą żonkę, wystroiwszy jak łątkę, przywiózł na okaz na dwór królowej, jakby mu pilno się nią pochwalić było. Doma ją trzymać winien był za zasuwą i nie pokazywać nawet rodzonemu bratu. Toć to śliczność jest, jakiej drugiej nie ma.

— Prawda! — potwierdził Zbilut gorąco — dziś na zamku ona królową, i gdzie się pokaże, królowa... Człek by za nią w ogień i w wodę skoczyć gotów!

— Król też nie mnich — mówił pierwszy — aby sobie oczy zakrywał, gdy mu hoże liczko wpadnie do oka. Jak ją raz zobaczył, spokoju nie miał, póki znowu jej nie widział. Mnie dziw tylko, że ją pierwszego dnia puścił z zamku! Ile nas było wówczas, szeptaliśmy sobie: król ją weźmie. A co za dziw? Królowa niemłoda, zajęta synkiem, a hożą tak i nigdy nie była jak ta... Czy to królowi nie należy się najpiękniejsza w królestwie niewiasta, jak na wsi panu? Mścisław zmiarkował od pierwszego razu, że król mu się coś do żony bardzo swatał, bo od niej cały dzień nie odstał. A i Krysta nie była od tego; co król, to król, lepiej być królewską kochanką

niż ziemianina żoną. Wywiózł ją mąż do Bużenina, toć przecie nie za światem. Pojechaliśmy w tamtą stronę na łowy, dobrawszy taką porę, kiedy pana doma nie było. Zmiarkowali zaraz wszyscy, o co królowi szło. Byłem z nim, gdy do dworu przyciągnął, musiała żona wyjść przeciw, bo gospodarza nie było. Król się nam obozem kazał rozłożyć w podwórzu, a sam do dworca szedł i został tam dzień jeden i drugi. Drugiego dnia już wszyscy wiedzieli, że ją z sobą wywieziemy. Młodziutkie stworzenie dało się wziąć jak kuropatwa, kiedy jastrząb nad nią zawiśnie. Płakałać niby i opierała się wrzekomo, a śmiała drugim oczkiem i szła bez przymusu. Trzeciego dnia jechaliśmy do Krakowa, upolowawszy jeno Krystę, ale ta nam za najlepszą stała zwierzynę. Król ją na zamku we dworcu posadził osobnym i pilnuje jak oka w głowie. Stał się dopiero srogi krzyk i wrzask a gwałt! Jakby królowi nie wolno było mieć miłośnic! Jakby to ich Mieszkowi¹ broniła Dubrawka, albo Bolko Chrobry nie chował ich we dworze, ile mu się chciało! Jakby to cesarze i panowie tego samego nie czynili co dnia!

— Tać — rzekł drugi cicho — niechby był brał, jaką chciał, tylko nie ziemianinowi żonę. Drudzy tego nie czynili.

— Kto tam wie! — ciągnął dalej opowiadający. — Bywało różnie, wrzawy takiej dla jednej niewiasty nie podnoszono. Biskupowi, co do króla zęb miał, było to na rękę. Wziął się sam za tę sprawę i począł grozić. Ale król się z niego i z gróźb tych śmieje, a Krysta na dworze została i siedzi.

— Czego bo od niego chcą i biskup, i królowa — przerwał Ziema — abo by lepiej było, żeby królową odprawił, a drugą sobie wziął natomiast? Przecie się matce Mieszkowej krzywda nie dzieje, bo jej wszyscy cześć oddają.

— Dość bo już tego mlewa, z którego tylko otręby — krzyknął Borzywój ruszając się. — Na konie czas siadać! Mała rzecz, a gadanina bez miary. Biskup z tego straszne rzeczy robi, bo mu tak trzeba; przez Mściława wszystkich władyków i ziemian burzy, że już żon i córek swych nie są bezpieczni. Jak królowi doje, to, co się dziś śmieje, burknie, nie daj Boże z nim wówczas rozprawy, nie daj!

— Gdyby biskup nie był biskupem — dodał Ziema cicho.

— Jakby to biskup nie był człowiekiem jako my? — odparł Borzywój.

— I tej ziemi ojczycem¹¹, a nie żadnym Włochem lub Francuzem, jak inni, bo do tamtych, co ich papież z Rzymu przysyła, król takiego prawa nie ma — rzekł Zbilut.

— Pewnie! — potwierdzili inni. — Toć ze Szczepanowa jest rodem.

Po chwili Zbilut, w oczy starszemu spojrzawszy, szepnął mu ciszej:

— Nie godzi się to może panu bratu starszemu przymawiać, ani go drażnić, ano bym rzekł, że sprawy królewskiej tak broni; bo i jemu Kryście w oczy zaglądać by się chciało! Ej, ej!

Borzywój namarszczył się i pięść mu ściśniętą pokazał.

— Milczałbyś ty, gołową się jakiś, co mleko masz pod nosem! Dam ja ci, dam!

Zbilut pokorną zrobił minę, głowę w ramiona schował, a spode łba uśmiechał się do braci, tylko starszemu w oczy spojrzeć nie śmiał.

Drudzy, też na starszego spoglądając, wszyscy się po troszę śmieli i poprychiwali.

Borzywój, choć tak srogą twarz był przybrał zrazu, sam też nieco usta krzywił i nic nie mówiąc, zabierał się do drogi.

Podawano konie, które czeladź już dawno w pogotowiu trzymała, pokielznane i popodpinane. Wszyscy, ujmując się grzyw, skakali na nie rażno, choć im nikt ręki nie podawał. Żwawe wierzchowce rwały się zaraz z miejsca, tak że je ledwie utrzymać było można. Czelaź, pościągawszy resztę sakw podróжных i przyborów, natychmiast dosiadła swoich mierzynów, puszczając się za panami tą samą drogą, którą jechał niedawno Mścisław z Bużenina, ale w stronę przeciwną.

Słońce, chociaż już dawno było z południa, jeszcze na niebie kawał przebiec miało do zachodu; ale już upał wiosenny się zmniejszył, chmurki je przycieniały i powietrze było do oddychania lżejsze. Aż miło jechać było, i Boleszczyce nie spiesząc

przebywali skraje puszczy, pod sam już wieczór wydobywając się z niej w żyzny kraj ku Krakowu. Tu też ruch na gościńcu zaczynał być znaczniejszy coraz; spotykali więcej wozów, konnych i pieszych ludzi. Wszystko to na widok jadących, którzy z czeladzią, psami i ptakami, całą szerokość drogi zajmowali, z dala już ustępowało przed nimi, zsuwało się na kraje; piesi stawali, kłaniając się do ziemi, bo w nich królewską drużynę poznawano.

Boleszczyce, jakby byli w swoim prawie, nie myśleli ustępować ani się ścisnąć dla nikogo; wozy nawet musiały przed nimi zjeżdżać na role. Psy uganiały się swobodnie za owcami w polu, a odpędzić ich nie śmieli pastusi. Była to królewska drużyna. Ludzie i niewiasty niewolne, z dala na pole zbiegali, by się z nią nie spotykać.

Nad wieczorem już za lasem byli w otwartym miejscu, gdy z dala ukazał się naprzeciw nich jezdny orszak, który też zajmował drogę całą. Borzywój, gdy się nieco zbliżyli, wpatrzywszy się weń, oczyma dał znak swoim braciom i czeladzi, ażeby nie ustępowali. Z dala widać już było ludzi konnych i zbrojnych, skromnie poodziwianych z cudzoziemska. Liczba ich nie przechodziła gromadki Boleszczyców z ich czeladzią.

— To biskupi dwór i słudzy — odezwał się Borzywój półgłosem — ja ich znam, musi ktoś jechać z jego pobocznych, jeśli nie on sam... Dokąd? Kto wie. Ano mniejsza o to, choćby i sam biskup był, czego mamy mu ustępować! Albo nie jesteśmy królewską drużyną?

— Nie ustąpię pewnie — zawołał Dobrogost.

— Ano, nie, nie! — zaczęli powtarzać inni, mając się już do oręży. Oczy się im zapalać zaczęły.

— Nie przepuścimy — powtarzali.

Dwa orszaki coraz się ku sobie zbliżały. Z drugiej też strony musiano poznać, z kim miano do czynienia; ludzie się nieco zatrzymali zwalniając kroku, jakby dla narady, co począć mieli. Tylko jeden, przodem jadący na nic się nie zdawał uważać, wyprzedzając tych, co mu towarzyszyli.

W milczeniu, ściśnięci, ławą jechali Boleszczyce, oszczepy

trzymając w ręku, ramię do ramienia, w bok się biorąc, i butę okazując straszliwą. Jeden drugiemu oczyma odwagi dodawał, spoglądali na czeladź, aby ją utrzymać w porządku. Borzywój, niby wódz, zajął miejsce w pośrodku i postępowali z wolna, ale tak, jakby na nieprzyjaciela uderzyć mieli.

Z tamtej strony ciszej, spokojniej szli ludzie, jakby pewni byli, że się im nic stać nie może. Patrzali przed się nieulęknieni wcale, nie okazując żadnego wrażenia. W pośrodku ich jechał na koniu kapą okrytym mężczyzna lat średnich, pięknej postawy, wspaniałego oblicza. Wierzchowiec jego spokojny nie świecił żadnymi ozdobnymi rzędami, ani wisiadły; na sukni też czarnej, którą on sam był odziany, oprócz krzyża na piersi nic więcej widać nie było. Twarz nie potrzebując oznak innych dostojności, znamionowała męża co się czuł silnym i nad pospolity tłum wzniesionym wysoko. Wejrzenie miał, które, raz zwrócone na człowieka, zmuszało do poszanowania i trwogi, nie żeby gniewne było albo surowością zaprawne, ale majestat z niego promieniał i siła jakaś niezwykła. Piękne rysy osłaniał pokój niewzruszony. Jechał z wolna, powstrzymując konia, jakby chciał dać czas do namysłu tym, co mu drogę zastępowali. Czelaź otaczająca go, choć zbrojna, nie spieszyła z żadną oznaką, jakoby gościniec sobie miała torować siłą; jak on sam zdała się pewną, iż broni użyć nie będzie potrzebowała.

Borzywój, mocno się nasrożywszy, gdy oko w oko stanął z jadącymi naprzeciw, widocznie się zawahał, rzucił wejrzeniem gniewnym, lecz — stało się to sam nie wiedział jak — ustąpił w bok, konia ściągawszy gwałtownie i szparko, tak że na tylnych osadził się nogach. Inni też, zobaczywszy to, ruszyli nieco z miejsc, tak że dla orszaku biskupiego pozostał wolny wąski przesmyk między dwoma kupkami ściśniętych Boleszczyców, jakby go między siebie wziąć i osaczyć chcieli.

Nieulękniiony biskup konia potrącił nogą i wjechał w tę gromadę zwolna, nie spiesząc wcale, ani się troszcząc o to, co się z ludźmi jego stanie. Ci za przykładem pana jechać środkiem chcieli, gdy, biskupa przepuściwszy, Boleszczyce się ścisnęli groź-

nie i pozostała czeladź musiała, pana samego zostawiwszy, zjechać na bok z gościńca w pole przyspieszając kroku, jakby uchodziła. Młodszy Boleszczyce na widok nieładu, który powstał między orszakiem biskupa, w głos szydzić i śmiać się zaczęli.

Po twarzach ludzi towarzyszących biskupowi, widać było złość i oburzenie, nikt się z nich jednak porwać pierwszy nie ważył na królewską drużynę, a biskup wolnym krokiem przejechał przez rozstępujących się, i głowy nawet nie zwrócił, aby zobaczyć, co się po za nim działo, tak się zdał pewnym, iż się ani jemu ni czeladzi nic złego stać nie może. Tą powagą i wejrzeniem pełnym ufności w swą siłę, zmusił on królewską drużynę do cofnięcia się przed sobą. Borzywój i oni wszyscy ani wiedzieli, jak się to stało, iż ustąpili. Sami na siebie gniewni byli, a czuli, że ich do tego skłoniła jakaś potęga, którą uczuli, spotykając ten wzrok królewskim majestatem zbrojny.

Zaledwie się to stało, Boleszczyce, ochłonawszy, obejrzeni się za siebie naśmiewając i szydząc, a w istocie chcąc pokryć wrazenie, którego doznali; niektórzy ręce zbrojne popodnosili do góry. Biskup nie widział tego, gdyż wzroku nie zwrócił ku nim, towarzysze tylko ze szmerem oburzenia dogнали go oburzeni i gniewni, ale wkrótce na zakręcie drogi znikł im z oczów poczet cały.

— Czegóżes mu z drogi ustąpił! — zawołał Dobrogost do Borzywoja — byłoby mu stanąwszy zaprzec gościnniec, a nie zjeżdżać w bok... niechby on był zmuszony cofać się przed nami, a nie my przed nim!

— Albo ja wiem, co się z moim koniem stało! — odparł Borzywój. — Uląkł się i w bok zachnął, nie pospiałem go strzymać.... Zresztą biskupem ci jest! A nie ustąpiłem się dla niego... tylko.

— Tylko dla czego? — rozśmiał się Dobrogost.

— Aby ludzi mu wprawić w zamieszanie. Na gościńcu się z nim rozprawiać nie nasza rzecz.

— Spojrzałeś ty mu w oczy? — odezwał się Zbilut.

— Cóż myślisz? Pewnie! Wzroku bym się nie uląkł niczyjogo! — wołał Borzywój.

— Ale srogo patrzy jakoś, aż mrozem ścina — wtrącił Ziema. — Ciarki po mnie poszły, gdy mijając go, oczy spotkałem.

Inni się nie przyznawali, starając pokryć wrażenie żartami i szyderstwami. Oglądano się jeszcze, ale już tylko tuman kurzawy widać było za nimi.

Słońce zapadało, wśród wesołych chmur, pomalowanych dziwnie czerwono, złocisto, pomarańczowo i fioletowo. W górze obłoczki, jakby frędzlami oszyte, rozpinały się po niebieskim tle niebios. Ptactwo uwijało się gromadami w powietrzu, zabierając pospiesznie do spoczynku; mrok już z drugiej strony niebios nadchodził.

Jechali jakiś czas w milczeniu posępny.

— Wyznaj Borzywój — szepnął Ziema — i tyś go się uląkł jak ja! Ani ci się dziwię. Ten ci to sam, co Piotrowina z martwych wskrzesił¹² na świadectwo, nie trudno by mu więc było żywych martwymi uczynić, gdyby chciał. Ja wolałbym go ani widzieć, ni zaczepiać.

— Pewnie — szepnął starszy po długim przestanku. — Jak mam przeciw sobie żelazo i strzały, wiem z kim walczę i co mi grozi, a z tymi, co niewidzialną siłą mogą zabić lub wskrzesić, jak tu wojować! Wolałbym, żeby i król z nim pokój zawarł, ale pono po czasie o tym myśleć. Biskup, srodze rozjątrzony, odgraża się na pana, iż go precz wyżenie.

Wszyscy księża mówią teraz, że do tego doprowadzą króla, iż jak cesarz papieża¹³ niedawno, on biskupa w nogę będzie musiał całować.

— Cesarza ja nie znam — dodał pomilczawszy, Borzywój — ale króla do tego zmusić, bodaj ciężko będzie.

Spojrzeli po sobie głowami potrząsając Boleszczyce i westchnęli.

— Co o cesarzu prawią, że mu papież nogę na karku postawił — przebąknął Zbilut — to tam baśnie być muszą, które klechy roznoszą, aby straszyć świeckich ludzi.

— Nie bajki, — zaprzeczył Borzywój — słyszałem o tym od króla nieraz. Śmiał się z cesarza mówiąc:

— Gdybym ja cesarzem był, rychlej bym koronę postradał, niż cześć moją.

Gwarzyli tak jeszcze jadąc, gdy się w dali na boku gościńca pokazał dworzec znaczny, ostrokołami i drzewy otoczony. Na wyjaśnionych niebiosach drzewa i zabudowania ciemną się masą malowały, wśród której otwarte okna i drzwi silnie oświecone błyskały jak ogniska, w podwórku zaś smolne stosy i beczki pozapalane łuną szeroką okolice zalewały. Z dala widać było jakby gorejące drzew wierzchołki i unoszące się w górę krwawe od płomieni dymy, iskrami natykane.

— Hej hej! — zawołał wesoło Dobrogost — wszak ci to chyba się król tu zabawia, na swym wiejskim dworze, bo któżby inny!

Ruszyli wszyscy ochoczo pokrzykując:

— Król nasz! król!.... dobrze się nam go spotkało! A no żywiej!

Kłusem puściła się cała gromadka, przyspieszywszy kroku. Im się bardziej zbliżali, tym światło większą łuną na nich biło; wrzawę, śpiewy, gęśle słychać było coraz donośniejsze.

— Król bez wątpienia... — powtarzano.

— I wesoło tam około pana naszego — mówili — w dobry czas ku wieczerzy przybywamy. Ani chybi też z królem Krysta być musi, a kto rad się jej uśmiecha, choć w oczy jej zajrzy.

Z wesołymi śmiechy i okrzyki Boleszczyce się ku wrotom zbliżyli, gdzie czeladź stała liczna; dalej konie powiązane do żłobów stojących w dziedzińcu rzędami, inne czeladź w rękach oprowadzała.

Przez okna, których otwarte okiennice na oścież stały, w środku widać było pochodniami oświecone izby, z których wesołe śpiewy i brzęczenie muzyki dochodziło.

Zaledwie Boleszczyce w dziedziniec wjechali, zewsząd ich pół-głosami witać poczęto. Tu też dla czeladzi prawdziwie królewską ucztę zastawiono. Beczki stały gęsto, kubki i czerpaki przy nich, chleb leżał stosami, sery białały na słomianych matach i woń pieczonego mięsiwa rozchodziła się dokoła. Drzwi i okna oblegała czeladź i dwór strojny i zbrojny bogato, ludzie orężni w pięk-

nich sukniach. Tuż pod złocistym okryciem, aż do ziemi spadającym, dwóch ludzi z wolna przeprowadzało piękną klacz ulubioną królewską, którą Orlicą zwano. Około niej z wielką pieczą i troskliwością kręcili się ludzie, chleb jej z rąk podając, to podstawując napój, ale ona obojętnie gardziła się zdawała. Niewielkiej miary, siwojabłkowita, z połyskującą sukienką, czarnymi kopytami, nozdrzami różowymi rozdartymi, czarnymi wielkimi oczyma, długą grzywą jedwabną i ogonem jak kosa zaplecionym wstęgami złotymi, królewska faworyta zdawała się wiedzieć, do kogo należała. Szła dumnie, nie dając się pociągać, zatrzymując ludzi, podnosząc głowę czasem i rzeniem zdając się okazywać niepokój i znudzenie. Gdy się ten głos ozwał w dziedzińcu, naówczas konie, które u żłobów stały, rwały się, rżały, mieszały i całe podwórze rozlegało tymi końskimi rozhowory, które śpiewy i gęźbę¹ głużyły. Orlicę, jak królowę tego stada, otaczał dwór jej własny, miała nawet namiot osobny, w którym spocząć mogła, gdy chciała, na świeżo posłanej słomie, wśród kubłów z wodą, naczyń z owsem i wonnego siana.

Boleszczyce, witani wesoło, posiadali z koni, pościągali suknie, pozapinali kaftany, pooddawali części uzbrojenia czeladzi i wprzód nim weszli do środka, przez okna starali się przy patrzeć obrazowi, który stąd wewnątrz dworu przedstawiało.

W izbie długiej, niskiej a niezbyt szerokiej, którą stojący przy ścianach pachółkowie oświecali, widać było ustawiony stół długi, okryty obrusami szytymi na Rusi wzorzyste, zastawiony naczyniami srebrnymi i złotymi. Konwie, dzbany, kubki, misy, wszystko było z tych kruszców grubo kute i świeciło, a lśniło się w ogni blasku. Mnogość tych naczyń, prawdziwie królewska, dziwiła ciekawym tłum, który cisnąc się do okien, przypatrywał pańskiej biesiadzie. Nie odpychano gawiedzi, bo król łaskaw był dla prostych ludzi niekiedy aż do zbytku, tak że ziemianie i rycerstwo za złe mu mieli, iż więcej nimi się opiekował, niż tymi, co z nim i za niego krew przelewali. Widać było ze swobodnych śmiechów i ru-

chów tych gromad, że się tu czuły jakby u siebie i wcale królewskiego dworu, jego ciwunów¹ i setników nie lękały.

Na szerokiej z poręczą ławie, obwieszanej sukniem bogato, siedział na podwyższeniu, lat średnich mężczyzna, ciemnych oczów, włosy i brody, którą nieco postrzyżoną nosił, w sukni z jedwabiu złotem szytej, ze sznury i kutasy złotymi, bramowanej bogato. Na szyi miał gruby łańcuch, pas na biodrach szeroki i mieczyk przy nim kamieniami sadzony. Na głowie przechylony siedział szłyk szkarłatny z futerkiem. Nogi miał obciste, sukniem okryte, z niechcenia założone jedna na drugą, ozute butami czerwonymi ze złotymi skuwkami na nosach. Siedział rozparty wygodnie, rękę jedną na poręczy trzymając, drugą wyciągnąwszy ku pięknej niewieście, którą miał obok siebie.

Twarz jego, choć zmęczona, piękną jeszcze była, nade wszystko dumy, siły, namiętności i ufności w siebie pełną. Króla w nim znać było z dala, nienawykłego ustępować nikomu. Gorzały ogniem jakimś wewnętrznym rozpłomienione, żywo biegające oczy, usta wydatne wydęte były i mięsiste, policzki okrywały rumieńce silne, czoło miał wyniosłe, nos orli z nozdrzami rozdętymi. Po twarzy widać było gdzieś krwią wzdęte żyły, zdające się skórę podnosić, jakby im pod nią ciasno było. Z królewską dumą na twarzy tej łączyły się królewska ludźmi pogarda i pycha niezmierną. Młode i zdrowe lice, życie i trudy jego już pofałdowały były i zmięły, wyciskając na nim ślady burz, przez które przeszło zwycięsko.

Oczy czarne czasami zmrużał dziwnie, niekiedy usta odymał, srożył się i marszczył, na chwilę prawie spokoju nie dając obliczu swemu. Biegały po nim prądy różne i widome dla wszystkich, bo się z nimi ukrywać nie chciał i nie potrzebował. Gniewy, radość, szyderstwo, oburzenie, zniecierpliwienie przelatywały jak chmury po niebiosach, mieniały się, nikły, wracały, tak że kto chciał, czytał w tej twarzy na oścież otwartej co się działo w duszy pana. A twarz to była jak wiosennych dni niebo zmienna, błękitem na przemiany, obłokami czarnymi, chmurkami białymi, oponami szarymi, słońcem wesołym i złocistym malowana, której

poranek nie ręczył za wieczór, a burza nie trwała dłużej pogody. Piorun mógł z niej uderzyć niespodziany, a w chwilę potem mogły się otworzyć spokojne błękity. Od dziecka niemal pan, żołnierz, wódz, zwycięzca, co rozdawał trony¹¹, był nieulęknionym i nie rozumiał może, iżby dlań co niepodobnym być mogło.

Niewiasta siedząca przy nim, piękna i młoda, na twarzyćce niemal dziecinnej miała wyraz zalotności wyzywającej, śmiałej, nie wstydzącej się wcale, naiwnej. Białej płci, z małym rumieńcem, nieco blada, czarnymi, wielkimi, wesołymi oczyma spod ciemnych łuków brwi patrzyła w króla jak w tęczę. Małeńkie jej usteczka uśmiechały mu się lubieżnie, a w uśmiechu biały pasek ząbków śnieżnych przeglądał. Ciemny włos rozpuszczony miała na ramiona, które się od niego bielsze jeszcze wydawały. Niebieska sukienka ze złotym szyciem, ciasno obejmująca kształty ciała, pokryta była drugą szkarłatną, w fałdach bogatych osłaniającą ją, od niechcenia rzuconą. Na piersiach, głowie, ramionach, rękach, u pasa złote ozdoby świeciły i wyglądały, gdzie tylko się mogły umieścić. Stojną była do zbytku, chciała być piękną i wyglądać po królewsku, choć na to się tak bardzo stroić nie potrzebowała. Młodość jej była pełną uroku, świeżość wdzięku, który gasił wszelką urodę niewieścią, co by z nią chciała wystąpić do walki.

Król jedną ręką spierał się na białym jej ramieniu i z rozkoszą patrzył w czarne jej oczy, rozjaśnione weselem dziecinnym. Śmiała się jemu, światu, życiu, wszystkiemu, na co patrzyła, mężczyznom, co przechodzili, złotym dzbanom, pochodniom i nocy pogodnej, która oknami zaglądała. Ani wstydu, ani uczucia innego nad to roztrzpiotane wesele nie widać w niej było. Smutnemu panu ten śmiech perłowy musiał serce zastygłe rozgrzewać.

Tuż za tą królewską parą stało kilka niewiast młodych, pięknych, strojnych, wesołych także, szepczących poufnie między sobą, śmiejących się i chichoczących ciągle, spoglądających śmiało po mężczyznach, którzy króla otaczali. Piękne te niewiasty zdawały się dobrane, aby i wesołość pani, i jej wdzięczną twarzyćkę jeszcze weselszą i wdzięczniejszą czyniły. Przy niej wydawały

się tak gminne, pospolite, jakby z innego pochodziły świata. Ich srom nawet był od jej zalotności bezwstydniejszym.

Dwór męski, który króla otaczał, składał się z samych młodych i rycerskich postaci. Niektóre z nich ledwie się zdawały wychodzić z dzieciństwa i puszek ledwie się im na brodzie i na policzkach wysypywać zaczynał. Wszyscy oni błyszczeli od złota i bławatów, przepysznie strojni i znać lubujący się w wytwornej odzieży; wszyscy mieli twarze wesołe, usta uśmiechnięte, trochę pańskiej dumy na licu i buty dworaczej. Ani jednej siwej głowy, ni jednego starca poważniejszego w całym tym okoleniu nie było. Król się wydawał najstarszym ze wszystkich i najbardziej uwiędłym.

Wszyscy stojący około pana czekali, patrzali rozkazu i skinienia, zdając się chcieć odgadnąć z oczów króla, jakiej może zapragnąć usługi. Nawet mieniając wejrzenia z niewiastami, co ich oczyma i ruchami wyzywały na psoty, młodzież ta ciągle ku panu jednym okiem spoglądała. Jak żadnej starej, tak też i posępnej nie widać było twarzy. Królowało wesele, pan smutku w tych godzinach nie lubił.

Na ławie w głębi siedziała gęźba, pobrzakując w struny, a gdy się ozwała, niewiasty za królem stojące nucić poczynały z cicha. Śpiew ich zrazu nieśmiały, wzmagał się potem coraz silniej, łączyły się z nim głosy nowe i pieśń wesoła, swawolna, przerywana śmiechami, przebrzmiewała po komnacie wylewając się na podwórze, gdzie jej z dala wtórowano.

Śpiewające dziewczuchy, gdy przyszło coś zbyt surowego w pieśni, zakrywały sobie oczy, odwracały głowy, osłaniały się rękami, zarzucały fartuszkami, ale śpiewały ochoczo.

W chwilę potem opadały ręce, odgarniano zasłony, błyskając oczyma, śmiechu pełne i usta różowe.

Piękna czarnobrewa, swobodnie się opierając na poręczy, przechylała się w takt pieśni, kołysała, jakby giętkie ciało i kształty toczone chcąc ukazać. Czasem podnosiła rączki białe, klaskała w nie z lekka, to spuszczała na kolana, niekiedy szybkim,

ukradkowym wejrzeniem przelatowała po izbie i twarzach, po drodze zawadzając swawolnie o gorące oczy młodzieży.

Każdy, na którego padł wzrok ten czarodziejki, mimowolnie drgnął, jakby go kto mieczem przebił, ale nim pogonił za nim, już on gdzieś odleciał daleko. Król na nią tylko patrzył, czasem usta zwilżył trochę w złotym kubku, który stał przed nim, i znowu go stawiał przed sobą zamyślony. Dwór czatujący na pańskie wejrzenie dzisiaj go nie mógł pochwycić.

Boleszczyce, popatrzawszy przez okna, poszeptawszy w progu, pośmiawszy się z przyjaciółmi u wnijsia, wreszcie się do izby skierowali. Rozstąpiły się im strażę, zaczęli głośno witać znajomi, usuwali się wszyscy. Szmer się stał; król odwrócił głowę, brew zrazu zmarszczył, lecz obaczywszy swą wierną drużynę, uśmiechał się im, znak dając, aby szli do napitku i jadła.

Za królewskim wzrokiem poszły oczy czarnobrewy, spotkały się z wejrzeniami, które ich już szukały; zarumieniła się mocno, niby zadąsana odwróciła szybko głowę, wnet spojrzała po wtórnie i pokraśniała mocniej jeszcze. Borzywój i Zbilut szczególniej ścigali ją wzrokiem zuchwałym. Wszedłszy, Boleszczyce stanęli nieco z dala między swymi.

Król w chwilę skinął, aby się zbliżyli. Podszedł Borzywój jako starszy.

— Cóż tam wasze łowy? — zapytał król obojętnym głosem.

— O mało się nam bardzo nie udały — odezwał się Borzywój — bośmy spotkali na drodze straszną zwierzynę.

— A cóżeście z nią poczęli? — rzekł król. — Zabiliście?

— A nie — mówił starszy z Boleszczyców — nie wiedzieć jak się to stało. Stado poszło w rozsypkę, a zwierz nas rozpędził.

Król spoglądał ciągle, niewiele wagi przywiązując do opowiadania, jakby o czym innym myślał, wtem Zbilut, podszedłszy, dodał za brata:

— Nie udały się nam łowy Miłościwy Panie, bo biskup Stanko drogę nam przejechał.

Posłyszawszy to imię, król się zachnął i zmarszczył, nic nie

odpowiadając. Nawet w żarcie wspomnienie o biskupie przykrym mu było.

— Dziś bo zgoła szczęścia nie było w lesie — mówił dalej Borzywój, oczyma strzelając ku pięknej czarnobrewie — wszak ci to i pana z Bużenina spotkaliśmy na gościńcu w lesie.

Twarz niewiasty oblała się całą krwią, pokraśniały nawet białe ramiona, odwróciła głowę, przelękała, jakby na padalca nastąpiła.

— Byłóż go tu zabrać z sobą, przemówił król obojętnie a szydersko, niechby się napił i poweselał, bo zły, słyszę, chodzi i gniewny.

— O, jechał smętny jak post, odezwał się Borzywój. — Kędy? Bóg wiedzieć raczy, i z księdzem, jakby się na śmierć gotował.

Król usta odął, uśmiechnął się wzgardliwie i odwrócił żywo do siedzącej przy sobie, Boleszczyców już jakby nie widząc, zapomniawszy o nich.

Ci też, wyczekawszy mało, ustąpili sprzed króla, wmieszali między dwór, a młodsi, poza niewiasty wszedłszy, gzić się z nimi i zaczepiać je ostrożnie zaczęli. Towarzyszki czarnobrewiej nie zdały się im tego brać za złe; srożyły się wprawdzie, ale w tak dziwny sposób, jakby wyzywać chciały. Ręce co innego, oczy co innego mówiły, co innego usta. Król, choć słyszał chichotania i szeptu, wcale się nie odwrócił nawet, bo snadź tak zawsze bywało. Czarnobrewa tylko spozierała surowo nie na swe niewiasty, lecz na tych niewiernych, co na inne twarze w jej obecności patrzeć mogli. Parę razy wzrok jej pobiegł za Borzywojem i Zbilutem, na każdego z nich spoglądając inaczej. Śledzić pierwszego, drugiego szukać niespokojnie, z jednego kpiąc, drugiego pożądać, jak dziecię zabawki. Wszystko było aż do zalotności dziecinnym.

Właśnie się krótka rozmowa Boleszczyców z królem skończyła, gdy gęślarze, którzy byli umilkli trochę i spoczywali, brzęknęli w struny; szmer ucichł, piosnka cicho i nieśmiało poczęła się odzywać jakby z dali. Stara to była pieśń miłosna:

„Stanę się, stanę siwym kaczołem...”¹■

Niewiasty, jakby urokiem jej porwane, rozśpiewały się na dobre, zapomniały o wszystkim, prześcigały głosami i pieśń rozlegała znowu po izbie, w podwórzu, kołysząc jak fala, aż póki z ostatnią nie umarła zwrotką.

Westchnęła czarnobrewa; może się jej dawne jakie przypomniały czasy. Inne głowy pospuszczały. Nie wiadomo, co pieśń niesie; za słowami jej kryje się tyle widm i upiorów.

Długo tak w noc król śpiewać kazał i przysłuchiwał pieśniom, w oczy patrzył pięknej Kryście, to z nią żartował, to się zasepił i na służbę gniewał, to śmiał do rozpuku, a za nim tłumy, nie wiedząc, czego się śmiały. Aż po północy gęślarze na ławie przy miodzie się pospali, król i czarnobrewa gdzieś znikli, dwór się, gdzie kto mógł i chciał, do snu rozłożył i z wolna we dworcu ucichło. W podwórcach tylko u koni czaty chodziły i u drzwi pańskich mieniali się ludzie, by ich miał król na zawołanie.

Bywało tak czasem, któż mógł przewidzieć, że się Bolesław zerwał wśród nocy i rozkazał na łowy, na Wawel, na wojnę, na drugi państwa koniec, gdzie się myśli pańskiej pobiec za chciało. Czasem obozem leżał miesiąc, niekiedy spoczynku nie dał jednej nocy; przebiegały w nim zachcenia różne, których hamować nie chciał i nie umiał. Tak samo dobrym był i okrutnym, szyderskim i litościwym bez miary. Ci, co z nim żyli, w oczy mu patrzali, nigdy powiedzieć nie mogli, co wieczór, noc i poranek przyniesie. Na wszystko gotowi być musieli.

Rozdział II

Gdy Bolesław zabawiał się tak na królewskim dworcu, o kilka mil stamtąd ściągało się po cichu rycerstwo, zwołane na radę przez Mściława z Bużenina i innych ziemian, którzy od króla odeszli. Na ten zbór jechał i biskup krakowski Stanisław ze Szczepanowa, którego Boleszczyce z małym orszakiem na drodze spotkali.

Zwołano radę jakby ów stary wiec, który wprzód wiciami rozsyłanymi gromadzono, ale potajemnie i cicho. Teraz już starych tych obyczajów porzucono wiele, nie godziły się już z nowym ładem i składem. Gromady nie miały głosu, jak bywało. Od czasów Mieszka panowali knezie a królowie; oni sami tylko zwoływać wiece mieli prawo, a szli na nie ci, których pozwano i przypuszczono, kogo pan zażądał.

Pod żelazną dłonią Chrobrego ziemianie i rycerstwo starych swych praw wyrzec się i zapomnieć musieli, nikt do nich odwołać się nie śmiał, choć żyły jeszcze w starych ludzi pamięci. Gdy potem Mieszko, Bolesławów syn, z Ryksą objęli rządy, podniosła nieco głowę dawna swoboda słowiańska, ale się to nieładem, burzą i zniszczeniem skończyło¹. Za Kazimierza wrócił dawny królewski porządek i posłuszeństwo, a gdy rządy po nim objął rycerskiego ducha Bolko Szczodry, nikomu też z sobą władzy dzielić nie dawał. Od początku niemal panowania wojował bez ustanku, rycerstwo wodził ze sobą to do Węgier, to na Ruś, spoczywać mu nie dając. Ziemian innych znać nie chciał oprócz tych, co mu służyli. Głowy podnosić zbyt wysoko nie pozwolił nikomu.

Urodzony z matki Rusinki Dobrogniewy, ożeniony z ruską księżniczką, z Rusią związany ciągłymi wojny i brataniem, Bolko jak wojak krajem rządził, jak wódz i pan, a u siebie doma tak chciał mieć, jak w zawojowanym kraju i jak bywało na kijowskiej Rusi. Musiało mu służyć na skinienie wojsko, ziemianie, lud, nawet duchowieństwo, które on sam sadzał na biskupich stolicach i chciał je mieć sobie posłusznym. Wolał przeto polskich mieć

biskupów niż Włochów i Francuzów, których mu z Rzymu stręczono.

Z duchowieństwem szło opornie; czuło się ono nadto silnie związanym z całą potęgą Kościoła na Zachodzie, by mu ulegać miało, nie broniąc swej niezależności, gdy gdzie indziej albo władzę ze świeckimi dzieliło, lub nad nimi brało górę.

Była to w całej Europie chwila przełomu¹, która o losach Kościoła stanowić miała, mieli oni, wedle wyrażenia Hildebrandta², być słońcem, a królowie i panujący księżycami, czyli przy słońcu cesarskim jak skromny stanąć satelita. Cesarstwo wprawdzie wasalów mnogich liczyło, siły wielkie, ale czymże one były obok potęgi duchowieństwa rozsianego po świecie całym, skupionej w ognisku, z którego płynęły rozkazy; dzierżącego w ręku najpotężniejszy oręż klątwy i wyłączenia ze społeczności, równającej się śmierci i nad samą nawet śmierć straszniejszej.

Piętnastu biskupów polskich otaczało tron Bolesława Szczodrego w czasie koronacji jego w Gnieźnie; byli to jakby piętnastu wojewodów potężnego zastępu, który władzy królewskiej albo mógł iść w pomoc, lub z nią walczyć.

Bolko ani znać od nich nic innego nie chciał nad posłuszeństwo i poddanie się rozkazom. Spotykał opór bierny, choć mu się otwarcie jeszcze sprzeciwić nie śmiano, czuł, że tu miłości nie miał; zastraszyć nawet nie potrafił. On też na czele rycerstwa swojego nie lękał się żadnej wojny. Tymczasem duchowieństwu wypadki w pomoc przywiodły część tej siły, którą król za swoją rachował.

Mścisław z Bużenina, którego młodą żonę wziął Bolesław z mężowskiego domu, wrzał chęcią zemsty przeciw niemu; mieli też i inni ziemianie niechęci powody; zwołano więc w pewnym uroczysku niedostępnym, zwanym „Dziewiczy Łan” wiec który miał stanowić, jak sobie dalej poczynać miano. Był to początek zмовy przeciw królowi, który wielu już dorobił się nieprzyjaciół w domu.

Mścisław nie naznaczył na ów zbór miejsca ani we dworze, ni we wsi, ani na oczach ludzi, bo wiedział, że to by się prędko do-

niosło do uszu króla, który pospolity lud miał za sobą. Obawiano się zdrady, naprowadzenia i napaści, bo choć ziemianie i część rycerstwa na króla sarkała, zniechęconą będąc do niego, miał on z sobą drużynę swoją, swych Boleszczyców i żołnierzy, którzy by zań życie dali i poszli choćby na rodzonych braci.

Obesłali się więc starsi uproszeni przez Mścislawa, głowy rodów znaczniejszych, Toporczycy, Śreniawy, Doliwy, Lisy i inni po cichu a ostrożnie, na dzień ów stawić mając na Dziewiczym Łanie w lesie, sami bez czeladzi, bo tej nie ufano.

Jeździł pan z Bużenina sam od dworu do dworu i nie żałując trudu, aby na swym postawił. On był duszą tego zboru przeciw królowi, a wiedząc, iż i biskup krakowski mu był niechętnym, narzekając i bolejąc nad jego swawolą, także go na radę zaprosił. Nie pierwszy to raz Mścislaw się do niego udawał, znał go już dawniej biskup, rodzinie też nie będąc obcy, więc gdy przybył na zbor go prosząc, miejsce i czas oznajmując, rzekł mu pasterz:

— Nie przystało mi, słudze Chrystusowemu i kapłanowi jego potajemnie czynić znowy i kryć się z tym, co czynię. Czyny moje i słowa jawne są, nie lękam się ich ani świata, ni królowi na oczy postawić. Nie żądajcie więc po mnie tego, abym z wami był.

Ale Mścislaw, do rąk jego przypadłszy, całować je począł i błagać, aby dla nich to uczynił i przybyć raczył, bez czego, jak powiadał, gorszy nieład i zaburzenie przypaść mogło.

A tak biskup Stanko, po długim namyśle i pilnym rozpytaniu, gdy się przekonał, iż skuteczną być może bytność jego, przyjechać wreszcie obiecał, zapobiegając, aby niesforne umysły rozjątrzonych ludzi szkodliwego co nie postanowiły.

Pod wieczór dnia tego widok dziwny przedstawiała dolina wśród lasów, zwana Dziewiczym Łanem, oddalona od osad i wsi, odosobniona i wkoło ścianą drzew i gąszczy objęta. Była to łąka i pola część dość rozległa, z dawna odłogująca. U stóp wzgórza, na którym się rozpościerała, ku jednej ławie puszczy z lekka skłaniając, płynął strumień leśny po brzegach gdzieniegdzie kamieniami usłany. W samym środku pola onego stał odwieczny dąb

rozłożysty, ogromny, tak jeszcze żyw i zdrów, jakby kilkuset lat i niezliczonych burz i zim nie przeżył. Niegdyś tu, wedle podań, odbywały się sobótki, schadzały czasem wiece, a nie opodal miało być cmentarzysko pogańskie i zgliszcze. Pod lasem widać było zielonym darniom okrytą mogiłę, zwaną Kurową od imienia wodza jakiegoś, który tu zginął przed wieki. Lud dotąd w pewne dni zbierał się nocami nad strumień, na uroczysko, pieśni śpiewał i obrzędy pogańskie odprawiał. Dlatego proboszcz wystawił tu był krzyż drewniany, na którym, jak dawniej na drzewach, zawieszano płachty chorych, a pod nim stawiano obiaty²¹.

Przed zachodem słońca, przybyło już pod dęb jezdnych kilku, a choć nikogo nie znaleźli, powoli się rozkładać zaczęli. Ponieważ dla bezpieczeństwa nikt z sobą czeladzi nie prowadził, sami panowie około koni swych staranie mieć musieli i sami też sobie posługiwali. Niektórzy, co synów i młodzież zabrali na radę, nią się wyręczać mogli. Wszyscy też naówczas nawykli byli do najtwardszej pracy i nikt się od niej nie wymawiał, a chlubę z tego ciągnął, gdy sam sobie we wszystkim dawał radę.

Trzech Toporów, którzy tu przybyli pierwsi, bracia Starzowie, niedługo pozostali sami, zjawilo się wnet dwu innego rodu, a po nich pięciu Toporów, których Kołkami zwano. Witali się jedni, drudzy, mniej znani sobie, bliżej dopiero za poznawali. Wszyscy, podesławszy opony z koni zdjęte, na ziemi się porozkładali, bo jak czeladzi i wozów, tak namiotów też nikt nie brał z sobą, trzeba było pod dębem się chronić.

Obojętna poczęła się rozmowa, co i gdzie się w okolicach działo, jak stało we dworach, osobliwie tych, które jeszcze po kijowskiej wyprawie i swawoli służebnych do ładu przyjść nie mogły. Posępni byli wszyscy i niezbyt radzi wiecowi; nie małą bowiem rzeczą było na owe czasy zjeżdżać się niechętnym i poróżnionym z królem, który o zdjęcie głowy z karku ziemianinowi nikogo nie pytał, nikogo się nie zwykł był radzić, a gdy ukarać postanowił, sądów nie zbierał, posyłał siepaczy swych i ścinać kazał tak dobrze prostego człeka, jak najmoźniejszego władykę.

Choć ze zgromadzonych tu mało komu co na sercu nie leżało,

nie spieszyli ze skargami i żalami, czekali, aż się zbierze więcej ludzi i Mściśław zagai. Niektórzy zapewniali, że i biskupa z Krakowa spodziewać się było można, lecz temu nie bardzo dawano wiarę. Znano go jako męża, co otwarcie zawsze występować był nawykły, a po królu największą miał powagę.

Z każdą chwilą powiększał się ów zbór u starego dębu i o słońca zachodzie już z pół seciny, po większej części mężów statecznych i podżytych, naliczyć było można. Wielu z nich siwy włos okrywał, a młódź, ściągnięta starszym ku posłudze, nieco się opodał trzymała. Po uzbrojeniu i szatach rozpoznać było można zamożnych władków i ziemian dostatnich, u niektórych nawet oręż i sprzęt złotem obficie połyskiwał. Konie też, które młódź na łąkę splątawszy puściła, piękne były i dobrane, a pieszczono znać chowane, jak u rycerzy zwyczajnie. Boć pieszy człek naówczas niewiele był wart i wojak nie stąpił bez konia.

Zebrani gwarzyli głosy stłumionymi, gdy na ostatek z lasu pokazał się Mściśław, duchownego pana mając u boku, sam jeden z nim, bo czeladź swą i brata młodszego opodał zostawił. Obaczywszy go niektórzy z dala rękami witać poczęli, inni wołać ku niemu:

— Bywaj!

Mściśław żywo z konia zeskoczył, księdzu, którego wiódł z sobą, pomagając i oba wierzchowce do gromady odpędziwszy, sam pospieszył do tych, co nań oczekiwali.

Znani i nieznajomi mogli się teraz lepiej przypatrzeć dawno nie widzianemu panu z Bużenina, który po wzięciu mu żony długo na świat oczów nie pokazywał. Mąż to był lat średnich, czarno zarosły, zawczasu siwizną przyprószone, oczu bystrych, niskiego czoła, krępy i silny, w którym niepomiernej zaciętości a zarazem żalu wielkiego, boleści głębokiej wyraz uderzał. Szedł z wolna, spod gęstych brwi nachmurzonych rzucając wejrzenia niespokojne na tych, co go witali, z dumą jakąś i wstydem niemal. Widok tylu ludzi, przed którymi na srom swój się miał użalać, mieszał go i burzył razem. U boku jego idący bratanek, duchowny z Krakowa, przy nim się zdał wylękły i do zbytku pokorny a spokoj-

niejszy daleko. Szepcząc też coraz coś na ucho Mścislawowi, starał się i jego ukoić.

Powstawali z darni leżący pod dębem, aby witać przybyłego, który ze wzruszeniem znacznym jednych obejmował, drugich w twarze i ramiona całował, innych pokłonami pozdrawiał rozglądając się, ile już ich tam było. Tymczasem nowi przybywali coraz, rosła liczba zebranych i gwar w kółku, a jeszcze jakby oczekiwano na kogoś i ku lasom spoglądano.

— No — ozwał się najstarszy z Toporów — my tu sobie sami sługami dziś być musimy, gdy nam na to zeszło, że własnej czeladzi wierzyć nie można. Niechże młodzi ognia naniecą, kołem siadajmy wszyscy, a zacznijmy radzić o sobie, aby czasu nie tracić.

Tedy Mścislaw, obejrzawszy się dokoła, odezwał się głosem cichym, iż biskupa Stanka ma nadzieję oglądać, życząc, aby się z naradą wstrzymano, aż przybędzie.

Na to też inni godząc się, zamilkli wszyscy.

Nieco na uboczu młodzi, których myśl weselsza nie opuszczała, choć starszych twarze posępne były, wzięli się ochoczo i swawolnie do naniecenia ognia. Wieczór był piękny i spokojny, ale rosa padała tak obfita, iż ognia rozpalić nie przyszło łatwo. Namęczyli się dosyć, nim go potrafili dobyć, a gdy z chrustu suchego i gałęzi płomień się ukazało, aż raźniej się zrobiło wszystkim. Ten i ów dobywać począł, co przywiózł ze sobą, bo każdy się po trosze opatrzył na drogę. Pokładzono na trawie, co kto przywiózł, podobywano baryłki podróżne, wyciągnięto z sukien kubki i wzajem się częstując pokrzepiać zaczęto, przy czym wrzawa i rozmowy coraz się weselsze rozlegały.

Mścislaw, tylko z księdzem siadłszy na uboczu, spał się na kolanach, i ani jadł, ani pił, ani się zdawał słyszeć, co się wkoło niego działo, tak był w myślach zatopiony; poglądał wciąż niespokojnie w tę stronę, z której się przybycia biskupa spodziewał. Nikt też zbolełego człowieka nie zaczepiał słowem, nie drażnił wzrokiem, bo wszyscy nad nim litość mieli.

Mrok już padł był dobry, gdy z lasu ujrzano wyjeżdżających

dwu mężów, a w jednym z nich poznano biskupa Stanka, przeciw któremu, zerwawszy się z ziemi, pospieszył zaraz Mścisław z bratankiem swym i kilką innych. Reszta zgromadzonych żywo wstawać i poruszać się zaczęła, gotując do wiecu, rzucając dlań jadło i rozmowy. Młodzi podłożyli ognia, który jaśniej znowu gorzeć zaczął, oświecając jaskrawo dąb, dolinę, gromadę zebranych ziemian i w dali pasące się konie.

Gdy tak stali w niemym oczekiwaniu wszyscy, ukazał się biskup z wolna idący pieszo, z twarzą swą poważną i pogodną, zamiast pozdrowienia błogosławiąc krzyżem na wsze strony. Głowy wszystkich skłoniły się z poszanowaniem. U boku jego zajęli miejsca dwaj duchowni, a tuż przy nich stanął Mścisław. Była chwila milczenia, w czasie której biskup, stanąwszy ze złożonymi rękami, zdawał się cichą odmawiać modlitwę.

Dokoła, ściskając się i starając przybliżyć, stanęli ziemianie, a biskup skinął na Mścisława. Pan z Buzenina, pochylił głowę, potrzebował chwili, by mu głos w piersi zastygły po wrócił, tak gniew i przypomnienie krzywdy doznanej je ucisnęło. Nareszcie stłumionym, cichym ozwał się głosem, oczy podnosząc:

— Radzić nam o sobie potrzeba, miłościwi panowie, radzić samym, bo i my się bez opieki zostali, wydani na pastwę jakby dzikiemu zwierzowi! Radzić nam trzeba, jeśli ginąć nie mamy! — Zatrzymał się nieco, szmer poszedł wkoło.

— Czas o sobie myśleć, dodał i głowę spuścił, bo znowu mu głosu zabrakło.

Milczeli wszyscy czekając, co dalej mówić będzie. Mścisław, jakby się w nim gotowało i wrzało, bełkotał tylko, ręką po czole wodząc spotniałym, w ziemię patrząc, nie na ludzi. Żal brał widząc silnego człowieka, którego boleść niemym czyniła.

— Radźmy, rzekł stłumionym głosem, jeśli ginąć nie chcemy.

— Radźmyż! — podchwycił, ulitowawszy się nad nim Topór, na lasce z siekierą oparty, radźmy o sobie. (Wszyscy owi Topory, Starżowie i Kołki bez siekier nigdy nie stąpili).

— Sprawę moją znacie, odezwał się wreszcie Mścisław,

nie podnosząc oczów. Srom mówić o niej, ano, gdy człeka zwierz okaleczy, ranę okazać musi, choćby sromotnie był okaleczony. Tak i ze mną. Sromotnie okaleczony jestem przez tego, który mnie od sromu bronić był powinien... Król, co opiekunem być miał, stał się rabusiem, żonę mi wziął...

Wtem z boku mu któryś przerwał:

— Azali białogłowa lekka nie sama go ku temu wyzwała? Sam ci pokrewnym jej, mówił dalej, a bronić nie chcę i obwinie raczej. Która by nie dozwoliła, nie byłoby z nią tego, co się z twoją Krystą stało.

Mścisław gniewnie odwrócił się ku mówiącemu i rzucając się niemal na niego, zawołał:

— Azali nie wiecie, co niewiasta każda jest? Alboli która z nich rozum ma? Przeto gdy jedna z nich zgrzeszy, nie jej winą, a tego, co ją przywiódł do grzechu, bo ona dzieckiem jest... Winien król, co miał więcej psiej chuci niż rozumu i sumienia!

Uderzył się Mścisław silnie w piersi!

— Wy ją winicie, a ja jej nie winie! Słabą była i nierozumną, a ten, co ją uwiódł, silny był i podły! Zaszemrano dokoła, a potem milczenie się stało głucho.

Wtem poruszył się jeden, co stał w drugim rzędzie, mąż opalony, barczysty, wojak z postawy i twarzy, przedarł się naprzód do koła, stał i mówić począł:

— Alboż to jedno, co zbroił ten kat, a nie król? Alboli to jedno? Pytajcie, co się u mnie stało, co u innych wielu? Trzymał nas lat tyle w Kijowie u boku swego, a doma zbytki się działy. Po co i my tam siedzieli, aby mu za straż służyć, gdy szalał? I ja tak rzeknę jak Mścisław, nie niewiasty nasze były winne, bo to są dzieci, choćby i jak stare były. Serce się nam rwało do domów i dzieci, trzymał nas bezlitośnie za górami, a doma sługi i pacholki widząc, że nas nie stało, gwałtem sobie żony nasze pobrali. Toć wiecie, cośmy potem zastali, gdy cierpliwości zbrakło. Jak nas wieść doszła w Kijowie, co się działo, i ja, i sotnia cała, nie pytając pana, lecieliśmy na skręcenie karku bronić tego, co jak życie drogie. Tu tłuszcza ta własne nam wrota pozamykała, wie-

dzieli łotry, z czym przy bywamy. Do domów nam swoich szturmem się dobijać przyszło, siec, karać i wieszać gwałtowników. A za kimże się król ujął? Za nami? Nie! Za tłuszczą i gwałtownikami, za czeladzią naszą, a żonom, którym niepoczciwy gwałt zadano, szczyenięta do piersi przystawiać kazał i swoją klacz wodzić krzycząc, że ona więcej była warta niż te żony, co się sprzeniewierzyły! Ścięto dziesięciu i więcej braci naszych za to, że samowolnie zbiegli z Kijowa, ja głowę musiałem ratować ucieczką, po lasach się tułam, bo i mnie miecz czeka. Na żony nasze, na nas spadły gniewy, a niepoczciwe sługi, a motłoch i czerń niewinna, tej się nam tknąć nie godzi, choćby ludzi niewolnych.

Gdy tak coraz mocniej głos podnosił, dech mu zabiło, ustał, rękami w powietrzu rzucając, miotając się cały, potem za czoło chwycił się ręką jedną, za piersi drugą i jęknął boleśnie.

Patrzali nań wszyscy w milczeniu, żal było wojaka męznego, który kryć i tułać się musiał.

Tuż wystąpił drugi, odarty jak on, w resztkach zszarzanego i oszarpanego pancerza.

— To, co on mówił — i ja potwierdzić mogę, odezwał się schrypłym głosem. Królowi ziemianie i rycerstwo solą w oku, nas by się wszystkich rad zbyć, a z motłochu sobie dobrać drużynę. Rusinami się otacza, co mu pokłony biją. Pieczyngów²² przy sobie chowa i niewolników. My, cośmy na tej ziemi ojczyce dawni, u niegośmy i psa niewarci, krom tych, co jak Boleszczyce i za katów mu służą, i za druhów do wszelkiego plugastwa. Takli ma dłużej być? Poginiemy wszyscy...

— Do dziś dnia — począł inny, którego głowę tylko zza stojących widać było i włosy najeżone — do dziś dnia nam, żeśmy z Kijowa uszli, i żonom naszym nie przebaczył. Ino się który ukaże, wołają nań:— Zbieg, włóczęga, na gałąź z nim, łeb mu ściąć! — A jakżeśmy nie mieli uchodzić z Kijowa, gdy nam dobro nasze czerń łupiła? Mnie żonę i siostrę parobcy wzięli... Powiesiłem ich obu, jak należało. Baby nie winne nic...

Za tym począł się taki gwar coraz podnoszących głosów, iż już nic posłyszeć nie było można, nikt nie hamował wrzawy;

okrzyki namiętne wznosiły się ze stron wszystkich. Nierychło poczęto syczeć, lecz gdy jedni milkli, drudzy się wrywali z żalami i skargami, którym końca nie było.

— Chodził Tomko Swadźba do króla, chcąc go przebłagać — rzekł ktoś z tłumu, do nóg mu padł z pokorą, a nie był winien więcej, tylko że z Kijowa biegał i sześciu parobków, co mu dom skazili, wieszac kazał. Ścięto go przeto bez litości...

— Nie przebaczy żadnemu! — potwierdził inny.

Stary Topór podniósł do góry siekierkę na znak, iż mówić chciał, i uciszyło się jakoś powoli, zatem on zabrał głos.

— Nie tak bywało — rzekł — za Mieszka starego i za Bolka Chrobrego. Królowie surowi bywali, ale sprawiedliwi, bez rady też swej nie czynili nic. Ziemianie do nich szli jak dzieci do ojca we wszelkiej potrzebie. Ten znać innej nie chce tylko swoją wolę, swój miecz, my u niego z czernią za jedno stoimy. Władyka, żupan²³ czy wojak, a rab i parobek u niego równo waży.

I zwrócił się ku przysłuchującemu biskupowi.

— Ojczy Miłościwy — odezwał się — wy znacie i wiecie, jak gdzie indziej na świecie się dzieje, wiecie, co nas boli, wy nam radźcie, co począc mamy.

Gdy ujrzeli wszyscy, iż na biskupa wskazał, i spodziewali się, że przemówi, ucichło wszystko nagle; ciekawe głowy zwróciły się ku kapłanowi. Biskup stał poważny, zadumany, nie spiesząc ze słowem.

— Co mówicie, na co się użalacie — rzekł w końcu — jam też to widział i patrzę na to, lecz nim się co pocznie przeciw złemu, rozwagi potrzeba, aby większego zła nie ściągnąć. Pamiętają z was niektórzy, jak po Mieszku i Ryksie, gdy panów nie stało wygnanych, wszystka ta ziemia zniszczoną była i w popiół obróconą. Lepiej więc zaprawdę próbować, czy się go do opamiętania nie przywiedzie, niżeli knować na jego obalenie. Do ostatka cierpliwości wyczerpać potrzeba.

Rozśmiał się Mścisław cicho, ale mu znak dano, aby milczał, i cofnął się za biskupa.

— Może też da Bóg, — kończył biskup — krew ta bujna, wo-

jacza ostygnie w nim i uspokoi się. Gdyby gorszego nam co groziło, a król upamiętać się nie chciał, naówczas nie wam się porywać na niego i wojować z nim, ale nam, Kościołowi wystąpić przyjdzie, któremu także krnąbrnie się stawi. Ponad tą koroną, którą z Rzymu ma od papieża, stoi biskup rzymski, Kościół i my słudzy jego... Kościół, co korony rozdaje, co rozkazuje światu i prowadzi go, Kościół, słowem jednym, więcej uczynić może niż wy mieczami waszymi i odgrózkami. Przed nim on ukorzyć się będzie musiał.

To mówiąc, biskup wskazał na ziemię, jakby dumną głowę ugiąć chciał ku niej. Milczeli wszyscy. Biskup nie rzekł więcej, a Starza drugi począł:

— Tak, Miłościwy Ojcze, ratujcie nas chrześcijan przeciw poganom, których miłuje król. Ziemianie, rycerstwo, ojczyce starzy tutejsi, na woli jego jesteśmy jako pachółkowie. Bywała Rada przy królu, on jej znać nie chce. Garściami złoto rzuca i nam, i czerni, ale pocziwego słowa nie da; przystępu doń innego nie ma, tylko na kolanach, głową bijąc pokłony. Jednemu z nas życie wziąć, majątności odebrać, czci zbawić, to igraszka...

Zwrócił się do stojącego niedaleko człowieka niewielkiego wzrostu, palcem go wytykając.

— Waszych on lubi, Kaniowy u niego w łaskach, Boleszczyców z waszego rodu najwięcej... tak, waszych... waszych...

Kaniowa ów łysy, mały człeczek, napuszył się i ostro stanął przeciw Starzy:

— Widzicie przecie, że choć tej krwi co oni, tu z wami jestem, a nie tam z nimi! Więc nie wszystkie Kaniowy z nim. A że się znalazło kilku, co mu dworują, co przy nim wiszą, a co ród winien?

— Winien — przerwał Starza — ich tam najwięcej, waszych, Mszczuja synów! Jakuszowieckich waszych krewniaków! Czemu tam nie ma moich albo drugich?

— Jako żywo — odparł rozjątrzony Kaniowa — nie sami tam nasi koło niego, są Śreniawy, są Drużyny...

— A waszych najwięcej! — powtórzył Topór gniewnie.

— Każdy za siebie odpowiada — odezwał się — zwadę uśmierzając biskup, nie ród winien, a ludzie.

Stary Kaniowa cofnął się gniewny, pomrukując i zapalczywie rzucając wejrzenia.

— Brat mój przecie biskupem we Wrocławiu²! — krzyknął odchodząc — azali i jego winić będziecie?

— Winni ci wszyscy, co królowi dopomagają do swawoli — mówił Topór. — Gdyby ich z sobą nie miał, siły by mu do znęcania się nad nami zabrakło; gdyby nie Kaniowy, Śreniawy i Drużyny owe, nie ważyłby się.

— Nie byłoby ich, byliby Rusini i Pieczyngi, co by nas gorzej jeszcze dusili! — krzyknął z tłumu nie ustępujący Kaniowa.

— Dusiliby, a nie gorzej! — zawrzał Topór. — Z cudzej ręki cierpieć niczym jest, od swoich to już ostatnia zguba!

— Ani oni winni, ni ktokolwiek inny — wtrącił Doliwa, który stał milczący, oszczepem się podparłszy — winien on, on sam... Jaki pan, taki sługa. Sługa pana nie czyni, a pan sobie urabia służkę, jakiego mieć chce. Winien on...

— On winien! On! — zaczęto powtarzać żywo dokoła. — On winien!

— Ukojcie się, ukojcie — przerwał biskup. — Nie chronię go ani oczyszczam, do cierpliwości skłaniam tylko, azali się nie upamięta. Chodziłem doń raz, gdy z Kijowa przypadł gniewny, grożąc pomstą i śmiercią, chodziłem nadaremnie, pójdę jeszcze i chodzić nie przestanę... Nie usłuchali rady i napomnienia, będzili gorzej, niż jest, ujrzemy, co naówczas czynić mamy.

Tak biskup starał się niespokojne, rozgorączkowane głowy i serca skłonić do cierpliwości i pomiarkowania. Miasto ukojenia jednak, zgromadzenie, w którym każdy się z żalem rozwodził, coraz więcej na jaw dobywając samowoli, podrażniło wszystkich i wzburzyło. Gniew wybuchał gwałtowniej, coraz rosnąc gniewy pokrewnymi.

Mścisław, który ziemian zwoływał, stał ponuro patrząc pod nogi.

— Ojcze Wielebny — rzekł w końcu — czyńcie i rozkazujcie, jako wam się zda. Cierpieliśmy dłużej, pocierpiemy jeszcze, lecz gdyby się Miłości Waszej nie powiodło, a słowo nie skutkowało, my o sobie też myśleć musimy i pomyślemy.

Rzucił dokoła oczyma, szukając współników; rąk sporo wyciągnęło się ku niemu, kilka wejrzeń strzeliło i z różnych stron poczęły się odzywać głosy.

— Pójdziemy z tobą!

— Ujmiemy się za ciebie!

Biskup tedy, widząc, że noc już dość późna była, bo przerywana rozmowa i głosy trwały długo, raz się odezwał jeszcze:

— Dla dobra waszego proszę was, nie rwijcie się za gorąco i nieopatrzenie. Dajcie mi czynić, nie pożałuję zdrowia ni życia, a powinność kapłańską spełnię. Pójdę doń prawdę mu niosąc, nie ulęknię się, usłyszy ją z ust moich całą. Namaszczony jestem jako on i jemu równy, a potęga tego Kościoła, co mnie posyła, większą jest nad wszystkich królów potęgę!

Mówiąc to biskup spojrział z dumą i ufnością w siebie po zgromadzeniu, które głowy w milczeniu skłaniało. Zaczynając słowa jeszcze dodawszy niewiele ku pokojowi i cierpliwości, szepnęła Mścisławowi, iż jechać pragnie.

Przeżegnawszy potem zgromadzonych, z których bliżsi ręce mu całowali, cofnął się biskup z koła. Starszyzna widząc, że się do odjazdu zabiera, wyszła przeprowadzając go. A tak szedł biskup, po bokach mając dwu duchownych i gromadę starszych za sobą, ku łące, gdzie już młodzież, przodem poskoczywszy, konia mu wiodła i ramię podać do siedzenia gotowała się.

Księżyc się podniósł nad lasy, noc była jasna, spokojna i widno prawie jak we dnie, gdyż do wiosennego poranku było niedaleko.

Szli tak przy biskupie Topór, Starza, Doliwa, dwu Śreniawów i Belina stary, ku którym, gdy się od gwarne oddalili tłumy, zwrócił się jeszcze raz biskup.

— Nie godzi się słów niebacznych rzucać przed tłumem, rzekł, bo się one z ust do ust szeroko przed czasem rozchodzą

i tętnią daleko. Źle jest, lecz gdyby lepiej już być nie mogło, co myślicie czynić?

Topór długo milczał zasepiony, ręką rzucił, głowę podniósł.

— Ojcie miły — odezwał się. — Dziadowie moi Piastom wierni byli, a co im z tego przyszło? Co nam wszystkim z Piastów? Ród to nasz własny, nie od dziś ich znamy, albo się z nich rodzą bohaterzy, lub znoski² i potwory... A czemu byśmy innego rodu panów szukać sobie nie mieli?

Śmiałe te wyrazy innym usta zamknęły, spoglądali na się z obawą, jakby myśli swe przeniknąć chcieli.

— Mieszko — mówił Topór — ostatni, na poły się Niemcem uczynił. Kaźmirz też przez Niemców był chowany. Bolko się zrusił i tamtejszym obyczajem chce nas prowadzić. Albo my to sobie innego pana znaleźć nie możemy, jak to już bywało?

Biskup położył mu rękę na ramieniu, a Topór umilkł, spoglądając mu w oczy.

— Ze słowy tymi nie spieszcie — odezwał się — niebezpieczne one są, a zamieszanie wzniecić mogą.

— Dlatego ich tam nie rzekł — ciągnął Topór — a mówię to przed wami, ojcie, bo wiem, że u królowej Światawy² i na dworze czeskim macie zachowanie. Niech oni nas zabiorą jako już byli raz zawojowali², niech nami rządzą tak jako Czechami. Siłę z nimi mieć będziemy większą, aby się oprzeć cesarstwu².

Biskup tylko nań spojrział.

— Za wczesne to słowa — rzekł. — Prawda to, że siostrę króla naszego Światawę szanuję, a małżonka jej mam dla siebie życzliwym, ale daleko jeszcze do tego, byśmy nowego pana i panowania szukać potrzebowali. Nie czas jeszcze.

— Król się już nie poprawi, rychlej zepsuje, gdy go gniewy ogarną — dodał Doliwa.

Nie mówili więcej, biskup szedł ku koniowi, którego dlań trzymano; podsadzili go starsi, ucałowali rękę i powoli zadumani do koła wrócili.

W kole, po oddaleniu się biskupa, którego przytomność wybuch hamowała, gwar się wszczął coraz burzliwszy; namiętymi

mowy na króla się rzucano. Narady jednak ogólnej nie było, gdy głowy zabrakło, kupkami pościągali się jedni do drugich, starzy wojacy, ziemianie, młodzież, z osobna każdy. Mścisław błędził między nimi, szukając sobie ludzi, których by mógł też na stronę odciągnąć, bo miał na sercu niedolę własną.

Nawinał mu się Sokoł Dryja i Beńko z Kurowa, oba starzy druhowie. Tych wziął z sobą na bok. Inni wiedząc, że z narady nic już więcej nie urośnie, poczęli myśleć o powrocie do domów, dopóki by nie weszło słońce. Wielu też zaraz po odjeździe biskupa po konie poszło, i nie żegnając, tylko bliższych, precz ruszyło w lasy na różne strony.

Mścisław z Dryją i Beńkiem, opodal nieco odszedłszy, na ziemi przysiadł. Obu ich nie widział od czasu, jak mu porwano żonę, więc począł żale rozwodzić.

— Cóż wy na tę moją nieszczęsną przygodę mówicie? — odezwał się, ręce załamane na kolanach zakładając. — Co myślicie o niej i o mnie? Mało ten człowiek bab miał do wyboru, żeby mu moją jedyne wziąć było potrzeba?

— A co cię ma boleć już? — odparł Dryja. Zapomnieć trzeba i wziąć inną.

— Nie mogę! Nie mogę! — krzyknął zrozpaczony Mścisław. — Plunąłbym na nią, gdyby mi nie siedziała tu, w głowie i za pazuchą... To dziecko było! Ona niewinna, a ja ją po dziś dzień miłuję jak oczy moje...

— A co ci teraz po niej? — rzekł Beńko. — Co ci po niej?

— Ja bo bez niej nie wyżyję! — jęczał Mścisław. — Niech się ludzie ze mnie wyśmiewają, kiedy chcą, byłem ją miał!

— Człecze! — począł Dryja. — Toć mi wstyd za cię! Gdyby cię ona miłowała, nie poszłaby za nim...

— Gwałtem mi ją wziął! Gwałtem! — zakrzyczał, rwąc się, Mścisław. — Ja to wiem i baby świadczą, które tam były. Klną się, iż rzewnie płakała, gdy on śmiejąc się na koń ją sadił. Ona! Ona niewinna, biedniatko! Któż się takiemu drapieżnikowi oprzeć potrafi!

— A ty mu też jej teraz nie wydrzesz — dokończył Dryja.

Mścisław siedzącego przy sobie pochwycił za szyję, objął rękami i całować począł.

— Pomóżcie wy mi tylko! Wydrę mu ją! Na to was tu ściągnąłem, abym o pomoc prosił. Swoje odebrać i od króla się godzi. A ja wiem, biedaczka tęsknić musi za domem i za mną, jak ja za nią; ten ją w żelaznych trzyma okowach na oczach ciągle. Ale my mu ją wydrzeć możemy, chytrą czy siłą...

Dryja ramionami ruszył.

— Szalony z ciebie człek! — odezwał się. — Jakim sposobem ze dworu ją mamy wziąć, gdy sam mówisz, że z oka jej nie spuszcza! Słysząc, że ją przy sobie na zamku posadził, strażę dzień i noc chodzą. Nadaremnie by człek karku na stawiał i śmiechu tylko napytał.

Mścisław słuchać nawet nie chciał.

— Na zamek się wkraść, gdzie wchodzi, kto chce, łatwo! — zawołał gorąco. — Ona, byle mnie zobaczyła, polecą za mną! Z dobrymi końmi w lasy łatwa ucieczka! O, w puszczy nikt mnie nie wyszuka. Bylem się pokazał Kryście, porzuci wszystko, pomoże do ucieczki! Na zamku samym znajdę przyjaciół i pomocników.

Mówił coraz żywiej Mścisław, ciągle oczy zwracając to na jednego, to na drugiego ze swych słuchaczy; ci milcząc, na myślając się, po sobie trwożliwie spoglądali, nie kwapiąc się z obietnicą pomocy. Rzekł w końcu Beńko:

— Miarkuj no, król się do niej przywiązał, pewnie też i pilnować musi tego skarbu, ludzi dużo, oczów wiele, o zdrajcę nietrudno... Ciebie czy nas pochwyca, głowę damy, a za prawdę, czy warto, sądz sam! Z dala to ci się łatwym zdaje!

— Jam wszystko wyważył — odezwał się Mścisław, ani chcąc słuchać towarzyszków. — Pochwycić nas nie mogą. Król jej przecie z sobą na łowy nie wozi, a gdy zamki objeżdża, zostawia ją w Krakowie. Dzień taki wybrać, gdy go nie ma w domu, moja rzecz, ludzi kilkunastu i konie rączy. Królowej starej i młodszej dwór, choćby co widział, nie ruszy się, rad będzie, gdy ją weźmiemy. Byleście pomogli.

Mimo upartego dowodzenia Mścislawa, że porwanie Krysty możliwe było i łatwe, Dryja i Beńko głowami potrzásali, cmokali dziwnie i ochoty w nich widać nie było. Nie śmieli wręcz odmawiać, a przyrzekać też nie chcieli.

Mścislaw ciągle nalegał.

— Dryjo, bracie, tyś mi, pomnij, pobratymem poprzysiągł być, bądźże nim w złej doli. Beńku, ty mnie ratowałeś nieraz, Jam ci pomagał, nie odmawiaj mi, gdy proszę! Nic nie pragnę, tylko ją nazad dostać. Byłem ją miał, nie znajdą mnie, nie wytropią! Świat szeroki, będę wiedział, dokąd uciekać, i zajdę na Ruś.

— Człeczce, Bolko na Rusi jak we własnym domu! — zawołał Dryja.

— To do Węgier.

— Tam ci on pan — przerwał Beńko.

— No, to do Czech, do Niemiec. Za świat! Choćby do pogan na Pomorze, krzyczał Mścislaw rzucając się, byłem ją miał.

— Hej! Hej! — ozwał się Dryja głową kręcąc. — Co za dziw, że król się w niej tak rozmiłował, kiedy oto ten jeszcze za nią szaleje. Urok na cię rzuciła, ziele ci dała pić?

— Kto ją wie! Czary nie czary! Pić mi ziele dała! Albo ja wiem? Albo ja rozumiem? — mówił Mścislaw gorączkowo. — Jedno znam, że mi się śni, gdy śpię, że we dnie mi się przed oczyma snuje, że głos jej w uszach słyszę, że chodzę jak skrecony. A wyście bo mojej Krysty nie znali?

To mówiąc westchnął, zakrywając sobie oczy, a Beńko ramionami potrzásł i na Dryję popatrzał, jakby mówił: — Oszalał.

— Nic innego, tylko to gusła są — odezwał się głośno. — Żeby nie wiem jaką była, człek by się w nią żaden, tak jak ty, nie wlepił. Pamiętam ja pierwszą żonkę moją. Hej, co to była za krasa! Nikt jej nie zrównał! Kwiateczek był, co się na niego człek dmuchnąć bał, aby nie zwiądł zaraz. Miłowałem ci ją i jak żonę, i jak dziecko, a jak mi przy pierwszym synu zmarła, choć mi na kilka dni jakby czarną nocą oczy zawlekło, tociem w trzy miesiące Tacjanę wziął i tak pokochał, jakby tamtej na świecie nie było.

Mścisław, słuchając, zżymał się ciągle.

— Co prawisz? — przerwał. — Twoja pierwsza! Ani ta, ani żadna inna do Krysty się nie równa! Takiej jak ona drugiej nie było i nie ma jak świat szeroki! I oczy, i głos, i ruch, i uśmiech; tylko by przy niej siedzieć, patrzeć na nią albo umierać.

— Lubczyku mu dała i oszalał — szepnął Dryja. — Czarownica baba.

— Zwijcie mnie szalonym, a przez miłosierdzie pomóżcie! — wołał Mścisław. — Nie, to się gdzie na gałęzi powieszę, albo z kamieniem u szyi pójdę do wody. Po co mi życie? Głowy dla mnie nastawiać nie potrzebujecie, podeprzyjcie z daleka, osłońcie! Ludzi orężnych kilkunastu dosyć. Na Kleparzu, na Wąwole, na Stradomiu staniemy pod noc, gdzie ja mam gospodę pewną; ludzie też swoi na zamku mi rękę dadzą. Pochwycimy ją, a wzięwszy między siebie, gdy się lasami ku Czechom rzucimy, żeby stu za nami puścił, ani wytropi, ani dogoni. Znajdą się tacy, co mu fałszywą drogę skazą. Ja myślałem o wszystkim!

— Ano, ano — rzekł w końcu Dryja jakby na pocieszenie biednego człowieka — gdy na pobratymstwo zaklinasz, choć by karku nastawić przyszło, trudno odmawiać; myśl jeno wprzódoby dobrze o sobie, bo czyja głowa najprędzej zapłaci, to twoja, jeżeli w ucieczce ułapią.

— Niech głowę moją bierze! — krzyknął Mścisław. — I ona mi już, i życie niemiłe!

To mówiąc pochylił się Mścisław ku nim, słowy serdecznymi usiłując ich nakłonić, aby mu z pomocą byli, bo na czeladź się spuścić nie mógł. Beńko i Dryja, milcząc, słuchali, nie przeciwili mu się, mieli może nadzieję, że rzecz sama spełźnie na niczym. Widać było po nich, iż przez litość tylko przy stawali na to, co po nich żądał. Mścisław, cały przejęty myślą odzyskania Krysty, gdy sądził, że tych sobie pozyskał, począł innych ściągać w kupki pod dębem pozostałej. Lecz tu już było niewiele; kilkunastu tylko znużonych, opończami się osłoniwszy, na ziemi spało dnia oczekując.

Udało się panu z Bużenina kilku najzaciętszych przeciw kró-

lowi z tych, co spod Kijowa pouciekali i prześladowani byli za zbiegowstwo, nic już do stracenia nie mających, namówić z sobą. Tym w zamian dał swój ofiarował, opiekę i pomoc wszelką. Biedny człek w przekonaniu tym, że mu Krysta jego sprzyjała, myślał tylko teraz o środkach, jakimi by jej oznajmił o sobie, aby w pierwszej chwili, gdy się przed nią ukaże, z radości krzykiem ludzi nie ściągnęła. Reszta mu się łatwą zdawała; nie wątpił, że choć u króla pieszczona, na szyję mu się rzuci i zbieży z nim za kraj świata.

Dryja i Beńko, upewniwszy go, że gdy wszystko będzie w pogotowiu i oni z nim pójść nie odmówią, nad ranem koni dosiedli i do domów odjechali. Inni też ręce mu dali na to, że go w ucieczce osłonią. Sam jeden pozostawszy, Mścisław się wreszcie znękany na ziemi rozciągnął i usnął głęboko.

Dzień już był gorący i słońce wysoko, gdy się obudził, bo mu nad głowę kukułka śpiewała. Koń jego sam jeden już się na łące wypasał, bo wszyscy towarzysze się rozjechali. Mścisław śnił o pięknej Kryście, że ją królowi wydarłszy, gnał z nią w nadłabiańskie lasy. Zemsta, którą żył cały, rozbudziła go, nie widział trudności, nie wierzył w przeszkody żadne, nie lękał się niebezpieczeństwa, dwojaka namiętność czyniła go ślepym i głuchym. Potęga królewska, czujność straży, warowny zamek go nie ustraszał. W kilkanaście koni był pewien i zwycięstwa i już mu się uśmiechało ono. Spojrzał na słońce i pobiegł, czasu nie tracąc, po konia.

— Choćbym sam jeden miał się porwać — mówił w duchu — choćby mnie oni wszyscy porzucili i nie strzymali, pójdę sam! Z gardła mu ją wydrę! Nawinie mi się, tym gorzej, nie złękę się go, a zabije mnie, niech krew niewinna padnie na jego głowę.

Tak marząc Mścisław konia pochwycił, dosiadł i ściskając go a poganiając, jak szalony w puszcze i gąszcze się rzucił. Godziny jednej straconej żał mu było. Krysta czekała na niego!

Rozdział III

Królewski gród na Wawelu niewiele się naówczas różnił od innych zamków po kraju rozsianych; mocny położeniem swym, wałami, ostrokoły i palami, którymi był obwarowany, we środku wspaniałością się żadną nie odznaczał. Drewnianych dworów, starym obyczajem stawianych z przedsieniami w słupach rzeźbionych, więcej było niż muru, którego kawał tylko jeden nad urwistym góry brzegiem był wzniesiony. Stajnie, szopy, dwory dla wojaków i drużyny wszystkie były z drzewa, a choć okraszone malowaniem, niskie, niepokaźne, stały porozrzucane na dość wielkiej przestrzeni. Pomiędzy nimi i letnich kleci, i lada jakich komór kryło się wiele.

Niedaleko od wrót kościółek niewiele się też podnosił nad otaczające go wały, skromny był i ludu wiele nie mógł w sobie pomieścić. Pusto było około niego, natomiast w szopach, stajniach i dworach ludu się roiło mnóstwo; a wszystek ten lud, drużyna pańska, wojacy jezdni i piesi, czeladź, pacholki, którzy się tu mieścili, daleko świetniej niż same dworce wyglądali.

Dla obcych i swoich, dworu i gości, pod dostatkiem było wszystkiego, czego zapragnęła dusza. Butno też wyglądał dwór pański złożony z wszelkiego narodu. Było tam Polan i Mazurów, i Rusinów, i Ugrów², i Pieczyngów, i Jazygów³, i różnego plemienia mnogo, szczególnie młodzieży pięknej, dorodnej i silnej.

Niewiastami też roił się zamek, a i te rozmaicie wyglądały, jakby nie na jednej rodziły się ziemi i nie z jednej krwi po chodziły. Czarnobrewa i śniada, biała i złotowłosa, kędzierzawa, z czarnymi, niebieskimi i siwymi oczyma, drobne i rozrosłe, z wesołymi śmiechy uwijały się wszędzie.

Języków też, przysłuchawszy się, wiele rozróżnić było można, bo oprócz swojego, podobny do niego czeski, (który tak wówczas niemal jak i polski brzmiał), ruski, węgierski, niemiecki nawet tu i owdzie się odzywał. Ruski przecie, około dworu starej królowej matki i młodej, co z sobą dużo ludzi przy prowadziła, naj-

gęściej słyhać było. Król też sam często się, nawykłszy doń w Kijowie, nim odzywał, a Węgrów rad ich mową zaczepiał. Z Rusi król naściagał służby wszelakiej, a ta mu była najmilsza, bo na skinienie służyła ochoczo i zawsze z twarzą wesołą.

Lubił Bolko ślepe posłuszeństwo, bo w zawojowanych państwach goszcząc długo, przywykł do niego. Gdy na Wawelu mieszkał, ten co i w Węgrzech się panem czuł, i na Rusi jakby w domu, wszystko, co żyło, tchu jego słuchało, spoglądało trwożliwie, oprócz ulubieńców pana. Za to gdy go nie stało na grodzie, gawiedź się rozpuszczała dokazując okrutnie, i na królowę niewiele zważając, cugli sobie popuszczała. Więc wrzawy i bitki powstawały ciągle przy dostatku pokarmu i napoju, a z kobietami żarty, które czasem do późna w noc po zamku się rozlegały.

Gdzie się też i za grodem ludzie Bolesławowi pokazali samopas, strach biegł przed nimi, bo miary nie znali w niczym, a ulubieńcom wszystko uszło bezkarnie. Poskarżył się królowi skrzywdzony chłop, ubogi kmieć albo osadnik, ujął się za niego często i bez miłosierdzia ukarał; gdy władyka, ziemianin uzalił na drużynę, wyśmiał go i z niczym odprawił. Dwory też przed królewską drużyną zamykano, gdzie się kolwiek pokazała.

Władyków i ziemian możnych nie lubił król, jakby czuł, że i oni doń serca nie mieli. Odgrażał się na nich głośno i dawał we znaki, gdy tylko mógł. Co dzień ich mniej na dworze i na grodzie widać było. Miał który sprawę, wolał ją sam sobie rozsądzić mieczem, niż po sprawiedliwość iść do pana. Dla kogo dobrym był król, to bez miary. Boleszczyce jego ze skarbca brali, co sami chcieli, ulubieńcy chodzili w złocie i złotem sypali, król o nie wcale nie dbał. Lecz kto na taką łaskę chciał zasłużyć, musiał iść na stracone imię nie oglądając na nic i nie opierając w niczym. Zabij! Porwij! — Czynić musieli, co kazał. Zawahał mu się kto raz lub odpowiedział słówkiem małym, już łaskę stracił. Bolesław nań ani spojrział więcej; precz ze dworu mógł iść, kędy chciał, rad, że życie uniósł całe. Przebaczenia u niego, posłuchu ani pomiarkowania nie było. Cóż dopiero, gdy kto mu się śmiał stawić, chociażby równym mu królem był. Nie zniósł ani przebaczył oporu, czując

się tak silnym, jakby mu nikt zrównać i nic go złamać nie mogło.

Poprzednicy jego wszyscy, aż do pobożnego ojca, świątobliwie Kościołowi służyli, on chciał Kościół mieć na rozkazy. Duchownych też nie czczył jak ojciec, dziad i pradziad, mieniając ich urzędnikami swoimi, których pod wodzą chciał trzymać. Dlatego i biskupów wolał mieć Polaków niż Włochów i Francuzów, aby mu łacniej posłusznymi byli, i za panowania jego na gnieźnieńskiej katedrze, na wrocławskiej i w Krakowie Polacy już siedzieli, choć z Rzymu na to krzywo patrzano.

Dnia tego na zamku czuć było jakieś przygotowania niezwykajne. Król ze swymi Boleszczycami, drużyną i zwykłymi łowów i zabaw towarzyszami, wieczora poprzedzającego wrócił do Krakowa, gdyż na ten dzień naznaczono składanie do skarbcza danin wszelkich i podatków od wszech stanów. Odbywało się to zwykle z obrzędem uroczystym i okazałością, którą król lubił. Zjeżdżali powołani władcy, żupanowie, ziemianie, osadnicy, wszyscy, co osobiście dań do skarbcza dawać byli obowiązani i przed tronem królewskim, u nóg jego składali. Bywało dawniej, że ci, co się bogactwy pochłubić chcieli, nie tylko to, co byli powinni, ale dwakroć i trzykroć więcej ofiarowali panu, aby sobie łaskę jego pozyskać. Kto nie mógł inaczej, składał dań skórkami, które, powiązane półsorokami i sorokami³¹, szły do skarbcza na podarki i odzież dworu.

Dnia tego na równinie u stóp Wawelu wszystko już było do tej uroczystości przygotowanym, którą z powodu wojen i nieobecności królewskiej przez lat kilka zaniedbywano. Od rana widać było ciągnących zewsząd ku Krakowu i rozkładających się na łące u stóp góry jezdnych, pieszych i wozy. Rozbite tu były namioty królewskie i siedzenie dla króla szkarłatnym suknem wysłane, na kilka stopni wzniesione, nad którym na pozłocistych tykach wielką od słońca rozpięto oponę.

Lubił Bolesław okazałość pańską we wszystkim, a ile razy wy-

ustępował przed tłumy, zwykł się nią był otaczać, naśladując cesarzów niemieckich, z którymi się równym rad mienił.

Wkrótce po wschodzie słońca na grodzie ruch znaczny się rozpoczął, a na łące między ludem szmer powstał, iż król nadjeżdża. Ze wrót zamkowych pokazał się też zaraz orszak jego wspaniały. Było się czemu przypatrzeć, bo i ci starce, co czasy Bolesława Chrobrego pamiętali, wyznawali, że za jego szczęśliwych czasów okazalszego nie widzieli dworu. Dobór ludzi, uroda młodzieży, strój ich i zbroja prawdziwie były królewskie; ze wschodu i zachodu ściągnięte klejnoty, tkaniny, oręże poczty przystrajały.

Przodem jechali ci, co na rogach trąbiąc, znać dawali pospolitemu ludowi, iż pan jedzie, aby mu z drogi ustępowano i cześć oddawano należną. Ci rogi mieli złoczone i czapki bramowane złotem, opaskami, a było ich dwunastu, którzy z kolei po czterech w rogi dęli coraz innymi głósy. Za nimi szedł poczet pieszych ludzi z toporami w rękach i tarczami, jak jeden odzianych, z piórami u kołpaków; twarze ogorzałe, groźne i posępne. Tarcze, które na rękach nieśli rzemykami przytwierdzone, obciągnięte skórą, obite blachami, całe były złoczone i kraszone oznakami różnymi. Ci byli z dalekiej północy ściągnięci i maleńkie ich oczy skośno spod czoła patrzyły.

Po nich jechała czeladź pańska na koniach dziarskich, niebiesko odziana, pancerni wszyscy; konie na pół przykryte kropierzami³², w rękach włócznie żelazem okute całe, błyszczące; na głowach też hełmy jasne z żelazami na nosy pospuszczanymi. Tu było Rusi najwięcej, rumianej, zdrowej i swawolnie spoza hełmów poglądującej na ludzi. Niektórzy, jadąc, włóczniami straszili pobliskich i zamachiwali się na niewiasty, skąd popłoch powstawał. Dalej następowała królewska drużyna i sam dwór pański na podziw wspaniały, lecz każdy człek inaczej odziany wedle ochoty i możliwości, jeden nad drugiego piękniej i dostatniej. Sadził się każdy, by towarzysza przesadził i wystąpił jak najokazalej. Tu napatrzeć się było można wszelkiej zbroi, i starych, które przez Ruś zza morza przywożono, i nowych niemieckich, mieczów saskich, włóczni frankońskich misternie u końców wyrzynanych

a w kutasy przystrojonych, i żelaznych hełmów różnego kształtu, ozdobionych piórami, kitami, skrzydły ptasimi i łańcuchami. Każdy swój oczyścił i wytarł, żeby się na słońcu błyszczał i świecił jak srebrny; u niektórych też żelazo blaszką ociągnięte złocistą, połyskiwało i grzało, jakby się im łby paliły.

Wielu z nich mieli z ramion poprzewieszane skóry zwierząt sukнем krasnym podszyte. U kilku na szykach widać głowy było niedźwiedzie, rogi jelenie, dzioby ptasie. Wszyscy się znać wysadzali na pasy i łańcuchy, bo te były i kamieniami gęsto natkane, i malowane po grecku, i na podziw pięknie rzeźbione. Na tych wisały miecze i mieczyki z rękojeściami bogatymi i pochwy nabijanymi gwoździ złotymi. Niektórzy u lewej nogi przypiętą mieli długą ostrogę złoconą u innych wędzidła, nagłówki na koniach i czuby u nich złocisto świeciły. Konie, które kropierzami pookrywane nie były, strojono w opony wzorzyste, szyte barwnie i wspaniale, tak że im niejedna niewiasta tej sukni pozazdrościła. Najwięcej tu było odzianych z ruska i grecka, wedle obyczaju przywiezionego z Kijowa. Stamtąd też bogactw tych przyszło wiele.

Wśród tego orszaku jeden wiozł chorągiew pańską szkarłatną, ze złotymi wisiadły i sznurami, na której godła różne i postacie szyte były. Najprzedniejsi ulubieńcy w strojach najbogatszych przed królem postępowali, który w małym po nich odstępie jechał na swej klaczy siwej ulubionej, złotą kapą okrytej. Świerzopa³³ królewska, co z nim niejedną odbyła wyprawę, wypasiona, z grzywą długą, szła z wolna, poważnie, jak by wiedziała, że pana dźwigała na sobie. Rząd cały na niej był ze złota i szkarłatu, a nad głową czub się trząsał kamieniami błyszczący.

Bolesław jechał, w bok się wzięwszy, z góry patrząc, jakby nic widzieć nie chciał, nie kierując prawie koniem, gdyż u uzdy szli dwaj mali pacholki, oba miecze na ramionach niosąc ogromne. Odziany był cały w bławat purpurowy, a na głowie czapkę miał, którą okalała szyta na niej korona królewska. Wzrok więcej niż pogardliwy i dumny nie zdawał się nawet chcieć patrzeć na tłumy i o widzenie ich się nie troszczył. Nic się go nie

zdawało obchodzić, myślał o czym innym, jadąc znudzony i obcy temu, co miał przed sobą.

U boku mały mieczyk tylko zwieszony był dla ozdoby. Niesiono za nim królewską tarczę złotą całą i jeden miecz jeszcze pasem obwinięty; a dalej następowali w szatach wytwornych, futrami bramowanych, dostojnicy dworu, urzędnicy przyboczni i panowie z laskami w rękach, łańcuchami na szyjach, pasami na biodrach. Twarze ich, jak królewska, surowe były i dumne.

Sędziwych starców prawie tu widać nie było ani twarzy tych, na których radę widać rozumną i męską powagę. Średnich lat ludzie, obliczów startych, zdali się zastępować miejsca tych, którzy się stawić nie chcieli.

Na końcu biegła dworska gawiedź i służba pomniejsza, która za plecami starszyny swawolić sobie pozwalała, popychała się, rozbiegała i skupiała. Ale i na niej widać było królewski dostatek, bo niektórzy jak panowie wyglądali i nie mniej od nich buty okazywali, osobliwie względem bezbronного tłumu, który brzegi drogi zalegał.

W zamku na górze, na wałach, za ogrodzeniami stały niewiasty rzędami, jedna koło drugiej, przypatrując się pochodowi wspaniałego orszaku pańskiego, który ku namiotom z wolna przy odgłosie trąb się posuwał. Niektóre w wiankach na głowach, z włosami porozpuszczanymi, inne w białych namiotkach³, w krasnych chustkach, w bieliźnie i kożuszkach bławatami okrytych, śmiały się, z góry sobie pokazując palcami młodzież, która ku nim, zwabiona śmiechem, podnosiła głowy. Niejeden kwiatek upadł tam z ręki i po wałach się po toczył, zawiąwszy w pół drogi.

Na dolinie pod Wawelem, poza miejscem, które wbitymi żerdziami i sznurami oddzielone było, stały tłumy, bo co żyło w Krakowie, na Stradomiu, Kleparzu, Piaskach, Bawole i we wsiach nawet okolicznych, na tę się uroczystość zgromadziło. W pierwszym rzędzie ciekawych nawet duchownych rozpoznać było można, lecz ci osłaniali się, niechętnie naprzód wychodząc. Mnogo ziemian stało na koniach w bliskości, a ci, choć jadąc na dwór po pańsku okazać się pragnęli i strojni byli, gaśli wobec królewskiego dworu.

Strój ich stare przypominał czasy i oręż był niedzisiejszy. Twarze ich były jakby z innego świata, a wejrzenia, gdy się spotkały z drużyną królewską, groźno ku sobie strzelały.

Bolesław nie spojrzał nawet ku gromadom. Ciągłe poprzedzany grającymi na rogach wjechał król na plac, wśród którego siedzenie dlań przygotowane było. Piesza służba, która u namiotów czekała, przybiegła konie od pana i starszyny odbierać; drużyna, nie zsiadając z nich, dokoła się ustawiła w porządku. Starsi urzędnicy stali na przedzie i zabierali się wywoływać ziemie, powiaty i grody, które z kolei dań składać miały. A że wszyscy ci ludzie niepiśmienni byli i pamięcią starczyć nie mogli, skarbnik królewski Ścibór do boku swego wziął dnia tego nowicjusza, młodego kleryka, który na długim zwitku pergaminu spisane miał ziemie do wywoływania.

Król zasiadł miejsce swoje, a czy był znużony bezsennością, czy znudzony tym żywotem spokojnym domowym, do którego od młodości nie nawyknął, ledwie usiadłszy podparł się na łokciu, nie patrząc już na to, co się dziać miało, zadumał się czy zdrzemnął może. Siedział posągami bez ruchu. U stóp jego leżały rozesłane sukna, na których dań składano, tak, że na jednym futra i skóry, na drugim złoto i srebro kładziono.

Jechali naprzód bogatsi ziemianie, żupanowie z grodów znaczniejszych, potem władcy inne i bogaci kmiecie i rycerstwo. Za innych królów bywało zwyczajem, iż przy takich zjazdach król nie tylko ugaszczał przybyłych, ale ich rozpytywał, rozmawiał i zabawiał się z nimi, żalów słuchał, rady dawał, często żartów dopuszczał i rad był, gdy śmiejące się widział twarze.

Bolko nie miał ochoty spojrzeć nawet na swych ziemian i rycerzy, z którymi od powrotu z Kijowa srodze się zadarł a powaśnił. I teraz, choć mu pokłony bito, nie skinął nawet ani dań poznać, że je przyjmował. Jeśli się ozwał słowem, to do swoich młodych ulubieńców i orszaku.

W milczeniu więc składał każdy, co przywiózł, a podkomorzowie pańscy zapraszali do namiotów, pod którymi na przybranych stołach zgotowane było mięsiwa, jadła różne, miód i piwo

w beczkach i kadziach. Kto chciał i jako chciał, jadł i pił, lecz jak król nie widział swych gości, tak oni stołu pańskiego znać nie chcieli. Znaczniejsza część przesunęła się tylko przed namiotami i chleba w nich nie rozłamawszy, na swe miejsca powracała.

Cizba, choć milczała, szmer od niej szedł głuchy; słyhać było chrzęst zbroi, koni rzenie, gwar stłumiony ludu i szelest opon, które lekki wiatr poruszał.

Około króla uroczyste panowało milczenie, dwór tylko pański, palcami sobie spoza tronu ukazując przybywających z daninami, urągał się im i wyśmiewał bezwstydnie. Na niektórych też Bolko spoglądał z ukosa, gniewnie brwi czasem marszcząc, choć żadnemu nie odpowiedział na skłonienie, a od innych odwracał się z widocznym wstrętem i wzdardą.

Z twarzy przybywających nie tyle obawę, co niechęć i gniew widać było. Szli wszyscy jak z obowiązku, niektórzy młodszym krewnym zastępować się nakazując, aby pokłonu nie bić i czoła nie uchylić. Dań jednak była obfita i wspaniała i na kupach gromadziło się srebro, złoto, pieniądze różne, kawały kruszcu porąbane.

Bolko prawie nie patrzył na to, niewiele się zdając cenić, co mu przynoszono. Więcej oczyma śledził tych, co nieśli, niż to, co mu oddawano. Brzęk go czasem obudził z zamyślenia, w które znowu wpadał, mrużąc oczy i jakby do snu się zabierając. Skarbnym głosem znużonym wywoływał ziemie i imiona; przez otwarte wrota wchodzili powołani, za nimi niesiono dań, i pokłon złożywwszy, ustępowali ku namiotom.

Dziwny szmer przebiegł w tłumie i dworze; zwróciły się oczy wszystkich ku wnijściu i ujrano stojącego na koniu, w odzieży oszarpanej, ubranego nędznie, z potarganym na głowie włosom, Mściława z Bużenina. Oczekiwać się zdawał na kolej swą, ale mu tak z oczów patrzyło, jakby tu z czym innym przybył i króla chciał wobec mnogich świadków o krzywdę swą pozywać.

Bolesław, siedzący z głową zwieszoną, nie widział go jeszcze; drudzy niespokojni poruszali się przez tłum ku niemu przedzie-

rając, aby mu wystąpienie zuchwałe odradzić. Mścisław stał, nie chcąc się dać z miejsca swojego poruszyć.

Nadbiegł doń Dryja, który z dala go zobaczył, i za cugle konia mu pochwycił.

— Czego stoisz? Co ty tu robisz? —zapytał.

— Albo mi to stać i patrzeć nie wolno? — z uśmiechem gniewnym odparł Mścisław.

— Cóżżeś to o wszystkim zabył i chcesz się z nim zadrzeć, aby ci prędzej głowę zdjęto? — rzekł Dryja.

— Jako żywo — odpowiedział Mścisław. — Nic nie chcę więcej, tylko aby się mnie odartemu napatrzył do syta, aby mnie miał przed oczyma, aby przeczytał z moich oczu, że mu zemstę poprzysiągłem. Wiem, że mu tym widokiem dzień struję. Chcę mu struć choć godzinę...

I nie dał się odwieść Mścisław, owszem przybliżył do szranków tak, aby król widzieć go musiał. Stało się, jak życzył, bo głowę podniósłszy, Bolesław zobaczył męża Krysty i wlepił weń oczy gniewne. Oba wyzywająco patrzali na siebie, król wzrok odwrócił, lecz niepokoiło go to zjawisko i coraz w tę stronę spoglądał. Mścisław odarty stał nieruchomie. Wszyscy na niego i na króla patrzali na przemiany, drżąc, jak się skończy ta sprawa. Lecz wkrótce Bolesław, jakby chciał okazać, iż go Mścisław nie obchodzi wcale, na co innego wejrzenie odwrócił. Począł się wpatrywać w kłeryka, którego skarbnym wziął z sobą do wywoływania i liczby. Był to biedny wyrostek, żółty, chudy, wynędzniały, z twarzą długą, oczyma niespokojnymi, rękami długimi, które spod szaty nazbyt obcisłej wystawały; niepozorny i wylękły. Pełnił swoją powinność, poddając skarbnemu nazwiska ziem i powiatów, ale oczy jego, co nigdy tyle złota nie widziały, chciwie biegały po kupach tych bogactw, coraz się powiększających. Widok skarbów, które u stóp jego leżały zrzucane jak drzewo, mieszał go widocznie. Śmiał się do nich, poruszał ciekawie wpatrując, zapominał się i ręce ku nim wyciągał, to za głowę się chwycił z podziwu i szału; słowem, widok bogactw królewskich przytomność mu odbierał. Skarbnym, widząc go tak rozgorączkowanym, parę ra-

zy za suknię pociągnął, aby się opamiętał, że przed obliczem króla stał. Nic to jednak nie pomagało.

Bolesława śmieszył ten kleryk biedny, jakby dla zabawienia go był tu ściągnięty. Oczów już z niego nie spuszczał, usta mu się do śmiechu krzywiły, a ramiona drgały, jakby go tłumił w sobie. Nagle z siedzenia zagrział straszny głos pański:

— Klecho! Co ci jest?

Wszyscy się ruszyli; król wskazał ręką na kleryka. Strwożył się człek biedny, ale nie wierzył, aby o niego chodziło. Skarbny, za ramię go pochwyciwszy, dał znak, iż król go pyta.

Naówczas wyrostek ów, z trwogi prawie tracąc przytomność, padł na kolana drżący i rzekł składając ręce, zwrócony ku panu:

— Panie! Nie jestem winien!...

Roześmiał się król z trwogi i zawołał powtórnie:

— Co ci jest, iż tak niespokojnym się stałeś?

— Miłościwy Panie — począł zawahawszy się kleryk, który i teraz oczów nie spuszczał z kup złota. — Przebacz mi, Miłościwy Panie, widok tych skarbów i twojego majestatu omamił mnie, iż przytomność utraciłem. Porównywałem je z moją nędzą i ubóstwem, myślałem, jakby z tym złotem szczęśliwym być można.

Bolesław rozśmiał się szydersko, sparty na rękę patrzył ciągle na wylękłego, klęczącego przed sobą klechę; wszyscy milczeli, czekając, jak się to zakończy.

— Cóż? Klecho? Chciałbyś mieć dużo tego złota? — zapytał król.

Uśmiechem jakimś rajskiego wesela rozjaśniła się twarz kleryka. Odpowiadać nie śmiał, oczy tylko chciwe, żarzące się pragnieniem wlepił w stos kruszcu nagromadzony u nóg pana.

— No! Chcesz złota? Mów! — zagrział głos królewski.

— Cóż po chęci, królu wielki... — odparł kleryk głosem drżącym. — Co po chęci takiej, gdy osiąść nie mogę!

Rozśmiał się Bolesław.

— Bierz tego złota, ile go udźwigniesz — rzekł szydersko. — Bierz, co uniesiesz, to twoje.

Dwór i Boleszczyce stojący poza królem śmiechem wybuchli,

potem patrzali wszyscy milczący i zdumieni; kleryk osłupiał nie dowierzał.

— Bierz! A żywo! — zawołał król nakazująco. — Bierz!

Słyszac ponowiony rozkaz królewski, kleryk się rzucił jak oszalały, odgarnął naprzód poły wąskiej sukni, lecz wnet zważył, że w nie zabrać by mógł mało. Szybko więc, na nic się już nie oglądając, suknię zdjął całą, pod którą mało co podartej i brudnej widać było bielizny; rozpostarł ją na ziemi, ukląkł i garnąc począł do niej, co leżało pod ręką. Chwytał i cisnął chciwie, co mu się nastęczało, gromadził gorączkowo, spoglądając tylko kiedy niekiedy ukradkiem na króla, który z pośpiechu i niezgrabności się wyśmiewał.

Tłum stał w milczeniu, ziemianie mający iść z kolei oczekiwali; król okazując jawnie, jak mało dbał o złoto, z pogardą patrzył, jak mu je kleryk zabierał.

Na ostatek suknia uboga była już pełną wszelkiego kruszcu i pieniążków; kleryk co żywiej począł ją wiązać, schylił się i usiłował na plecy ująć to brzemie. Blady, zadyszany, oblany potem, słyszac dokoła wybuchające śmiechy szyderskie, obawiał się może, aby król nie odwołał darowizny, i spieszył z pochwyceniem zdobyczy. Z wielkim wysiłkiem udało mu się, pochwyciwszy, ogromne brzemie owo zarzucić na plecy, ale natychmiast ugiął się wpół pod niezmierną jego wagą i zachwiał. Kroku dalej postąpić nie mogąc, silił się daremnie. Widać było, jak się słaniał, ugiął, napręzał, krok postąpił naprzód, twarz mu straszliwie pobladła, potem pokraśniała nagle, krew buchnęła ustami i padł twarzą na ziemię złamany brzemieniem.

Milczenie straszne panowało czas jakiś. Myślano, że się podniesie, drgnięcie tylko widać było, ręce mu się ścisnęły i ciało poruszać przestało. Król wzgardliwie patrzył, nie mówiac nic.

Dwóch z czeladzi podbiegło na dany znak ku leżącemu, jeden z nich ujął go za głowę, drugi podniósł kleryka. Oczy mu stały słupem, martwy był i wybladły, twarz miał trupią. Nie żył.

— Miłościwy królu — odezwał się skarbný — człek ten nie żyje, co uczynić z nim?

— Ukarany za chciwość! — rozśmiał się Bolko z tronu. — Bogdaj jak on wszyscy chciwcy przepadli! Cisnąć trupa do Wisły razem z tym złotem, co go zabiło! Pogrzebu niewarte ciało, a co król raz dał, tego nie odbiera. Precz ze ścierwem*!

Doniosły, namiętny głos króla daleko słyhać było; w milczeniu, ze zgrozą słuchano wyroku.

Czterech pachołków podeszło natychmiast spełnić rozkaz, zabierając zwłoki i węzeł, co je przydusił. Wśród milczenia tego z tłumu podniósł się głos jakiś:

— Królu, niesprawiedliwe są sądy twoje, nie chciwość go zabiła, ale miłość; albowiem rodziców ma w nędzy, dwóch braci czeka okupu w niewoli, biedak nie dla siebie skarbów tych pragnął, ale dla tych, których miłował więcej niż siebie.

Czy król posłyszał i zrozumiał te wyrazy, wiedzieć było trudno, gdyż w rogi zatrąbiono i znowu dalej powiaty wywoływać zaczęto, a Bolko nawet nie odwrócił głowy. Trup, któremu do szyi przywiązano złoto, poszedł z nim na dno Wisły.

Wypadek ten, który na chwilę przerwał uroczystość, uczynił na tłumach wrażenie wielkie. Wspaniałość króla, nieopatrzna chciwość biednego człowieka, sprawiedliwość bożą, Nielitościwy wyrok pana, ów głos sądzący sędziego, wszyscy brali do serca, zdumiewali się i trwożyli. Twarze oblokła po waga, smutek, bojaźń, tylko król obojętności swej nie zmienił. Spojrzał ku miejscu, gdzie stał Mścisław, i znalazł go tam nie ruchomego z oczyma w siebie wlepionymi.

W chwilę potem znikł z tłumu Mścisław...

Drogą do zamku wiodącą, która teraz pustą była, bo nawet strażę od bram poszły się przypatrywać złotemu widowisku, szedł wkrótce potem mężczyzna prostą odziany sukmaną, w czapce chłopskiej, z kijem w ręku. Na czoło miał nasunięte włosy ciemne i czapkę, a kołnierz odłożony tak, iż mu twarzy mało co widać było. Czarny zarost dobywał się tylko i dwoje oczu połyskujących. Szedł, oglądając się bacznie, krokiem wolnym, jakby się czegoś lękał, choć do króla małego ludowi i sukmanom zawsze przystęp

* Gallus — (przyp. aut.)³¹

był wolny, a od kijowskiej wyprawy jeszcze swobodniejszy niż kiedy.

Ci, co widzieli na łące Mścisława na koniu, przypatrującego się królowi uparcie, mierzącego go zuchwałymi oczyma, po sukni i postawie w tym wieśniaku domyśleć by się mogli męża Krysty. On to był w istocie. Po wyniesieniu zwłok kleryka wysunął się, konia rzucił gdzieś i pieszo starał się wkraść do zamku. Szedł ostrożnie, niekiedy głowę podnosząc, przyglądając się bacznie niewiastom, które dotąd ponad palami i ostrokołami stały gromadnie na górze.

Tak doszedł do wrót samych, a że mu nikt nie stanął do zamku na przeszkodzie, wkroczył przez bramę, wciąż rozpatrując i zazierając we wszystkie kąty. Gdy się znalazł na płaszczyźnie, kędy dworce pańskie stały, a gdzie teraz pusto było, bo ledwo część psiarzy, sokolników i stajennych parobków na zamku została, zdawał się wahać, dokąd dalej ma kroczyć. Obejrzał się raz jeszcze i szedł ku dalszym budowlom, które od królewskiego i królowych dworca łatwo rozeznać było. Wyglądał przebrany w tę siermięgę, z obuwiem nędznym, tak ubogo i odarto, że go o żebranie posądzić było można, bo od pierwszych drzwi począwszy, kroczył z kolei od sieni do sieni, zaglądając wszędzie ciekawie, stając u drzwi i okien, na słuchując bacznie.

Nikogo tu prawie nie było; okna poodsuwane stały otworem, drzwi na oścież były odmykane. Dwoje czy troje sieni pominąwszy, od mieszkań których ludność wybiegła była na wały przypatrywać się królewskiej uroczystości, zatrzymał się nagle i drgnął Mścisław. Tu przez okno widać było wywieszoną odzież niewieścią, którą chciwymi zmierzywszy oczyma, dokoła się obejrzał, i wśliznąwszy w ciemne przedsienie, zniknął. Nikt nań nie zważał, nikt nie widział, jak się gdzieś ukrył w kącie.

W chwilę potem niewiasty, czy znudzone widokiem jednostajnym, czy dla słońca i wiatru, który się zrywał, poczęły z wałów schodzić i po jednej, po dwie do dworców powracać. Ukazała się wśród nich i pańska Krysta, cała białą zasłoną obwinięta, biegnąc właśnie ku tej sieni, w której się mąż jej ukrywał. Była

sama jedna, a choć ją od stóp do głowy okrywały cienkie rąbki, poznać mógł ją łatwo każdy po kibici zręcznej i ruchach pieszczonych. Żadna inna ani tak biegać, ni tak stanąć, ni się tak wdzięcznie przegiąć i główki pochylić nie umiała.

Z wałów, szepcząc coś między sobą, odwróciły się patrząc na nią wszystkie niewiasty i ścigały ciągle oczyma. I śmiały się, ruszały ramionami, palcami ją sobie ukazywały, a zazdrość i gniewy wybuchały w ich głosach.

Zaledwie Krysta wbiegła do dworca, po chwili krzyk się dał słyszeć krótki, urwany, ale pełen trwogi i przerażenia. Zatem nagle ucichło. Nikt tego rozpaczliwego nie pochwycił głosu. Izba Krysty, w której teraz nikogo nie było, bo się służba jej rozbiegła, tak złocisto i bogato przybrana świeciła, jak wszystko, co króla otaczało i co mu służyło.

Krysta blada, z rękami załamanymi, z głową spuszczoną stała w pośrodku. Opadła z niej na ziemię zasłona biała, pozostała w jednej sukience opiętej, jakby do ciała przylegającej, która śliczną jej kibic obejmowała i do stóp spadała fałdami gęstymi.

Przed nią w progu stał Mścisław w brudnej sukmanie, czapkę trzymając w ręku i oczyma gorącymi, załzawionymi pożerał żonę. Patrzył na nią, drżał, mówić nie mógł, płakał jak niemężczyzna, jak matka, co dziecię straciwszy, nagle je odzyskuje. Kryście widok męża, od którego król ją porwał, odjął przytomność na chwilę, lękała się, aby ją nie zabił. A Mścisław stał oczarowany nią, oniemiały, bezsilny, tak że choć tu życia swojego nie był pewnym, gdyby go pochwyciono, choć rozmówić się z żoną pilno mu było, zapomniał o wszystkim...

patrzył tylko... Spoglądali tak na siebie, czy tając w swych twarzach, ona szukała w nim, co przyniósł z sobą, zemstę czy przebaczenie, on patrzył, czy w niej tę miłość znajdzie jeszcze, dla której życie ważył. Niewiasta prędzej zrozumiała go i ochłonęła z przestachu. Swawolna była jak dziecię, ale bystra i pojętna; przez czarne jej źrenice błysk jakiś przeleciał.

— Krysto moja! Krysto! — zawołał mąż, ręce ku niej wyciągając. — Nie! Tyś o mnie zapomnieć nie mogła, ty t a k i tęsknisz za mną... ty do mnie powrócisz! Mów, Krysto moja...

Spuściła oczy niewiasta i usta się jej zacięły; spod brwi rzuciła oczyma wylękłymi, jakby go chciała badać jeszcze, i żywo rzekła:

— A tak, tak! Zrobię, co chcesz, pójdę, ale teraz... gdyby cię tu kto zastał, gdyby sługi nadeszły! A, nieszczęście by się stało! Król tak zazdrosny! Ludzie tacy źli... Schowaj się, ukryj gdzie w nocy...

— A nocą uciekniemy! — krzyknął Mścisław, ręce ku niej wyciągając.

— A tak! Uciekniemy! — prędko powtórzyła Krysta.

— Gdzież się mam skryć? Mów, pokaż! — wołał Mścisław.

— Gdzie? Ale ja nie wiem! — niespokojnie się poruszając odpowiedziała kobieta, głowę zwracając to ku oknu, to na drzwi komory.

— Skryć się! Trzeba się skryć gdziekolwiek! Gdy nadejdą dziewczki moje, domyślą się, pobiegną, wydadzą. Schowaj się co prędzej, gdzie chcesz, ale prędzej, a prędzej!

To mówiąc Krysta zaczęła obiegać po izbie, parę razy znów oknem wyjrzała, chwyciła się za serce, za głowę... nie wiedziała, co począć z sobą. Gdyby Mścisław nie miłował jej tak bardzo, może by był mógł poznać, iż więcej było trwogi w niej i gniewu, niepokoju o siebie, niż obawy o niego. On sobie tłumaczył bojaźń tę jako oznakę miłości żony. Uradowany, zapomniawszy o wszystkim, powtarzał tylko pytanie, gdzie i jak ukryć się może.

Krysta miała się czas namyśleć, stanęła i palce na zbladłych położyła ustach.

— Idź na wyżki! W sieniach stoi drabina, nikt tam prawie nie chodzi, nie znajdą cię tam.

Mścisław chciał natychmiast usłuchać, lecz porzucić ją żal mu się zrobiło. Stąpił krok i zawahał się.

— Mów jeszcze — zawołał — powiedz, kiedy mam przyjść po ciebie... Wymknę się z zamku i powrócę...

Krysta nogą uderzyła o ziemię z niecierpliwości.

— Uciekaj, zawołała, ja nie wiem nic, ja ze strachu szaleję! Jam biedna i nieszczęśliwa!

Zakryła oczy i płakać zaczęła. Potem nagle widząc, że to nie skutkuje, jakby oczy jej oschły, odsłoniła je i zaczęła mówić pospiesznie, na drzwi ręką wskazując:

— Powracaj, ja nie wiem, o mroku... Stanę w progu, odzieję się w chusty proste, gdy będzie można, ujdziemy.

Chciał Mścisław pytać jeszcze, gdy Krysta pobiegła do okna, wychyliła się nim, sparła, i wyjrzawszy daleko, wołać poczęła żywo:

— Uchodźże, a to ci życie niemiłe! Uciekaj! Z wałów wracają dziewczki moje! A, uchodź co prędzej, póki czas!

— Więc o mroku! Dziś! — zawołał Mścisław.

— A tak, tak! Dziś o mroku! Ale idź! Idź! Idź.

I rękami białymi na drzwi ukazując, miotając nagliła, aby wychodził co prędzej.

Mścisław ociągał się, patrząc jej w oczy, wyszedł nareszcie. Ujrzawszy drzwi zamykające się za nim, Krysta pędem wpadła do sąsiedniej komory i drzwi ogromną zasuwą zaryglowała za sobą. Mścisław jak pijany z izby się wytoczył, zachwiał, o ścianę sparł, musiał stać tak dobrą chwilę, dopóki nie oprzytomniał i nie przyszedł do siebie, bo drogi zapomniał, drzwi nie widział i nierychło ostygłszy, czapkę na oczy nacisnął, kołnierz podniósł, z wolna się wytaczając na podwórze.

Co się w komorze działo? Tam słychać było oddech ciężki, potem chód szybki, jęczenie, płacz... i wszystko zamilkło. Odsunęła się zasuwa ostrożnie, powoli, przez szparę wyjrzała Krysta czarnymi oczyma. Nikogo w izbie nie było, odetchnęła wsuwając się do niej ostrożnie, na palcach. Podeszła cicho ku drzwiom od sieni, uchyliła je bacznie, rzuciła wejrzenie w ciemną głąb ku drabinie; nic się nie poruszało nigdzie, nie było nikogo. Odetchnęła nieco z przerażenia. Z dala widać było kroczącego wolno ku wrotom Mścisława, więcej nikogo, mógł ujść bezpieczny, jak przyszedł. Lżej się Kryście zrobiło. Na bladą jej twarz wróciło trochę rumieńca.

Lecz stała w progu niespokojna jeszcze, zadumana, z palcem na ustach. Oczy jej biegały, zdając się ścian pytać i stropu: „Co

poczniemy”)? Pobiegnęła wewnątrz, zarzuciła białą płachtę na siebie, wyszła szybko z dworca ku wałom i rozmyśliła się inaczej. Wróciła niespokojna do izby, zrzuciła zasłonę, stanęła ręce łamiąc, kręcąc się, przysiadając, podrażniona, prawie gniewna. Brwi się jej ściągnęły, usta ścięły, piękna niewiasta stała się straszna; oczy jej ciskały pioruny. Nogą biła o podłogę, ręce wyciągała ku drzwiom, kręciła się, jakby w skocznym wirując kole, potem stawała skamieniona, a wzrok topiła w ziemię.

Z tych ruchów głowy, rąk i oczu czytać było można wyrazy, które w duchu mówiła do siebie:

— A, tak źle, tak nie można! Potrzeba inaczej! Co począć? I tak straszno, i tak niedobrze! I milczeć nie mogę, i mówić się boję. A, jakżem ja nieszczęśliwa!

Gniew w niej zbierał, gniewała się na niego, na siebie, na króla, na swą dolę, najwięcej pono na upartego, co ją tak kochał, że gotów był swe życie i jej życie poświęcić.

Pobiegnęła ku drzwiom, u drzwi stała srebrna konew z wodą i kubek wisiał przy niej. Napila się wody, aby orzeźwieć; paliły się usta, serce biło, w oczach to płomienie przelatowały, to czarne płatki.

— A, wodo moja! Wodo! — wołała. — Wodo, powiedz mi, co czynić mam nieszczęśliwa! Czy iść się utopić w tobie, czy za tym iść, któremu przysięgała, czy za tamtym, co mi jak słońko świeci, jak słońko pali! To król, to pan, a ja jego królowa, ja tu pani, nie ta stara, co w kącie płacze! I wszystko porzucić, a iść, gdzie smutek, gdzie żałoba. Dogonia, krew się poleje! Krew! A ja widoku jej znieść nie mogę! Mnie zabić mogą! Jego przeze mnie! Krew na głowę mi spadnie! Krew!

Pomyślała nieco.

— Powiem wszystko, powiem lepiej! Cóż mu się stanie? Ja mu życie wyproszę, oczy mu wyproszę... posiedzi w ciemnicy. Pocałuję, to wypuścić go każe... Uciekać? A nie, nie! Nie chcę! Nie mogę!

Rozmyślała tak po izbie biegając, gdy za drzwiami ktoś chrząknął; nastawiła ucha i pobladła, stała milcząca, potem na

palcach biegła ku komorze, kaszlnął ktoś raz drugi. Na drzwi komory patrzyła Krysta, jakby sobie dając do wyboru: uciekać czy czekać, zostać czy uchodzić; palec przy cisnęła do ust, jakby z niego wyssać chciała, jak sobie radzić.

Już wchodziła po cichu do komory, stanęła w progu, za wróciła się niepewna. Wtem i drzwi się uchylły od sieni, w szparze ich widać było Borzywoja Boleszczyca, który śmiał się i mrugał ku pięknej niewieście. Krysta się zarumieniła. Wszedł. Obejrzał się dokoła, ona do okna pobiegła i wychyliła nim, rozglądając po podwórzu, a podniósłszy się pogroziła zuchwałemu. Niby mówiła, jak śmiał przychodzić tak poufale, ale widać było, że się wcale nie gniewała.

Borzywój dnia tego nie pojechał z braćmi w orszaku, uczynił się chorym, może umyślnie dlatego, aby, chwilę upatrzwszy bezpieczną, zająć Krystę samą jedną. I on, i Zbilut, i wielu innych się w niej z dala rozmiłowało. A ona? Wszystkim hołdom rada była, oczyma wabiła, ustami łajała, nie odstręczając żadnego. Była tak zalotną, że się i gołębiom na strzesze wdzięczyc była gotową, tak ją nieszczęśliwą stworzył Bóg na własne i ludzi utrapienie. Nie czuła się winną, zdawało się jej, że nie mogło być inaczej. Była tak piękną, juści wszyscy się w niej kochać musieli, a jej, ot tak, biedaków żal było.

— E, ty, ty! — szepnęła niby gniewnie. — Po co bo ty tu? Po co?

— Złoto moje, królowo moja! Aby ciebie zobaczyć...

Chciał się Borzywój zbliżyć trochę, fuknęła:

— Stój z daleka, a nie, to zawołam na dziewczęta!

— To co? Powiem, że pańskiego dobra pilnuję, odezwał się Borzywój wesoło, a dziewczki żadnej też nie ma, bo wszystkie na wałach.

Zarumieniła się Krysta i parsknęła:

— Ano stój z dala, bo oknem zakrzyczę!

Lecz mówiąc tak groźno, rozśmiała się dziwnie; głos jej dźwięczał pychą, dumą, zalotnością i niepokojem, oczy to w niego topiła, to gniewnie odwracała.

Borzywój ciągle starał się przybliżyć.

— Dajże ty mi pokój, ty jakiś! — wołała nań, przestawszy się śmiać. — Doprawdy wydam cię przed panem, zobaczysz, co będzie!

Rączką na gardło pokazała.

— Nie wydasz i nie powiesz, boś ty dobra i litościwa — rzekł Borzywój — zresztą nie ma co i gadać przed panem. Albo to on nie wie, że się wszyscy do jego Krysty palą jak pochodnie, a Krysta strzela oczyma i śmieje się ze wszystkich.

Krysta się nieco obraziła, dumną minkę zrobiła.

— Albo co? — podchwyciła. — Strzelam oczyma? Na to je mam, abym nimi strzelała... no, i śmieję się! Bo wszyscy sobie coś myślicie, a to nieprawda, nieprawda! Patrzcie go, jakiś!

Tej wielkiej grozy Borzywój się nie uląkł wcale.

— No, jeśli na to masz oczy, abyś nimi strzelała, to i usta na to są, abyś całowała.

Dajże mi choć raz gęby!

Posunął się zuchwale, Krysta srogą, groźną, straszliwą twarz nastroiła, tupiąc nogą.

— Stój u progu lub źle będzie!

Westchnął Borzywój, ale mu z oczów patrzyło: „Przyjdzie chwila, że ty do mnie zagadasz inaczej”.

Krysta, główką potrząsając, zamyśliła się, nie mogła jeszcze swojej biedy zapomnieć.

— Oł, słuchaj no — rzekła podnosząc nań oczy — wdziej suknię i zaraz ode mnie idź do pana.

— Do pana? Król siedzi na tronie i króluje, to nie pora!

— Co mi tam!

— Alboś się tak za nim zatęskniła? — spytał żartobliwie Borzywój.

— Pewnie! Czyż nie ma za kim? — odparła Krysta dumnie.

— Z czymże mam iść do niego?

Na to pytanie odpowiedź była trudną, Krysta na palcu zawijała i rozwijała chustynkę.

— Powiesz mu — rzekła — tylko tyle, że Krysta chce, aby do niej co najprędzej powracał, bo... bo jej pilno, bo ma wielkie

słowo na ustach, straszne słowo, a słowa tego przez nikogo mu posłać nie może, tylko mu je sama musi powiedzieć do ucha.

Mięszała się i jąkała mówiąc, a Borzywój głową potrząsał, żartobliwie się uśmiechając ze straszego słowa, jak gdyby w nie wierzyć nie chciał.

— Gdybyście mnie do ucha dali to straszne słowo, wiernie bym mu je zaniósł i nie zgubił po drodze.

— O, nie, nie! To słowo ja sama mu powiedzieć muszę.

— Abyś się mnie pozbyła, bo może czekasz na innego! — szepnął Borzywój.

Krysta się oburzyła naprawdę.

— Brzydki człowiecze! — rzekła. — Kiedy się klnę na matusię moją, że w tym słowie śmierć lub życie być może.

— Oho! — przerwał Borzywój.

— A tak! — potwierdziła Krysta. — Śmierć lub życie!

— Czyje? — spytał dworak.

— I czyjeś, i moje! — odparła Krysta brwi marszcząc.

Borzywój u drzwi stał, nie ruszając się jeszcze, ciężko odejść mu było.

— No, to pójdę — rzekł — ale mi choć co dajcie na drogę! Jak mam iść za waszą sprawą bez gościńca? Nie pójdę!

Krysta się rozśmiała zimnym śmiechem zalotnicy, która rozumieć niby nie chce tego, o czym wie doskonale, i główką pokręciła.

— Jeszcze czego!

Ale stała w miejscu i choć niby pierzchnąć się zabierała, nie uciekała. Dopiero gdy Borzywój przyskoczył chcąc ją po całować, popchnęła go silnie od siebie i pędem wpadłszy do komory, nim ją zaryglowała za sobą, główkę mu jeszcze pokazując, krzyknęła:

— Idźże mi zaraz... wszakżeś zapłacony! Idź!

Borzywój odetchnął ciężko, popatrzał groźnie, zawrócił się niechętnie i wyszedł nareszcie.

Zamkniętej w komorze nie sposób było usiedzieć długo, odsunęła zasuwę, wysadziła głowę, obejrzała się i wyszła. Sama się

sobie uśmiechała, ale jej było bardzo smutno. Siadła na ławie, sparta się na rękę, dumiała potrząsając głową.

— Co mi tam wszyscy oni! — mówiła sobie. — Król mnie porzucić nie może, o nie! Ile razy mnie zobaczy, zaśmieją mu się oczy, choćby z gniewu krwią zapłonęły. Królowa postarzała i wciąż płacze. Łzami ich nie przytrzymać, odpędzić chyba, wszyscy oni łez nie lubią. Im trzeba ust, co się śmieją, choćby dusza płakała. O, ja to wiem, co im trzeba! Ja wszystko wiem, wszystko... choć nie wiem jak, kto mi to mówi.

Ruszyła ramionami.

— Co tam! Dostyc, że wiem. Mały palec mi powiada.

I śmiała się do siebie sama, dumna tą niewieścią przenikliwością.

Wtem dziewcząt dwoje wpadło śpiewając do sieni, śpiew ich ustał na progu i wsunęły się do izby sznurując usta. Były to pani dziewczki służebne. Spojrzały na nią, ona na nie. Złękły się może brwi zmarszczonej, ust groźnie wydętych i cicho przesunęły się do komory. Tam znów słyhać było chichotanie i szepty.

Namyśliła się Krysta, popatrzawszy na suknię swoją.

— Ciarka! — zawołała.

Starsza z dziewcząt stawiała się z uśmiechem przed panią.

— Mów, co bym ja włożyła, abym piękną była?

— A — ręką usta zatulając rzekło dziewczę — a choćbyście i gźła³ nie mieli toby wam było chyba piękniej jeszcze.

I zza dłoni, którą się zasłaniała, śmiała się figlarnie poufała dziewczyna.

— Mów, jaką ja mam wdziac? — poczęła Krysta. — Czy niebieską suknię, czy kraśną, czy złotą? Mój pan przyjdzie do mnie... Popraw mi włosy, zasłona mi je popsuła.

Ciarka się zbliżyła i pani a sługa poufale z sobą gwarzyć i śmiać się zaczęły. Niesiono suknię jedną i drugą, i trzecią, aż Krysta rzucając, przebierając, na szkarłat się namyśliła; czarnobrewie było w nim najkraśniej, wyglądała jak królowa.

— Będę jak królowa! — szepnęła do Ciarki.

— Boś ty królowa! — przypochebiając się mówiło dziewczę.

We dwie aż przysły na nią wdziwać i opinać na niej suknię obcisłą, gdy w podwórzu wrzawa wielka powstała, tętent koni, rogów granie.

Król powracał. Krysta biegła do okna, wychyliła się ku niemu, i z dala zobaczywszy, ręką znak mu dawała.

— Bywaj do mnie!

Dostrzegł król czy nie, lecz nagle stanął wśród podwórza, z konia zsiadał. Siwą klacz jego wiedli do stajni uroczyście i król naprzód poszedł za nią.

Dwór rozpełzł się po podwórzu, kilku tylko na zawołanie przy panu zostało, a i ci zobaczywszy, że ze stajni do Krysty idzie, powoli, ociągając się, zostali w podwórzu i przedsieniach.

Król wszedł sam, zasepiony, zmęczony, taki, którego długo trzeba było nosić jak ptaka łowami podrażnionego, ażby oczy przymknął i usnął na rękę.

Krysta strojna, z włosami na ramiona rozpuszczonymi, siedziała z chustynką w rękę, jakby się jej na łzy zbierało.

Spojrzał Bolesław na nią.

— A co ci to, czarnobrewo, co się jak księżyc mienisz? Trzpiotałaś się jak wróbel rano, juści pod wieczór łzy przysły?

Krysta jakby nie słyszała, nie spojrzawszy nań, siedziała nadaśana, chmurna, milcząca, głowy nawet nie zwróciła ku niemu, głos usłyszawszy. Król zbliżył się i uderzył ją ręką z wolna po białych ramionach, aż zadrgnęła.

— Co tobie? — Mów! — rzekł rubasznie. — Ty wiesz, Krysto, że ja ni łez, ni zagadek nie lubię.

Wtem nagle oczy odsłoniwszy, ręce rozpostarłszy, Krysta powstała i do nóg mu upadła.

— Panie Miłościwy, Panie mój, jeśli mnie nie poratujesz, jestem zgubioną!

Król się zmarszczył i rozgniewał, nogą tupnął, aż ostroga brzękła złota.

Wstała z ziemi Krysta, uwiesiła się królowi na szyi i szeptać poczęła:

— Królu Panie! Daj mi słowo, że mu nie weźmiesz życia!

— Komu? — krzyknął Bolesław.

— Daj mi słowo!

Bolesław z lekka ją od siebie odtrącił.

— Mów komu! Mów, co zawinił!

— Daj słowo!

Nagniewał się pan, ale mu pilno było.

— Życ będzie. Mów, co dalej?

Krysta wróciła do królewskiego ucha.

— Mścisław tu był, tu...

Bolesław aż się cofnął i za mieczyk pochwycił.

— On? Tu? Gdzie i jak? Kiedy?

Skinęła nań Krysta, aby usiadł przy niej na ławie, objęła go ręką za szyję, czoło położyła na ramieniu i poczęła cicho szeptać mu coś do ucha. Po twarzy króla przelatywały burze i pioruny. Nie mówił nic, tylko mu białka w oczach krwią zapływały, usta zbladły i zęby się ścięły. Słuchał tego ust jej szmeru długo, zadumany, potem wstał od niej, nie mówiąc nic, i przechadzać się począł.

Krysta biegła za nim niespokojna, знаła go już, że straszny był, gdy głos podnosił gniewny, ale straszniejszym, gdy milczał. Nie odpowiadał jej wcale, stanął w oknie, patrzył w nie długo i nierychło ku niej się obrócił.

— Bądź spokojna, jam nie żądny dusić robaka, choć sam mi lezie pod stopy. Życia nie wezmę, ale rozumu uczyć go potrzeba! Mścisław chce się z królem mierzyć. Ze mną!

Bolko rozśmiał się, a w śmiechu zębami zgrzytał i straszny był. Krysta przestraszona spoglądała nań jeszcze, gdy gwałtownie cisnąwszy drzwiami, król wyszedł od niej i na dworce swoje pociągnął.

O kroków kilkanaście spotkali go i otoczyli Boleszczyce, on im mimochodem kilka słów rzucił i szedł dalej. Widać było, że im dał jakieś rozkazy. Kupką stanęła drużyna naradzać się z sobą. Było ich kilkunastu, zwawo pochylając się ku sobie, rozprawiając, szepcząc, poczęli się umawiać o coś Boleszczyce. Z ruchów i twarzy znać było sprawę ważną i pilną, której wykonanie gorąco ich

obchodziło. Jedni się wrywali, wstrzymywali drudzy, sprzecjali.

Tajemnicą musiało być, co im powierzył król, bo gdy się kto z dworzan do nich przybliżał, milkli, pozbywali się go, odsyłali, sami potem znowu wracając do narad i cichych szeptów między sobą. Niektórzy rozglądali się dokoła w podwórcach, wskazując miejsca, jakby stanowiska sobie wyznaczali. Wtem we wrotach orszak się jakiś powoli wjeżdżający ukazał. Na przedzie widać było konno, pomiędzy kilku duchownymi, jadącego biskupa Stanisława ze Szczepanowa, za nim czeladź jego i domowników, skromny dwór składających. Od wrót wszyscy się skierowali ku dworcowi królewskiemu, gdzie u wniścia głównego zsiadł biskup, a jeden z kapelanów poszedł o nim podkomorzym króla oznajmić.

Rozdział IV

Król Bolesław, gdy zmęczony był, spoczywał zwykle na pościeli niskim, miękkimi skórami wyłożonym. Psy myśliwskie ulubione mu, które rzadko go odstępowały, w izbie tej z nim i przy nim legiwać miały prawo. Tak samo jak konie swe, które król nad miarę miłował, często je przenosząc nad ludzi, kochał też psy swoje, dając im swobodę wielką; lubował się też z sokoły, rarogi i białozorami, których izby pełne były.

Wojak był mężny i zapamiętały i niemniej namiętnie myśliwstwo lubił, co najczęściej z sobą chodzi. Gdy brakło wojny, łowy ją zastępowały, a z nich mu był najmilszy ten zwierz, z którym walka najsroższą i najniebezpieczniejszą była. Najchętniej jeździł na jelenie, łosie, wieprze dzikie, żubry i tury, co nieraz jeźdźca z koniem na rogi wzięwszy, w powietrze go wyrzucały, racicami i rogami mordując mściwie ludzi. Z oszczepem na żubra samemu się rzucić, z mieczykiem na dzika, z toporkiem na niedźwiedzia, nie było dlań nowiną. Próżno go naówczas chcieć było powstrzymać, bo i człowieka, co by go hamował, ubić był gotów.

Ogromne psy królewskie, stróże najwierniejsze, nie bardzo się komu do sypialni zbliżyć dawały, a na skinienie jego człeka by rozszarpać były gotowe. Miał z nich straż czujną i straszną we dnie i w nocy, lepszą od tych, jaką ludzie sprawiali. Byle się co w przyległej ruszyło komorze, podnosiły głowy i warczały na drzwi, patrząc, jakby poskoczyć chciały, aż je król głosem groźnym hamować musiał. Sprawiano tym ulubieńcom czasem w podwórcach łowy, gdy żywcem dzika, jelenia lub niedźwiedzia ujęto. Zamykano wówczas bramy, latali ludzie z oszczepami, wypuszczano zwierza z kleci i król się sam za nim już uganiał. Nieraz się trafiało, że gnany i ścigany zwierz, dopadłszy do wałów, ostrokoły przesadzał, skakał z góry, a nawet uchodził, czasem na słabszego parobka opadłszy, rozdarł go i zdusił, nim dobieżono. Te krwawe zabawy ulubione były panu.

Dnia tego król i zmęczony był, i gniewny, patrzył w powałę,

brwi marszczył, pięścią bił o posłanie i psy się doń nawet zbliżyć nie śmiały, bo je bił i odpędzał.

Wtem zaskrobano do drzwi. Zawarczała psów gromada zrywając się i nasłuchując, król patrzył milcząco; ukazała się głowa siwa starego podkomorzego królewskiego, Janka Huźli.

— Miłościwy Panie! — rzekł.

— Czego się ciśniesz? Widzisz, że spoczywam! — zawołał król.

— Miłościwy Panie — dodał nie zmieszany tym starzec. — Jego Miłość ksiądz Stanko, biskup, czeka na Miłość Waszą i domaga się posłuchania.

Usłyszawszy to imię, król się zerwał na równe nogi, tak nagle, że psy przelęte pozrywały się też i skoczyły.

— On? Tutaj? — zakrzyczał król.

— Tak, Miłościwy Panie, doprasza się rozmowy z Miłością Waszą.

— Ano, w sam czas! — rozśmiał się król. — W sam czas, bom i ja rad się rozmówić z tym klechą. Dobrze przeczuł godzinę! Idź mu powiedz, iż króla widzieć będzie. Niech czeka. Prowadź go do izby królewskiej.

Podkomorzy drzwi przymknął powoli i cofnął się zaraz, a Bolesław stanął w myślach zatopiony. Rzekł, że chciał widzieć biskupa, ale z twarzy patrzyło, jakby się iść wahał, nie bardzo rad spotkaniu, które by chętnie na czas inny odłożył. Podeszedł raz ku drzwiom już samym i zawrócił się od nich, postąpił ku nim raz drugi i za zasuwę ująwszy, cofnął się jeszcze, szedł raz trzeci zmusiwszy się, dumnie głowę podniósł i jak stał, na pół odziany, pospieszył do izby królewskiej. Komnata to była niewielka, ale wielce ozdobna i na to przeznaczona, aby w niej król niewielu dostojniejszych gości mógł przyjmować. Było w niej siedzenie pańskie, ponad którym tarcz i miecz wisiały, i ławy dokoła z poduszkami sukiennymi i oparciem; podłoga kobiercami wysłana, okno rybimi błonami zaciągnięte, przez które żółtawy blask dnia przechodził. Tu rozmowa była bezpieczną, gdyż dwie puste izby dzieliły ją od tych, w których dwór, Boleszczyce i komornicy stawali.

Król, wszedłszy krokiem szybkim, zastał już tu biskupa, stojącego w pośrodku. Dwu swych towarzyszków duchownych zostawiwszy w pierwszych izbach, ksiądz Stanisław ze Szczepanowa sam był tylko. Stał poważny, surowy, z twarzą posępną kapłan, odziany jak do chóru, z pierścieniem na palcu i krzyżem na szyi.

Król i on zmierzyli się oczyma, jakby nimi sił swoich próbowali, ale biskup nie strwożył się królewskim wejrzeniem, a król nie wytrzymał jego wzroku i zasepiony szedł dalej.

Skłonił się biskup.

Nie mówiąc słowa, nie oddawszy pozdrowienia, Bolesław zajął swe siedzenie królewskie i nie wskazując biskupowi ławy obok siebie, jak należało, zapytał go szorstko:

— Czego chcecie ode mnie?

Biskup długo wprzód oczyma króla mierzył, jakby się na myślał albo modlił w duchu, postąpił krok naprzód i począł z wolna a spokojnie:

— Miłościwy Panie! Nie ja do ciebie przychodzę, ale we mnie i ze mną Kościół, matka nasza. Nie zważajcie na mnie, pomnijcie, że ja nie z siebie mówię, ale z jej rozkazania, nie po mej, ale po jej woli...

Tu poczekał trochę, a gdy król milczał gryząc usta, po chwili mówił dalej:

— Miłościwy królu! Milczała matka ta długo i płakała, dziś przez usta moje do dziecka przemówić musi, nadszedł czas. Płacze ta matka, płaczą bracia twoi, królu, patrząc na to, co się dzieje.

— A cóż się dzieje? — zapytał król szydersko i wyzywająco.

— Dzieje się źle — ciągnął biskup dalej — jeżeli wy, królu, nie wiecie nawet, iż się źle dzieje. Przecież z wysokości tronu waszego jęki kraju słyszeć byście powinni, a staliście się mu katem, gdy ojcem być powinniście.

Król poruszył się i rzucił na siedzeniu, lecz nie rzekł nic jeszcze.

— Ziemianie, rycerstwo, starszyzna, wszystko cię odstępuje — mówił biskup głos podnosząc — boś srogi dla nich i bez miłosierdzia!

Wtem wybuchnął nagle król, uderzając pięścią w poręcz siedzenia.

— Na to władzę mam! A jak ją sprawiam, za to odpowiem Bogu, nikomu więcej. Ziemianie są krnąbrni, rycerstwo zdrajcy, bo mnie odbieżało w Kijowie samowolnie, a do domów przybywszy, znęcało się nad ludem okrutnie. Ja nie samych ziemian i rycerstwa królem jestem postanowiony, ale ludu całego... Nad narodem ubogim mścić się i tępić go nie dam! Króla nie ma bez ludu, a z gminu rycerstwo i ziemian zrobić łatwo... Karzę samowolę, bo tu nikt nie ma władzy i sądu, tylko ja!

— Lud ten — rzekł biskup — podniósł się przeciw panom swoim, lud ten gwałty popełniał, domy bezcześcił, własność zagrabił, lud to wpół jeszcze pogański, którego przeciw chrześcijanom bronić się nie godzi.

— Oskarżacie lud — zakrzyczał król — co sługi winne, że niewiasty rozpustne! Ziemianki to wasze, żony własne rycerzy, pociągnęły do łożnic sługi i pokalały domy! Dla nich nie ma litości i nie ma jej dla zdrajców a zbiegów!

Mówił król w uniesieniu wielkim, powstając i padając na siedzenie, oczyma rzucając rozpalonymi na biskupa, jakby się nań miał porwać.

Stanisław ze Szczepanowa stał, słuchał i milczał nieporuszony.

Dawszy dopiero ochłonąć nieco królowi, począł głosem tym samym jak wprzód:

— Pomnijcie, Miłościwy Panie, że gdy za Mieszka zrażeni opuścili go ziemianie i władcy, gdy królowa Ryksa zniechęciła ich ku sobie, wkrótce i całej krwi a rodowi pańskiemu uchodzić³ było potrzeba i rzec się panowania... Pomnijcie, że bez nich ostać się nie możecie.

— O, to opuszczenie i wygnanie ojcowskie pomnę ja im po dziś dzień — przerwał król — pomnę i nie zabędę, i nie przeba-

czę go im nigdy! Dlatego głowy ich krnąbrne padają i spadać będą, aż ich nie stanie. Nowym sobie ziemian uczynię i rycerstwo, które mi będzie posłuszne. Królem jestem i panem, a nie słomianym strachem, który na wróble stawiają, dźierzę władzę i nie puszcę jej. Ani władzyki, ani wy, biskupi i duchowni, sprzeciwić mi się nie śmiecie, bo miecz mam i prawo w ręku!

Biskup z wolna na krok się cofnął.

— Miłościwy Panie — rzekł z dumą — my biskupi nie stoimy pod twą władzą królewską, my mamy jednego króla a pana w niebiesiech, a drugiego zastępcę jego w Rzymie, więcej nikogo nad sobą. Nikogo! Nie my wam, wy nam jesteście podlegli, bo podlegacie Kościołowi... i posłuszni mu być musicie!

— Ja wam podlegać?! — wykrzyknął król zrywając się i podnosząc pięście do góry. — Ja? Ja nie znam ani cesarza, ani papieża, nikogo, krom Boga nad sobą! Słyszycie?! Nie myślcie, że jak ów cesarz³! pójdę głowę moją położyć pod nogi papieża czy biskupa, rychlej stracę ją i koronę!

—Baczcież królu, abyście nie stracili obojga — rzekł biskup spokojnie. — Słów waszych w gorącości wyrzeczonych nie biorę do serca ani ich ważę, ale powtarzam wam, Miłościwy Panie, Kościołowi jesteście podlegli, a Kościół więcej siły ma niż wszyscy ziemscy mocarze.

Śmiejąc się dziko, król po rękojeści miecza uderzył.

— Zobaczymy, kto silniejszy, gdy się z wami lub Kościołem próbować przyjdzie! — zawołał.

Biskup smutnie zwiesił na piersi głowę.

— Miłościwy Panie — rzekł cicho głosem, w którym boleść, nie trwogę czuć było — raz jeszcze mówić chcę do was jako brat*, który miłuje.

Zachnął się król posłyszawszy, iż go śmiał bratem nazywać biskup.

— Jeszcze raz na duszy waszej zbawienie zaklinam was, upamiętajcie się, upokorzcie, poprawcie! Wszystko, co czynicie, do

* „Tym wyrazem w liście swym zowie biskupa Wratysław” (przyp. aut.)

zguby was wiedzie. Życie wasze i dworu złe i grzeszne jest, sprośne, rozpasane. Z góry przykład na naród płynie i on się psuje zepsuciem waszym. Na sumieniu nie tylko własne mieć będziecie grzechy, ale i tych, co króla naśladowają.

— Milcz, klecho! — krzyknął Bolesław.

— Milczeć nie będę i nie mogę — rzekł biskup poruszony — mówić mi każe wierność przykazaniom bożym, Kościołowi, miłość dla rodu waszego. Żyjecie jawnogrzesznikiem z żoną cudzą, gwałtem wziętą rycerzowi Mścisławowi z Bużenina.

— A tobie co do tego?! — zakrzyczał król gwałtownie, nogami bijąc o podnózek, który roztrzaskał. — Z ja żyję, do tego nic nikomu! To moja sprawa! Ja grzeszę i pokutować będę, Jak wy mi to wyrzucać śmiecie? Wy, wy!

— Powinienem, muszę i będę — rzekł biskup. — Nie sądźcie, Miłościwy Panie, abym się miał was ulęknąć. Ja także jak wy nie lękam się nikogo prócz Boga, nie boję śmierci i nie trwożę gniewu twojego. Czynię, co sumienie każe... Żonę Mścisławowi powrócić powinniście, a za zgorzenie publiczną odbyć pokutę! Tak! Świat patrzył na grzech, musi widzieć kajanie się.

Wrzał król słuchając i oburącz cisnął poręcz z gniewu.

— Klecho! — zawołał — Dawaleś mi przestrogi i ja ci dać muszę jedną. Strzeż ty się mnie i gniewu mojego, bo straszny jest jak piorun i jako no bije w kościoły! Spaść może głowa twoja, choć namaszczone, a w Rzymie, gdy będzie potrzeba, dam okup za nią, Zamknę ci ja te usta, gdy zanadto mówić się ważą.

— Miłościwy Panie — odparł biskup — uczynić możecie, co zechcecie, ale ustraszyć mnie nie potraficie. Widzicie, oto stoję przed wami bezbronny, jakim już niejedyn raz stał, mówię a błagam, czyńcie pokutę i wynijdźcie z grzechu. Ilekroć przypuszczony będę, tylekroć powtórzę ci to, błagać będę i karcić. Kajaj się! Kajaj się grzechów twych...

Biskup podniósł głos uroczyście; wtem król, bijąc w siedzenie, zawołał przeraźliwym krzykiem:

— Milcz, klecho! Nadto rachujesz na swój Rzym i do zbytku język rozpuszczasz. Milcz!

Westchnął biskup z politowaniem. Nie widać na nim było gniewu ni poruszenia, znękany, pot tylko otarł z czoła.

— Kościół, królu, ma przeciw krnąbrnym dzieciom siłę. On cię namaścił na panowanie, on ci namaszczenie twe odjąć może. Nie zmuszaj go, aby ci drzwi swe zamknął i od społeczności swej jak owcę parszywą odłączył. Naówczas na nic ci się nie przyda ani krew twoja, ani twe imię, ani władza; opuszczą cię wszyscy i wypowiedzą posłuszeństwo. Siła twa skruszy się w twej dłoni. Ulituj się sobie, ulituj królowej i jednemu dziecku twojemu. Upamiętaj się! Kościół zna ludzkie słabości i rozgrzesza je, gdy skrucę widzi, ale zuchwałym i krnąbrnym przebaczyć nie może.

Słuchał król burząc się zrazu, potem naigrawając i próbując się śmiać z biskupa, który równie gniewem jak szyderstwem nie poruszony, nieulekły, mówił z powagą, głosem boleścią przejętym. Zrywał się kilkakroć, jakby chciał przerwać, i w końcu obojętnego udawał, choć złość w nim coraz większa wrzała.

Stanisław ze Szczepanowa ciągnął dalej, nie zważając na królewskie gniewy.

— Po tom przyszedł tu — rzekł — abym dwojga żądał od was: oddania żony Mścisławowi i ojcowskiego serca dla ziemian i rycerstwa. Zaklinam was, usłuchajcie mnie, a nie zmuszajcie, abym w obronie przykazań boskich dobył miecza, jaki mi Kościół daje.

Bolesław, nie mogąc już dłużej utrzymać gniewu, czerwony od złości, trzęsący się, powstał i rękę wyciągając ku drzwiom, wołać począł:

— Idź stąd! Idź! Uchodź! Ręce mi drżą, nie pohamuję się, targnę! Uchodź, klecho! Nikt jeszcze nie śmiał jak ty stanąć przeciw mnie, ażeby życiem nie przypłacił. Uchodź!

Powtarzał to coraz żywszym i sroższym głosem, ręka mu dygotała.

Biskup popatrzał nań, podniósł prawicę, i przeżegnawszy nią króla, jakby odżegnywał złego ducha, krokiem umyślnie zwolnionym ustąpił, nie oglądając się już za siebie.

Gdy mu znikł z oczów, król, na siedzenie padłszy, długo

uspokoić się nie mógł, podparty na rękę, zgrzytając zębami, rzucając się, półsłowy klnąc pogańskimi, przesiedział tu sam jeden do mroku. Dwór, który z dala słyszał podniesione głosy, a poznał, iż król był w gniewie strasznym, nie śmiał do niego się zbliżyć. Nie wchodził nikt, czekano, aż uspokoiwszy się, sam zawoła albo wynijdzie.

Mrok już był, gdy nareszcie wstał Bolesław z siedzenia i szybko biegnąc, nasrożony, wypadł z izby. Czekali nań w zwykłym miejscu stojący Boleszczyce.

Król podbiegł ku Borzywojowi.

— Ujęto Mścislawa? — zapytał.

— Czatuja nań, dotąd się nie ukazał pono.

Król, nie mówiąc więcej, poszedł do izby swojej i psów, które skomlać i wyścigując się go witały.

Na Mścislawa czatowano, lecz Krysta, co go wydała sama, choć miała poręczenie, że mu nie wezmą życia, ulękła się już własnej zdrady. Krysta płochą była, zepsutą, ale słabą istotą. Wiatr nią miotał różny, skłaniała się w tę stronę, w którą powiał.

Zaledwie królowi męża wydała, ledwie król wyszedł, gdy Krysta opamiętała się i płakać zaczęła.

— A jeśli go zamordują, ja krew jego mieć będę na duszy mojej! On mnie przeklnie konając. Bronić się będzie, gdy go pochwycą, i zabiją go, zabiją. Com ja uczyniła! Com uczyniła!

Już chciała biec do króla, rzucić mu się do nóg, prosić za nim, wybiegła do progu sieni, zawstydzila się i zawahała. Chciała Bolesława do siebie zwać, ogarnął ją strach, by nie myślał, iż męża kocha i żałuje. Płakała i ręce łamała. Niewiasta płocha jednej godziny złą i dobrą, kochającą i niewierną, skruszoną i występłą być mogła, tak zmienne w niej było wszystko. Żyła na świecie jak jakieś stworzonko biedne, co po kwiatach lata, samo nie wiedząc, co robi; tym samym żądłem miód dobywa i kąsa jadownicie, a gdzie przysiadzie, tam mu na chwilę dobrze, choć drugi raz nie wróci, bo nie za tęskni.

Mścislawa żał się jej zrobiło, własnej zdrady strach. Choć

sama go wydała, ratować już chciała. A jakże wydać go nie miała, gdy od króla wydrzeć ją pragnął, z królowej czyniąc biedną wygnankę? Na dworze było tak wesoło, tak huczno i co dzień inaczej; za dworem, w lasach, na pustyni, zdawało jej się, że umierać by musiała, a śmierci bała się strasznie! Broniła się więc biedna.

Tak mówiła jej płochosc, a zabobonny strach szeptał z drugiej strony:

— Zabiją go, on umierając, cię przeklnie i rzuci swą krew na głowę twoją! Krew! Straszną krew umarłego, której niczym zmyć nie można!

Przelekła Krysta biegła już szukać ratunku u swej ulubienicy Ciarki.

— Słuchaj, Ciarko, słuchaj, dobra moja, oto masz bursztynu sznur! Co ci powiem, uczyn, proszę! Dam, co zechcesz sama. Uczyn, a zbawisz duszę moją!

— A, uczynię wszystko, co każecie, odezwała się zdziwiona i uradowana dziewczyna, przypatrując się bursztynom świecącym. — Czegóż by dla takiego sznura biedne dziewczę nie uczyniło?

— Nim mrok zapadnie, idź w bramę, mówiła Krysta. — Uważaj dobrze! Wnijdzie tam człowiek w prostej sukmanie, z czapką na oczy nasuniętą, czarny, duży, straszny! A, to ten mój stary mąż, który się za mną rozbija i zakrada się do mnie...

Ciarka zdziwiona w ręce uderzyła.

— Mąż! O, Boże miły! Mąż!

— Ale ja męża tego nie chcę! A, nie chcę, a żal mi, żeby go nie zabito, bo tam czatują na niego... powiedz mu, szepnij, że król o nim wie, a jak go ujmą, nic nie pomoże, głowę da.

Niech ucieka! Powiedz mu, że ja ciebie przysłała, że ja tobie kazała, niech ucieka i mnie nie przeklina. Ludzie podsłuchali, wygadali, zdradzili... niech ucieka... Ciarko! Ty to zrobisz dla mnie?

Ciarka, która w ręku sznur bursztynów trzymała, zawołała żywo:

— Ano, jeśli go poznam, knę się, uczynię, jak każecie... powiem mu wszystko... Niech uchodzi, nawet pójdę za wrota...

Krysta ją ku drzwiom popchnęła.

— A idź, a prędeż!

Ledwie czas mając sznur swój do serca przytulić, dziewczę się chustą okryło białą i pobiegło w podwórze ku bramie.

Wieczór już był, ale ludzi mnóstwo jeszcze z zamku i do zamku przepływało. Król ze swą drużyną wieczerzać miał na grodzie, we dworcu; na łące pod Wawelem dla gości stały stoły, ale do nich oprócz ubogiego gminu nikt z ziemian się nie zbliżył nawet. Złożywszy dań, natychmiast precz odjeżdżali wszyscy, nie chcąc tknąć ni jadła, ni napitku królewskiego. Oskarżano ich o to przed królem, jako o dowód nie chęci przeciwko niemu. Król, ramieniem ruszywszy, kazał najuboższą gawieź najwykwintniejszym karmić jadłem i najlepszym przyjmować napojem. Stała się pod namioty królewskimi prawdziwa uczta ewangeliczna, obsiadło stoły żebractwo i co najbiedniejszy lud zgłodniały. Boleszczyce i dwór pański przypatrywał się tej biesiadzie głodnych, śmiejąc się do rozpuku z chciwości, jaką okazywali, rozbijając się o mięsiwo, chleb i miody. Niektórzy, dopadłszy beczek, czerpali tak chciwie, iż padali tuż bez zmysłów i bez życia. Pachołkowie trupy odciągali za nogi i rzucali do Wisły.

Ciarka, wysłana ku bramie, spotykała jadących na to widowisko i powracających z niego. Starła się oczyma bystrymi pochwycić opisanego jej człowieka, długo na próżno. Nareszcie z dala ukazała się postać całkiem podobna do tej, o której pani mówiła. Już biegła, aby zbliżającemu się zanieść przestrożę, gdy czterej jezdni, kręcący się około wrót, opadli nagle wchodzącego i dwu z nich ręce mu położyło na ramionach. Nim Ciarka dobiec czas miała, pochwycono wchodzącego, i pomiędzy konie wzięwszy, szybko go ku zamkowi pociągnięto.

Mścisław, on to był bowiem, nie miał się nawet bronić czasu, ani próbował wyrywać, dał się wziąć i poprowadzić milczący.

Wnet jeden pobiegł o nim dać znać królowi i z rozkazu pańskiego poprowadzono go zaraz do ciemnych izb, w których więź-

niów trzymano. Stały one nie opodal za dworcem a na teraz puste były. Król więzić nie lubił, wolał wieszać i ścinać. Izby zbudowane z ogromnych drzewa kłoców, obitych jeszcze wewnątrz deskami grubymi, nie miały światła żadnego, jedne drzwi tylko okute przystęp do nich dawały. We drzwiach tych okienko, z zasuwą drewnianą, służyło do podawania jadła więźniom wewnątrz zamkniętym.

Borzywój, któremu zlecono zamknąć kazać Mścislawa, sam go tu odprowadził. Miał widać jakieś królewskie zlecenie, bo zamiast odejść, odstawiwszy go do ciemnicy, zatrzymał się, pacholkiowi nakazując z dala przyświecać pochodnią.

Wnętrze izby nad wszelki wyraz było okropne. Śmiecie, brudy i słoma zgniła zalegały ją całą, jednym stała obrzydłym barłogiem, a powietrzem jej wilgotnym i skażonym zaledwie oddychać było można. Mścislaw, którego pacholkiowie, za barki ujawszy, wtrącili do wnętrza, dał się cisnąć na przegniłą słomę, słowa nie rzekłszy; obejrzał się ledwie i padłszy leżał jak martwy, nie patrząc nawet na stojącego u drzwi Borzywoja.

Ten nie odchodził i mierzył go oczyma.

— Mścislawie, słuchaj — rzekł — żal mi cię.

— A mnie ciebie żal — odparł pan z Bużenina — ja jestem więzień, tyś niewolnik.

Boleszczyc, jakby nie słyszał tego, ciągnął dalej:

— Żal mi cię, Mścislawie, aleś ty sobie winien sam.

Śmiechem ostrym i dzikim odpowiedział na to Mścislaw.

— Tom ja winien! Prawda? — syknął.

— Albo to jednemu się żona sprzeniewierzyła! Czy dlatego się ma obwiesić? — ciągnął Borzywój dalej. — Co ty masz dla niej ginąć, kiedy ona ciebie nie chce? Sama przecież o tobie królowi znać dała.

Mścislaw się odwrócił gniewny.

— Kłamiesz! — zawołał. — Kłamiesz... Ona? To nie może być!

Borzywój się teraz śmiać począł.

— Ja ją co dzień widuję — mówił — my z nią dobrzy dru-

howie, ona króla kocha, a ciebie się boi, wzdryga się na samo wspomnienie twoje. Co ty się będziesz dla niej marnował! Czy to ona jedna na świecie?

Mścislaw, leżąc, burczał coś tylko niewyraźnie.

— Słyszysz ty, drabie jakiś! — rzekł. — Czy ona mnie kocha, czy nienawidzi, wszystko mi jedno. Co mi tam, ano ja ją chcę mieć, bom ją wziął, bo moja, i ja ją miłuję, to dość.

— Król, choć srogi, zlitowałby się nad tobą — mówił Borzywój — jestem pewny, puściłby cię wolno, ja bym ci przebaczenie wyrobił.

— Przebaczenie? — przerwał Mścislaw. — Mnie, on? Pytaj ty, czy ja jemu przebaczę!

— Szalejesz, Mścislawie — ciągnął spokojnie Borzywój. — On pan, on król, ty ziemianin prosty! Ja ci rzeknę jedno, daj ino klątwę³¹, że się nie pokażesz więcej, a Krysty się wyrzekasz, pójde do króla, da ci wolność i jeszcze co w dodatku. Co ci po babie?

— Ja jej się wyrzekać? Ja? A, nigdy w świecie! — krzyknął więzień. — Puściecie mnie, będę szukał sposobu, aby wam ją odebrać. Na to wam słowo daję. Przyjdę sam, zbiorę ludzi, ściągnę kupy, podburzę wrogów jego, pójde do Czech, do Niemiec, podpale zamek... nie dam spokoju... Zamknijcież mnie, niechaj wszyscy wiedzą, co u króla ziemianin wart któremu i żonę wziąć, i majątność, i głowę wolno... Nie macie mnie co puszczać!

Borzywój nie wiedział już, co mówić, uczynił krok, jakby odchodzić miał.

— E, żal bo mi cię! — powtórzył.

— A mnie żal ciebie i twej braci — odparł jak wprzód Mścislaw. — Służycie panu, który źle czyni, którego Bóg skarze, a was razem z nim. Co mi tam, że ja zginę w ciemnicy? Zginę albo nie, to Bóg wie, ale że wy z nim szcześnie marnie, prędzej, później, to wiem pewno... Będziecie tułaczami, żebrakami, bez czci i wiary... aż się Bóg ulituje nędzy waszej...

Odwrócił się Mścislaw ku ścianie i zamykając rozmowę, połą okrył głowę.

Borzywój, postawszy nad nim chwilę, widząc, że już nic nie

zyszcze, odszedł. Pochodnię wyniesiono, zasunięto i założono drzwi drągiem; zaducha smrodliwa i ciemność objęły więźnia.

Gdy się to działo, dziewczyna zadyszana powracała do pani, wołając od progu:

— Pojmali go! Pojmali! Nieszczęsna dola moja!

I z płaczem dobyła sznur bursztynów, trzymając go w rękach, patrząc nań smutnie, strapiona, że jej pani odbierze nie zasłużoną nagrodę.

Kryście bursztyny nie były w głowie, ręce, krzycząc, za łamała.

— A, ja nieszczęsna! A, ja przeklęta! Co ja pocznę? Gdzie się skryję? Krew jego padnie na mnie!

Rzuciła się na ławę, głowę w rękach tuląc i płacząc.

Wśród tego jęku i płaczu drzwi się otwarły, wszedł król.

Dziewczę z bursztynami w ręku, zobaczywszy go, uciekło skryć się do komory, a Krysta, posłyszawszy kroki, zwróciła głowę i blada podbiegła ku niemu.

— A, Panie mój, królu mój! — zawołała, obejmując mu nogi. — Życia mu nie każcie brać, bom ja go wydała i krew jego spadnie na mnie! Krew, krew!

Chmurno król popatrzał na nią.

— Ej, ty! — rzekł. — Nie ścięto go ani zadławiono! Oczów mu nawet nie kazałem wyłupić; i mnie go żal! Człek szalony, co się ze mną, z panem swym, chce porywać do walki! On, ze mną! Robak ten mizerny jakiś, którego zdusić mogę nogą. Tak jak ten klecha, co się za jego sprawę bierze! Ej, Krysta, czarne oczy twoje drogo króla kosztują!

Ona stojąc, płakała, chustką ocierała oczy i westchnienia z piersi się jej wrywały.

— Króleczku mój, paneczku mój, Krysta cię będzie kochała, tylko życia mu nie bierz! Klątwę rzuci na moją głowę, krwi się boję!

— Wyprosisz mu życie, niech tylko w ciemnicy przesiedzi, rozumu się nauczy. Biskupa bym z nim wsadził razem, ano poczekawszy, wpadnie mi i on w ręce.

Z oczyma w ziemię utopionymi, spokojniejsza nieco, słuchała, nie rozumiejąc Krysta, łzy ciągle z oczów jej płynęły. Król zbliżył się do niej i pogładził po twarzy. Kazał jej sięść, kazał śpiewać sobie, ale Krysta łzy miała w głosie, a i on rozchmurzyć się nie mógł. Ciężyła na nim z biskupem rozmowa, chciał ją zapomnieć, a nie mógł. Ostre wyrazy duchownego w uchu mu brzmiały jeszcze. Siadł przy Kryście pieszcząc ją i uspokajając, sądząc, że widok pięknego lica ponure myśli rozpędzi, a wśród pieszczotliwej rozmowy wracały mu ciągle na pamięć surowe wyrazy i groźby straszne. Tak samo Kryście pieśni półgłosem nucone przerywał mąż i przekleństwo, którego się lękała. Oboje roztargnieni myślami byli gdzie indziej. Wszystko by może zniósł Bolesław rychlej od biskupa nad to jedno, że on śmiał się z nim stawić na równi, wyżej nawet nad niego i, klecha jeden, rozkazywać swojemu panu.

Przesiedziawszy chwilę z Krystą, wstał król i zostawił ją samą. W królewskich izbach wieczerzały drużyny, szedł do nich w gwar ten, chcąc wśród drużyny swej, otoczony siłą na rozkazy i skinienie gotową, zapomnieć biskupa.

Miejsce jego stało opróżnione. Drużyna pańska, wszyscy owi Boleszczyce, dwór i goście, których teraz rzadko gród oglądał, jak za Chrobrego mieli na zamku zastawione dla siebie stoły. Po kijowskiej wyprawie i rozbiegnięciu się rycerstwa często też król na srom zbiegom tym, których karał, najprostszy gmin do swych stołów przypuszczał. Szedł do nich, kto chciał, bo hojność króla miary nie miała.

Dnia tego liczniejszych spodziewano się gości, ale jak do stołów pod namiotami, tak i tu nikt się prawie nie zjawił. Znajomi i krewni, na dworze króla będący, ciągnęli ich na próżno.

Leliwa, którego bratankowie niemal gwałtem wziąć na zamek chcieli, wiedząc, jak królowi te pustki przykre będą i do gniewu go pobudzą, odparł im wyrwawszy się i na koń siadając:

— Niech sobie Miłościwy Pan z tymi je, których kocha. Pokochał czerń, niech się nią cieszy, my mu tam niepotrzebni. Ano, zeszloby się może tak, że u stołu bym siedział z tym, którego bym rad na gałęzi posadził.

Wielu wprost od daniny pociągnęli do biskupa, aby okazać, że z nim trzymają.

Gdy król do izby wszedł, w której już dworskich jego wielu zgromadzonych było, rzucił tylko okiem po ludziach i twarzach, a nie zoczywszy nikogo nowego, zrozumiał, co to znaczyć miało. Brwi mu się ściągnęły w jeden pas czarny nad oczyma, poszedł na swe siedzenie i nie ozwał się do nikogo.

Dopiero, gdy Borzywój, który mu często i za cześnika służył, na skinienie kubek nalawszy przyniósł, król, zmierzyszy go oczyma, spróbował żartować.

— Gości macie dużo! — rzekł.

Borzywój ruszył ramiony; król się uśmiechał.

— Tak lepiej, znajdę ja kogo chlebem karmić moim, a nie wiem, czy oni długo chleb mieć będą i gęby do niego! Weselcie wy się za wszystkich! Do domów pojechali? — spytał król.

— Wielu pono u biskupa gościło na Skałce — rzekł z boku stojący Zbilut. — Kupa ludzi koło dworu była.

Król zaciął usta, kubek duszkiem wypił i drugi nalać kazał.

— Ano! — zawołał. — Weselciez się, bądźciez dobrej myśli, tam też u biskupa musi być wesoło! Pewnie i niewiasty mu zaprowadzili, aby go piosenkami rozrywały. Klechy to lubią, choć drugim zakazują.

Śmiać się niektórzy zaczęli, inni widocznie zakłopotali, król, jakby chciał o tym zapomnieć, krzyknął zaraz, aby mu pieśni śpiewano, aby z dala słyhać było, że na zamku i bez gości wesoło. Usłudni zawsze młodzi natychmiast jedne z najswawolniejszych piosenek rozpoczęli, a gdy jeden podniósł głos, wnet mu zewsząd zaczęto pomagać i wrzawa się stała ogromna. Przy każdej zwrotce wesołej śmiech i klaskanie się rozlegały. A król? Siedział sparty na ręku i gniewny.

Na Skałce, około domu biskupa, który czasowo mu służył za schronienie, gdyż na zamku pod strażą królewską siedzieć nie

chciał, koni i czeladzi cała gromada stała tego wieczora. Ciasnych izb kilka zapełniło rycerstwo i ziemianie od króla odepchnięci, szukając tu rady i wodza ku obronie. Biskup po powrocie z zamku przyjmował przybywających, łagodząc ich i nie dopuszczając, by zbyt szeroko skargi rozwodzili. W gromadzie jeden drugiemu dodaje żalu, rośnie ból, gniewy się rozpalają i niełacno je potem uśmierzyć. Biskup zamykał im usta, polecając przyszłość boskiej opatrzności, nadzieję każąc mieć w łasce bożej. Gdy który z nich wybuchnął krwawym żalem, kładł mu ręce na ramieniu i koił go chrześcijańskimi rady.

Izby, w których się gromadzili ziemianie, ciasne były, niskie i jak klasztorne, ubogo a skromnie wyglądały. Załedwie stoły, ławy, krucyfiks na ścianie wielki i miedziane naczynia u drzwi do święconej wody ubierały je nieco. Zamiast kobierców służyły maty; złota i srebra nikt tu nie zobaczył. Majętność swą biskup obracał na kościoły, na księgi, na ubogich i sieroty, które do szkółek gromadzić kazał. Dla siebie nie potrzebował więcej nad to, co mnichowi prostemu starczy.

Kilku duchownych stanowiło dwór biskupa, czeladzi było mało. Ziemianie cisnęli się dnia tego gromadnie, z kolei przy chodzili do pocałowania ręki, wzdychając patrzali w oczy, azali nie posłyszają słowa jakiego nadziei i pociechy. Błogosławił ich biskup, pytał i odprowadzał wyrazami niewielą. Ponieważ izby ciasne były i wszystkich przychodzących zmieścić nie mogły w sobie, ci, co uzyskali przystęp i błogosławieństwo, odchodzili natychmiast, miejsce czyniąc nowym przybyszom. Trwało to zbiegowisko do nocy niemal, gdyż każdy chciał posłyszeć coś z ust biskupa. Kilku tylko starszych za trzymał w końcu biskup u siebie i do dalszych izb wprowadził.

Gdy nareszcie tłum ten niemal cały rozszedł się, albo nocą jeszcze rozjeżdżając do domów, lub gospod szukając po przedmieściach, a niektórzy w niedostatku miejsca i obozem się a namiotami na polach porozkładali, na Skałce nie pozostało nad trzech starszych władyków; Leliwa, Mestko Kruk i Brzechwa.

Druga izba, do której ich biskup wprowadził, mniejsza jesz-

cze od pierwszej, była domową kapliczką. Tu stał mały, skromny ołtarzyk przy ścianie, przy którym niekiedy odprawiał ofiarę, częściej modlił się godziny odprawując; księga na nim leżała otwarta przed krucyfiksem między lichtarzami dwoma. Małe okienko na pół ciemną ją nawet we dnie czyniło, lecz na kominie skałki gorzały dla światła.

Oprócz trzech ziemian i biskupa, podeszły mężczyzna w sukni duchownej także się tu znajdował, w przyciemnionym kątku siedząc milcząco. Podano naprzód skromną strawę wieczorną na glinianych misach, do której zasiedli biskup tylko z milczącym swym towarzyszem. Leliwa, Kruk i Brzechwa już wieczerzać nie potrzebowali.

Wszystkim im ciężko długo trwające milczenie posępne, którego nikt przerywać nie chciał. Trzej ziemianie zdawali się oczekiwać na to, co im powie ksiądz Stanisław ze Szczepanowa; w ostatku Leliwa, który najbliżej stał, mąż letni i poważny, odezwał się:

— Miłościwy ojcze, pocieszcie nas, bo na słowo wasze rodzicielskie czekamy w utrapieniu naszym. Co czynić? Czego się spodziewać? Jak i czym ratować się mamy? Patrzycie, co się z nami dzieje. Giniemy znowu. Jeszcze pamięć pierwszych nieszczęść nie zatarła się, a oto burza nowa nadchodzi... Panu naszemu ani męstwa, ani sławy, ani szczęścia zaprzeczyć nie można. Wydzwignął ziemię z upadku, moc zdobył wielką i potęgę, lecz potęgą tą nas biednych gniecie i oto mało co brak, abyśmy z rodami naszymi poszli na łup czerni. Policzyć rycerstwo, które nałożyło głowę, trudno, a co się stało z Mścisławem z Bużenina, wie świat cały. Żonę mu zabrano, dziś jego samego na zamku ujęto i jako złodzieja do ciemnicy rzucono za to, że się ważył na podwórze.

— Panie — mówił Brzechwa — u syna mojego, który z królem do Kijowa chodził, wódarz opanował wszystko, żonę mu zabrał, dostatek sobie przywłaszczył. Syn przybiegł na głos ten, stracono go za to, że się upominał o swoje; wódarzowi żona i majątność dotąd została. W co się my obrócimy? Czerń nas wyrzeże, gdy zechce. Król i słowa nie rzecze.

Aż i Kruk począł:

— Jeśli do króla skargi nie ma, do kogóż iść, jeśli nie do was, ojczy? Radźcie, pomóżcie, ratujcie, bo oto pogany wszystko ogarną!

— Dzieci moje! — odezwał się biskup. — Wiecie, iż siebie nie żałuję. Chodziłem, błagałem, napominałem go nadaremnie, a poprawy po nim przestałem się spodziewać. Pijany jest siłą swą, zatwardziały w grzechach, a hałastrą się otoczył, co mu pochlebia i pomaga. Namaszczony jest, porywać się nań nie godzi, a i sam się zgubi, i pożre nas złością swoją.

— O, nieszczęśliwe te ziemie nasze! — rzekł Leliwa. — Małośmy to przecierpieli po ucieczce Kaźmirza, a co dziś czeka? Wszystko się rozprzega, niewolnik i parobek, czując powolność w górze, urągają się nam niemal!

Wywodzili tak żale swe, coraz nowe przykłady stawiać. Biskup słuchał smutnie. Niekiedy wśród mowy tej oczyma, siedzącemu przy stole duchownemu, dawał znaki, jakby chciał uwagę jego zwrócić na znaczenie skarg ziemiańskich. Kilka razy Leliwie i Krukowi sam biskup poddał zapytaniami zrzeczność rozszerzenia się nad klęskami kraju i nędzą, jaka mu groziła.

Stary mówił:

— Albośmy to tego pana kiedy u siebie widzieli, mieli czas poznać go, zbliżyć się, a on nas wysłuchać? Nie miał dwudziestu lat, gdy objął rządy¹¹, a nie było potem i jednego roku, żeby u siebie doma pogospodarzył, po Węgrzech i Rusi bijąc się i wojując. Z rycerstwa, co go otaczało, drudzy po lat siedem żon, dzieci ani strzechy swej nie widzieli.

— Gdy nastąpiła swawola, mówił Kruk, nie kto, tylko czeladź była winna... Słabe niewiasty ani mogły, ani śmiały się bronić. Król je wini, sukami je nazywa, że się mężom sprzeniewierzyły. Nieprawda jest, myśmy starzy na to patrzali. Nieszczęśliwe żony i córki, jako mogły, się opędały parobkom i czeladzi, uciekały po lasach, niejedna głodem zmarła i wolała śmierć niż sromotę. Wy, ojczy, znacie, boście tam niegdy proboszczem bywali, co uczyniła Małgorzata w Zębocinie¹ z siostrami swymi,



1. Bolesław Śmiały, drzeworyt z *Kroniki polskiej* Joachima Bielskiego, wydanej Kraków 1597 r.



2. „Królowa żona, królów syn” rysunek Stanisława Wyspiańskiego do dramatu *Bolesław Śmiały*, 1904 r.



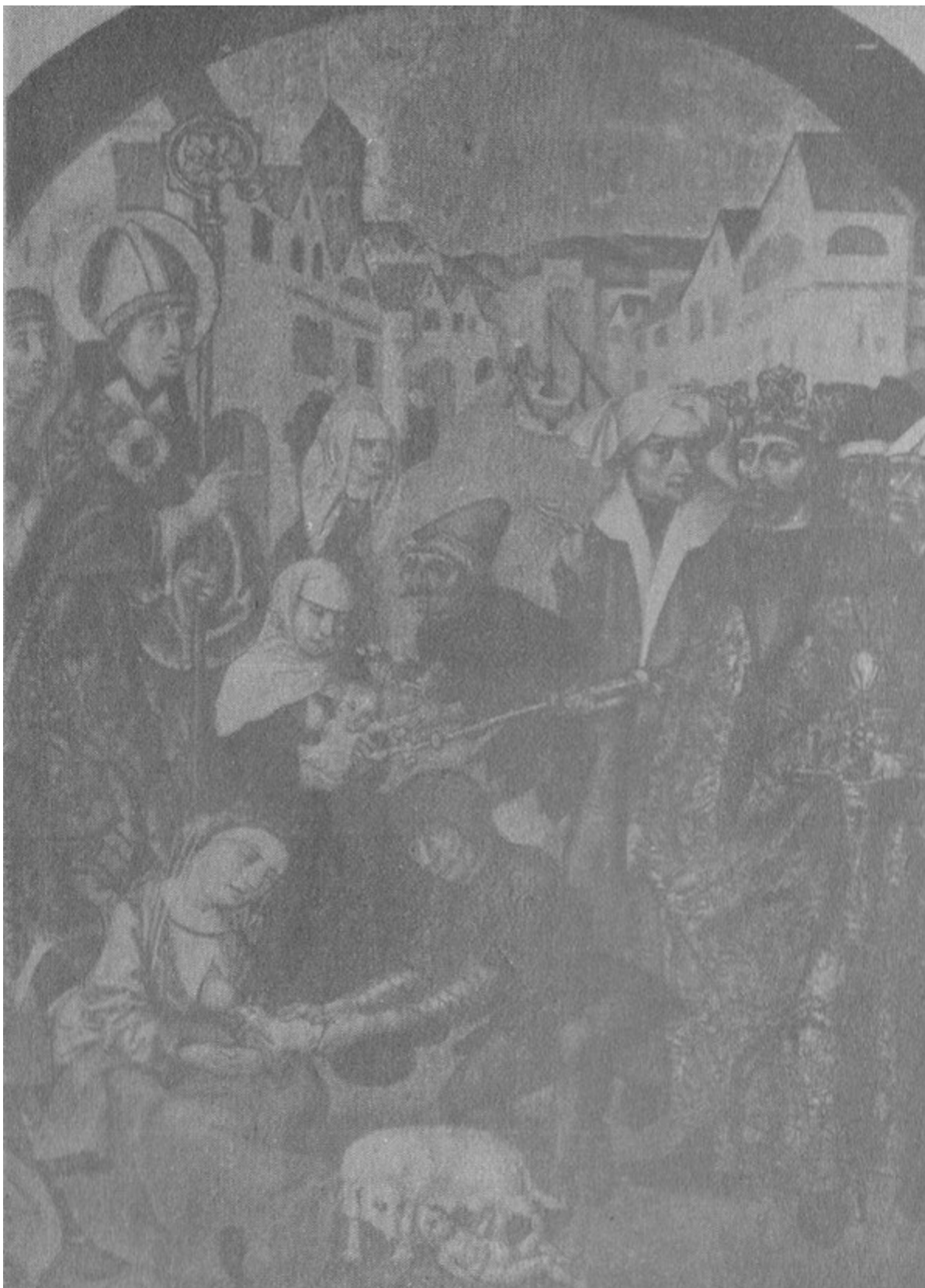
3. „Król, krasawica”, rysunek Stanisława Wyspiańskiego do dramatu „Bolesław Śmiały”, 1904 r.



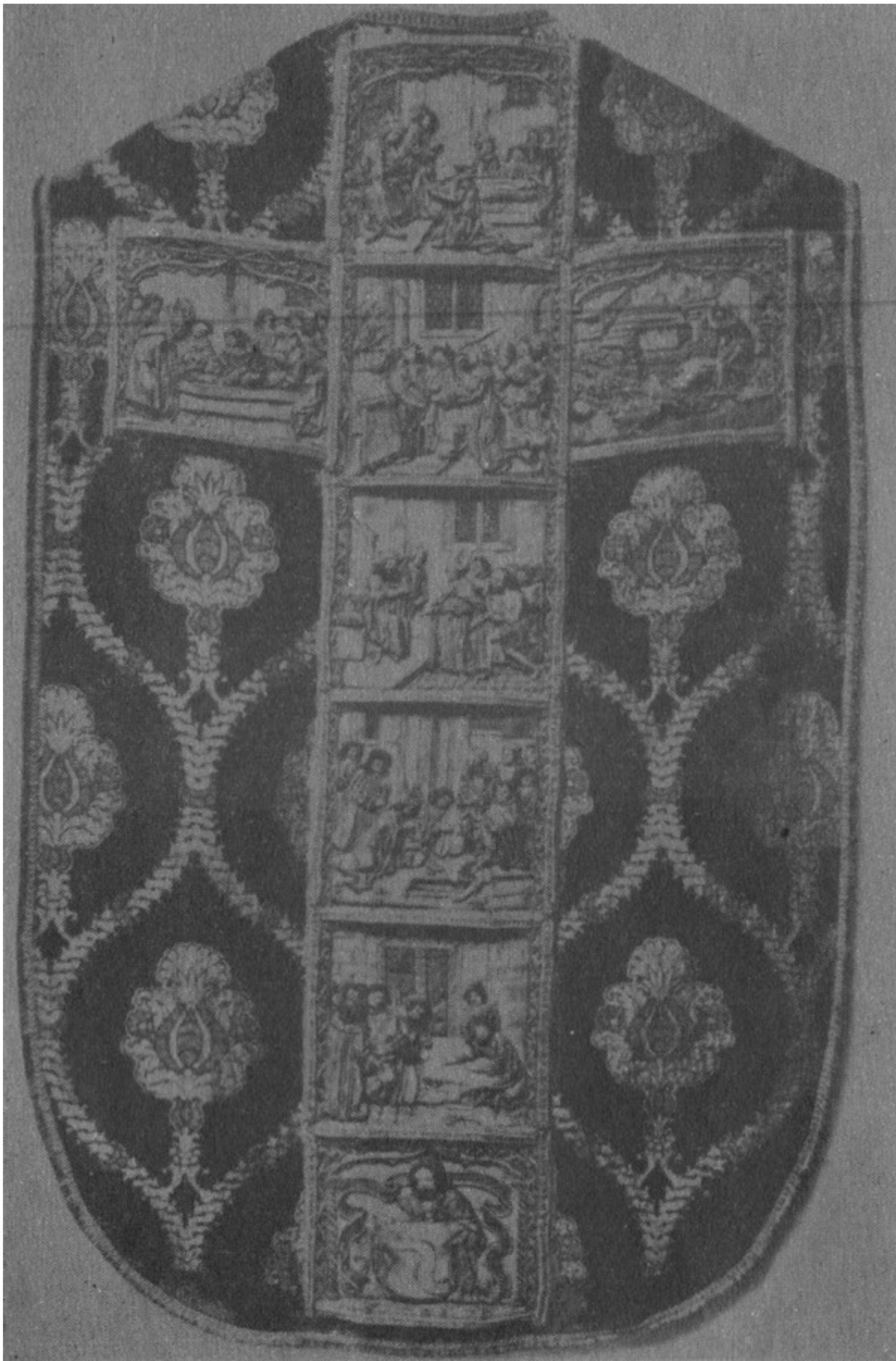
4. Bolesław Śmiały, fragment Tryptyku z Pławna, pocz. XVI w.



5. Król i drużyna, fragment Tryptyku z Pławna ze sceną ćwiartowania zwłok biskupa Stanisława Szczepanowskiego.



6. Ukaranie niewiernych żon, z rozkazu Bolesława Śmiałego, kwatera ołtarza Mistrza Legendy Jana Jałmużnika, ok. 1500



7. Ornat fundacji Piotra Kmity ze scenami z życia i męczeństwa św. Stanisława. Haft plastyczny z użyciem nici złotych i pereł, I poł. XVI w.



8. Bolesław Śmiały, drzeworyt z *Kroniki polskiej* Joachima Bielskiego

na wieży kościelnej mrąc głodem zamknięta, niż by się czerni poddać miała i zbezczęścić.

A było więcej jej podobnych. Nie wszystkie w czas ratować się mogły; niewiasty słabe, przemoc straszna, gwałt okrutny. Cóż winny one?

— A jak on ma czerń karać za gwałt na cudzych żonach — ozwał się Brzechwa — kiedy sam tak czyni, nie wstydząc się Krysty trzymać na zamku podle królowej?

Milczeli trochę, biskup też, nie chcąc im bólu dodawać, krótkimi słowy pocieszał, a gdy trzej ziemianie żale swe i skargi opowiedzieli, pobłogosławił ich i pożegnał.

— Dzieci moje — rzekł — Bóg się ulituje nad nami.

Pozostali sam na sam z duchownym, który czasu rozmowy niemym, ale uważnym był jej świadkiem. Gdy się drzwi za ziemianami zamknęły, a kroki odchodzących w dali już tylko słyszeć było, biskup zbliżył się do milczącego prałata. Siadł przy nim i ująwszy go za rękę, począł powolnie:

— Chciałem, ojczy mój, abyście sami oczyma własnymi widzieli, na własne uszy słyszeli, nie z moich ust, ale od obcych ludzi, jak się tu u nas dzieje, abyście to odnieśli królowi Wratysławowi i królowej Światawie. O poprawie, o upamiętaniu króla, o zgodzie już pomyśleć nie można; radzić potrzeba ziemi tej, aby się nie pokalała i nie ginęła. Niechaj opiekę nad nami weźmie lepiej król pobratym i pokrewny niż obcy.

— A cóż z królem uczynicie? — zapytał duchowny po cichu mową, w której się czeszczyna przebijała. Wojnę mu wytaczać? On w niej najsilniejszy, niełatwo go pożyć¹² przyjdzie.

— Sam on się zabije nieprawością swoją — odparł biskup wzdychając. — Nie potrzeba ziemskiej siły, aby go obalić, piorun boży spadnie na jawnogrzesznika. Kościół ścierpieć nie może tego, co się dzieje. Czekałem, byłem i jestem cierpliwy, ale miara się przebiera... Jeszcze chwila, a z czary nieprawości wyleje się ciecz za brzegi. Dziś on mnie, namaszczonego pasterzowi tej owczarni, której on jest najpierwszą owieczką, on mnie, nap-

minającemu go władzą od Boga mi daną, precz iść kazał jak podwładnemu pacholcowi i precz mnie za drzwi słowem wyrzucił!

Duchowny wzdygnął się słuchając i ręce załamał.

— Nie o mnie idzie, mówił biskup. Jako człowiek zniósłbym z pokorą zniewagę, ale we mnie (uderzył się w piersi), we mnie Kościół sponiewieran jest i znieważony. On chce nadeń wyższym być, a nas w sługi swe i niewolniki obrócić. Kościelnym orężem bronić się muszę.

— Cóż czynić myślicie? — zapytał duchowny z trwogą i ciekawością.

Biskup wstał i przeszedł się po izbie razy parę, stanął na przeciw ołtarza i popatrzał nań, potem oczyma się zwrócił ku oczekującemu odpowiedzi, i odparł głosem silnym, stanowczym, zmienionym, powagi pełnym:

— Wyklnę go! *Anathema sit!*¶³

Po słowach tych panowało długie milczenie. Duchowny, oczy spuściwszy, zdawał się wahać, czy miał przyzwolić na to, co słyszał, i potwierdzić, lub starać się złagodzić słuszny gniew pasterza.

Ksiądz Stanisław ze Szczepanowa stał i czekał odpowiedzi, badając go oczyma.

— Ojczy mój, odezwał się głosem cichym duchowny, nie należy do mnie, obcego tu a nieświadomego okoliczności, ani się wstawiać, ni sądzić, ni łagodzić; zważcie jednak, błagam, na jakie sami narazicie się niebezpieczeństwo. Jeżeli człowiek ten Kościołem pomiata, cóż uczynić gotów z kapłanem? Szalonym jest, pijanym siłą swą, jakoście rzekli, lecz szal taki przechodzi i pijaństwo ono się rozprasza.

Biskup stał zamyślony, spokojny, słuchając ciekawie, a gdy dokończył, rzekł:

— Nie tylko moc Kościoła całego chrześcijańskiego za mną jest, ale co najprzedniejszego w kraju, ziemianie i rycerstwo ze mną, a przeciwko niemu. Garść ledwie służalców mieć będzie z sobą, a i ci go odstąpią, gdy nań padnie piorun z góry. Pomnijcie, czym

jest kościelna klątwa! Śmierć to jest i gorzej niżeli ona. Wyklętego człowieka nie zna rodzina, nie zna go żona i dzieci, wszystkie węzły, co go łączyły ze światem żyjących w Chrystusie, pękają. Konającemu kropli wody, umierającemu strzechy i progu musi odmówić każdy; odwróca się odeń wszyscy jak od zapowietrzonego i trędowatego... Nikt mu nie winien posłuszeństwa, nikt nad nim litować się nie może. Wyklęty człowiekiem być przestaje, a staje się zwierzęciem dzikim.

Duchowny słuchał w milczeniu posepnym.

— Lecz niżeli to straszne rzeczecie słowo, czyli nie pozostaje nic? Nie godziż się próbować jeszcze?

— Nic nie skutkuje! Urągowiskiem odpowiada i groźbą. To ostatni, jedyny oręż; wszystkie inne o żelazną tę duszę się skruszyły; odtrącił, wyszydził, odepchnął wszystko. Nie zna Kościoła, Kościół go znać nie może.

To mówiąc biskup, razy kilka przeszedł się po izdebce, głowę na piersi zwiesiwszy; westchnienie mu się ciężkie wyrwało.

— Ojczy mój! — rzekł stając przed nim. — Nie obwiniajcie mnie w duszy waszej o brak miłosierdzia, lepiej jest, ażeby jeden zły zginął, niżby przezeń kraj ten i ziemie przepadać miały, w pogański obyczaj się zanurzyły, do dziczy wróciły przez rozkiełznaną rozpustę.

Tak chce Bóg, tak chce nad na rodem litość. Słyszałeś ich skargi, jam patrzył na czyny. Tarza się w rozpuście i okrucieństwach, aby okazał, iż nikomu nie jest winien posłuszeństwa, ani Bogu, ni Kościołowi. Wiecie, co uczynił dziś, aby zohydzić suknię kapłańską i stan nasz?

Duchowny dał głową znak przeczący.

— Składano mu daniny — mówił biskup. — Wezwał skarbnym kleryka do pomocy, aby mu czytał ziemie i powiaty. Król z oczów biedaka widząc, iż się mnogim skarbow przy patrywał chciwie, dozwolił mu ich wziąć, ile uniesie. Padł kleryk pod ciężarem złota złamany, na pośmiewisko czerni ze stanu duchownego. Ciało jego bez pogrzebu ohydnie do Wisły rzucić kazano. Dlaczego to uczynił? Oto, aby ludziom na oczy okazał, iż niepomiernie chciwi

i łakomi jesteśmy, wydziercy i łupieżcy, gdy on o skarby nie dba, wspaniałym jest i dobroczynnym. W kleryku tym nas spoliczkował bez bożnik, a sąd i wyrok dał niesłuszny, gdyż ubogi człek nie dla siebie, a dla rodziny złota łaknął.

— *Anathema sit!* — powtórzył biskup unosząc się oburzeniem. — *Anathema sit!* — Niech on będzie wyklęty, jeżeli nie ma być wyklętą pustynią bezpłodną cała ziemia ta za grzechy jego!

Trwało milczenie chwilę, biskup, uspokoiwszy się, przy stąpił do duchownego, który słowa już rzecz nie śmiał.

— Jedźcie, ojczy mój, rzekł, wracajcie do Pragi, opowiedzcie tam, coście tu widzieli i słyszeli, ani tajcie, co mam czynić i co postanowiłem. Uczynię to, jakem rzekł, nie lękając się go. Rzym i Kościół cały, i duchowieństwo całego świata mam za sobą, silnym się czuję, mocen jestem! Uczynię to, bom powinien, uczynię, bo kto przebacza winnemu, ten występki uznaje cnotą, a sam staje się winnym zgorszenia. Uczynię, bo mi to nakazuje sumienie kapłana, obowiązek pasterza. Rzucę nań klątwę! *Anathema sit!* Zamknę przed nim kościoły, i ogłoszę go wywołańcem. Natenczas bezpańskie ziemie nasze niechaj zajmuje Wratysław i panuje nam, aby nie stały otworem dla wrogów, łupieżą dla czerni; niech panuje, pomnąc, że na berle krzyż nosi, a tylko w imię Kościoła i razem z nim panować może!

Umilkł. Duchowny słuchał z pewnym ukorzeniem i trwogą, nie śmiejąc mu przerywać.

— Jedźcie do Pragi, powtórzył biskup. Nieście ode mnie te słowa: korona nasza bez głowy, berło świętego Maurycego bez ręki, tron Piastów bez króla, kraj bez ojca zostaje, czeka na Wratysława, aby go objął. Ziemianie przyj mą go, rycerstwo rade będzie. Dwa potężne królestwa się zjednoczą.

— A cóż się z wywołańcem stanie? — spytał duchowny.

Ksiądz Stanisław ruszył ramionami pogardliwie.

— Bóg postanowi. Piorun go może razić w polu, wilcy rozszarpać w lesie, głód zamorzyć w ucieczce, srom udusić, zgryzota pożreć, azali wiemy, co mu przeznaczono i jaką karą chłostać go zechce ten, co nie przebacza?

— Jedź, ojciec mój — dodał — mów, skłaniaj, aby byli w pogotowiu, tu im bramy otworzą jak zbawcom.

— Król ma braci, ma syna — ośmielił się cicho szepnąć duchowny.

Biskup pomyślał nieco.

— Ród to jest — rzekł — który już raz ziemianie precz wygnali, którego nie chcą. Gdyby oni znowu na tron weszli, co z sobą przyniosą? Szaleństwo Mieszka, okrucieństwo Bolesława?

Zemstę i żal? Nie, dosyć ich mieliśmy, innej nam krwi na tronie potrzeba. Syn, brat mieliby nieprzyjaciół w ziemianach samych, lękaliby się ich wszyscy. Zresztą w potomstwie Wratysława płynie krew siostry jego Światawy. — Gwałtownym ruchem ręki biskup zdał się precz usuwać, co mu na drodze stawało, i zakończył nim rozmowę, którą był znużony.

— Jedź, ojciec mój, dodał głosem osłabłym, niech cię Bóg prowadzi. Mów, coś widział i słyszałeś.

To mówiąc uściskał go, pobłogosławił, a gdy się za nim drzwi zamknęły, padł na kolana przy ołtarzyku, sparł ręce na nim, głowę skrył w dłoniach, modlił się i w psalmie Dawidowym dla uciśnionej duszy szukał pokrzepienia.

— „Smutną jest dusza moja...”**II**.

Rozdział V

Stary grodek w Jakuszowicach, który z dawnych wieków do Jastrzębców należał, za Bolesława jeszcze pozostał, jakim go wieki te ulepiły. Położony nad stromym rzeki brzegiem, u ujścia do niej małego strumienia, który się po błotach rozlewał szeroko, stał na dość wysokim kopcu, tak wałami osłoniony, iż go za nimi widać prawie nie było. Na wałach prastarych czas miały porosnąć od strony grodu drzewa i krzewy, gęstą je zielonością okrywające. Jedna ścieżyna tylko stroma prowadziła pod górę ku wałom i bramie, a wrota osłonione były przekopami, tak że ich zrazu nikt nie mógł dojrzeć, bo zawróciwszy się dopiero między nimi, dochodziło się do ostrokołów i wrót szerniałych.

Nie śmiał nikt od dawna na grodek się rzucić ani pokusić o jego zdobycie, tak za warowny uchodził. Przetrwał on największe w kraju burze, nie potrzebując się ani przerabiać, ni zmieniać. Za Ziomysłą pono starym go już zwano, a mieszkali tu zawsze ludzie z rodu Jastrzębców jako w gnieździe swoim.

Z tego gniazda jednego potoczyło się Jastrzębich gniazd mnóstwo po wszystkich ziemiach, gdyż plemię było rozrodzone bardzo i płodne, tak że nieraz stąd po dwunastu braci, synów jednego ojca, w świat wędrowało. A zwali się Jastrzębiami, Kaniowami, Kudbrzynami, Kobuzami, różnie, jak gdzie ptak się ów nazywał, co im dał miano, i od posiadłości też po brali nazwy mnogie, choć zawołanie ich najpospolitsze było Kaniowa, gdy na wojnę wici szły i ludzie się ściągali. Żył tu jeszcze teraz dziad tych Boleszczyców Jastrzębców, którycheśmy na dworze królewskim widzieli, stu lat pono dochodząc. Pamiętał on pierwszych królów, przeżył wszystko, co te ziemie widziały, i dziad oślepy z ręki sobie jeszcze władzy wydrzeć nie dawał. Synowie jego, wnuki, prawnuki, z gródka tego się rozbiegali po świecie, szukając szczęścia z orężem w ręku, rozsiadając się nad brzegami Wisły, Warty, Odry, Bugu; odumierały go żony, których miał kilka, córki powyprawiał, krom jednej owdowiałej a bezdzietnej, co mu nazad pod dach wróciła;

i tak dożywał wieku swojego, nie dając się życiu złamać, choć mu ono oczy odjęło i sił nadszarpało.

Ślepego starca poza Jakuszowicami nikt nie widywał, bo za wały swe nigdy ani wyjeżdżał, ani wychodził, ale kto go raz tu zobaczył, ten pamiętał zawsze. Mąż był silny i rozrosły, acz nie tak wielki i barczysty, jak tamtego wieku inni ludzie bywali, chudy, grubokościsty, z głową dużą i twarzą długą na suchej osadzonej szyi, z rękami wielkimi i silnymi, choć nogi miał małe i garbate. Twarz mu już była od dawna trupio po bladła, może od gniewów częstych, gdyż jak wszyscy Jastrzębce gniewał się łatwo i rozdrażniony do szału się dał dowieść. Twarz tę żółkłą posiekły mu marszczki i fałdy, jakby jedną siatką powlókłszy. Duże oczy siwe, zgasłe, zbielełe trzymał otwarte, jakby patrzył nimi, a były tak groźne i straszne, że ich wzroku, choć je wieczna noc oblokła, nikt wytrzymać nie mógł.

Siwożółty włos obfity spadał mu na ramiona, a broda do pasa sięgała.

Więc ją na dwa pasma rozgarniał, tak że jedno na lewo, drugie na prawo zarzucał na ramię, gdy mu zawadzały.

Gdy szedł, choć nie widział nic, głowę i straszne oczy podnosił do góry, usta mu już się rozwierały mimo woli, marszczył się ciągle i postawę miał jakby z trumny wywołanego upiora. Nosił się z prosta, latem i zimą w sukni z grubej tkaniny, z szyją obnażoną, a koszuli nie znał nigdy wedle prastarego obyczaju. Głos miał jeszcze potężny, choć piersi już zakłęsłe, a słuch taki, że muchy brzęczenie chwycił z daleka. Wzrok mu się tym opłacił, bo utraciwszy go, uszy sobie za prawiał, aby mu zań starczyły. Spod owej sukmany starej, gdy się rozpięła, widać było ciało porośłe jak u niedźwiedzia włosy grubymi, gęstymi, które i ręce, i twarz nawet niemal całą okrywały.

Lękali się starca wszyscy w domu, bo gniewny był, w gniewie zapamiętały, choć pod inny czas i dobrym być umiał bez miary. Gniewu zaś potrzebował jak chleba, a gdy doń powodu nie miał, to i jeść nie mógł. Gdy się rozżarł, nałajał, nasrożył, wykrzyczał, dopiero mu życie wracało.

Wzrok utraciwszy, miał zawsze pod ręką, gdyby oczy drugie,

chłopca lat dziesięciu, który go wodził, patrzył zań, a mówił, co mu kazano. Stary, rękę wyciągnawszy, za długi, spuścisty kołnierz go trzymał, w drugim ręku kij mając. Tak zamek obchodził, gdzie mu oczów chłopca nie starczyło, sam ręką macając. A palce jego, dotykając, rozpoznawały nawet twarze, tak że człeka milczącego, dłonią mu powiódłszy po obliczu, nazywał. Pamięć miał zaś taką, że kogo raz widział, czyj głos posłyszał, zawsze sobie go przypominał.

Cztery żony pochował stary Jastrząb (a miał imię wspólne innym z tego rodu, Odolaj).

Czwartą bezdzietną stracił lat już mając siedemdziesiąt i byłby się pewno z piątą ożenił jeszcze, gdyby go wkrótce nie raziała ślepotą.

— Ślepemu się żenić — rzekł — szła jest, gdy i z czworgiem oczów baby upilnować trudno.

Naówczas to córkę już niemłodą, owdowiałą Tytę wezwał do siebie, ażeby mu gospodarstwo trzymała. A choć ta lat przeszło pięćdziesiąt miała, jak małym dzieckiem nią pomiała.

Mówiono o nim, że skarby wielkie trzymał po komorach, do których i teraz nikt oprócz niego nie chodził, ale skąpy był i dzieciom mało lub nic nie dawał. Najczęściej wyprawę na drogę i oręż, aby sobie sami na życie i byt pracowali. Szerokie ziemie, do Jakuszowic należące, dużo mu dawały, on zaś sam żył jako parobcy jego, niewiele potrzebując dla siebie, i gości też rzadkich przyjmował tak, jak sam był nawykł pić i jadać. Mimo ślepoty w ręku u niego było wszystko, ludzie i klucze, a wola; bezeń tu nikt kroku nie śmiał uczynić.

Ze trzech żon potomstwo Odolaja już może jakie sto głów liczyło z prawnukami i dziećmi prawnuków. Wszystko to było rozpierzchłe po świecie. Gdy na wielką jaką uroczystość zjechało z czołobitnością do starca całe to rodzeństwo, pomimo dobrej pamięci musiał mu się każdy wywodzić, czyim był synem albo wnukiem, bo tej gromady już i stary policzyć nie mógł. A że imion w rodzie dużo podobnych się znajdowało, niełatwo było dojść, którego Odolaja syn do pradziada Odolaja przybywał.

Na grodku u niego, choć czasu największego w kraju spokoju,

taka była czujność, ład, straż, jak gdyby wojna stała u progu. Załoga z wiosek się mieniała, chodziły stróże, wrota na dany znak z rogu zamykano, a rano otwierały się dopiero, gdy pastusi bydło na pole wypędzać mieli. U wrót zawsze ludzie stali i czuwali z oszczepami. A że stary już sypiać dobrze nie mógł, dniem i nocą po zamczysku się włóczył, zwłaszcza że dla niego noc wieczną była. Swój gród znał tak, iż i bez chłopca, z kijem tylko, mógł go obejść o każdej porze, a trafił, gdzie mu było potrzeba. Kudłate psisko, ogromne, bure z oczyma żółtymi, strasznymi, nigdy go nie opuszczało. Stary ten przyjaciel zwał się Hyż, a Odolaj już cztery ich przeżył pokolenia. Nie czekał Hyż ani warczał, gdy mu się co nie podobało, rzucał się od razu, nie puściwszy głosu, szarpał i dusił. Tylko gdy niepewnym był, co ma uczynić, zaburczał, aby wywołać rozkaz starego pana. Zbliżyć się zniecka do Odolaja było niepodobieństwem.

Stare dworce na zamku, lepione i podpierane od wieków, do szop były podobniejsze niż do ludzkich domostw. Odolaj budować się nie lubił i miał przesąd słowiański względem nowych domów, które zawsze ktoś musi życiem przyplacić wedle podania. Stało więc, co tam niegdyś wzniesiono, i trzymało się, jak mogło, a gdy wichur co obalił, podnoszono tylko zwaliska i klecono na nowo. Oprócz jednego kawała z bierwion grubych, mocno pobudowanego przed laty, który się zwał izbicą, reszta komór, z gliny i chrustu połatana, niska była i licha. Dużo też dla starości w ziemię wsiadło i z dala wyglądały zabudowania jak kupa grzybów, co po deszczu wyrośnie, bo wysokie omszone dachy z dranic i słomy do grzybowych czapek były podobne. Nawet do izbicy wchodzić było potrzeba jak do jamy, w głąb, tak i ona za padła się w ziemię.

Odolaj był już chrześcijaninem, a nawet bardzo gorliwym i surowym, posty obchodził ściśle, duchownych szanował i obdarzał, ale z młodych czasów pozostało mu dużo pogańskich wspomnień i zwyczajów, których on, od nowych nauk rozróżnić nie umiając, dziwacznie mieszał z nimi. Wiara więc jego z dwojga niemal wiar połączonych się składała, a szczególnie czarów i złych duchów obawiał się mocno, czego mu nie broniono, wierzył też w zama-

wiania i uroki. Bajek o czarownikach, wiedźmach, latawicach, wilkołakach, lichu, psocie, plusze słuchać lubił i sam miał ich uzbierany zapas wielki. Znał się nawet na tym, jak czar bywał rzucony i jak mógł być zdjęty. Stare baby, posądzone o uroki, niemiłosiernie chłostać kazał, szczególnie gdy krowy mleko traciły, po czym zawsze udoje wracały obfite.

Czeladź trzymał w strasznej surowości i za przewinienia karał bez miłosierdzia, ale gdy się do kogo przywiązał, nie pomiernie dlań był łaskaw i wiarę dawał do zbytku. Człek był, mimo zbliżającej się lat setki (liku właściwie dobrze nikt nie wiedział), dosyć jeszcze krzepki, na umyśle rzeźwy i stare rzeczy pamiętający doskonale. Trzymał się pono tym, że się ciągle ruszał, bo we dnie rzadko się kiedy zdrzemnął, a nocą zbudziwszy się, przytomność natychmiast miał całą i wiedział, co się z nim działo. Gdy spał, Hyż i chłopiec siedzieli przy nim nieodstępnie i czuwali.

Wiosennego poranku właśnie Odolaj z chłopcem i Hyżem swój gród obchodzili wedle zwyczaju, a słońce przygrzewać zaczynało, gdy zatrzymawszy się na wałach, stary ucha na stawiał.

Wiatr wiał od dalekich borów, nic prócz niego słyszać nie było, ale starego uszy dalej jakoś sięgały, bo ręką wskazując chłopcu w stronę, w którą się gościniec daleko ciągnął przez pola, kręcąc między łączkami i rolami, zapytał:

— Ty, słysz! Co tam widać?

— Nic, miłościwy panie — rzekł chłopak.

— Ślepyś i ty czy co? Patrz na gościniec, trutniu, wyrap■ oczy!

Chłopak podniósł się na palcach, oczy szeroko otworzył i dojrzał kłábka kurzawy.

— Nie widać nic, miły panie, ino się pył zwija po gościńcu od wiatru albo bydło lub owce pędzą.

— Głupiś! — rzekł Odolaj. — Patrz no lepiej, zobaczysz więcej.

Hyż, jakby też mowę pańską rozumiał, stał zwrócony w tę stronę, uszy nastawił i nosem powietrze pociągał.

Nagle chłopię krzyknęło:

— Miłościwy panie, jezdni!

— Ilu ich?

Znowu tedy milczał dzieciak, a stary spuściwszy głowę, ucha nastawiał.

— Ślepiec z ciebie — rzekł — pięciu ich być musi, trutniu jakiś, mówię pięciu! Licz!

W istocie w dali już teraz rozeznac było można jeźdźców, z których dwu przodem jechało, a trzech za nimi. Panowie i czeladź.

— Mów! — rzekł starzec. Tym słowem zwykł był puszczać wodze oczom swoim i chłopak powinien był zacząć opowiadać, co widział. Chłopię poczęło:

— Przodem dwu na koniach, w zbroiczkach i hełmach, od których się świeci, czysto poodziewani, za nimi troje czeladzi. Konie u wszystkich tęgie, kłusują szybko, wprost na zamek.

Chłopak w ręce plasnął.

— A, panie — dodał — jeden z czeladzi na ręku sokoła trzyma!

— To nasi — mruknął stary. — Jastrzęby jechać muszą.

W istocie garstka ta zbliżała się ku staremu zamczysku i coraz ją lepiej rozeznac było można. Na dwu jadących przodem błyszcząły zbroje, na koniach też widać było świecideł dużo, wyglądali z pańska, i czeladź odziana była dostatnio.

Gdy stary Odolaj przekonał się, iż na zamek zawracali, zszedł z wałów i pospiesznie do izbicy powrócił, nie chcąc i w podwórzu gościom zabiegać drogi. Izba, w której siadywał, mało się różniła od wieśniaczej, choć od zwykłej świetlicy była większą. Od dymu ściany jej drewniane całe się oblokły świecąca brunatną powłoką. W górze na belkach wisiały zioła różne, odpędzające uroki, służące dla zdrowia lub przy niesione dla woni. Bystrzejsze oko mogłoby było w ciemnych zakątkach za belkami dostrzec pochowanych bałwanków, niezgrabnych, drewnianych, których wyrzucić precz nie miano odwagi. Wokół przy ścianach biegły wąskie i twarde ławy, a przy drzwiach tuż stało wiadro z wodą świeżą i czerpakiem. Półki grube, ponad ławami poczepiane u góry, za-

stawione były całe naczyniem różnym, w większej części glinianym i drobnym sprzętem, tak aby stary mógł — ręką sięgnąwszy — dostać, czego mu było potrzeba. W jednym rogu izby, gdzie ława nie sięgała, miał barłóg swój Hyż u samych drzwi sypialni pańskiej. Spał on po jednej ich stronie, z drugiej chłopiec, którego we dworze nazywano „Okiem”. Podłogi w izbie nie było, tylko tok, gdzieś tam matą słomianą okryty.

Gdy stary usiadł na ławie za stołem, weszła za nim córka jego, ubrana w sukno sine, z białym namiotem na głowie, nie wiasta krzepka jeszcze, ale raczej na służkę niż na panią wyglądająca i pokorna bardzo.

— Goście, słyszę, jadą — odezwał się — posłyszawszy ją idącą i po chodzie poznając, stary. — U nas strawa codzienna jaka tam?

— Kluski, kasza, kawał mięsa dla was. Dla gości by co przyrzucić? — spytała Tyta.

— A oni co lepszego od nas! — zawołał stary. — Mogą jeść co i my albo nie jeść.

— Ha, no — stęknęła niewiasta — powiedzą, że nie mamy nic, dom obrzydzą.

— A niech sobie gadają, co chcą! — rzekł stary nakazująco. — Dla ludzi wolę być ubogim niż bogatym, dla krewnych jeszcze bardziej. Każdy by darł z cudzego...

Tyta, nic już nie mówiąc, starła stół, obejrzała się dokoła i wyszła powoli; z Odolajem nie można się było sprzeczać. Gdy rozkazał, sprzeciwienia się nie ścierpiał.

Nastawił ucha bacznie Odolaj, twarz mu się stała posępną, widocznie gościom a swoim niezbyt był rad, bo posądzał zawsze synów i wnuki, że od niego pożądać czegoś mogli.

— Przywieźć żaden nie przywiezie — mówił zawsze — a wziąć u starego rad by każdy.

Od wrót, z koni zsiadłszy, przybywali właśnie dwaj młodzi Boleszczyce, wnuki Odolajowe, Dobrogost i Ziema. Oba postroili się w odwiedziny, jak było we zwyczaju na dworze, i rozglądali się ciekawie po gnieździe starym. Tyta czekała na nich u drzwi przed izbicą. Pokłonili się jej, bo choć dobrze nie pamiętali, wie-

dzieli o niej i domyślali się, kto była; zapytali, czy wolno dziadowi do nóg się pokłonić, oznajmując, że byli Mszczuja synowie, któremu ojcem był Mieszko, syn Odolaja.

Popatrzywszy z ciekawością i radością, która się na jej licu malowała, na pięknych chłopaków, stara Tyta dała im znak głową, aby szli za nią.

Odolaj już kroki ich usłyszał, zawczasu Hyża na barłóg wyprawiał leżeć i nie ruszać się, sam czekał.

Weszli tedy na próg, chrześcijańskim obyczajem chwając Chrystusa. Stary im odpowiedział, jak należało. Po chwili zapytał:

— Któż tam?

Tyta wzięła na siebie, aby ich wyręczyć w odpowiedzi.

— Dobrogost i Ziema.

— A którzy?

— Synowie Mszczuja.

— Którego?

— Mieszkowego — rzekł Dobrogost.

— No, Bóg z wami! — odezwał się stary chmurno i na rękę się podparł.

Przystąpili więc do nóg mu się skłonić i pocałować go w kolana.

— Jedziemy za rozkazaniem pańskim mimo Jakuszowic, odezwał się Dobrogost, chcieliśmy miłości waszej też przypomnieć się i pokłonić. Rzadko służba pozwoli wczasu.

Staremu na wspomnienie króla czoło się namarszczyło i straszliwie, a brwi siwe aż nawisły, drgnął i mruknął, jakby łajał, ale nie można było zrozumieć, co rzekł.

Młodzi przed nim stali.

— Was tam, słyszę, lik duży na dworze przy panu, rzekł, sześciu czy dziewięciu, czy więcej Jastrzębi. Was tam jak niewolników zwą Boleszczycami. Cóżście się to mu z kośćmi i mięsem zaprzędali?

Spoglądając po sobie, milczeli przybyli. Ziema, jako młodszy, nie myślał nawet odpowiadać.

— Jest nas na dworze pańskim — rzekł Dobrogost — naszego zawołania i rodu kilkunastu. A cośmy my winni, że nas przezwano Boleszczycami? Nie jednych nas tak zwa, jest i Śreniawów dosyć, i Drużynów kilku. Ludzie zazdrośni zwa nas tak, bo wiernie panu służymy i miłość królewską mamy. Nie przetośmy niewolnikami.

Stary znowu coś mruknął, jakby sam do siebie, gniewnie sparł się na rękę, siedział i usta mu się ruszały. Podniósł potem rękę z wolna grożąc i począł:

— Ej, źle z wami, młokosy, ej, źle! Do wojny królowi służyć to powinność ziemiańska, a koło mis i kubków nie nasza sprawa.

Mruczał sam do siebie niewyraźnie, a ze szmeru tego z wolna dobywały się wyrazy i głośniej już ciągnął dalej, jakby zapomniawszy, że ich miał przed sobą.

— Hę, co? Boleszczycami was zwa! Boleszczycami! Wiernie panu służycie, ha? Nawet gdy waszym braciom łby ucina? Hę? Jak nie ma kochać i odziewać, i karmić! A co będzie, jak tego pana nie stanie i do swoich przyjdzie powracać? Hę? Co poczniecie, Boleszczyce?

Znowu mowa wyraźna zmieniła się w szeptanie gniewne, do którego stary w samotności był nawykłym.

— Przystąpić tu! — zawołał do nich.

Zbliżył się starszy Dobrogost.

Starzec podniósł do góry ręce obie i z wolna powiódł nimi naprzód po twarzy, potem po zbroi, po pasie, aż do nóg, na ostatek dość silnie popchnął go precz od siebie.

— E, zgagi!!! — zawołał. — A skądże to wam ubogim te drogie zbroje, te sadzone pasy i te suknie miękkie i łańcuchy? Ojciec w siermiędze chodzi, z domu wam nie dał nic, chyba kawał zardzewiałej blachy i mieczyk lichy. Na wojnę małościę chodzili, skądże te ubiory?

Dobrogost się namyślał trochę, lecz rzekł odważnie:

— Król, pan nasz miłościwy, darzy nas, od pana przyjąć ani grzech, ani wstyd.

Starzec się rozśmiał szydersko i splunął.

— Bo wy mu do rozpusty służycie! Trutnie jakieś! — krzyknął. — Służycie mu jak psy, to wam obroże sprawia!

Zmieszali się obaj młodzi Boleszczyce, a Odolaj siedział, mruczając po swojemu i ręką w stół czasem uderzając. Za każdą razą Hyż głowę podnosił.

— Ej, wy! — rzekł nagle. — Śmierdźcie mi! Z dala ode mnie stać!

Oba się tedy do progu musieli oddalić posłuszni, ale krew się w nich burzyła, patrzali na się, pytając oczyma, po co się im do Jakuszowic zachciało. Precz by byli szli i jechali zaraz nazad, ale szanując głowę rodu, oddalić się tak nie mogli bez rozkazania.

Stary, wyczekawszy, z mrużenia do siebie począł głośniej:

— Cóż tam ten miłościwy pan? Co? Króluje, panuje nad żonkami cudzymi? Z rycerstwem się zadarł, ziemiany gardzi, biskupem pomiata, a z hołotą i czernią w wielkiej miłości żyje! Miłościwy pan... a komu miłościw? Nie nam!

Dobrogost zebrał się na odwagę, by króla swego bronić choć dobrze wiedział, iż stary się zagniewa.

— Miłościwy panie a ojczy — rzekł — ja tam nie znam wiele, ale z rycerstwem tym inaczej nie mogło być, gdy mi ono, posłuszeństwo wypowiedziawszy, zbiegło z Kijowa, samego pana niemal zostawiając. Ziemianie też mu nie życzliwsi, jak byli Mieszkowi i Kaźmirzowi, którego wygnali. Król na nich za dziada się mści i za ojca. Biskup z nimi trzyma. Ludu ubogiego król miłościwy broni, bo bez niego by panować komu nie miał, a głód by nastał na te ziemie.

— A milczże ty, gołowąsie jakiś! — krzyknął stary Odolaj, kijem bijąc o ziemię. — A milczże! Ty mnie tu będziesz uczył rozumu! Dobry pan, a żonę Mścisławowi jak wziął? Mało mu swojej?

Oba stojący u drzwi zamilkli.

— Nie nam go sądzić! — rzekł Dobrogost.

— Ale ja stary sądzić go mam prawo! — zawołał Odolaj. —

Ja i Mieszka Pierwszego, i Bolka Wielkiego, co jak słońce jasny był, i wszystkich ich pomnę, żadnego takiego nie było jak ten. Jeszcze mu z dziewcząt i żon naszych daninę przyjdzie słać jak smokowi pod Wawelem? A wy mu do tego służycie, sromotnicy!

Warczał tak starzec długo, młodzi stali słuchając i nie wiedząc, co z sobą poczynać mieli. Tyta się dawno wysunęła widząc, na co się zanosi. Widać ją było, jak poza drzwiami, przysłuchując się, niespokojnie chodziła. Odolaj łajał i srożył się. Nagle zamilkł, ucha nastawił, jak gdyby odpowiedzi czekał, ale już nawet Dobrogost nie śmiał się odzywać.

— Dobrze, żeście do Jakuszowic zajechali — rzekł w końcu — dawnom ja za którymi z was słać chciałem... Wróciwszy na dwór, powiecie swoim wszystkim Jastrzębiom, ile ich tam jest, że ja ich za ród mój i krew moją znać nie chcę, póki w tym kale zostaną. Na wojnę idźcie, niech was i pozabijają, jest dzieci dość, narodzi się ich jeszcze więcej, ród nie przepadnie, a po barłogach dworskich się wylegać wara!

Potrząsał swoją siermięgą.

— Jak ja grube sukno nosić, bławatów nie tykać, gruby chleb zjeść, to wasza powinność i służba. Postroili was na pośmiewisko jak królewską kobyłę, która, słyszę, też w złotogłowie¹ chodzi. Zrobili z was czeladź nie drużynę. Ej! Śmierdźcie mi, śmierdźcie, Boleszczyce!

Dobrogost, widząc go tak niełaskawym i miarkując, że już nic do stracenia nie mieli, znów się ośmielił odezwać:

— Miłościwy ojcze, króla opuścić, gdy mocen i szczęśliwy, toć się godzi na rozkazanie ojca, ano, gdy go wszyscy odchodzą...

— Chłystek mnie rozumu będzie uczył! — warknął stary. — Trutniu jakiś, zgago przekłeta! Twoja sprawa słuchać starszego, nie z ojcem iść zęb za zęb...

Rzucił się aż Odolaj; młodzi oba, usta zawarłszy, stali.

— Mówię wam, do domu wszyscy! Na cztery wiatry... ażeby was tam nie było! Nie, to ja was nie znam! Śmierdźcie mi, Boleszczyce, Boleszczyce nie moja krew. Com rzekł, to musi być, a nie posłuchacie, toście jego, nie moi, prawi Boleszczyce, a nie

Jastrzębie. Sukmany włożyć, zbroję prostą i na rubieże, gdzie się tłuką, nie na zamku, gdzie z cudzymi żonkami skaczą...

Gniewał się stary, lecz że już odpowiedzi nie było, powoli uspokajać się zaczął. Mruczenie zeszło na szept, marszczki z wolna się rozciągnęły, posiedział milczący, westchnął i już głosem innym zapytał:

— Po co i dokąd was posłano?

Naturę miał taką, iż gdy mu nie odpowiadano i nie przeciwiono się, a dano wysierdzić, stawał się coraz łaskawszym i niekiedy nawet za gniew słodkim słowem płacił.

Dobrogost i Ziema, którym z tyłu Tyta szepnęła słowo, stali teraz pokorni i niemi. Na ostatnie pytanie odpowiedział starszy, że daniny zaległe kazano im tu i owdzie zakazywać, bo ich wiele do skarbu nie podwożono, a król, obficie rzucając złotem, dużo też go potrzebował. Posługa ta nic w sobie nie miała upokarzającego. Stary też nie rzekł już nic, pomruczał coś sam do siebie i spytał:

— Głodniście może?

Dali na to odpowiedź obojętną.

— A juści was Tyta stąd nie puści nie nakarmionych — rzekł łagodniej, a chłopca posłał też, aby konie napasiono.

Natychmiast Tyta strawę podawać kazała, prostą, taką jak dla wszystkich zgotowaną mieli. Przyniosły ją dziewczki na misach glinianych, z łyżkami drewnianymi i na stole postawiły. Kazano chłopcom siadać i jeść, co też dopełnili z ochotą, radzi, że się łajanie i gniewy skończyły. Stary, o ten sam stół oparty, głosem już znacznie zmienionym, spokojniejszym, rozpoczął wypytywać o dwór i króla.

Dobrogost, który jak wszyscy Boleszczyce, przywiązany doń był, źle mówić nie mógł.

— Pan dla nas jest dobry, odezwał się, o lepszego trudno, dla swej drużyny nic nie żałuje, ale nieposłuszeństwa w nikim nie ścierpł, buty nie zniesie od nikogo, choćby jak on królem był.

— Takim ci on był od początku! — zawołał Odolaj. — Pa-

miętają, jak owemu kniaziowi, co go prosił, żeby naprzeciw niego wyjechał, za każdy krok koński sobie płacić kazał, a potem na śmiech za brodę go wzięwszy, jak na urągowisko w twarz całował.

Młodzi, co o tej przygodzie nieraz słyszeli, śmiać się za częli.

— Nie lepiej się i z Węgrzynem obchodził — mówił Odolaj — bo go na tronie posadziwszy, jak we własnym domu chciał się rządzić w jego królestwie.

— To nic, to nic — dodał stary — ano mu od duchownych wara! Królowie zniosą, oni nie!

Milczeli młodzi.

— Już się z biskupem zadziera — mówił ciągle Odolaj — z biskupem! Biskup Stanko tu u nas ojczycem jest w Krakowskim, pójdą za nim wszyscy! Człowiek to od króla pewnie mądrzejszy, umarłych z grobu wywodzi! Niech no patrzy, aby mu słowem śmierci nie zadał. Biskup to taki, co gdyby czarnej sukni nie nosił, do pancerza by się zdał. Nie złęknie się go i nie ustąpi kroku.

Mówiąc to, starzec coraz się uspokajał, łagodniał i już nawet uśmiechać się poczynął, sierdzistość mu przeszła; jeść zapragnął, chleb łamał i chciwie go pożerał, w soli maczając.

potem miodu kubek podać sobie kazał i popijał powoli.

Młodzi, zjadłszy i pokłoniwszy się, chcieli, korzystając z dobrej chwili, do odjazdu się zabierać, gdy Tyta wbiegła do izby i znać dała Odolajowi, że kilku jakichś ziemian na zamek jechało. Ktoby był, powiedzieć nie umiała.

— Ty, młodszy, jak cię zowią, Ziema? — zawołał stary. — Ty, służko królewski, posłuż no dziadowi, a żywo! Idź mi zobacz, co za jedni, i daj wiedzieć tu wprzód, nim zsiądą. Oczy masz, a ludzi znać musisz, choć ci, co do mnie jeżdżą, na dworze bywać nie zwykli.

Natychmiast Ziema, słuchając rozkazu, poskoczył ku drzwiom i zniknął. Ruchem jego zaniepokojony stary Hyż rzucił się na barłogu, jakby chciał za nim pogonić. Stary, usłyszawszy poruszenie jego, odgadł, co pies myślał, znając jego naturę, krzyknął nań

i leżeć mu przykazał. Psisko z niechęcią na pościel wróciło, zakręciło się na niej razy parę i legło, skarżąc się i stękając.

Po chwili, skoro się uwinąwszy, Ziema wrócił oznajmując Leliwę, Kruka i Brzechwę. Usłyszawszy o nich stary się po gładził po głowie i czekał. Tuż za nim i oznajmieni na próg weszli, lecz dwu Boleszczyców zobaczywszy, których i z twarzy, i po stroju poznali zaraz jako królewską drużynę, nachmurzyli się, popatrzali na się i przystąpili z witaniem chłodno jakoś a milcząco.

Stary Jastrząb wiedział dobrze, iż do niego nikt w gościnę nie przybywał nadaremnie, dla zabawy. Przyjeżdżali tylko ci, co albo obowiązek mieli, lub potrzebę. Wysłuchawszy pozdrowienia, posłał po miód, gości posadził czekając, co mu też powiedzą.

Ci, spoglądając z ukosa na Dobrogosta i Ziemię, milczeli długo, prawili rzeczy obojętne, jako na łąkach trawa rosła i zboże się podnosiło, gdzie zwierza było więcej, a skąd go wypłoszyły wilki. Stary czekał, zgadł czy nie, co im usta zamykało, a po chwili Dobrogostowi rzekł, aby z bratem szedł opatrzyć stadninę i tegoroczną młodzież. Radzi wielce wysunęli się dwaj Boleszczyce.

Nasłuchiwał Odolaj za krokami odchodzących, aż gdy posłyszał, że odeszli za węgiel izbicy, odezwał się:

— A co was, miłościwi moi, sprowadza? Jać to wiem dobrze, że do mnie ani moje kluski proste, ani miód twardy gościa nie ściągną. Chcecie pewno czego ode mnie, a przy tych gołowąsach mówić nieraźnie było, bo to królewskie służki.

— Ano, tak — rzekł Leliwa — przy młodych o to zagadać nie można było. Wy jesteście głową rodu, waszych tam Jastrzębi przy królu mnogo, wszyscy ci Boleszczyce u boku mu stoją, podpierają go, służą. Przez nich on silny. Przyszedł ten czas, że go wszystkim odstąpić będzie trzeba, niechaj i wasi idą precz, niech go porzucą. Macie prawo im rzec żeby tam ich noga nie powstała. Nie trzeba wam mówić, co się dzieje, król z biskupem wojuje i z Kościołem, kto z nim będzie trzymał, ten ani na próg do Kościoła, ani do kapłana przystępu mieć nie będzie. Czas, żeby wasze wnuki pamiętali skąd wyszli, i odstąpili go wraz z nami.

Odolaj brodę gładził.

— Jak po to jechaliście, to nie było z czym jechać — rzekł spokojnie. — Ja właśnie im głowę zmyłem i dałem rozkazanie, aby mi wszyscy natychmiast precz ze dwora szli.

— Sprawiedliwie! — pochwalił Leliwa. — Król się nam sprzeniewierzył, ani obyczaju już znać nie chce, ani miary w niczym. Dziewki i żony ziemianom porywa, a mężów i ojców do ciemnicy sadzi. Biskupom grozi, rycerstwo swe katuje, czerń mu tylko miła... Niechże mu ci służą, których kocha, a my jako jeden idźmy precz... idźmy precz!

— Idźmy! Idźmy! — powtórzyli za nim drudzy.

Kruk dodał:

— Kiedy o nas nie myślą, trzeba nam myśleć o sobie.

A Brzechwa rzekł:

— Łatwiej nam będzie o pana niż jemu o królestwo. Szanowała go Ruś i Węgry, bośmy my za nim stali, nie stanie nas, zobaczy, czy mu kto da w pomoc by jednego człeka. Niech próbuje!

Odolaj milczał, wąsami potrząsając, gładzając głowę.

— Tylkom co jak psów łajał wnuki, że z nim trzymają. Kazałem im ze dworu precz iść.

Teraz wam, miłościwi moi, pora prawdę rzec. O pana też niełacno! Z orężem rznąć, palić i lud nam wyprowadzać przyjdą i Czechy, i Ruś, i Ugry, i Niemcy, jak zobaczą, że gospodarza nie ma, a ziemie stoją otworem. Szarpać po kawałku będą radzi! Czemu nie? O króla nowego, co by z nami wyrósł i do nas przyrósł, niełatwo! Hę hę! Choćby on jaki był, swój jest!

Leliwa, Brzechwa i Kruk, głowami potrząsając, milczeli, jakoś im to w smak nie szło, a nie wiedzieli, czym zbijać starego, bo i to prawdą było. Pamiętali wszyscy wygnanie Kaźmirzowe, Masławowskie czasy¹³, i co naówczas wszystkie ucierpiały ziemie, a wiara chrześcijańska.

Starzec milczał też czas jakiś, odpowiedzi czekając, a potem począł z wolna:

— Co mnie staremu grzybowi do was i do spraw waszych, blisko mi setki. Nie widać ino, jak sowa przyleci, na dachu usię-

dzie i zawoła: „Do mogiły! Do mogiły!” Tymczasem moje Jakuszowice nie z brzegu, zamek się i w burzę ostoi. Mnie zawierucha nie straszna, ano innym! Ważcie dobrze, w palce trącajcie, co lepiej.

— I to prawda — mówił Leliwa — uchowaj nas, Boże, od tego, byśmy bez pana zostali! A tak, jak jest, też nie może być. Dopóki duchowieństwa nie tknął, choć nam głowę z karku zdejmował, co poczynać było! Cierpieliśmy, milczeli. Nie dość mu nas, z Panem Bogiem i sługami jego wojny mu się zachciało! Biskupi mu są równi, tak namaszczeni jako on, a Rzym nad nim, przeciw nich się nie ostoi.

Drudzy też potwierdzali:

— Nie ostoi się!

Odolaj nic nie odpowiadał, po długiej chwili oczekiwania dopiero począł, spartłszy się na dłoni, jakby sam do siebie:

— Krew ci to nasza! Bujna! Wojak jest! Jak nie wojuje za domem, doma mu wojny trzeba. Gdyby się z kim miał tłuc, zaraz by to wszystko ustało. Cała bieda, wojny nie ma; znajdziecie mu swar jaki, zadrzyjcie się na granicy, nie, to wam baby pozabiera, a biskupom czapki z głowy pozdziera. Taka krew! Taka krew! I zaraz mu swawola w głowie, ano i Bolko stary na kobiety był łasy... Ten od mężów, a tamten i z klasztorów Panu Bogu odbierał! Taka krew...

— Co bo mówicie! Bronicie go! — począł zgorszony Brzechwa. — Wy stary, a czy to się godzi? Patrzcie, co się dzieje. Mścisławowi nie dosyć, że żonkę porwał, jego jeszcze do ciemnicy posadził, że się na zamku śmiał pokazać. Mówią, że go stracić mają.

— Do takich spraw — dodał Leliwa — Jastrzębiom służyć się nie godzi. Kaźcie im iść precz.

Kto wie? Gdy i oni, i drudzy, a wszyscy go rzuca, służbę mu wypowiadając, opamiętać się może.

— Albo chłopów zwoławszy, łby im poucina — rzekł stary Odolaj — zawsze to lepiej, niż opaskudzone nosić na karku... Ano!

Przyniesiono miód ów, o którym zapowiedź była, że twardy miał być, w istocie chmielem był mocno zaprawny, gęsty i czar-

ny jak smoła, pili go jednak wszyscy, rozprawiali znowu, a stary, przypomniawszy wnuki, które do stada wyprawiał, chłopcu ich do siebie pozwać kazał.

Stali już oni, czekając na to pode drzwiami, i stawili się natychmiast.

Wobec Leliwy, Kruka i Brzechwy innym już głosem starzec im rzekł poważnie a surowo:

— Czas wam w drogę, jedźcie z Bogiem. Mówiłem, czego po was żądam. Precz ze dworu ustąpić macie albo mi się w Jakuszowicach ani pokazać więcej, ani nawet na pogrzeb mój.

A teraz w drogę!

Dobrogost i Ziema przyszli do kolan i do ręki, stary ich pobłogosławił i powtórzył:

— Wszystkim Jastrzębiom to zanieście, taka wola moja.

Wyszedszy z izbicy, młodzi Boleszczyce do Tyty jeszcze się szli żegnać, która ich w milczeniu uścisnęła. Cały dwór żeński, mężczyzn też, parobków i czeladzi dużo, wybiegli na tych wnuków starego pana, tak pięknych, młodych, ślicznie strojnych i zbrojnych popatrzeć. Z czeladzi zamkniętej na smutnym zamczysku niejeden by był chętnie się do nich przyłączył, bo na ich pacholkach widać było dostatek i swobodę, jakiej zażywali. Odprowadzano ich tłumnie do bramy, patrzano za nimi długo, tęsknie, gdy się oddalali.

Milczący jechali czas jakiś, spoglądając na się a głowami potrząsając. Dopiero gdy w las wjechali, rzekł Dobrogost:

— Cóż pocniemy? Żle się z panem naszym dzieje! Wszyscy już przeciwko niemu. Choćbyśmy ja i ty starego posłuchali, czyby nam dali wiarę: Borzywój, Zbilut, Odolaj, Andrek albo i drudzy? Zechce się to im iść ode dworu? Dokąd? Na ojcowiznie nie ma co robić, nas dużo, co my pocniemy?

Ziema na to rzekł:

— Albo ja wiem! Co stary mówił, to im odnieść musimy, a radzić będą wszyscy i co wszyscy zrobią, to i my...

— Pan dobry! — zakończył Ziema.

— Dobry on dla nas — westchnąwszy rzekł Dobrogost —

ano dla siebie zły. Mało i tak wrogów miał, żeby ich jeszcze robić sobie? Teraz kto popędliwego pana z biskupem pogodzi? Zawre wojna w domu, zawre! Bieda jemu, bieda nam, bieda!

Posmutnieli Boleszczyce.

— E! — mówił dalej pierwszy. — Zażyliśmy dobrego czasu z nim, musimy i złe przetrwać. Jak go tu rzucić i jemu się sprzeniewierzyć, gdy wszyscy odstępują? I pies przecie rannego na polu bitwy nie odstąpi.

Ziema potwierdzał skinieniem.

— Żle jest bardzo z nami — rzekł cicho — gorzej niż wy myślicie. Mam na zamku starego księdza, który łaskaw jest na mnie, straszne rzeczy mówi.

— Co? — zapytał, przysuwając się, Dobrogost.

Ziema zadrzał, oczy spuścił, jakby się obawiał nawet wyjawiać, co usłyszał.

— Król niedawno, rozgniewawszy się, biskupowi z zamku precz iść kazał, z księdzem Stankiem niedobra sprawa! Odgraża się nań, słyszę, że go w kościele kłąć będzie i na próg domu bożego nie wpuści. Staruszek ksiądz, gdy mówi o tym, łzami się zalewa. Ścisnął mnie zaklinając, abym i ja, i moi precz od króla szli, bo z nim dusze pogubiemy. Gdy go wyklną, ktokolwiek z nim trzymać będzie, wyklęty zostanie, na próg do kościoła nie puszczą, wolno zabić, kto zechce. Za to kary nie ma.

Dobrogost wstrząsł się cały.

— To nie może być, aby się ważył na króla!

— Biskup? — odparł Ziema. — Ależ on nad sobą nikogo nie ma, tylko papieża w Rzymie, i nie lęka się nikogo.

— Nie może być! — wołał Dobrogost.

— Gdy króla wyklną, innego na tronie posadzą — mówił Ziema. — Pewnie go już biskup i ziemianie opatrzylili.

— Nie! Nie! — gwałtownie dodał starszy. — Nie może to być! Król! On by śmiał porwać się na niego? Nie znają króla!

— Ale wyklętego wszyscy opuścić muszą — rzekł Ziema — tak mi mówił ksiądz. Cóż poradzi sam?

Zadumał się Dobrogost, a młodszy ciągnął dalej:

— Gdy go wyklną, na głowie wyklętej już korony nosić nie będzie mógł, słuchać go nie zechce nikt. Wezmą Światawy syna lub męża, bo się, słyszę, już i na to zważają.

Dobrogostowi brwi się ściągnęły.

— I toś już słyszał! Dobrze dzieją się rzeczy, ano i nasz pan nie śpi! Ale trzeba, aby o tym wiedział.

Uląkł się Ziema i przyskoczył do brata.

— Czyń sobie, jako chcesz, ale mnie w to nie ciągnij! Ja na nikogo świadczyć nie chcę!

Ruszył na to Dobrogost ramionami.

— Prawdę rzec — dodał — nie nasza to sprawa, ja też i palców między drzwi kłaść nie myślę; ale z sobą się naradzić trzeba, co poczynać, bo już nie igraszki to są. O króla idzie i o naszą skórę. Z ziemiany i rycerstwem jeszcze by się pan połagodził, a z biskupem trudno.

Człek to jest żelazny. Wiecie, jako do Brzeźnicy raz jechał, aby tam kościół święcił, a w progu domu u Janka z Brzeźnicy, co Panu Bogu wystawił kościół, znalazłszy go nie wedle prawa żyjącego z niewiastą, z którą ślubu nie brał przed księdzem, pod jego dachem nawet nocować nie chciał. W słotę, na łące, bez namiotu całą noc spędził, aż Janko go musiał nazajutrz, w nogi całując, przeproszać, o ślub prosić i pokutę; dopiero się dał przebłagać i kościół mu poświęcił. Wszyscy owi ze Szczepanowa, i ojciec jego Wielisław, i dziad, ludzie twardzi byli jako on. Król też kamienny jest, gdy się z sobą zetną, Bóg jeden wie, co będzie. A stanie kto między nimi, najpewniej go zgniotą.

Rozmawiali tak całą drogę aż do noclegu, oba zasmuceni i chmurni; ciążyło im dziadowskie przykazanie i groźby, a miłość do króla łatwo się go wyrzec nie pozwalała. Ze starym Odolajem nie było żartu, króla też obraziwszy, nie można się było spodziewać przebaczenia. Sami nie wiedzieli, jak radzić i co czynić, lecz na to był brat starszy i drudzy Boleszczyce, by coś postanowili. Nazajutrz, trapiąc się myślami całą drogę, do Krakowa się zbliżyli.

Gdy się Wisła i Wawel ukazał z dala, westchnął Dobrogost, wspominając na dobre i wesołe dni, jakie tu przeżyli, i na to, co

się gotowało dla grodu tego i ziemi. Wjechali na zamek smutni, a czeladzi konie zdawszy Dobrogost, który długo nic w sobie trzymać nie lubił, pospieszył do izb, które zajmowała drużyna, chcąc zaraz swoich zwołać i niezwłocznie radzić nad tym, co wieźli z sobą.

Zobaczywszy ich z powrotem, bracia i bratanki, wszystek ród, którego przy królu było wiele, gdyż jeden cześnikiem, drugi przy komorze, trzeci przy skarbcu był postawiony, a w drużynie też znajdowało się niemało, poczęli się gromadzić do przybyłych, chcąc się dowiedzieć, czy gdzie u swoich nie byli i co z sobą nieśli. Było bowiem zwyczajem Jastrzębi, że, na swobodę się wyrwawszy, zawsze do gniazd swych, do Jakuszowic, Zborowa i innych dworów zaglądali. Otaczać ich wszyscy poczęli kołem i pytaniami zarzucać wesoło, ale spostrzegli wnet po Dobrogosta twarzy, iż z niedobłą jakąś wieścią powracał. Do nadchodzącego Zbiluta zawołał niecierpliwie:

— W Jakuszowicach byliśmy, u starego Odolaja, mamy od niego nakaz i polecenie, niechaj się wszyscy z nas zejda.

Na ten głos natychmiast gromadzić się zaczęli, gdzie jeszcze który był, aby dziadowskie usłyszeć słowo. Tymczasem napierano daremnie Ziemę i jego, aby mówili; młodszy to na starszego zdawał, a Dobrogost poty się odzywać nie chciał, ażby wszyscy swoi się ściągęli.

— A cóż ze starym się dzieje? — poczęli żartować niektórzy. — Czy się jeszcze raz nie ożenił? Zawszeli z Hyżem chodzi i Okiem, a łaje i bezcześci?

— Toć was musiał obficie obdarzyć — zaśmiał się inny — bo to wiadoma rzecz, iż szczodry jest wielce, gdy w skórę bić każe.

— Dałże wam choć jeść? — spytał trzeci.

Na te żarciki młodzieży, Dobrogost głosem silnym odpowiedział:

— Stulcie no gęby, nie nam na głowę domu wygadywać! Zobaczycie, jak postarzejecie, czy będziecie go warci! Milczelibyście lepiej!

Zmiarkowała młodzież, że nie w czas przedrwiewać się wzięła, i zamilkli wszyscy. Gdy już izba tak pełną była, że prawie nikogo z Jastrzębi nie brakło, a na najmłodszych, co się gdzieś w kąty pozaszywali, czekać nie myślano, odezwał się Dobrogost, obracając do Ziemy, którego przy sobie postawił.

— Poświadczy on, co ze mną razem był i słuchał, jako prawdę mówię. Stary Odolaj nałajał nas za to, że przy królu stojemy, i nakazał, aby wszystek ród jego precz szedł ze dworu, albo nie, to nas za swoich znać nie chce! Nie posłuchają — rzekł — to i na pogrzebie moim żeby ich noga postać nie śmiała!

Naprzód milczenie długie, a potem krzyk powstał i wrzawa; pierwszy Borzywój przypadł doń bliżej.

— Toż co jest? — krzyknął. — Co się staremu stało? Jak że to może być?

— Ze starości mu się w głowie pomieszało — dodał drugi. — Przezcóż i dlaczego precz iść mamy? — pytał trzeci.

— Toć to pono odgadnąć nietrudno — rzekł Dobrogost. — Widzicie, co się dzieje, króla wszyscy odstępują, ziemian sobie naraził. Biskupa wypchnął precz i pogroził mu, wszyscy na niego. Chcieliby, abyśmy i my opuścili pana. Łaja nas, że my mu do swawoli pomagamy.

— Myśmy nie kapelani, nie spowiednicy, abyśmy mu nauki dawali — ozwał się jeden z gromady. — Drużyna pańska, za naszą głową idziemy, to nasza powinność.

— My byśmy go mieli teraz rzucić? — przerwał inny. — Dobrego czasu zażywszy z nim, gdy zły nadszedł, uciekać!

— Pewnie! — zawołał gwałtownie Borzywój. — Kiedy nas w złotogłowy odziewał i sypał nam złotem, kiedy nam z nim dobrze było, mieliśmy służyć, a w złej doli do nory. A co byśmy naówczas byli warci? Stary z Jakuszowic oczy stracił, świata nie widzi, co mu ludzie prawią wierzy, i chce, byśmy go słuchali!

Zamilkli wszyscy, szmer tylko słychać było w gromadce.

Odolaj w kącie stojący spojrział na Borzywoja złośliwie i szepnął półgłosem do ucha sąsiadowi:

— E, e! Borzywojowi bodaj od Krysty ciężej by było precz iść niż od króla!

Rozśmieli się niektórzy, Borzywój z dała mu tylko pięść pokazał.

— Będziesz ty mi przekąsywał, gołowąsie!

— Prawcie no nie na śmiech, a co należy — przerwał Dobrogost. — Przyniosłem wam wiernie przykazanie dziadowskie. Nie posłuchamy go? Wiecie, jaki człowiek z niego i co nas czeka. A cośmy wówczas warci, gdy nas od pnia jak suche gałęzie odetną? Chyba jak susz do pieca.

— Ja mówię tak — z kąta siedzący na ławie daleko ozwał się Bohdaszko Kaniowa — ja mówię tak: gdybym żonie przysięgał, dochowam wiary, przysięgłbym panu, wiary mu nie złamię, gdybym wróblowi na strzesze słowo dał, to je strzymam i koniec.

Drudzy szmerem to potwierdzali, część milczała; zafrasowanie widać było na wszystkich twarzach.

— Kto chce, czyja wola, niech idzie od króla za parobka do Jakuszowic — rzekł Borzywój — ja nie pójdę. Dziada szanuję, ale gdybym dziś do niego wrócił, i garści słomy mi nie da, a trzeciego dnia i od miski odpędzi; jam tu ojca znalazł i z nim trwam. Były dobre dni, żyło się z nim; nastaną złe i te przeżyć trzeba; kto śmietanę zbierał, niech i kwaśne mleko wypije.

Dobrogost targał młodą bródkę milczący.

— Ja wam powtarzam to, co mi kazano, stary wszystkim ze dworu precz iść każe.

— Co ty uczynisz? — spytał Andrek.

— No, a ty? — odparł Dobrogost.

Wszyscy się wahali, jeden Borzywój powtarzał śmiało:

— Co będzie, to będzie, ja z nim.

— A jak się nas wyprą swoi? — spytał Zbilut po cichu, spoglądając ku niemu.

Nikt nie odpowiedział; wtem Bohdaszko z ławy począł znowu:

— Kłaniali się i prosili, aby nas do drużyny przyjęto, król

łaskaw przygarnął, teraz inny wiatr zawiał, każą iść precz. Kto w państwie gospodarz?

Ja nie wiem, mnie się zdaje, że król, i jego słuchać trzeba.

Nie chcąc wszystkiego głośno wypowiedzieć, Dobrogost Borzywoja wziął do kąta i dopiero mu na ucho szepnął, co od księdza doszło, że na króla klątwę rzucać miano, kogo innego na tron pozywać i tak dalej.

Starszy, choć się namarszczył słuchając, niewiele to sobie znać ważył, bo wciąż głową, nie dowierzając, potrząsał. Dał Dobrogostowi wypowiedzieć wszystko, ale go to nie tknęło.

— Albośmy mu druhami i drużyną — rzekł — albo najemnikami. Gdy pan tonie, najmit siebie ratuje, nie jego, druh się rzuca w wodę za nim, choćby sam miał utonąć. Najemnikami chcecie być? Ja nie! Moja rada; wszystko mu wyznać, nic nie taić, co on każe, uczynić. Im większa groza nań, tym na nas sromota cięższa, gdy go opuścimy ze strachu. Toć jak w bitwie! Zajęczych skórek byśmy warci byli, gdybyśmy uszli.

— Tyś tu starszy — ozwali się inni do Borzywoja — ty nad nami stoisz, co rzekniesz, uczynimy. Rozkazuj, spełnim!

— Rozkazuj! — powtórzyli inni tłumnie. — Rozkazuj!

— W miejscu stać! To rozkazanie moje — rzekł Borzywój. — Pouciekali od niego z Kijowa, jedni ze strachu parobków i czeladzi, drudzy ze strachu biskupa precz by iść mieli, ano srom na nas wszystkich by padł. Nie, nie, ani ja, ani wy tego nie zrobicie! Niech stary Odolaj burczy na nas, dobrze mu z dala rozkazywać, posłuchać nie możemy. Niechby nas byli na dwór nie oddawali.

— A teraz — dodał Borzywój, oglądając się dokoła — każdy w swoją drogę, nie mamy się tu co zmawiać ani nad czym stękać. Na rady mamy czas, jestli tu o czym jeszcze radzić? Nic w szyję nie pędzi■, parobek od gospodarza nie odchodzi nocą bez opowiedzi!

Na tym się skończyło. Zaczęto się w kupki zbierać, gwarząc już o czym innym, szczególnie o Jakuszowice i o dziada dopytując, bo choć z niego żartowali, każdego z nich do starego gniazda coś ciągnęło. Wiązały ich z tym kątem tajemnicze nici, co każ-

dą istotę łączą z ziemią, która ją zrodziła i młode wypiąstowała lata. Ci, co tam częściej bywali, dowiadywali się o starca, o Tytę, nawet o Hyża i Oko, o izbicę, jak teraz wyglądała, stare wały, szopy i wszystkie zakamarki starej rodzinnej siedziby. Ci, co zabyli Jakuszowic, przysłuchiwali się tym uważniej, ciekawi, jak to tam było i jak stuletni dziad ślepy rządził się na swym śmiecisku. Życ by móc z nich żaden tam nie potrafił, ale zajrzeć chciało się każdemu.

Rozdział VI

Chociaż wszystko dokoła srożyło się nań i wrzało niechęcią ku niemu, król wcale się nie zdawał widzieć tego ani zważać na to. Życia na włos nie zmienił, obyczaju się swego powszedniego nie wyrzekł, i naprawdę czy dla oczów ludzkich wesół się zdawał, jakby sobie lekcewazył wszystko.

Nawet po rozmowie z biskupem, która go zrazu we wściekłość wprawiła, wprędce chmurę spędził z czoła, dworowi kazał się zabawiać huczno, tak by i na zamku, i poza wałami wesele słychać było, i żeby wszyscy wiedzieli, że około króla troski nie siedzą. Cześnicy i komornicy mieli przykazanie, aby dostarczali dworowi, czeladzi, drużynie, gościom, czegokolwiek zapragną.

Czasem mu się usta ścięły i czoło namarszczyło, gdy sam jeden pozostał, ale sam nie chciał być prawie nigdy, dwornie swą liczną i młodzież gromadząc około siebie. Tym kazał to się bić, to biegać, to konie ujeżdżać, to łuków próbować i na grody rozdawał. Gości obcych na zamku i teraz do stołów Bolesławowskich mało się zjawiało, chyba ziemianie z odleglejszych krajów, do których jeszcze o sprawach króla słuchy nie doszły. Miejsca gości wypełniali ludzie wojenni, a z Rusi też i Węgier dosyć napływało różnego zgiełku, takich zwłaszcza, co znając szczodroblivość królewską, więcej do skarbca niż do niego ciągnęli. Najwięcej takich bywało, co niby dary mu osobliwe przynosili, konie niebywalej sierści, zwierzęta różne, oręż misterny, za który Bolesław w dziesięcioro zawsze obdarzał, choć mu się to na nic nie zdało. Dla tych przybyszów rano już zastawiano stoły, a wieczorem drugie, które podczas i do późnej się nocy przeciągały, bo król szczególnie owe nocne ucztowania lubił i przy nich najlepszej był myśli.

Dnia tego, gdy Dobrogost z Ziemią wrócili, Borzywój przed wieczorem wszedł do izby królewskiej. Zastał pana ze psy swymi się zabawiającego, jakby mu wcale nic nie ciążyło na myśli. Że pora była niezwykła, popatrzał nań król, i z twarzy coś wyczytawszy, odezwał się:

— Czego ci tam brak? Mów, pewnie o co prosić przyszedłeś?

— Miłościwy Panie — do nóg mu się skłaniając, odparł Boleszczyc — z łaski waszej mamy dosyć wszystkiego, nie po trzeba mi nic.

— A cóż cię tu przygnało?

—Może jakie rozkazanie mi dacie? — odezwał się Borzywój.

— Żadnego — rzekł król.

— Bracia twoi powrócili?

— Wrócili, Miłościwy Panie.

— Co z sobą przywieźli?

Borzywój się zawahał.

— Kędyż bywali? Pewnie i o jaki dwór zaczepili? Co mówią?

— Albo to tam słuchać, co prawią ludzie — rzekł Boleszczyc. — Zajeżdżali do starego dziada naszego, to zgryźliwy człek.

Rzucił król okiem bystrym.

— Praw — rzekł krótko. — Nie trzymaj, co masz za pazuchą.

— Nic innego tam nie mówią nad to, co po Krakowie chodzi, Miłościwy Panie. Ludzie stękają, burczą, nigdy temu, co jest, nieradzi. Ziemianie skarżą, że łaski u was nie mają; a co ksiądz biskup tu szepcze po cichu, tam się głośno rozlega.

— Wszystko ja to wiem — odezwał się król — i więcej może niż wy. Pewnie już tam biskupia klątwa i odgróżki poszły między ludzi i że Czecha na mnie chcą sprowadzić!

Założył ręce na piersiach i uśmiechał się obojętnie.

— Prawda? — spytał milcząco Borzywoja.

— Tak ci jest — potwierdził przybyły. — Trwoga nas obejmuje, szczególnie od biskupa i Kościoła.

— A ja — rzekł król — ani Kościoła, ni waszego biskupa się nie boję.

Rozśmiał się pogardliwie.

— Niechże mi otwartą wojnę wypowiedzą, zobaczą, co mogę. Ale po kątach szepczą, odgrają się, zmawiają, a wystąpić nie

śmieją, bo wiedzą, że gdy mnie w gniew wprawią, nie będę patrzył, kto przeciw mnie stoi!

— Oni już tę wojnę wkrótce zapowiadają — szepnął Borzywój. — Biskup się z klątwą nosi. A, Miłościwy Panie, dodał do nóg się skłaniając, z biskupem jednym gdybyście zgodę chcieli uczynić, reszta nam nie będzie straszna.

Król go z niechęcią odtrącił.

— Co ty rozumiesz, młokosie! — zawołał. — Patrzże na mnie, czy ja się go lękam? Biskup ten poddanym mi jest jak inni ludzie tej ziemi. Ojciec jego Wielisław ziemianin był tuteczny, ojczycem jest jak wy, a nie Włochem i Francuzem. Choć i Włochy biskupi, gdy na mej ziemi siedzą, słuchać mnie muszą. Wiem, że spod mej władzy wybić by się chcieli i nade mną panować. Ale nie! Nie dam im tego!

— Koło biskupa i ziemian też dosyć — rzekł Borzywój nieśmiało.

Król rozśmiał się, ramionami rzuciwszy.

— Więcej mam ludu, co jest ze mną, niż tych rarogów, co przeciw mnie. Żołnierzy i was stanie mi na ich poskromienie.

— Z rycerstwa dużo odpadło — odezwał się Borzywój.

— Znajdą się drudzy na ich miejsce! — zawołał król dumnie.

Borzywój zamilkł, a Bolesław, którego oczy czasu rozmowy rozgorzały, popatrzał nań i śmiejąc się, po ramieniu go poklepał.

— Idź i bądź spokojny, króla twojego niełatwo kto zmoże. Niech komary brzęczą, opędzimy się im, byleśmy chcieli.

Bolesław odwrócił się, na psy swe zaświstał i zabawiając się z nimi, zdał zapominać o rozmowie.

Lecz dzień to był, w którym spoczynku mu nie dawano. Za ledwie Borzywój odszedł, gdy Rusin stary, podkomorzy królowej, wszedł z pokłonem opowiadając, że królowa matka i królowa pani jego czołem biły panu, a prosiły go, aby im miłościwie dał widzieć swe oblicze. Dosyć posepnie wysłuchawszy wezwania tego, król ręką tylko staremu dał znak, żeby szedł, nie dając nawet

odpowiedzi. Odwrócił się od niego i ze psy zabawiał znowu, aż nierychło przypomniawszy poselstwo matki i żony, z niechęcią jakąś, ociągając się, ku teremom^{III}, które obie królowe zajmowały, pociągnął opieszalym krokiem.

W drugim oddzielnym podwórku stara Dobrogniewa^{III} obok żony króla wiodła życie odosobnione i ciche. W tej części zamku na pierwszy rzut oka poznać było można różnicę dwu dworów i otoczenia, gdyż sami niemal Rusini i Rusinki służbę obu pań składali. Dwie królowe, z których jedna była wdową, obie niemal wdowie prowadziły życie. Rzadko się mogąc synem pocieszyć, bo ten się w teremach niewieścich mało ukazywał, Dobrogniewa wnukiem się cieszyła i synową, z którą razem Ruś swą mogła wspominać.

Królowa, żona Bolesława, ani młodą już bardzo nie była, ani piękną. Wzrostu wyniosłego, jasnych włosów, oczy zdawała się mieć jakby wypłakane, twarz jakby zatęsknioną. Smutek wielki wiał z całego jej oblicza. Chodziła zawsze prawie ubrana jednako, milcząca, w szacie jedwabiem pokrytej, z głową zawiązaną rąbkami białymi, jakby nieprzytomna, duchem goszcząc gdzie indziej. Całą pociechą, całym jej życiem był synek jedyny, którego od boku swojego nie opuszczała na chwilę; albo ona, albo stara Dobrogniewa były z nim ciągle, otaczając go troskliwością nieustanną. Dziecię chowało się tak pieszczotliwie, osłaniane od wszelkiego wpływu męskiego, tak że mu na ojcowskie zabawy, dwór, biesiady patrzeć prawie nie dopuszczano. Gdy się czasem Bolesław upomniał o Mieszka, stawiała w obronie słabego wychowanka babka Dobrogniewa, padała do nóg panu Wielisława^{III}, błagając, aby go im jeszcze rok tylko, jeszcze pół roku, jeszcze choć krótko zostawił, bo dziecko słabe było, bojaźliwe i nieśmiałe. Chłopak też w istocie wobec ojca szczególnie trwożliwie się stawił; z twarzy piękny był, blady, tęskny od matki i babki przejętymi smutkami, a na twarzy jakaś przedwczesna dojrzałość roztropna wczesny skon zdawała się za powiadać w ciepłe macie-

rzyńskich uścisków rozwiniętemu kwiatkowi. Tu w tych terenach dwóch królowych ciche tylko słyhać było śpiewy, pobożne pieśni, stare baśnie o dalekich krajach; życie płynęło jednostajnie, spokojnie. Jak u króla huczno zawsze bywało i hałaśliwie, tak tu milcząco a cicho.

Z chmurą na czole pomarszczonym i wejrzeniem wstrętu i odrazy wkroczył król do dworca żony, która, jak go tylko zoczyła idącego z daleka w podwórca swoim, wyszła z izby, wiodąc syna za rękę, i stanęła w sieni pokornie, aby go powitać. Bolesław szedł milczący, a zbliżywszy się i ujrawszy ją kłaniającą mu się do nóg, a dziecię cisnące się po ukłonie do ręki, ledwie okiem roztargnionym rzucił na oboje i wszedł do świetlicy.

Tu w progu nań z pokłonem oczekiwała matka stara, ku której zbliżył się z poszanowaniem. Dobrogniewa niespokojnym obejmowała go wejrzeniem, chciała wyczytać z twarzy jego troski, wywołać słowo, lecz król ledwie ciche pozdrowienie wyszepnął.

Stara pytać go inaczej jak oczyma nie śmiała. Niewieścia pokora nie dopuszczała naówczas nawet matkom zbytnej z dziećmi poufałości.

Izba, do której wszedł król, a za nim żona i syn, pachniała kwieciem i ziołami rozsypanymi po podłogach, przyozdobiona była bogato, obraz grecki, złożony wisiał w rogu jej, z lampą przed nim zawieszoną. W mieszkaniu tym odbijało się życie i obyczaj tej, co je zajmowała. Wszystko tu stało w surowym porządku, w miejscu oznaczonym, nic nie zamącało ładu, jaki spokojowi żywota niemal klasztornego był potrzebny. Nawet jedwabne kłębuszki na krosnach rzędami po układane nie śmiały się na bok odtoczyć. Naczynia, sprzęty, opony miały postać skromną, posłuszną i zamarłą. Nic po targanego, rzuconego, zapomnianego nie wabiło oka, wszystko było w zgodzie z sobą i jak dla siebie stworzone. Twarz też i postać królowej zdała się wyrosłą z tego tła ciszy, na którym się malowała z bladym swojego smutku wyrazem. W izbie tej tylko modlić się, pracować i tęsknić było można, wesoły śmiech byłby w niej świętokradzkim jak w kościele.

Gdy weszli, królowa matka ujęła Mieszka, ucałowała go, szepnęła mu coś i wywiodła go za oponeń do bocznej komory. Chłopak posłuszny, choć wejrzeniem bojaźliwym a ciekawym zwracał się ku ojcu, dał się skryć i zniknął. Babka w pewnym oddaleniu pozostała jakby na straży, z oka nie spuszczać Bolesława. Oblicze miała strwożone i ręce się jej mimowolnie jak do modlitwy składały.

W chwili gdy Mieszko wyszedł, królowa Wielisława z trwogą spojrzawszy w oczy panu swemu, upadła mu do nóg. Bolesław jakby znecierpliwiony cofnął się krok. Ręce białe, wychudłe wyciągnęła ku niemu królowa, usiłując objąć stopy i podniósłszy głowę, mówiła cicho:

— Miłościwy Panie a królu, choć słabą jestem niewiastą, racz mnie posłuchać. Tyś panem mocnym, wszytkowładnym, ja ubogą sługą twoją...

Stara Dobrogniewa słuchała z twarzą zwróconą ku synowi.

— Co chcecie? — przerwał król głosem dosyć ostrym. — Mówcie!

— Mam was, Miłościwy Panie, prosić o łaskę wielką — ciągnęła dalej Wielisława, podnosząc się z wolna i stając przed nim w postaci pokornej, z rękami złożonymi na piersiach. — A, królu, trwoga aż tu doszła do cichego teremu! Bojemy się o ciebie! Biskupi i kapłani zagniewani są, rycerstwo odstępuje, pogrożki się rozlegają, strach ogarnia serce nasze; płacze matka twoja, ja łzy leję, bojemy się o głowę twą i o losy dziecka twojego... Królu, z Kościołem pokój uczynicie!

Wtem przystąpiła stara Dobrogniewa i po ramieniu z lekka głaszcząc syna, złamanym, płaczącym głosem dodała:

— Bolku, Panie mój, dziecko moje! Boga bój się, sługi jego szanuj, nie gub duszy i ciała!

Król ramionami dźwignął niecierpliwie i śmiał się, ale dziko i straszno.

— Co wy baśni babskich w teremie słuchacie? — rzekł. — Czyż nie wiecie, że siłę miałem i mam, że mi żaden nieprzyjaciół nie był straszny i nikogo się nie lękam? Śpijcie, módlcie się i śpie-

wajcie sobie spokojnie, kołyszcie synaczka, za bawiajcie go, a mnie zostawcie troskę o naszą dolę. Popów i ziemian, gdy będzie trzeba, rozumu nauczę...

Stara Dobrogniewa ze strachu plasnęła w ręce i załamała je, spojrzała na obraz Bogarodzicy w kącie, jakby jej opieki na pomoc wzywała, lecz synowi się już sprzeciwić nie śmiała.

Wielisława okazała się mężniej, czuła, że stawała w obronie losów dziecka swojego.

— Miłościwy królu! Z biskupem wojna, to wojna z Bogiem. Ulituj się nad sobą i nami! Gdzie wojska potrzeba i męstwa, tam wy silniejsi nad wszystkich mocarzy, tam wy niezwyciężeni, a przeciw nim...

Dobrogniewa położyła mu znów rękę na ramieniu i szepnęła jedno słowo tylko po rusku:

— Zmiłuj się! Zmiłuj!

Król się poruszyć wcale nie dał, usta mu drgały przymuszonym śmiechem, a czoło się fałdowało.

— Ej, matuszko kochana — odezwał się naprzód do starej Dobrogniewy niby wesoło — co bo na was dziś przyszły za strachy! Kaźcie sobie dziewczkom stare pieśni śpiewać, aby wam serce urosło!

Zwrócił się do Wielisławy:

— Nie trujcie sobie spokoju marnymi baśniami, a, chowajcie zdrowo syna, aby mi mężniej rósł na wojaka, nie na babę. Szyjcie w krosnach złotem, a o mnie się nie troskajcie! Pomnijcie, że jakom żyw, nikt mnie nie zmógł nigdy, a ja zmogłem wielu i boją się mnie wszyscy. Kto się mnie nie lęka dziś, ten się złęknie jutro!

Królowa spojrzała nań oczyma błagającymi, lecz surowy wzrok jego zamknął jej usta. Dobrogniewa też, głowę spuściwszy, stała, jakby zrozpaczywszy, zadumana głęboko.

Król począł się po izbie przechadzać milczący; oczy obu niewiast goniły za nim, ale odezwać się żadna z nich nie śmiała. Z głową pochyloną, poprawiwszy swoich rąbków, tak aby jej oczy, a może łzy, co z nich biegły, zakryły, stała Wielisława po

korna jak pierwsza służebnica swego pana; stara Dobrogniewa śmieiej nieco spoglądała ku niemu, lecz i dla niej był on więcej królem niż dziecięciem.

Bolesław zbliżył się ku niej z zapytaniem, czy nie potrzebowała czego, czy ludzie byli posłuszni, czy posługi nie brakło, czy miała pozdrowienie od swoich? Z czułością, ręce ku niemu wyciągnąwszy, dziękowała staruszka i poczęła go błogosławić, ale łzy jej przerwały mowę. W tej chwili przez uchyloną nieco zasłonę wyrztał Mieszek, na którego babka skinęła, i wbiegł chłopak, stając przy niej na oczach ojca. Bolesław spojrział nań, rękę, po którą dziecko sięgnęło, dał do pocałowania i zabrał się do wyjścia. U drzwi żegnała go pokłonami królowa i przeprowadzała długo oczyma smutnymi.

Szybkim krokiem wybiegł Bolesław z niewieścich teremów, w których mu ciężko było oddychać; lecz dzień to był, co mu nie dawał chwili spokoju. Na drugim podwórku, do którego furkę pacholę mu otwarło, ujrzał orszak przybyłych, na widok którego zatrzymał się, nie okazując wcale, by mu był miłym. Skromnie odziany dwór otaczał właśnie z konia zsiadającego mężczyznę młodego jeszcze, którego twarz, acz i braterskie z królewską miała podobieństwo, różniła się od niej wyrazem skromności, łagodności i pokory niemal lękliwej.

Gościem tym był Władysław Herman, młodszy brat Bolesława. Poznał go z dala król i nie mógł się wstrzymać od ruchu, który niecierpliwość i prawie niechęć oznaczał. Rzadko bo też dwu rodzonych braci mniej z charakteru do siebie bywa podobnych. Na twarzy Bolesława malowała się duma szczęśliwego zwycięzcy, na Władysława potulna dobroć i bojaźliwość. Władysław nad miarę pobożnym był, rycerskiego ducha mało miał w sobie, spokój miłował, ludzi się lękał, a dla brata miał razem i cześć wielką, i obawę niezmierną, znając gwałtowny jego charakter. Bolesław brata sobie lekceważył, czasem się z jego trwożliwości i pokory wyśmiewał i niekoniecznie rad mu był na swym dworze,

bo Władysław do jego obyczajów i wrzawy, co go otaczała, nie umiał, a raczej nie mógł się zastosować.

Niespodziewane zjawienie się Władysława, którego król nie oczekiwał, zaniepokoiło go i chmurę widoczną jeszcze na twarzy ściągnęło. Wiedział, że nie przybywa z próżnym pokłonem, ale pewnie w jakiejś sprawie, a znając jego po bożność i uległość duchowieństwu, przeczuwał już, co mu przynosił. Wszelki doradca był mu niemiłym, wszelka rada go obrażała i jątrzyła. Gniewny niemal wystąpił naprzeciw gościowi. Na widok króla, z dala zdjawszy szлык z głowy, Władysław szedł ku niemu pokornie, jak ku panu a starszemu bratu. Powitali się z sobą w przedsienu, a ze zbliżenia się widać było, iż stosunek, co ich łączył, braterskim wcale nie był. Władysław trwożliwie stał przed nim. Bolesław obchodził się z nim po królewsku.

— Rad wam jestem — rzekł król zmuszając się do wesołości — pustki u mnie na dworze, przynajmniej ty i ludzie twoi trochę mi gwaru przyniesiecie. Przybyłeś w dobrą porę, będziemy dobrej myśli zażywać.

Władysław zdziwiony tą wesołością, której się nie spodziewał, oczy w niego wlepił ciekawe, niedowierzające. Król tymczasem, żywo się zawróciwszy, prowadził go za sobą nie do sypialni, ale do komnaty królewskiej (w której biskupa przyjmował), i tu go na poczestnym miejscu posadził. Jawne dlań było, że Władysław o wszystkim wiedzieć musiał, uląkł się i jechał z prośbami, aby gniewy i niechęci załagodzić. Wolał więc od razu sam zagaić sprawę i nie dać się nad nią bratu rozwodzić.

— Widzisz — rzekł — pusto u mnie! Rozpierzchnęło się, co było tchórzów i zdrajców, których karcieć musiałem, a ci na mnie klechów spuścili z łańcucha i biskupi ujadają za mną jak za dzikiem w lesie. Będą łowy nie lada! — Rozśmiał się. — Nie próbowali kłów moich! — dodał.

Władysław milczał, okazując trwogę na twarzy, zmieszało go to nagłe rozpoczęcie rozmowy.

Spojrzał nań król.

— Cóż ty na to, bracie?

— Ja? — spytał cicho Władysław, ja? — Ty znasz mnie! Wolałbym, żeby i łowów nie było, i kły się nie potrzebowały ostrzeć.

— Ty babą byłeś i jesteś — przerwał Bolesław. — Z ludźmi głaszcząc nic się nie robi, chłostać ich trzeba, żeby nimi orać!

Podniósł pięść do góry i oczy mu zaświeciły.

— Panuje się siłą, a nie prośbą! — dodał.

— Duchowieństwo — westchnął Władysław — to gorzej niż wojsko najpotężniejsze. Sam cesarz musi mu ulegać! Inna rzecz z poddanymi. Jesteś królem koronowanym, masz władzę, możesz karać najsurowiej tych, co ci przewinili, ale duchowni, biskupi, a, bracie mój!

To mówiąc złożył ręce i zamilkł nagle.

Bolesław przystąpił doń, po ramieniu go uderzył, usta mu się wydeły pogardliwie, śmiać się począł.

— Duchowni są moimi poddanymi jak inni! — zawołał król. — Dwóch panów na jednej ziemi rządzić nie może, jak dwa wilcy się zajedzą.

Władysław umilkł znowu, złożył ręce, wzdychał. Król, powiedziawszy te słowa, czekał, aby się odezwał, i stał przed nim z wyzywającą, szyderską twarzą.

— Królu mój a bracie kochany — odezwał się w końcu Władysław — mnie o ciebie niewysłowiona ogarnia trwoga. Wiesz, jaki los spotkał cesarza i jak o przebaczenie błagać musiał, ten sam grozi tobie.

— Przecież ja nie z papieżem, co jest głową chrześcijaństwa, mam do czynienia — rzekł Bolesław — ale z jednym klechą, co się tu na tej ziemi urodził i poddanym jest moim jako i drudzy.

— Mylisz się — odparł Władysław łagodnie. — Księża, choćby się rodzili na tej ziemi, nie są poddanymi twoimi ani ojczycami tutejszymi, są poddanymi papieżowi i Rzymowi. Wprzód winni posłuszeństwo swemu panu niż tobie. Tkniesz ich tylko, naówczas co jest księży po szerokim świecie, wszyscy powstaną przeciw tobie, przeciw wam. W każdym biskupie papież jest, bo z nich każdy od niego ma daną władzę i poselstwo.

Bolesław roztargniony słuchał, niewiele bacząc na te słowa.

— Mówiłem ci — dodał silnie — dwu wilków w jednej kniei się nie godzą, zażreć się muszą! Kto na mojej ziemi mieszka, ten mnie słucha, kto mi się oprze, temu łeb spadnie!

Władysław zadrżał, słysząc to, i uszy rękoma osłonił, jak by się samych uląkł wyrazów.

Król począł chodzić po izbie i mówił jakby sam do siebie:

— Grożą, że mi zamkną drzwi kościoła. Biada temu, co to będzie śmiał uczynić i do walki mnie wyzywać! Nigdy ja od bitwy żadnej nie uciekał, anim się uląkł, ani pierzchnął, nie cofnę się i teraz. Biskup zdrajcą jest! Przeciw panu swemu ukoronowanemu zjawia się z Czechami i wykląwszy mnie, na tron ich chce prowadzić; już za to śmierci godzien!

Władysław gwałtowną mową strwożony, przybity, ze spuszczoną głową, jak człowiek przywiedziony do rozpacz, pogrążony siedział, z oczów mu łzy płynęły. Widział, że ani on, ani w świecie nikt Bolesława powstrzymać nie potrafi; następstwa tej walki stawiły mu się w myśli z całą swą okropnością. Bolesław, spojrzawszy nań, jakby litość miał nad słabym, natychmiast zmienił ton mowy, zaczął się śmiać i za oba biorąc go ramiona, strząsnął nim z całej siły.

— Nie kwap się ze łzami, gdy ja się śmieję! — zawołał. — Ani ci o tym myśleć, ni tym sobie serce psować. Lich!!! niech porwie wszystkich klechów i zdrajców! Nie dbam o nich wszystkich, dopóki żelaza kawałek w dłoni mam i kupkę druhów koło siebie. Chodźmy wieszczerzać i weselić się.

Władysław wstał strwożony.

— Bracie...! — począł, za rękę go chwytając.

— Wszystkoś już powiedział, co ci trzeba było! — zagrział król. — Dość tego, chybabyś chciał mówić o jakiej pięknej niewieście, co by od mojej Krysty i od twojej Hanny piękniejsza jeszcze była.

Zarumienił się Władysław, a król dzikim, ale hałaśliwym śmiechem się odezwał. Nie można już z nim rozprawiać było.

— Ani mi się waż więcej mówić o tym — dodał Bolesław,

ciągnąc bladego i wylękłego, do wielkiej izby, w której cały dwór świetny i drużyna przy zastawionych czekała stołach.

Przepych i obyczaj przypominał dwór Bolesława Chrobrego, którego pamięć czcili jego imiennik. Na cześć przybyłego królewskiego brata wszyscy urzędnicy poprzywdziewali szaty swe najpiękniejsze, najkosztowniejsze pasy, łańcuchy, szłyki i szuby. Błyszczały na niektórych zbroje i u boku każdego miecz. Pięknie dobrana młodzież ze śmiejącymi się twarzami, rażna i wesola, pacholeta, w jedwabie strojne, wojacy, czeladź nawet poprzybierana wykwinicie, dwór czynili nad wyraz wspaniałym. Ze skarbca też dobyte naczynia złote zalegały stoły, a dostatek jadła był niezmierny. Wszystko, aż do gromady psów tłustych z sierścią lśniącą, która też na ucztę czekała, świadczyło o bogactwie i potędze pana.

A że z Rusią, Grecją, z Węgrami i Niemcami stosunki były mnogie, w strojach i uzbrojeniach widać było obyczaj różnych narodów. Dnia tego nie ukazały się wcale niewiasty, bo królowa stara i młoda przychodziły rzadko, a bez nich i inne wstydziły się lub obawiały zasiąść do stołów, gdyż i król, i dwór jego zbyt sobie swobodnie poczynął z nimi. Tych tylko kwiatów brakło do ubrania stołów królewskich.

Władysław usiadł przy bracie pokorny, strwożony, z oczyma spuszczoneymi; wszystkich bić musiała w oczy ta między dwu rodzonymi braćmi różnica. Siedzieli przy sobie prawie milczący, rzadko cichym słowem odzywając. Król o psach, sokołach, łowach i o płochych rzeczach zagadywał, śmiejąc się i rozglądając dokoła. Władysław, mało co w usta wzięwszy, pochmurny, odpowiadał tylko na pytania. Po krótkim posiedzeniu nagle król kazał sobie podać misę, wodę i ręczniki, obmył ręce i pozostawiając brata ze swym dworem, wstał.

Wyszedł sam na podwórcę zamkowe.

Mrok już był i cisza panowała wieczorna. Zobaczywszy, że kilku Boleszczyców wyszło za nim, król ich ręką nazad do izby odprawił. Domyślili się, że do Krysty szedł pewnie, i tak było

w istocie. U węgła dworca dwu ludzi czekało na jego skinienie, król im dał znak, a sam krokiem powolnym skierował się do dworca Krystyny.

Gdy król nadchodził, siedziała jeszcze pani z Bużenina w oknie otwartym, kwiatek trzymając w ręku, smutna i zapłakana. Postrzegłszy go, krzyknęła jak przebudzona i do drzwi przeciw niemu biegła.

Bolesław wszedł tak chmurny, jak u stołu siedział, podbiegającą ku sobie pochwycił w pól, do góry uniósł w silnych dłoniach, pocałował w schyloną ku sobie głowę i miejsce wskazał na ławie przy sobie. Nie była to zwykła ława, na której siadali u drzwi komory. Krysta tam, gdzie było miększe i szersze siedzenie, prowadziła go chciała, ale się jej oparł, obrał dziś miejsce naprzeciw wnijścia do komory; musiała być posłuszną.

— Cóż z tobą, królowo moja? — zapytał.

— Co z Panem, królem moim?

— O! Pan gniewa się i sroży. Miecz mu w pochwach rdzewieje, bić się czas! Dłoń drętwieje, męstwo słabnie. Wojny trzeba.

— A, a, wojny! — westchnęła, trwożliwie tuląc się, Krysta.

— Bez wojny życia nie ma! — mówił król. — Myśmy woje, jak się nie bijem, to gnijem!

To mówiąc, i szelest słaby usłyszawszy w komorze sąsiedniej, której drzwi uchylły się nieznacznie, objął Krystę w pól, a białe jej ręce na szyi króla zawisły. Głowę położyła na jego ramieniu i pięknym śpiewnym głosem poczęła:

— Pan mój wzdycha tylko do wojny. Co my wówczas bez niego poczniemy? Chyba z królem iść na wojnę. Na wojnie Pan nowe sobie kochanki zdobędzie, a o starych zapomni.

— Ej, wy jeszcze prędzej o nas, byleśmy za wrotami byli — począł król. — Kto was zna i wie? Albo bym ja ręczył, że wy teraz jeszcze nie dumacie o swoim Mścisławie?

— A, królu, Panie! — krzyknęła Krysta głośno. — Ja o nim! Toć mnie za niego siłą, mocą wydali! A czym on dla mnie był, chyba strachem! Jak go wspomnę, jeszcze po mnie dreszcz przechodzi.

— A ludzie wciąż donoszą i gadają, że Krysta za mężem płacze.

— Ja? Za nim? Bodaj tak świat widzieli! — zawołała Krysta i plunęła gniewnie na podłogę.

Nie widziała, że przed chwilą z cicha się drzwi komory otwały, a w nich, przez dwóch parobków silnych trzymany i powrozami związany, stał mąż jej, Mścisław, wszystko widział, słuchał wszystkiego. Tak król chciał.

Biedny człek odziany był jeszcze w tę samą prostą sukmanę, w jakiej go wzięto; w brudnej ciemnicy zwałała się ona i szarzała. Włosy miał słomy z barłogu pełne, twarz czarną i osmoloną, oczy w niej tylko świeciły straszne. Słuchał wyroku na siebie, nie wydawszy jęku.

Krysta, spostrzegłszy go teraz dopiero, domyśliła się, po znała i przerażona z krzykiem rzuciła się do króla, obejmując go, jakby u niego szukała opieki.

Bolesław śmiał się z wyrządzonej psoty.

— Patrzcie! — krzyknął do Mścisława. — Nie masz się po co niewiernej żony dobijać!

Słyszałeś, co mówiła! Kazałem cię tu przywlec, abyś sam patrzył i słyszał. Idźże teraz precz w świat z moich oczów, a nie musz mnie, bym się krwią twoją mazał. Ślepie ci nawet zostawiam, abyś powodyrał¹ nie potrzebował.

Mścisław stał jak osłupiały, kilka razy się targnął, jakby ludziom trzymającym go wyrwać się starał, ale silni pachołkowie z miejsca mu się ruszyć nie dali. Krysta pobiegła skryć się do kąta. Zakryła oczy i drżąc płakała ze strachu.

Wolnym krokiem król, oczyma go mierząc zagniewanymi, zbliżył się do więźnia.

— Idź na skręcenie karku — rzekł — idź, a nie pokazuj mi się na oczy! Idź! Wiesz, że tu powracać nie masz po co. Życieś mi winien, mogłem ci je wziąć, nikt by za tobą nie rzekł słowa. Daruję ci je, bo robaków nie duszę. Precz!

Skinął na pachołków.

— Za bramę go wywieść i wyrzucić! — krzyknął. — Stróżom go dobrze pokazać, niech mu w ślepie zajrzą, jeżeli się od zamku na staje zbliżyć ośmieli, niech go jak psa zabiją.

Odwrócił się król. Pachołkowie już go ciągnęli za drzwi, wlekli przez sień na podwórze. Gniewem, boleścią, więzieniem i głodem osłabły Mścisław, choć mu usta drżały, słowa wymówić nie mógł, nie miał siły się opierać. Niewierność Krysty była dlań ciosem śmiertelnym, sam widział, słyszał z ust jej, czym był dla niej, widział, słyszał i uwierzyć nie mógł, nie chciał. Zaledwie był w dziedzińcu, gdy szał ten, co go do płoczej niewiasty wiązał, już kłam zadał oczom i uszom. Mścisław mówił sobie, iż Krysta umyślnie miłość oświadczała królowi, aby jemu ocalić życie. Trudno, niepodobna mu się jej wyrzec było! Myśl ta wróciła mu siły.

Nie szczędząc razów i popychania, pachołkowie, naigrawając się, ciągnęli go ku wrotom. Pokrzykiwali, śmieli się, pokazywali go przechodzącym, powtarzali groźby pana, dodając do nich bezkarne, bo Mścisław związane miał ręce, kułaki i kije. Tłum zbierał się około niego, gromadą wiedli go tak aż do wrót, gdzie wstrzymali się u straży, aby dłużej znęcać się nad pastwą swoją.

Mścisław stał jak martwy, jakby nie czuł nic i nie słyszał, zdrętwiały był na wszystko. Krysta jeszcze stała mu w oczach i król ten bezlitosny, dziki, któremu, choć mu życie był winien, zemstę poprzysięgał. Nierychło, gdy bezwładnym człkiem, co nie dawał nawet znaku gniewu ni bólu, gawieź się dość nabawiła, nie rozwiązując mu rąk, pchnięto go precz za wrota na drogę.

Mścisław puszczonego padł zrazu, nie mając siły ni woli ruszyć się z miejsca. Ciemna noc już była, z dala od zamku do chodziły jeszcze śpiewy i odgłosy uczujących, gdy Mścisław wreszcie podniósł się z ziemi, zachwiały i z trudnością wlec się zaczął ku przedmieściu. Związane ręce, w które sznury się wjadły, sprawiły mu boleść i ruch utrudniały, więzienne leżenie nogi pokurczyło, wilgoć i powietrze zgniłe osłabiły. Nie poznawał sam siebie. Pijany był bólem i gorączką. Przed oczyma jego przesuwiał się jeszcze król i Krysta, i straszne ciemności więzienia, w którym był zamknięty jak w grobie.

Na drodze zamkowej pusto było, na przedmieściach też światła już pogasły i ludzie się po chatach pochowali. Szczekanie psów

tylko słychać było z dala i wycie. Zataczając się, opierając o płoty, wypoczywając, zszedł Mścisław aż do stóp góry. Dokąd dalej iść miał, sam nie wiedział, nie wiedział nawet, czy było po co do Bużenina powracać, bo i tam królewscy ludzie już może gospodarowali. Sam nie wiedząc jak, bezmyślnie dowlókł się aż do domku u kościółka na Skałce, w którym biskup, królewskiego sąsiedztwa unikając, przebywał. Świeciło tu w jednym oknie przez szpary okiennicy. Dokoła panowała cisza.

Do progu się dowlókłszy, leżąc na nim Mścisław, ale padając o drzwi uderzył, które zadrżały i jęknęły. Kroki pospieszne dały się słyszeć ze wnętrza; drzwi odryglowano. Młody człowiek w sukni kłeryka ukazał się w nich ze światłem w ręku i począł przypatrywać leżącemu, którego wziął za upojonego włóczęgę. Dopiero ręce związane sznurem ujrawszy, krzyknął, ukląkł przy nim i widząc osłabłego, więzy jego co prędzej rozplątywać zaczął.

Mścisław miał zaledwie siłę wymówić: — Biskup! — i nazwisko swe, gdy padł omdlały głową o twarde progu kamienie.

Zbiegła się natychmiast cała służba biskupia, a że nazwisko z ust do ust chodziło, a znanym było wszystkim, wzięto go, podniesiono, oznajmiono o nim biskupowi, który nie spał jeszcze. Znalazł się kubek wody, co go orzeźwił, i Mścisław odzyskawszy przytomność z pomocą ludzi, mógł wniknąć do izby, na której progu stojący oczekiwał nań, ręce wyciągając ku nieszczęśliwemu, gospodarz.

— Chodź, dziecię moje, niech cię przytulę i orzeźwię. Bogu niech będzie chwała, iż z życiem uszedłeś!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Ukraińskiemu Słowikowi
Józefowi Bohdanowi Z a l e s k i e m u
z czcią serdeczną
posyła a u t o r

D. 3 Maja 1877 Drezno

TOM DRUGI

Rozdział I

Izba, do której biskup wprowadził Mścislawa, była niewielką komorą, tak ubogą i skromną jak całe domostwo, które Stanisław ze Szczepanowa zajmował. Ściany jej tylko dźwigały skarby wielkie, zajmowały je półki prawie całe za pełnione ogromnymi księgami, w drewnianych okładzinach z mosiężnymi i kościanymi ozdoby. Leżały one, stały, pojedynczo i jedne na drugich, ciągle snadź chwywane i odkładane; niektórych z nich nie zapięte klamry świadczyły, iż tylko co używane były.

Tę nieocenioną naówczas zdobycz biskup przywiózł z sobą, na polską ziemię, po siedmioletnim pobycie w Paryżu. Pierwszy to był po benedyktyńskich zbiór tak obfity, a cała pono ojcowizna biskupa poszła na jego zakupienie, bo rękopisma płaciły się na wagę złota.

W pośrodku izdebki stał stół z pulpitem do czytania i pisania, z podwyższonym siedzeniem i wszystkim przyborem do pisania ówczesnym, trzciniami, inkaustem¹ i pargaminami. Tu leżała w woreczku jedwabnym pieczęć biskupia owalna, sznury i wosk, na którym ją wyciskano. Przy nich paliła się lampka włoska, z knotem zanurzonym w tłustości, która przyświecała biskupowi do czytania rozłożonej na pulpicie księgi.

Przerwało je zjawienie się Mścislawa i wrzawa... Biskup patrzył nań i ręce załamał z boleści.

Wyglądał strasznie więzień Bolesławowski i litość obudzał. Zbrukana twarz, rozczochrane włosy, wzrok oszalały, spalone usta, drżące a okrwawione od powrozów ręce, odzież podarta i zwałana, spod której piersi obnażone i wychudłe widać było nogi bez obuwia. Cała postać wynędzniała osłabionego niewolą i męczarnią człowieka ledwie w nim dozwalały poznać owego Mścislawa, którego biskup znał dawniej pełnym życia, wesołym, ochoczym i zawsze dostatnio a pańsko występującym ziemianinem. I majątności, i rycerskie sprawy stawiały go niegdyś na czele, dziś spadł na ostatni szczebel nędzy i boleści.

Wiedział biskup o jego uwięzieniu, znajdując go wolnym, ale z rękami skrępowanymi, posądził, iż się cudownym jakim sposobem z królewskiej dobył ciemnicy.

— Bóg niech będzie pochwalon — rzekł — lecz jakżeś i przez kogo wolność odzyskał?

Mścisław jeszcze odpowiedzieć nie mógł, dłońmi twarz okrył i czoło, wzdychał ciężko, głosu mu z piersi uciśniętej trudno dobyć było. Jęczał długo i rzucał się, nim mu się odemknęły usta.

— On! On — zawołał — puścić mnie kazał żywego, ubiwszy wprzód na wszystkim! Mordował mnie, niżeli precz wyrzucił. Sprowadził z więzienia, abym patrzył na to, jak go Krysta miłowała... mnie się wypierała na wieki!

— Ale nie może to być! — wybuchnął gwałtowniej Mścisław. — Nie! Krysta, mi życie chcąc ocalić, kłamała, umyślnie kłamała! Nie, nie, siłą ją tylko trzyma, musi czynić, co każe, a niewierną po swej woli nie jest, nie! Nie!

Biskup z uśmiechem niewymownej litości smutnie spojrział na niego, nie chcąc przeczyć temu, co dlań było pociechą jedyną.

— Dziecko moje nieszczęśliwe — rzekł — idź a spocznij, pomódl się, by cię Bóg pocieszył, i ja za ciebie modlić się będę; pomódl się, aby ci Bóg natchnienie zesłał, co masz czynić!

— Co?! — zawołał, uderzając pięścią o ławę Mścisław z gwałtownością, na którą resztę sił dobył z siebie. — Co? Mścić się! Mścić na nim! Spocznię, bylebym sił nabrał; potem jak stoję, pojedę między ród mój i ziemian, od dworu do dworu, pokazując im, co ze mnie łaska pańska uczyniła! Niech znają i niech wiedzą, co ich czeka... Mnie dziś, jutro im! Mścić się! — powtórzył jeszcze raz i osłabły pochylił się na ławę, bo wybuch ten ostatek siły wyczerpał.

— Ukój się, dziecko moje, rzekł biskup, biorąc go za głowę, ukój się. Nie ty, a sam Bóg się pomści za krzywdę twoją. Idź teraz i spoczywaj. „Oczy twe ujrzą pomstę nad grzesznymi”.²

To mówiąc biskup, którego ręce Mścisław całował, przeżegnał go, jeszcze raz dłoń mu na rozpalonej położył głowie i przy-

wiódłszy do chwilowego uspokojenia, oddał klerykowi, aby go na spoczynek odprowadził.

Od kilku już tygodni biskup umyślnie unikał swojego katedralnego kościoła Świętego Wacława na zamku, mszy nawet świętej nie odprawując w nim, aby w podwórzu, jadąc albo wracając, z królem się nie spotykać i nie wywołać zajścia jakiego. Nie obawa o siebie, ale chęć dania jeszcze królowi czasu do namysłu i ukorzenia się powodowała biskupem. Mszę swą ranną odprawiał albo w domowej kaplicy, lub w małym tym kościółku Świętego Michała na Skałce, przy którym czasowo przebywał.

Dnia następnego jednak wypadła potrzeba znajdowania się w zamkowym kościele, a biskup spodziewał się uniknąć z królem spotkania, ufając w to, że Władysław, którego z pobożności znał i pokory, u boku króla się znajdował. Z rana więc, wysławszy naprzód kleryka, aby rozpatrzył, co się na zamku działo, przygotował się biskup ze mszą do Świętego Wacława.

Gdy spytał o wczorajszego nocnego gościa swojego, powiedziano mu, że już go nie było. Zerwał się on do dnia i uszedł nie opowiadając, co pocznie z sobą.

Ranek był piękny i pogodny, około zamku ludu gwarnego mnogo się już kręciło. Od wrót zamkowych w odległości nie wielkiej stał szczupły jeszcze naówczas, z ciosowego kamienia, z kryptą pod nim, kościółek na pozór skromny, ale wewnątrz przyozdobiony bogato. Poprzednicy biskupa i on sam o zaopatrzenie go i zasoby dlań się starali.

W pomoc do posług duchownych przychodzili księdzu Stanisławowi ze Szczepanowa benedyktyni z Tyńca i niewielka liczba duchownych, których on sam kształcić się starał.

Chociaż Bolesław rzadko zaglądał do kościoła swego, biskup z obawy, aby swawolni ludzie jego, z których wielu na pół pogan było, nie zakłócili nabożeństwa, natychmiast do kościoła wszedłszy, drzwi główne zamknąć i zaryglować przykazał. Sam udał się

do zakrystii i po krótkiej modlitwie, ubrany jak do świętej ofiary, wyszedł przed ołtarz główny.

Cisza panowała w niewielkiej świątyni, w której tylko kilku duchownych i kleryków i kilku ludzi z miasta się znajdowało.

Msza zaledwie dochodziła do ofiarowania, gdy hałas się dał słyszeć przed kościołem, wrzawa i śmiechy. Trwało to czas jakiś, nagle uderzono we drzwi kościelne. Te, ponieważ z rozkazu biskupa zawarte były, nikt się ich otwierać nie ośmielał; szła dalej ofiara święta nieprzerwanie.

Wtem bić zaczęto we drzwi coraz gwałtowniej, aż się okna zatrzęsły; strach ogarnął duchownych. Dobijanie się to zuchwałe nie mogło być dziełem samowolnym prostych ludzi, którzy by się nie wazyli wśród białego dnia takiej zniewagi uczynić kościołowi, szturmując doń jak do gospody. Poza tymi, co tłukli tak gwałtownie we wrota, można się było domyślać króla chyba i jego rozkazów.

Biskup, gdyby był nawet chciał, wśród ofiary przerywać jej i żadnego rozkazu dać nie mógł, choćby mu największe groziło niebezpieczeństwo. Surowy w zachowywaniu wszystkiego, co do kościelnych należało obrzędów, duchem ulatywał wyżej nad to, co go otaczało. Nie ruszył się więc on i nikt drgnąć nie śmiał, a dobijanie się coraz gwałtowniejsze trwało ciągle. Znużeni biciem spoczywali mało i wracali z wściekłością podwojoną.

W końcu po chwili takiej odpoczynku, która zdawała się opamiętaniem, gdy sądzono, że napastnicy się oddalili, usłyszeli księży z przerażeniem, iż drągami podwalano i siekierami łupano, wyważano drzwi kościelne.

Biskup miał właśnie poświęconą hostię podnieść, gdy pękły wrzeciędzie, połowa wrót kościelnych z ogromnym hukiem padła na ziemię i tłum z hałasem do kościoła się wtoczył.

Na czele jego szedł sam król, z ręką na mieczu, w postawie zwycięzcy, za nim bledzi postępowali posłuszni jego Boleszczyce i dwornia pańska. Wtargnąwszy tak do kościoła gwałtem, jakby szturmem wziętego, posunęli się całą gromadą naprzód i przybliżywszy niemal pod sam ołtarz, przy którym biskup mszę świętą odpra-

wiał, stanęli, króla otaczając kołem szerokim. Bolesław wyzywająco zajął miejsce naprzeciw biskupa samego i stał spoglądając dumnie.

Gdy obrzęd zmuszał celebrującego odwracać się do ludu i ukazać mu oblicze, mógł król dostrzec, iż na nim śladu ani strachu, ani nawet pomieszania nie było. Błada, poważna, surowa, rozżalona twarz biskupa, w porównaniu do gniewnej królewskiej, więcej znamionowała siły i wiary w siebie niż rozplomieniona, namiętna, niespokojna Bolesława. Mniemane to zwycięstwo i wdarcie się do kościoła było raczej słabości niż męstwa dowodem; nikt nie pierzchnął przed nim, nikt wobec Pana nad pany na ziemskiego mocarza nie wejrzał nawet. Na próżno Bolesław brzękiem miecza i chrzęstem zbroi dawał znać o sobie, księża się modlili z spuszczanymi głowami, nie spoglądając nań. Biskup kończył mszę świętą powolnie, jakby mu nic modlitwy jego zamącić i przerwać nie było w stanie.

Buta królewska ustąpić musiała przed namaszczeniem kapłana; dwornia pańska, co wpadła do świątyni z wrzawą, teraz coraz bardziej traciła męstwo i stawała się bojaźliwszą.

Dnia tego nie miał woli ani zamiaru biskup rzucić klątwy na króla, czekał, pragnąc, aby wpływ Hermana, prośby dwóch królowych przywiodły go do opamiętania. Zniósł więc te napaść cierpliwie.

Bolesław dotrwał do końca mszy, lecz i on doznał tego, co jego dworzanie; spokój, jaki tu zastał, odbił się w nim nieopisaną jakąś trwogą i niepewnością. Spojrzawszy kilkakroć na biskupa, który unikał spotkania ze wzrokiem króla, Bolesław dał znak swoim i z hałasem a brzękiem zabrał się do odwrotu. Rycerstwo, co wpadło wojować z jednym bezbronnym człowiekiem, wyszło męstwem jego pokonane.

Dopiero za progiem Bolesław odzyskał swą śmiałość, odwrócił się ku stojącemu jeszcze przy ołtarzu biskupowi, pięścią mu pogroził z dala i do samych drzwi kościelnych klacz swą ulubioną kazawszy podprowadzić, siadł na nią, ruszając na łowy.

Nikogo już nie było oprócz tych, co od początku mszy słu-

chali, gdy biskup przeżegnał lud, odczytał ewangelię i z wol na odszedł nazad do zakrystii.

Wszyscy, co go otaczali, stali wylękli, on sam jeden wcale się pomieszonym nie zdawał; ukląkł do modlitwy i dopiero wstawszy od niej, z chłodną krwią wydał rozkaz, aby wrota kościelne natychmiast przed wieczorem jeszcze osadzono na nowo.

Było to zuchwałe ze strony króla wyzwanie. Nie chcąc się narażać na gorszące napaści podobne, pomyślał biskup, iż mu przyjdzie ulubiony swój kościół katedralny na długo opuścić i pożegnać. Z tym uczuciem żalości raz jeszcze poszedł do wielkiego ołtarza, aby tu się pomodlić i na długo może pożegnać z oblubienicą swoją. Dla ludu złym był widok nieposzanowania miejsca świętego i spełnianych w nim gwałtów; należało obronić świętość od skazy, a chrześcijan od zgorszenia. Pomodliwszy się szedł biskup ku drzwiom wyłamanym, stojąc popatrzał na nie chwilę, i nie unikając już spotkania, zwykłą drogą w towarzystwie duchownych na Skałkę się udał.

Przed kościołem gawiedź tylko gromadziła się ciekawa, która śledziła w twarzy biskupa, czy ukląkł się groźby, ale nie wyczytała z niej nic więcej nad ten sam spokój i powagę, jakie ją zawsze oblekały. Rozstąpili mu się wszyscy idącemu, mimo woli kilku czapki podniosło, a głowy zniżyło; ubogi tłum cisnął się do ręki i błogosławieństwa. Z orszaku królewskiego nie było już tu nikogo.

Bolesław na błonia pociągnął ze psy i sokoły. Władysław pod tę porę był u matki.

Biskup bez przeszkody żadnej dojść mógł do domku na Skałce, lecz zaledwie się tu znalazł i wszedł do komory, w której większą część dnia na czytaniu ksiąg przepędzał, gdy znać dano, że Władysław przybył i posłuchania się doprasza.

Z całego rodu, jeśli nie najmilszym, to najmniej wstrętliwym był biskupowi Władysław i Światawa. Książę ten cichy, skromny, pobożny, choć w młodszym wieku dość swobodne wiódł życie, nie

stosując się do przepisów Kościoła, a naśladowując dziadów swoich, szanował duchowieństwo, okazywał mu zawsze pokorne oblicze, dawał się strofować i starał złe na prawo. Przebaczano mu więc nieślubny związek, w którym dotąd zostawał, i biskup nie miał doń zbytniego wstrętu. Władysław stawiał się przed nim z większą może niż kiedy uniżonością, jakby go za przewinienie braterskie chciał przebłagać. Biskup przyjął go chłodno, z obliczem surowym i poważnym a niemal dumnym.

Weszli tak razem do skromnego mieszkania biskupiego. Władysław patrzył zrazu i badał twarz gospodarza, nim się odezwać ośmielił.

— Wielebny ojciec — rzekł w końcu głosem drżącym — zasłyszalem coś, jestem trwogą przejęty. Spór jakiś pono wynikł między królem a Przewielebnością Waszą?

— Spór? — powtórzył biskup marszcząc się. — Mylisz się, książę, nie spór to już jest, ale wojna otwarta. Król ją sam Kościołowi wypowiedział, posłusznym mu być nie chce. Ja walkę zmuszony jestem przyjąć, bo sobą Kościół przedstawiam, a kto mnie dotyka, na Kościół się porywa. Do wszystkich zniewag, jakie znosiłem cierpliwie, przybywa jeszcze dzisiejsza, publiczna. Wyłamano drzwi kościelne, znieważono świątynię! Miara pełna po brzegi. Król chciał i mieć będzie cały Kościół katolicki nieprzyjacielem.

Władysław przypadł do ręki biskupa, który mu ją z lekka usunął.

— Miłościwy ojciec — odezwał się żywo. — Znacie króla! Gwałtowny jest i niepomiarkowany, dajcie mu ochłonąć, upamiętać się. On nawykł do rozkazywania, nie zna w nim miary, lecz serce ma dobre! Jestem pewny, iż uległby, gdyby nie lękał się, że poddanym rozkazywać nie potrafi, sam będąc zmuszonym drugim ulegać. Oszczędźcie mu upokorzenia...

— Co się stało w oczach ludzi, odwołanym ani zmienionym być nie może — odezwał się biskup chłodno. — Kościół musi bronić praw swych i karcić nieposłusznych. Król Bolesław sam swoim postępkami popadł pod *Anathema*³ kościelne. Nie ja, nie Kościół, sam on się wyklął i wyłączył ze społeczności. Moim ustom dosta-

nie się tylko spełnienie obowiązku i wyrzeczenie tego, co się już dokonało...

Władysław zbladł, zadrżał, rzucił się do kolan biskupa.

— Ojczy — zawołał — miejcie nad nim i nad nami miłosierdzie!

Stanisław ze Szczepanowa cofnął się, unikając zbliżenia.

— On sam, on, on nie miał nad sobą i wami miłosierdzia! — zawołał gwałtownie. — Proście jego, aby pokutę czynił!

Odepchnięty niemal Władysław podniósł się, spojrzął na nieugiętego biskupa i krew piastowska w nim zakipiała, gdyż wyprostował się i przybrał niemal groźną twarz.

— Jako duchowny, wy, Przewielebny Ojczy, wiecie lepiej, co czynić macie — rzekł głosem nieco podniesionym — ja, jako chrześcijanin a brat króla, odważę się tylko przypomnieć, że ani Kościołowi, ani wam, ani ziemi tej, ani duchowieństwu nie wyjdzie na dobre zatarg i wojna. Król wyzwany gwałtownym jest i niepomiarowanym będzie.

— Kościół się niczyich gniewów ani gwałtowności nie lęka! — przerwał biskup. — Od opoki tej odbijają się ciosy i padną na tych, co świętokradzką na nią rękę podnieśli.

— Nie ma więc ratunku? — zawołał Władysław.

— Jest, rzekł biskup, jeden jest tylko: niech się król ukorzy. Niech przyjdzie pieszo z pokorą stanąć publicznie jako winowajca u tych samych drzwi, które czasu ofiary świętej łamać kazał, niech czyni pokutę, a Rzym nad nim miłosierdzie mieć będzie.

Władysław nic nie odpowiedział; lepiej niż kto inny znał to, że niepodobieństwem było króla skłonić do podobnego kroku.

Biskup dodał po chwili:

— Jak skoro klątwa wyrzeczona zostanie, a raczej nim ona będzie rzucona, jedźcie stąd, książę, oddalcie się, uciekajcie! Wszelkie naówczas współnictwo z królem i na waszą głowę klątwę sprowadzi, i na wszystkich, co z nim zostaną!

Stanął biskup opodal nieco od księcia, jakby chciał go po żegnać i odprawić. Władysław strzymywał się jeszcze, walcząc z trwogą i chęcią niemożliwego pośrednictwa. Spojrzawszy na stojącego

z dala i w powadze wielkiej biskupa, przekonał się, iż próżno by go poruszyć się starał. Coraz groźniejszy stawał się wyraz twarzy i postawa.

— Nieodwołalny więc wyrok wasz? — szepnął cicho.

— Com rzekł, to się stanie — odparł biskup — bo nie ja rzekłem, ale Kościół przez usta moje. Idź, książę, na Wawel, popatrz na złamane drzwi kościoła i módl się, aby Bóg na całym rodzie, krwi i pokoleniach następnych nie mścił się zniewagi domu swojego!

Władysław pochylił głowę i nie próbując się już zbliżyć do z dala stojącego biskupa, wolnym krokiem wyszedł z izby.

Król z kościoła wprost na łowy jechał, a otaczający go dwór, dla przypodobania się panu, coraz to prześmiewając się, przypominał owo łamanie drzwi kościelnych, odniesione nad biskupem zwycięstwo i bojaźń mniemaną, jaką niby na twarzach duchownych wyczytał. Drudzy śmielsi odgrazali się głośno na samego biskupa, inni rzucali nań potwarze, wymyślając plotki nedorzeczne. Nierozumna gawiedź ta nie widziała pewnie, iż Bolesław, brwi marszcząc, szyderstw tych słuchał; nie odpowiadał słówkiem na nie, nie zdawał wcale zabawiać nimi, owszem jątrzyło go widocznie samo wspomnienie o biskupie. Płoch młodzież widziała w tym zwycięstwo, on czuł i rozumiał, że to był walki początek.

Tego dnia wśród łowów z pogodnego nieba nagle się ze rwała burza z wichrem, gromami, błyskawicą i gradem, a gdy gromadka Boleszczyców schroniła się pod dąb na skraj lasu, padł ogień z niebios na drzewo i w oczach wszystkich zdruzgotał je i zapalił. Łowy też wcale się nie wiodły, ptaki z bereł podnosić się nie chciały, psy, jakby węch straciwszy, chodziły błędne, zwierz bezkarnie uciekał im spod stóp prawie.

Borzywój, który żarty stroił zrazu, ucichł nagle, a Dobrogost rzekł, pochylając mu się do ucha:

— Król dziś straszno patrzy, nie wspominajcie mu biskupa, wie pewnie, co ludzie gadają.

— A cóż gadają ludzie?

— Że dziś króla kląć mają w kościele.

— I co z tego? — spytał Borzywój. — Mało kto kogo klnie?

— O! O! — odparł Dobrogost. — Straszne rzeczy prawią o takim klęciu w kościele... Mówią, że człowiek wyklęty zwierzem się staje, przemienia w wilkołaka i musi w lasy precz uchodzić od ludzi, gdzie go śmierć czeka.

Borzywój niedowierzająco ruszył ramionami, ale na twarzach obu widać było trwogę, którą się utaić starali.

— Kto z nim będzie przestawał, tego takież los czeka — rzekł Dobrogost.

— Nie prawilbyś tego! — przerwał drugi.

Gdy się to działo pod Krakowem, na Skałce u biskupa gości było więcej niż zwykle. Zebrane zewsząd duchowieństwo otaczało i zalegało dworek biskupi. Na twarzach wszystkich niepokój widać było i przerażenie, inni, nie kryjąc się, łzy leli i ręce załamywali. Biskup chodził blady i milczący, lecz niezachwiany tym, że otaczający go bojaźń wielką okazywali i strapienie. Kilku starszych kapłanów z pokorą usiłowało doń przemówić, aby go skłonić do łagodności, lecz biskup przerywał im mowę i zwracał ją zaraz na przedmiot inny. Zajmował się pilno przygotowaniem do tego, po co duchowieństwo ku sobie przywołał. Księgi otwarte leżały na stołach, ciekawi zaglądali do nich i cofali się przerażeni.

Wieczór się zbliżał, gdy wszyscy weszli w ponurym milczeniu do małego kościółka na Skałkę. Ołtarz już, jakby do nieszpornego przygotowany nabożeństwa, płonął światłami, dzwon, jakby na modlitwę zwołując lud, odzywał się powoli. W kościółku mroczno było i smutno, jakby się w nim pogrzeb miał odbywać. Za biskupem posłuszne duchowieństwo weszło do zakrystii i w milczeniu przyodziewać zaczęło uroczyste szaty i kapy. Biskup wziął mitrę na głowę i pasterską swą laskę w rękę.

Dzwon ciągle odzywał się żałośnie, a ludzie, o niezwyklej powszedniego dnia godzinie zwabieni nim, ciekawie, niespokojnie

acisnęli się do kruchty i kościoła. Tu cisza panowała; świergot wróbli i jaskółek słyhać tylko było u okien, a zbłąkany, ostatni promień słoneczny, otworem jakimś z góry do stawszy się do wnętrza, złotym pasem jakby na pół świątynię przecinał. Przy drzwiach gromadziła się coraz większa ciżba ludu, cicho sobie rozmaite domysły podając do uszu, gdy szelest się dał słyszeć od zakrystii; dwoje pacholąt weszło poprzedzając biskupa, przed którym krzyż i księgę niesiono.

Stanisław ze Szczepanowa szedł blady, modląc się po cichu, uroczystą powleczoney powagą. Za nim długim szeregiem po stępowali kapłani po dwu idąc, w kapach, ze świecami w ręku, z głowy pospuszczanymi ku ziemi; szli, nie patrząc na lud, jakby pogrążeni w smutku czy modlitwie, szli aż przed ołtarz, ustawili się z wolna po sześciu z każdej strony, przy pasterzu swym, który zajął miejsce na stopniach wielkiego ołtarza.

W tej chwili niewidzialny wcisnął się, samotwór do zamku powracający, jakimś przeczuciem wiedziony na głos dzwonu żałobny, mężczyzna, obwinięty oponczą ciemną, a kilku ludzi, co go na zamku widzieli, poznawali w nim brata królewskiego Władysława i rękami go sobie ukazywać zaczęli. Ustępowano mu z drogi, lecz księżę się cofnął i szukał sobie nie spokojnie miejsca w kruchcie, w którym by mógł pozostać nie postrzeżony. Trwożyło go widocznie, iż był poznany, osłaniał twarz, szukał ciemnego kąta i towarzyszącemu kazał się zakrywać od ciekawych oczu napaści.

Dzwon bił ciągle z wolna, w jedną stronę, żałobną jakąś nutą przerywaną jak łkanie człowieka.

Uciszył się szmer tłumu, biskup laską po trzykroć uderzył o stopnie ołtarza i księgę otwarłszy, czytać się z niej zdał cichą modlitwę, zwrócił się potem ku ołtarzowi i zanucił posepnym głosem grobowym psalm *Deus laudem meam*... Duchowieństwo razem z nim go śpiewało, a śpiew był dziwny i przejmujący. Też słowa, pieśń taż sama cale inaczej brzmiały w inszej porze, teraz w śpiewie czuć było ból, wahanie się, lament duszy i trwożę... Niektórzy z duchownych ocierali oczy, głosu im brakło.

Dzwon bił jak za umarłych żałościwie. Coś strasznego miał ten obrzęd w sobie, którego lud nie rozumiał znaczenia, nie przewidywał końca, a jednak czuł w nim jakąś groźną potęgę.

Pieśń się skończyła i cisza trwała chwilę, biskup z księgą od ołtarza odwrócił się ku ludowi. Twarz jego była straszna jak sędziego, który miał wydać wyrok śmierci. Z dala nawet stojący czytali w niej groźbę, mimowolnie ściskając się i cofając ku głębi... Wszystek niemal lud instynktownie zbił się w kruchcie. Biskup głosem podniesionym, uroczystym, piorunującym zaczął począł:

„Wyklęty jest Bolesław Kaźmirzów syn, król, ze wszystkimi współnikami i doradcami swoimi, ze wszystkimi, co mu pomoc nieśli, którzy mu radę dawali, którzy cieszyli się tym, co czynił, którzy wiedzieli o uczynkach jego, a nie powstrzymywali go od nich i nie głosili ich za bezecne.

Przeklęty niech będzie Bolesław w domu swoim i na dworze, przeklęty w grodzie, w mieście i na roli; przeklęty niech będzie, gdy siedzi, stoi, gdy je i pije, gdy pracuje i usypia; przeklętym niech będzie tak, aby w nim zdrowego członka nie było od wierzchu głowy jego aż do podnóża stóp jego, niech wypłyną zeń wnętrzności jego, a ciało niech robactwo roztoczy. Niech będzie przeklęty z Ananiaszem i z Zafirą, niech będzie przeklęty z Judaszem zdrajcą, niech będzie przeklęty z Abironem i z Datanem, których ziemia żywych pożarła, niech będzie przeklęty z Kainem bratobójcą. Mieszkanie jego niech się stanie spustoszone, niech będzie wymazany z księgi żyjących i ze sprawiedliwymi niechaj pisanym nie będzie, a pamiątka jego niechaj przepadnie i sczeźnie na wieki.

Niech na sądzie ostatecznym przeklęty będzie z diabłem i anioły jego i na wieki niech ginie, jeśli się nie upamięta!”

Straszne te wyrazy biskup wymawiał powoli, głos jego rosł razem z ich znaczeniem i potęgą, a skończywszy, świecę, którą trzymał w ręku, cisnął przed siebie na ziemię.

W tejże chwili duchowieństwo, otaczające go dokoła, zaczęło rzucać świece, wołając głosem donośnym:

— *Amen! Amen! Fiat! Fiat!*■

Łoskot tych świec padających na posadzkę kościelną zabrzmiał, jakby piorun leciał z nieba... Lud się cofnął. W kruchcie pomiędzy gromadą z kąta dał się słyszeć krzyk straszliwy, bolesny i hałas jakby brzemienia upadającego na ziemię. Wszystkich oczy zwróciły się ku miejscu, gdzie kupka ludzi gromadziła się około omdlałego człowieka, którego się ocucić starano.

W ciemności coraz większej pogrążał się kościółek, na podłodze tylko rzucone świece dymiąc dogorywały. Biskup stał jeszcze czas jakiś nad straszną księgą, z której klątwę przeczytał, dał znak, aby ją zamknięto, i pokłękłszy przed ołtarzem, krokiem poważnym, wiodąc za sobą duchowieństwo, nazad do zakrystii powrócił.

Dokonało się, co zapowiedzianym było.

Obrzęd ten byłby może zgromadzonemu ludowi niezrozumiałym pozostał, gdyby dwaj klerycy postawieni u wnijscia do kruchty, przy kropielnicy i przeciwległym filarze, słowo po słowie nie wykładali znaczenia każdego powolnie wymówionego wyrazu. Zaledwie zniknął biskup, gdy płacze, jęki i krzyki bólesci a strachu rozległy się wpośród tłumu. Trwoga padła na wszystkich. Jedni rzucili się, chcąc uciekać z kościoła, drudzy szlochający padali na kolana i kładli się na ziemię krzyżem. Zdało się im, że z królem całe państwo wyklęte zostało, że jak burza klątwa zamąci kraj i zniszczy go, a w popiół i zgliszcza obróci.

Dzwon jeszcze ciągle pogrzebowym swym odzywał się głosem.

Krzyki i płacz, które się z kościoła słyszeć dawały, zaczęły u drzwi jego ściągać przechodniów, mieszczan, ziemian, lud prosty. Od bliższych kościoła miejsc i domostw straszna nowina, niosąca trwogę niewysłowioną, jak pożar szła szerząc się coraz dalej.

Z ust do ust lud podawał sobie:

— Król został wyklęty... Nie mamy króla...

Wyrazy te, których znaczenie i skutek dla większej części gminu obce były, zamykały w sobie tajemnicę pełną gróźb, siłę jakąś, której nikt rozmierzyć nie umiał, co ją tym straszniejszą czyniło.

Niektórzy rozpowiadali płacząc, iż siła klątwy ciążyła nie tylko nad winowajcy głową, ale nad wszystkimi ziemianami jego, wszystkim, co z nim w jakimkolwiek było związku, co go dotykało, co mu służyło, co go słuchało. Każda piędź ziemi jego stopą dotknięta przeklętą być miała z nim razem, Zajałowiec miały pola, pomór wszystkie żywe wybić istoty, studnie wyschnąć, rzeki z brzegów wyjść miały i zalać osady, ogień paść z niebios, ziemia otworzyć wnętrzości swe dla pożarcia wyklętych.

Mdlały niewiasty, tuląc do piersi niemowlęta; ludzie twarzą na ziemię padali i z płaczu ryczeli, taką trwogą dnia ostatecznego brzmiała dla ludu ta klątwa niesiona po grodzie, przedmieściach i sąsiednich siołach. Jęcząc i płacząc podawali ją sobie rozbiegli na gościńcach ludzie. Tłumy gromadziły się coraz większe, mimo ciemności oblegając kościół i mieszkanie biskupa; kładli się strwożeni na stopniach zamkniętej świątyni, szukając przytułku, łkając i zawodząc jękami.

Nikt nie śmiał wniknąć do domostwa, aby dach nie padł mu na głowę, oglądano się z trwogą na niebiosa czarne, w którego głębinach spokojnie, cicho, po burzy dziennej, jakby obmyte świeciły jasno gwiazdy błyszczące.

Noc już była, gdy król, ze złych łowów wracając z wesołą gromadą swoją, zjawił się u stóp Wawelu, gdzie zalegały jeszcze tłumy owe płaczące i rozwodzące jęki i żale. Samo spojrzenie na to nocne, niezwykajne zbiorowisko ludu coś straszego zwiastowało. Król ubodł konia, chcąc sam spytać stojących bliżej, co się to działo, gdy na widok jego krzyk straszliwy rozległ się wpośród gromad, czarne te masy poruszyły się nagle, ścisnęły, rozbiły, rozproszyły i z jękiem a wrzaskami zaczęły się trwożliwie rozbiegać na wszystkie strony.

Posłuszni panu Boleszczyce, na skinienie jego, na próżno puścili się gonić za uchodzącymi, każdy, chroniąc się od ze tknięcia z nimi, biegł i krył się; przeskakiwano płoty i rowy, chowano się do dołów, zamykano po domach, bo rzeczono im było, że jedno

z wyklętymi zamienione słowo mogło klątwę przenieść na głowę każdego człowieka.

Popłoch rozległ się daleko po mieście, przedmieściach i polach.

Król i ci, co z nim byli, długo nic zrozumieć nie mogli, ale dwornie ogarniała też zaraźliwa trwoga, przecucie jakiegoś nieszczęścia, które wszystkich dotknąć musiało.

Z dala rozbiegający się tłum ryczał i jęczał naokół, gdziekolwiek oko i ucho sięgało. Niewidzialną siłą przeniesiona trwoga szerzyła się, rosła, potężniała i jednym jękiem boleści napełniała powietrze.

Wśród ciemności nocnych i ciszy ryk ten całego ludu miał w sobie coś tak przerażającego, iż król, co się nigdy nie uląkł niczego, uczył dreszcz przebiegający mu po skórze i włosy pnące się do góry. Jedno tylko przyszło mu na myśl, że wróg jakiś napaść mógł na gród jego, że trzeba było zbierać się, zbroić i bronić. Czesi i Niemcy stawali mu na oczach, rękę ściągnął po miecz i z ust dobyło się przekleństwo. Spiął konia wściekle, czwałem puszczając się ku górze na zamek. Tu w podwórcach stały kupami rozplakane niewiasty, potrwożona czeladź. Rozbite było wszystko, w beładzie, łzach i jękach. Widok króla i tu wywarł ten sam co na tłumach skutek; spostrzegłszy go pierzchało wszystko, co żyło, rzucały się na ziemię niewiasty, krzyki boleści podwoiły.

Boleszczyce skoczyli z koni, otaczając pana, który już zsiadł był i gniewny kroczył do dworu swojego. Twarz jego pałała gniewem, oczy ciskały pioruny. Pierwszymi postaciami, które tu ujrzał tulące się u ściany, była zgrzybiała matka w osłupieniu stojąca nad omdlałą żoną jego, którą rozplakane dziecię, Mieszek, klęcząc w martwe lica blade i po rękach skostniałych całował. Tuż stał na pół obłąkany Władysław, który na widok brata wpadającego z gniewem, mimowolnie się cofnął.

Ludzie wszyscy uciekali od niego.

Wśród tego rozbicia i popłochu Bolesław stał chwilę, niepewien jeszcze, co pocznie, rękę drgającą trzymał na mieczu i cisnął nią rękojęść jego. Wzrokiem mierzył tłumy, biegał po twarzach,

usiłując śmiać się, lecz usta ciągle mu się do pogańskich przekleństw ściągały. Gromadka tylko Boleszczyców, choć strwożona także, stała przy nim wierną, zdając się oczekiwać na rozkazy, gdy zmierzyszy ich oczyma tylko, król nagle się zawrócił i wszedł sam do dworca swojego.

Nikt mu nie dał słowa strasznej zagadki, ale ono było w powietrzu. Bolesław wiedział, że padła nań klątwa biskupia. W podwórzu stały kupy zebrane, niepewne, co z sobą czynić miały. Trwożliwsi już chcieli z zamku uchodzić, rzucając nawet w nim, co mieli, inni bładzili wahając się, nie śmiejąc ani odejść, ani chcąc pozostać. Ręce łamali w rozpacz.

We drzwiach swoich z rozpuszczonymi włosami, blada, z rękami załamanymi stała Krysta bez tchu, na pół omdlała, sama jedna, opuszczona, to się zanosząc od płaczu, to ręce i głowę tuląc do ściany, to oczyma obłąkanymi mierząc groźny tłum, który dokoła snuł się i dworce oblegał. Sługi jej siedziały na ziemi i zawodziły rwąc włosy jak płaczki pogrzebowe.

Nieład na całym grodzie zwiększał się coraz, rozprzęgało się wszystko, brakło ludzi; ci, co byli, głowy tracili, nikt rozkazów nie słuchał, mało kto śmiał je dawać.

Wypuścił ktoś ulubioną klacz królewską wolno lub sama się z klatki wyrwała; nawykła do swojego pana pobiegła pod okna dworca, gdzie ją chlebem karmiono, i rżała głośno, jak by boleć chciała z innymi. Psy podwórzowe, jękami ludzkimi podrażnione, przeraźliwie wyły.

Długo król z izby nie wychodził. Późno w noc znużenie samo nieco spokoju sprowadziło, rozchodzili się po kątach ludzie, poukrywali, pokładli; dworzec stał ciemny, pusty i jakby wyludniony. Tylko drużyna królewska w izbie swej siedziała niema i wylękła, czekając na skinienie pana, któremu wierną została. Straże u drzwi trwały na zwykłych miejscach. Król nie zawołał nikogo. O drugich kurach sam wyszedł z izby, w której leżał. Z włosami rozrzuconymi, w jednej sukni wysunął się z sypialni, stojącego u drzwi pominął nie mówiąc słowa i wolnym krokiem puścił się jak na przechadzkę w podwórcę.

Nikt nie śmiał doń przemówić, gniewu się obawiając, on ani spojrzął na nikogo. W izbie mu było duszno, szukał powietrza, aby odetchnąć. Przez puste podwórza poszedł tak sam, psy tylko wierne ciągnęły za nim, to podbiegając, to stając, jak niepewne, czy mu towarzyszyć miały. Król szedł, nie wiedząc dokąd i dlaczego, szedł, aby iść, aby się poruszać, by oddychać i w miejscu myślami nie skostnieć i nie zdrętwieć.

Noc była ciemna, ale na tle jej rozeznac było można budowy zamkowe, które stały jak uśpione w mrokach. Znużony pochodem gwałtownym a bez celu, król, razy kilka obiegłszy dziedzińce, stanął wreszcie i podniósł oczy, aby dostrzec, gdzie się znajdował. Przed sobą rozpoznał kościół i drzwi, które z rozkazu jego wyłamali służalcy. Podwoje już dźwignięte stały w miejscu zaparte znowu, ale na nich widać było jaśniejsze ślady włamania świeżego na szerniałym drzewie, nawet wśród mroku łatwo dające się rozeznac. Były to jakby rany świeże na ciele świątyni. Król podniósł na nie oczy, wlepił je i pozostał tak, ręce założywszy, naprzeciw żelazem okutych podwojów, w myślach jakichś zagłębiony.

O te drzwi zaparte, pokaleczone miała się rozbić cała siła jego i potęga. Obalił je, powstały, stanęły i znowu żelaznymi obręczami ujęte, zamykały mu drogę. Nie mogąc od nich oczów oderwać, król długo pozostał tak niemy, gniewny, prawie nieprzytomny. On, co wielkiego swego imiennika chciał naśladować i prześcignąć, wspomniął jego Szczerbiec i Złote Bramy, i tamte wojny, i swoje. Jakże mu doń było daleko! Tu jednym jeden człowiek¹ stał przeciw niemu, śmiał mu wydawać wojnę i urągać się jego potędze! Miałżeby to ścierpieć ten, co rozdawał korony i na tronach osadzał?

Dniało już, gdy król na zamek wolnym krokiem raczej znużony niż uspokojony powrócił.

Ludzie budzili się tu teraz ze wspomnieniem wczorajszej trwogi, wstając i z przestraszonym wychodząc przeciw sobie, jakby

ta noc zmieniła wszystko i nowych stworzyła ludzi. Patrzali sobie w oczy milczący, niepewni, wahający się, powątpiewając, czy życie wczorajsze na nowo się mogło rozpocząć. Wielu bojaźliwszych z wieczora już dwór opuściło ukradkiem, inni powymykali się z rana.

O zwykłej godzinie jednak usłyszano na Skałce dzwonek wołający na mszę świętą. Na zamku kościół pozostał niemy i zaparty.

Służba czekała rozkazów.

Później niż innych dni król na nią zawołał. Boleszczyce wszyscy i dworska czeladź znalazła się na miejscach zwyczajnych. Gdy weszli, odzianym go już znaleźli i zbrojnym, z twarzą groźną, bladą, ale wielką mocą nad sobą jakby uspokojoną. Wnet posypały się rozkazy i pytania jak dni powszednich, ani słowa o wczorajszym wzburzeniu i trwodze. Wczorajszego dnia wracając, król w drodze dał rozporządzenie na nowe łowy w okolicy; powtórzył je teraz, nakazując, by natychmiast wszystko było w pogotowiu do ciągnięcia w lasy.

Brat Władysław jechać miał z nim razem; wysłano po konie, sokolników i psiarzy. Borzywój poszedł do izb, w których Władysław stał gospodą, lecz mieszkanie znalazł puste; księżę ze dworem całym nocą jeszcze ujechał po cichu. Nie śmiano nawet o tym zwiastować królowi; zobaczywszy Borzywoja powracającego niemo, domyślił się może i nie zapytał go raz wtóry. Na wychodnym tylko sam jeszcze zboczył ku komorom książęcym, drzwi rozwarł, zajrzał w pustkę, w której tylko rozrzucone leżały pośłania, uśmiechnął się dziko i słowa nie mówiąc, poszedł ku koniom, które nań w podwórzu czekały. Był nieswój, drżeli wszyscy, śmiejąc się zagadywał do drużyny hałaśliwie, krzycząco kilka razy na głos się odezwał wydając rozkazy, oczyma powiódł po zamku, który i teraz wydawał się straszliwie pustym i oniemiałym, konia spiał i pierwszy puścił się drogą z zamku wiodącą ku Wiśle. Miano się przeprawić przez nią i puścić w lasy sąsiednie.

Dzień był jasny i piękny, niebo pogodne lekkimi białymi zasiane chmurkami, wiosenne wesele wiało w powietrzu. Poranko-

wy ten świat, na którego licu żadnej zmiany widać nie było, na wszystkich strwożonych wczoraj podziałął uspokajająco i królowi też męstwo a buta zwykła wracała. To, co się wczoraj stało, wydawało się jakby snem, zmorą jakąś gorączkową, marzeniem i ułudą. Bóg nie przestał być łaskaw na ziemię. Słońce weszło jasne i ciepłe, powietrze czuć było wiosną, wiatr przynosił wonie młodej roku pory, drzew rozwitych zaledwie, kwiatów, co się otwierały, roli ożywionej rosą. Na przedmieściach nie widać było ani ruchu wielkiego, ani nadzwyczajnego nic; życie zdawało się znowu płynąć dawnym swoim korytem.

— Widzicie! — odezwał się Borzywój do Dobrogosta, jadąc za królem. — Widzicie, nic się nie stało! Nic się nie stanie! Tchórze od nas pierzchnęli, to ze wstydem wrócą, a że tam klecha jakiś zuchwał króla się ośmielił kląć publicznie, czy to Pan Bóg zaraz ma tego słuchać? Toć to przecie król, na maszczony i koronowany pan! Z nim niełatwo, a klesze damy naukę!

Dobrogost nie miał tej odwagi co brat, popatrzał nań, głową pokiwał i rzekł, niby z innej beczki poczynając:

— Co to nam na dworze ludzi wczoraj ubyło? Mnie się zdaje, że z polowania powróciwszy, znowu się ich dużo nie doliczymy. Jak tak dalej pójdzie, to kto w końcu przy królu zostanie?

— My! — odparł rześko Borzywój. — My! Kto chce iść, niech rusza, obejdziemy się bez niego. Niech się tylko oglądają dobrze za siebie, bo im król tego płazem nie puści. Ja go lepiej znam niż ty. Widziałeś, jak się dziś na głos śmiał i krzyczał, jak wesół był, wtenczas on najgorszy, kiedy tak dokazuje. Nie chciałbym być w skórze tych, co mu teraz zawinią!

Dobrogost milczał.

O kilkaset kroków za promem i Wisłą na drodze spostrzegli orszak. Byli to władcy i ziemianie, udający się w gromadzie znacznej do Krakowa. Zrazu jechali gościńcem wprost na orszak królewski, lecz gdy się zbliżyli i mogli w nim poznać Bolesława, widać było, jak się strzymali, zbili w kupkę strwożeni, niepewni, co począć mieli, a potem w lewo nagle wąską drożynką puścili się na pola, aby uniknąć z królem spotkania. Było to widocznym

i do zrozumienia łatwym. Król się odwrócił do swoich i na Borzywoja skinął.

— Na przełaj jedź! — zawołał zburzonym od gniewu głosem. — Jedź i patrz mi, którzy to są!

— Miłościwy Panie — odezwał się Borzywój — nie po trzebuję po to jechać, aby ich poznać. Po zbroi, koniach i postawie stąd ich już widzę. Leliwa, Kruk i Brzechwa z czeladzią.

Król wybuchnął śmiechem szorstkim.

— Jadą do biskupa, przyjaciela swojego na radę. Niechajże dobrze radzą, bo im i jemu niewiele czasu zostało!

Pomimo tego szyderstwa i lekceważenia, zburzony był król mocno, niepewien siebie; zrazu wzgardliwie pominął oddalających się, potem zawahał, stanął, chciał ich ku sobie po wołać, i podjechawszy kawałek drogą, kazał w róg zatrąbić, aby ich ku niemu zwrócono.

Dano znak. Jadący się zatrzymali, zdawali naradzać między sobą, a gdy król gwałtownym ruchem ręki sam ich ku sobie powoływać zaczął, czeladź w polu zostawiwszy, podjechali samotnie.

Leliwa, Kruk i Brzechwa, wszyscy szłyki mieli na głowach i nie myśleli ich uchylać przed królem. Zbliżywszy się ku niemu na pół stajania, zatrzymali konie i dalej nie postępowali.

Tedy król sam jeden, czeladzi swej kazawszy w miejscu pozostać, poskoczył ku nim. Natarł na nich mierząc groźnie oczyma; ci nie poruszeni stali na koniach, nie zsiadając z nich i zwykłej czci mu nie oddając.

Król znał ich wszystkich bardzo dobrze, niemniej zapytał:

— Coście za jedni?

Leliwa po namyśle rzekł:

— Ojczyce tej ziemi jesteśmy, jam Leliwa, a oto Kruk, który cześnikiem był u nieboszczyka pana 11, a to Brzechwa.

— Azali mnie nie znacie? — krzyknął król.

— Znaliśmy wczoraj — odezwał się śmiało Leliwa — ano dziś cię nie znamy.

— Chcecie, abym się ja wam dał znać!

— Gotowiśmy na wszystko — mruknął Kruk.

Król patrzył milcząc, jakby nie wiedział, co powiedzieć miał.

— Przecz-że mnie znać nie chcecie? — krzyknął groźnie.

Leliwa chwilę się namyślał, inni też nie odzywali się, jemu głos zostawując.

— Bo wy matki swej znać nie chcecie — rzekł powoli.

— Jakiej matki?

— Kościoła świętego i sług jego — mówił Leliwa.

Król szydersko na nich spozierał.

— Tak was klechy nauczyły — zawołał — a ja klechów i was nauczę posłuszeństwa dla ojca. Jam ojciec wasz, matka idzie nie przed, a za ojcem w małżeństwie. Rozumiecie?

Władcy milczeli.

Król miał widać na duszy wiele, bo choć zwykle nierad rozprawiał, teraz rozmowę przedłużał namiętnie.

— A wam co do mojej kłótni z tym klechą? — Co wam do kościelnej sprawy? Wasza powinność ziemiańska, nie klesza! Słyszycie?

Leliwa, znowu pomilczawszy, rzekł poważnie:

— Myśmy nie poganie, chrzest święty przyjęliśmy, a na nim posłuszeństwo Kościołowi przysięgali.

— A mnieście to posłuszeństwa nie winni?

— Kto pod klątwą kościelną jest — odezwał się Leliwa — ten rozkazywać nie ma prawa.

Rzekł to z zimną krwią i powagą wielką, przeciw której król nie miał co postawić oprócz śmiechu swojego, ale oczy mu pobłyskiwały jak u zwierzęcia dzikiego i trzymał się za pas u miecza, jakby go chciał dobywać.

— Precz! Won mi z oczów, chcecieli łby mieć całe! — wrzasnął. — Won! Klecha za siebie i za was zapłaci, bo on was głupich wiedzie do nieposłuchu, precz!

Ręką wskazał w stronę.

Leliwa, Kruk i Brzechwa z wolna poczęli konie zawracać i ani głowami nie kiwnąwszy, odjechali, nie oglądając się na niego. Król, jak stał w miejscu, pozostał chwilę jeszcze, oczyma ich

ścigając, potem konia spiąwszy, w cwał ruszył dalej, a cały dwór puścił się też i gnał za nim pędem.

Pomijając ziemian, Boleszczyce podnieśli tylko ręce groźno, ukazali im pięście, a niektórzy nawet obnażone miecze. Garstka też ziemian nieulekniona podniosła dłonie i dobyte żelaza. Tak łajac się nawzajem i bezczeszcząc minęli, a król pędził dalej.

Na zamku po wyjeździe królewskim cicho było. W komnatach dwu królowych jak wczoraj płacz ciągły i modlitwy. Babka i matka tuliły przerażonego Mieszka, któremu wytłumaczyć nie śmiały i nie mogły, co się stało, ani wyjawić, co groziło. Obie powtarzały, że ani w Kijowie, ni na Rusi nigdy by takich dni nie przeżywały. Z rana wysłała królowa dworzanina do księdza staruszka, który zwykle u niej modlitwy odprawiał i nauczał religii królewicza. Ale z rana nie znaleźli go nigdzie ludzie i nie wiadano, gdzie się znajdował.

Był to benedyktyn, mnich już podeszłego wieku, Włoch, który z pierwszymi jeszcze księżmi w Tyńcu się osiedlił, a po zburzeniu klasztoru za Masławowskich czasów, schronił się do Krakowa. Staruszek wyuczył się był języka i dawno by na powrót przyłączył się do swej braci, którą Kaźmirz do Tyńca znowu sprowadził, a Bolesław sam osadził w Mogilnie¹², gdyby królowa, nawykła doń, dla syna go nie zatrzymała. Obcy krajowi, w którym długie i ciężkie przebył lata, zatopiony w modlitwie, a zarazem kunsztmistrz, bo obrazy świętych na cześć i chwałę bożą do kościołów przedziwnie malować umiał, ojciec Otton siedział na zamku odosobniony, msze o świcie po cichu odprawiał w kościele, godzin kilka trawił przy małym Mieszku, zresztą z duchowieństwem nawet nie częste stosunki miewał. Biskupa widywał tylko z dala, znał go mało i nie narzucał mu się wcale.

Szukano teraz ojca Ottona po całym dworze, długo znaleźć go nie mogąc. Izba jego, nie zamknięta, nie była jeszcze opróżniona; stały w niej złożone deski, na których malował, skorupki z farbami i pędzle, leżały porozkładane pargaminy i księgi, nic

nie zwiastowało, ażeby się już wyniósł z zamku na zawsze. Na ostatek powracającego z miasta, wylękłego i bladego, schwycił na drodze królowej posłaniec i prosił go usilnie, ażeby natychmiast szedł z nim do pani. Staruszek, małomówny zawsze, zawahał się zrazu, powzdychał, zdał się niepewnym, co czynić ma, obejrzał się trwożliwie dokoła, w ostatku leniwym krokiem pójść musiał za przewodnikiem, chociaż widać było, iż niewielką do tego miał ochotę.

Ujrzawszy go na progu, królowa młodsza porwała się z siedzenia, biegnąc przeciwko niemu. Mieszko, który się do staruszka przywiązał wielce, poskoczył także wyciągając rączki. Objął go nimi, uśmiechając się i radując mu się wielce. Lice ojca Ottona rozchmurzyło się trochę, zapłakał, głaszcząc go po główce jasnej, i przytulił ku sobie.

Wtem królowa Wielisława szepnęła mu, aby się oddalił, co dziecię nie zaraz spełniło, ociągając się i niechętnie, trzymało jedną rączką suknię starego benedyktyna i puszczać jej nie chciało. Po odejściu jego do komory królowa rozplakała się szlochem wielkim, oczy tuląc w dłonie obie.

— A, ojczy mój! — zawołała. — Pociesz mnie, ratuj, mów, radź! Co stało się z królem? Jaką to klątwą jak piorunem biskup nań rzucił?

Otton długo stał milczący, z oczyma w ziemię spuszczoneymi.

— Miłościwa Pani — przebąknął nareszcie — wahając się i nieśmiało. Klątwa ta, klątwa kościelna rzeczą jest straszliwą! Żadna siła ziemską przeciwko niej się ostać nie może!

— Lecz on pan! On król! — wołała królowa.

— Na pany, króle i cesarze rzuca Kościół klątwy i padają od nich — mówił mnich.

— I nie ma ratunku? — krzyknęła, ręce załamując, zapłakana niewiasta głosem rozpaczliwym.

— Ratunkiem, ratunkiem jedynym upokorzenie się, opamiętanie, pokuta! — rzekł mnich. — Pokuta publiczna!

Królowa powtórzyła te wyrazy, ręce podnosząc do góry.

— Ale król mój, Bolesław, nigdy tego nie uczyni!

Mnich westchnął tylko. Wielisława, płacząc, sparła się na stole i milczała, bo łyzy jej mówić nie dawały.

— Opuszczają nas wszyscy! — rzekła w końcu. — Zechcecież i wy opuścić nas, Mieszka, któremuście byli ojcem duchownym?

Ojciec Otton dłonią drżącą powiódł po czole, na które zimny pot występował.

— A, Miłościwa Pani — odezwał się — ja jako duchowny, jako zakonnik biedny starszym moim winieniem posłuszeństwo ślepe. Gdzie mi każą, tam pójdę, nie wińcie mnie.

Królowa znowu mocniej płakać zaczęła.

— Byćże to może — poczęła — aby ten biskup dla króla, dla nas, był tak okrutnym i zawziętym... by wymagał od pana swojego takiego upokorzenia? A gdybym ja poszła doń, ja, królowa, z dzieckiem królewskim, z matką królewską i starała się skruszyć serce jego?

Zakonnik głową potrząsł.

— Nie pomogłoby to nic — odezwał się — bo nie od was, coście nic nie przewinili, ale od króla biskup wymaga skruchy, pokuty i poprawy. Miłościwa Pani, padnijcie raczej do nóg królowi, panu swojemu, niechaj on zmiłuje się nad sobą, nad wami, nad dziećciem i nad tą ziemią całą!

Królowa stała długo, zwiesiwszy głowę, spuściwszy ręce złamane.

— A, ja, ja — rzekła upokorzona — cóż ja mogę, jam niewolnica i sługa, choć małżonka. Mnie pan mój nierad słuchał nigdy, a dziś, dziś by mnie popchnął nogą. Nie jest to niewiasty dzieło... Ojcze! Ojcze, radźcie mi inaczej, radźcie i duszy mojej, i dziecku jedynemu!

Ojciec Otton, którego głos królowej przejmował, któremu żal było jej i dziecka niewinnego, namyślać się począł i nierychło odezwał nieśmiało.

— Jam też mnich, a w Kościele bożym sługa mizerny, modlić się umiem i słuchać, na radę mi doświadczenia zbywa. Wiemże ja, co czynić? Chyba jedno: dziecię zabrawszy, z nim ucho-

dzić do rodziny swej na Ruś, opuścić króla, aby duszy nie gubić i niewinnego syna ocalić.

Królowa, usłyszawszy to, wielkim głosem przerażona krzyknęła:

— Ja? Ja bym go opuścić miała, teraz właśnie, gdy nie szczęśliwym jest? Ja? A, nie! Nigdy, ojciec mój! Bóg na niebie miłosierniejszym jest od biskupa, Bóg żonie i służebnicy nie poczyna za grzech, iż pozostała wierną ślubom swoim... Ja opuścić go? A dziecko niewinne możeż zgrzeszyć, że przy ojcu pozostanie? Ja z nim rozstać się też nie mogę. A, nie, nigdy! — płacząc powtarzała królowa. — Niech się wola boża stanie nad nami!

Ojciec Otton stał łamiąc ręce, łzy mu ciekły.

— Dziecięcia żal — rzekł. — Niezbadane są wyroki boże, a Pismo mówi, iż za grzechy ojców na pokoleniach Bóg mścić się będzie. Dziecię... — począł z cicha, lecz zobaczywszy płacz królowej, zatrzymał się i umilkł, głowę spuścił, sam pot i łzy ocierał.

Wielisława szlochała, płacząc padła na siedzenie swoje, a Mieszko, usłyszawszy ją zachodzącą się, wbiegł nie wołany wprost do matki, uwiesił się jej na szyi, a łzami do płaczu pobudzony, razem całować ją i łkać począł. Płakali tak wszyscy, bo słów im brakło. Otton pożegnać chciał królowę, a nie miał odwagi powiedzieć jej, że ostatni raz próg ten przestąpił. Stał u drzwi niecierpliwy z nimi, zapominając o rozkazie, który mu natychmiast opuścić dwór polecał. Upłynęła tak chwila bolesna, królowa łzy otarła gwałtownie, syna odprawiła znowu i zbliżyła się jeszcze raz do staruszka. Nie szło jej już o siebie, ale o pana i małżonka, którego miłowała opuszczona, przebacząc mu wszystko.

— Ojciec mój — rzekła cicho — powiedz mi, nie tając nic, prawdę całą. Jestli także przeklęty z nim, kto go dotyka, kto z nim żyje; kto go nie opuści i nie zaprze się? Bóg jestli tak okrutnym, Kościół tak nielitościwym?

Mnich zadumał się nieco.

— Miłościwa Pani moja — rzekł — jam ubogi zakonnik, jam niewolnikiem w tym królestwie, którego papież i przełożony za-

konu naszego królami są. Ja nie stoję na tych wysokościach, z których widzi się wszystko. Oczy moje nie sięgają daleko, pod stopy patrzę, rozkazów słucham, nie wiem wiele. Jedno wiem, iż rzecono nam, opuście go, ja muszę...

— I żona, i dziecię? — zawołała królowa.

— Wszystkim rzecone — ciągnął dalej ojciec Otto — opuście go, a to dlatego, aby pychę złamać i zmienić ją w pokorę.

— Ale tego człowieka nie złamie nic — odezwała się królowa — on żelazny jest!

— A, Pani moja — szepnął mnich — żelazo, którego nic nie złamie, rdza zjada.

Umilkła królowa, łzy płynęły po licu bladym, nie śmiała pytać więcej.

— Więc i wy, wy nas rzucicie? — szepnęła raz jeszcze po długim przestanku.

— Rozkaz mi dano — odparł zakonnik i stał milczący.

Zakrywając sobie oczy, płakała po cichu Wielisława, mnich zasmucony, zbolały stał, poruszyć się nie śmiejąc, pocieszać nie mogąc.

Zza zasłony znowu, z drugiej izby wyglądał trwożliwie i niespokojnie Mieszek, którego płacz matki wyzywał, a rozkaz jej odsyłał, aby rozmowy nie był świadkiem; wyrwał się powtórnie, przybiegł obejmując ją rękami i płakać zaczął z nią razem. Pieszczone dziecię nie pojmowało, co się z matką, z nimi i dokoła działo; w duszy obwinięło może mnicha, że on te łzy wyciskał, spoglądając nań z wymówką i smutkiem.

Starcowi też poruszyło się serce, dłonie drżące wyciągnął ku dziecku i wezwawszy je przycisnął do piersi, niespokojnie poczynając szukać czegoś pod suknią. Miał tam zawieszony, święcony niegdyś w Monte Cassino, otarty o relikwie święte, krzyżyk dany mu z błogosławieństwem. Był to jego skarb największy i jedyny. Wolał się go wyrzec dla siebie, byle nim niewinne dziecię od zemsty niebios zasłonić. Zdjął drżącymi rękami z piersi ów krzyżyk, wytarty długim noszeniem i pocałowaniem, i szepcząc modlitewkę, włożył go na szyję dziecka, kryjąc pod zwierzchnią

sukienkę. Nad główką jego zakreślił krzyż święty i uściskawszy dziecię raz jeszcze, wymknął się od płaczącej pani.

W podwórku, na drodze oczekiwali nań inni niespokojnie z zapytaniami, ale staruszek przelekkły sam, nie odpowiadając im, przemknął się co żywiej i zniknął w zabudowaniach, skąd w godzinę później wyszedł o kiju z małym węzełkiem swoim pod pachą. Na drodze już zabiegła mu zrozpaczona Krysta, z zapłakаныmi oczyma, padając przed nim na kolana. Uchwyciła połę jego sukni, chcąc go zatrzymać, pytać, błagać, ale ojciec Otton zaledwie ją ujrzał i poznał, szarpnął suknię, wyrwał się przerażony i niemal biegiem dopadł wrót, za którymi zniknął.

Od wczorajszego wieczora Krysta, oprócz Borzywoja, który wpadł na chwilę, i Zbiluta, którego sama przywołać kazała, nie widziała nikogo. Król nawet zdawał się o niej zapominać. Sama, opuszczona, rzucona była na łup czarnym myślom i trwodze. Pierwszy Borzywój opowiedział jej po swojemu o tym, co się stało, a czego ona wcale zrozumieć nie mogła. W dziecięcej głowie jej pomieścić się nie umiało, aby jeden słaby ksiądz mógł potężnemu grozić królowi, który wojsko i siły miał za sobą.

Zbilut i inni przybiegali do niej, przynosząc z sobą gniewy i trwoję; Krysta z początku burzyła się tylko na zuchwalstwo, lecz widok powszechnego przerażenia i ją nareszcie obawą napelniał. Tej potęgi jakiejś tajemniczej, której się wszyscy tak lękali, nie mogła dojrzeć, zrozumieć i dlatego coraz zabobonniejszą trwoję czuła się przejętą. Chciała koniecznie widzieć króla, sądząc, że go potrafi popchnąć do gwałtownego kroku, który by tę niepewność zakończył; czekała nań wieczorem, czekała nie śpiąc noc całą, widziała go błędzącego w ciemnościach, stojącego pod kościołem; nie przyszedł do niej. Nie była więc już niczym dla niego, dla nikogo. Dwór, ludzie zapomnieli o niej, odstąpili. Strach i gniew na przemiany nią miotały. Czekala ranka w oknie.

— Przyjdzie z rana! — mówiła sobie. Ale czekała nada-

remnie. Widziała, jak król wyjechał na łowy, minął okno jej nie spojrzawszy w nie, nie zwróciwszy się ku niej, nie po zdrowiwszy zapłakanej. Krysta padła na posłanie i wypłakiwała piękne oczy. Służba jej nawet niewierna gdzieś się porozbiegała, nie było jej, nie mogła nawołać; nikt nie słuchał i nie przychodził. Samą ją tak rzucili.

Tak dzień cały spędziła, na przemiany gniewając się i płacząc. Wody nie było we dzbanku, zapomniano przynieść jadło. Sama poszła czerpać do studni; nikt, widząc ją, nie odwrócił się, nie zlitował, nie pomógł. Dzień ten był jak wiek długi; płakała, dumiała, spała, narzekała sama na siebie, na króla, na dolę swoją. Niepokoił ją odjazd pana. Cóż się z nim stało i z drużyną? Miałże powrócić czy może odjechać i opuścić ją na zawsze!

Wieczór tak nadszedł leniwo; wieczór coraz ciemniejszy, a króla nie było. Słuchała w oknie tętentu koni, szelestu w dali, głosów, które z dala poznawać umiała. Nareszcie od podnóża góry doszła ją jakaś wrzawa.

— To on, to pan jechał!

Wybiegła w podsienie, stanęła w koszuli jednej, bosa z włosami w nieładzie, patrząc w ciemności. Serce jej biło, skronie pękały.

— A, to on, to on! — Poznała go już nie widząc, wyciągnęła ręce ku niemu, krzyknęła boleśnie. Konie stanęły... Słyszała już brzęk jego miecza, chód jego stopy, dźwięczenie ostrogi złotej; zbliżają się kroki, to on! I Krysta omdlała zawiesiła mu się na szyi.

Na rękę wniósł ją Bolesław do izby i złożył na posłaniu, głosem jak burza straszonym krzyżąc na sługi. Z dziewczek żadnej nie było. Klasnął na swój dwór i kazał służbę za włosy przyciągnąć do pani. W gorączce był tego wieczora, w gorączce łowów i myśli bojujących. Pozostawszy sam z sobą, nabrał znów męstwa, drażniąc się i pobudzając, czuł się znów silnym. Orszak, który go otaczał, wojacy jego byli mu posłuszni, z nimi, z tą garścią odważnych jak on sam ludzi, gotów był rzucić się na tysiące; nie lękał się już nikogo.

Gdy Krysta po omdleniu otworzyła oczy, ujrzała twarz pańską nad sobą, światło się już w izbie paliło, dziewczki strwożone, zapłakane, pobite i pokrwawione pilno się koło niej krzątały. Odetchnęła jakby odrodzona na nowo po dniu i nocy strasznej męczarni.

Ciemnymi oczyma patrzył na nią król i dumał.

— A, Panie mój! Królu mój mileńki! Wy Krysty swej, wy sługi swojej nie porzucicie — odezwała się głosem słabym i pieszczotliwym, wyciągając ręce ku niemu. — Wszyscy mnie opuścili wczoraj... Wody, kropli wody nie było. Krysta bosą sama do studni chodziła...

Król wrzał gniewem.

— Zasec każę te sługi i psami wyszczuć ze dworu — wołał — podle sukki, którym nigdy wierzyć nie można! Uspokój się, Krysta, przepędzę te wiedźmy, znajdziemy inne.

Wstała z posłania blada Krysta, na której twarzy jeden ten dzień i noc straszne zostawiła ślady, oparła się o pana swego i płakała.

— A — mówiła cicho — jak to straszno samą tak zostać, nie mieć nikogo i ginąć trwogą każdą godziną i umrzeć nie móc nawet. Królu mój! Nie opuszczaj Krysty twojej!

Król już tego wieczora był znów po dawnemu pełen męstwa, lekceważenia i buty. Śmiał się złośliwie.

— Podły lud! Podli ludzie! — wołał. — Rozpuściło się wszystko, nadtom był dobrym.

Jutro prędko pokażę im, co mogę! Wnijść musi wszystko do ładu, ale się krew poleje — dodał ciszej.

Na myśl mu przyszło, że za Krystę go właśnie biskup upominał i wyklinał, chciał wszem wobec pokazać, iż się nie uląkł i zmieniać nic nie myślał. Gdyby jej nie miłował nawet namiętnością tak wielką, byłby na swoim chciał postawić i kochanie jej okazywał. Bolało go opuszczenie Krysty całodzienne, należała płaca za łzy wylane, zawołał więc na Borzywoja, aby czeladź mu wieczereź niosła do Krysty, aby widzieli wszyscy, że się nie strwożył i nie ustąpił. Słał po gędźbiarzy, po miód i wino, i służbę, po cześników i podkomorznych. Na skinienie królewskie służba się rozbiegła po słuszną po dawnemu. Krysta tymczasem pobiegła

do komory trefić rozrzucone włosy, suknię wdziac złocistą i piękną, piękną wnijsć do swojego pana.

Bolesław tymczasem wyszedł w przedsienie do swej drużyny, do Boleszczyków, zalecając im, aby było wesoło a huczno, żeby się zamek cały śpiewami, gędźbą i okrzykami rozległ. Stoły rozkazał powynosić na podwórze, miód i piwo lać w bród i ciągnąć do nich jak najwięcej ludzi; pić i śpiewać, i skakać do białego rana.

— Niech biskup słyszy i widzi, że nam dobrej nie odjął myśli, żeśmy głów popiołem nie posypali, a o jego gniewy nie dbamy. Niech drży klecha!

Rozbiegli się natychmiast dworscy, budząc, pędząc, ściągając lud i hałasem wielkim napełniając podwórca wszystkie.

Z przybyciem króla jakby czarami zmieniła się zamku postać, w przelękłych wstąpiło męstwo. Ci, co się kryli, powyłazili z kątów, wesołość pańska dodawała im odwagi. Toczono beczki, śmiejąc się i pokrzykując, ustawiano z hukiem stoły, zawodzono krzykliwe pieśni, śmieli się wszyscy, a zwołane trąby i rogi wojenne od czasu do czasu serca dodawały, podpowiadając pieśniom i hukaniem. Pochodnie powynoszono w podwórza, ażeby zamek w światłach gorzał z dala, rozpalono stopy łuczywa. Boleszczyce chodzili, sami krzycząc na całe gardło i drugich zmuszając — aby chcą czy nie — byli weseli, a wrzawy robili jak najwięcej.

W mieście i na przedmieściach ludzie się pobudzili, patrzali i słuchali.

— Król się weseli! — mówili jedni.

— Szatan harce wyprawia! — szeptali, żegnając się, duchowni.

Strach i podziwienie ich ogarniało. Król się więc nie uląkł i szydził sobie z biskupa i Kościoła? Kto silniejszym miał być? Biskup ze swą klątwą czy Bolesław z zuchwalstwem i urągowiskiem? Wątpliwość wstępowała w serca.

Biskup siedział na Skalce nad księgami swymi, na rękach oparty, w myślach zatopiony, gdy do niego kleryk wpadł i przyklękawszy, pocałował go w rękę. W okno biło światło z daleka.

— Co to za łuna tak świeci? — spytał biskup.

— Na zamku stosy i pochodnie goreją — rzekł przybyły.

— Co to za wrzaski słyhać?

— Na zamku król wielką wyprawia biesiadę i weseli się — odparł kleryk.

Wstał biskup od pulpitu, otworzył błoniaste okno, patrzył i słuchał. Aż tu dochodziła wrzawa i okrzyki dzikie. Posmutniało mu oblicze i oczy niemal zaszły łzami.

— Stań się wola Twoja! — rzekł po cichu.

Z wolna wyszedł aż na próg domu swojego i oczy ku Wawelowi obrócił. Nad górą zamkową wznosiła się luna krwawa i dymy iskier pełne; buchało z niej światło i lały się pieśni swawolne, pogańskie.

Bolesław na górze, na wałach stał z piersią odsłonią, bo w niej gorzał gniew płomieniem, patrzył w dół ku Skałce; urągał się w ciemnościach zanurzonemu domostwu, które stało otwarte i bezbronne.

— Gdybym chciał — mówił w duchu — dziś, zaraz skinął bym, zgniótł klechę, w perzynę obrócił tę kleć jego i wyniósł go na mieczach. Ale nie, niech drży z trwogi, niech czeka...

niech godziny liczy! Nie ujdzie rąk moich! Zamknie przede mną raz jeszcze drzwi kościoła, ja mu drzwi życia zamknę na wieki. Do Rzymu pošlę bryłę złota. Co im jeden biskup, jeden klecha, poddany mój. Nikt się nie ujmie za niego! Przykład dać trzeba. Dość suchej walki, do pierwszego spotkania!

Rozdział II

Nazajutrz po klątwie rzuconej na króla wieść o niej biegła od kościoła do kościoła, od wsi do wsi, z ust do ust, piorunem się rozchodząc po kraju całym. Zdawało się, że ją jakaś niewidzialna siła dźwignęła i na skrzydłach niosła. Ludzie się z nią spotykali na gościńcach, na rzekach płynąc, oracze na łąkach, kosarze na łąkach, przylegała do obcych podróżnych, szła jak mór, który niesie powietrze. A od dworu do dworu widziano tych dni jeżdżącego człowieka na koniu, lichego sukna kawałkiem okrytym, w odzieży prostej i odartej, z głową obnażoną, z brodą rozwianą, z włosom rozczochranym, który gnał bez dróg od wsi do wsi; wjechawszy w podwórze, porzucił konia samopas, szedł do dworca, do ziemian, stawał przed nimi, wywoływał słów kilka gorących i po chwili, nie spoczynszy, siadał znowu na szkapę, jechał dalej.

Stary Odolaj chodził z Okiem i Hyżem po swym podwórku w Jakuszowicach, gdy do wrót ten gość odarty zastukał. A Oko mówił panu:

— Człek jakiś na mizernej szkapie, obdarty, bez szłyka, w sukmanie prostej, zdyszany. Dobija się na gwałt, posłany być musi chyba od kogoś.

Hyż patrzył dziko ku wrotom.

— Niech go puszcza — rzekł Odolaj.

Otwarto jeźdźcowi, który z konia zaraz zeskoczył. Nim Hyż, który już gotował się biec, mógł się rzucić na niego, odwołał go stary i przy nogach leżeć kazał, a pies legł mruczając, posłuszny. Zbliżał się ów dziwny poseł daleko śmieiej, niż na Jego odzież i stan przystało.

Suknie miał wyrobnika, a postać Boleszczyca.

Odolaj, posłyszawszy kroki zbliżające się, zawołał:

— Coś zacz? Mów!

— Mścisław z Bużenina — rzekł przybyły śmiało — ten, któremu król niepoczciwie żonę wziął, któremu dom zesromocił, łoże pokalał, którego uwięził i na urągowisko puścił. Mścisław jestem,

ten, do którego krzywdy z innymi i twoje wnuczki i prawnuczki przyłożyli się, służąc swojemu panu nie jak rycerze, ale jak podłe niewolniki! Mścisław jestem, który nawołuje do zemsty, do sprawiedliwości. Biskup na króla rzucił klątwę, przeklęty, kto z nim, kto mu służy, kto pomaga, kto się o niego ociera! Twój z nim przekłęci, ród twój, krew twoja...

Stary słuchał, ślepymi oczyma patrzeć się zdając na wściekłego i dyszącego gniewem człowieka, któremu wargi wyschłe popękały od gorączki i krwią płynęły, oczy krwią zachodziły, a lice było żółte i czarne.

— Nie bluźń, ty poganie jakiś! — krzyknął gniewnie stary. — Nie bluźgaj, plugawcze! — Ojcem twym i dziadem mógł bym być, a lat i włosów moich nie szanujesz, zbroju jakiś! Dla jednej niewiasty twojej, coś jej trzymać nie umiał, ma się całe królestwo obrócić w perzynę?

— A niech się w perzynę i zgliszcze obróci — krzyknął niezmiészany Mścisław — niech wszystko przepada! On i królestwo jego, i wy wszyscy jego współnicy!

— Wściekły wilku, nie człecz! — począł w gniewie stary Odolaj. — Któż ci to mówił, że my jego współnikami jesteśmy?

I nogą a kijem począł bić o ziemię, trzęsąc się cały. Pies podniósł się, zęby wywarł i ujadać począł, nie mogąc się ruszyć, a że stary go uderzył, zawył.

— Kto ci mówił, że my jego współnikami? — ciągnął Odolaj. — Ja ród mój przekląłem, jeżeli mu służyć będzie, nie po daruję mu, znać ich nie chcę! Zapieram się. A co ta nędzna garść znaczy?

— Z garści się korzec sypie — zawołał Mścisław nie ochłonawszy — ale twoja garść, stary Odolaju, zostanie wkrótce samą! Jadę od dworu do dworu, wołam w imię nie moje, ale jako mi biskup przykazał, aby od niego precz szli wszyscy, precz! Słyszycie? I odstąpią go, muszą, wszyscy, krom waszych. Srom wam i hańba, stary! Srom i hańba na ród!

Odolaj drżał z gniewu.

— Gdybym oczy miał, dawno byś ty dłoń moją poznał! — zakrzyczał.

Mścisław się śmiał, Hyż zawarczał.

— Przybyłeś mi się tu uragać na moich śmieciakach? — zawołał Odolaj.

— Nie — rzekł pan z Bużenina — ja ci przyszedłem oznajmić, abyś posłał po nich i ratował siebie i ich. Mam litość nad twymi włosami siwymi, ale nad ich krwią nie mam litości. Ślij do nich z przykazem, zaraz!

Stary głową trząść począł.

— Tak — rzekł — poślę, a ty tu legnij mi, leż i czekaj, ażebyś był świadkiem, co im rzeknę.

— Ja? Leżeć? Czekać? — rozśmiał się Mścisław. — A maszże ty taką siłę, co by mnie przykuła choć na pół dnia do ziemi? Ja muszę jechać, wołać, budzić! Gore! Aby wszyscy szli, jako do ognia przeciwko niemu, na niego... Wyklęty jest! Precz z nim! Wyklęty!

Odolaj wstał i począł się zbliżać na głos, idąc ku niemu.

— Niech cię tam słota niesie i wiuha! — krzyknął. — Jedź, biesie, na złamanie karku! Ażebyś mi tu był trzeciego dnia na zaraniu, jeżeli cię lich nie porwie. Rozumiesz? Trzeciego na zaraniu!

— A czemuż to ja mam twoich rozkazów słuchać? — spytał Mścisław.

— Bom ja stary i ślepy, a tyś wściekły i bezrozumny! Ty, ty, coś się w jednej niewieście do szалу rozmyślał, że ci oczy zabiegły krwią, a serce zemstą. Jedź, jedź, a do trzeciego dnia byś mi tu był, a nie będziesz, daj cię wilcy szarpali!

— No, to będę — rzekł Mścisław.

Ani słowa nie mówiąc, szedł zaraz wprost do konia, który się pasł na murawie, głowę mu podniósł, skoczył nań, a gdy siadł, Hyż, nie pytając pana o pozwolenie, nagle się kopnął aż do szkapy, rwąc się jej do pyska i przeprowadzając go szczekaniem zajadłym aż za wrota. Gdy Mścisław już za bramą był, pies ziemię zębami pochwycił i gryźć ją począł ze złości. Stary wcale

mu tej zabawki nie wzbraniał. Oko, stojąc przy starcu, śmiał się po cichu ze psa i ruchami rąk jeszcze go podszczuwał.

Wtem Odolaj się odezwał:

— Oko, skocz mi duchem po Kota — a sam usiadł na wałach i pies zmęczony przyszedł mu się u nóg położyć. Biegiem poleciało chłopię i natychmiast przywiodło z sobą parobka, który, do pana się zbliżywszy, do nóg mu się pokłonił.

— Jest Kot? — zawołał stary. — Konia mi weź zaraz i leć do Krakowa! Moich znasz, co tam są?

— Znam, panie.

— Pierwszemu, którego spotkasz, powiedz, że Odolaj dziad przykazuje mu, aby natychmiast konia wziął, nie zważając na nic, do Jakuszowic się stawił.

Ledwie to rzekł, Kot już był na powrót w szopie, sukna kawał na konia rzucił, pędził we wrota i zniknął.

Odolaj tego dnia nie przysiadł ani spoczął, nogami starymi całe swe zamczysko schodził wkoło sto razy, a co się położył ze znużenia, to zrywał natychmiast, jakby go co piekło, i gnał znowu.

Tyta widząc, że ojciec się zamęcza, przyszła do niego z prośbą, aby wypoczął trochę; ofuknął na nią stary.

— Babo ślepszka ode mnie, idź do kąta kądziel prząść, co ci do mnie!

Oko chodził za starym płacząc i drzemiąc. Hyż w końcu położył się w pośrodku dziedzińca na trawie i wzrokiem tylko za panem wodził. Tak było i tego dnia, i drugiego. Nocą wreszcie legł starzec i zasnął mocno, ale nade dniem o brzasku zerwał się znowu i wyszedł. Czuł, że dzień musiało; podsłuchiwał, czy kto nie jedzie. Nie było nikogo. Bydło wypędzali dopiero na rosę i stadnina z noclegu powracała. Stary wdrapał się na sam wału wierzchołek; Hyż nosem ciągnął po wietrze i pomrukiwał, jak był zwykł, gdy z dala co poczuł.

— Jada! — rzekł stary.

Widać nie było, słycać nie było, czuć było.

Zszedł Odolaj, podparłszy się na ramieniu Oka, i potoczył do izbicy, siadł w rogu jej, pies się na swoim barłogu położył; czekali.

Wtem tętnieć już i brzęczeć zaczęło na drodze, wrota skrzypnęły, koń zarżał, chód słycać było żywy. Zgrzany, zmęczony, ocierając pot z czoła, wszedł Dobrogost.

Stary z kąta zapytał tylko:

— A który tam?

— Dobrogost Mszczujów.

— Hultaje jacyś — począł Odolaj — psy parszywe, co wy sobie myślicie? Czym ja dla was? Kto wy? Gdzie nasza krew? Macie wy ojców? Kogo wy słuchacie?

Dobrogost milczał, czując się rozsierdzonym mocno.

— Z królem trzymacie! — dodał Odolaj.

— Inaczej nie możemy — ośmielił się Dobrogost — Król pognębiony i opuszczony.

— I będzie zgnębiony na proch, na nic — dodał stary — sczeźnie!

Wtem wyrazy mu w gardle zastygły, znowu tętent słycać było i wrota skrzypnęły, wbiegł człowiek, stanął a dyszał.

— Otom ci jest, masz mnie!

Oglądał się dokoła obłąkanym wzrokiem. Stary szepnął:

— Wiem, Mścisław.

On to był, w tej samej odzieży zbrukanej i odartej; czarny, żółty, osmolony, z oczyma palącymi się i usta spiekłymi a krwawymi. Stojąc tak dojrzał u drzwi ceber z wodą i zamiast czerpakiem się jej napić, oburącz chwycił ceber, do ust go sobie chyląc. Pił strasznie, bo mu wewnątrz gorzało.

— Słuchaj, wściekły człecze — odezwał się stary, gdy ceber postawił — oto masz przed sobą zwołanego tu Jastrzębia. Słuchaj, co mu powiem, wypieram się ich wszystkich do nogi, jeżeli przy królu zostaną. Kazałem i rozkazuję precz ze dworu iść!

Mścisław zwrócił się do Dobrogosta.

— Cóż ty? Co?

— Ja mówię dziadowi, że my nie możemy iść, nie pójdziemy — odezwał się Dobrogost nieśmiało.

— Srom, mówicie, z królem trzymać, a srom też ze strachu go rzucić, gdy wszyscy idą precz. Starsi nasi postanowili, nie pójdzie żaden z nas teraz, a szyję będzie trzeba, to damy.

Starzec aż się porwał z kąta.

— Ty padalcze, śmiesz?

— Ubijcie mnie, jeśli wola — odpowiedział spokojnie Dobrogost, nie mogę rzec inaczej. —

Wszyscy przy tym stoją, ja się od braci oddzielić nie mogę. Czy Śreniawy zostaną, czy Drużyny dotrzymają, nie wiem, a Jastrzębcy trwać przy nim będą. To nasza powinność.

Mścisław mu plunął pod nogi.

— E! Plemię niewolnicze! Raby, sługi cherlawe! Parobki królewskie!

W tej chwili Dobrogost mu do gardła przyskoczył i ścisnął je tak w silnych rękach, że Mścisław posiniał cały. Chciał mu się wyrwać, nie mógł. Miotali się nie mówiąc słowa, Dobrogost dusił go w śmierć.

Stary, posłyszawszy ten ruch, domyślił się, co się stało, i ryknął głosem ogromnym:

— Puść mi go zaraz, bo cię zasiec każę!

— Tobie, dziadzie, wolno zrobić ze mną, co zechcesz — krzyknął Dobrogost — ale temu psu wara!

Mścisław, puszczonego ze strasznego uścisku, zatoczył się i upadł na ławę. Oczy jego zbladłe stały nieruchome, wargi mu drżały.

Stary Odolaj stał, kijem bijąc w ziemię.

— Wiesz ty — zawołał do Dobrogosta się zwracając — ktom ja?

— Dziad nasz — rzekł Dobrogost, który ręce krwią nabiegłe ocierał.

— Siwa głowa rodu — począł Odolaj — ojciec ojców waszych, com wam wszystkim żywot dał, co ma prawo każdemu z was żywot odebrać, bom go nie dał na hańbę, ale na pocziwość!

Dobrogost walką z Mścislawem był rozgorączkowany i zburzony.

— Tak — zawołał — jesteś ojcem ojców naszych, żywot węź, jeśli chcesz, a do podłości nas nie zmuszaj! Podłość, mówicie, takiemu panu służyć, ano gorsza jakiegokolwiek rzucić, gdy ginie; tego i psy nie robią!

Mścislaw, odszedłszy nieco, pluł krwią i klął cicho.

— Czyńcie tak! — rzekł. — Czyńcie! Ano dobrze! Z nim razem i ze psami jego pójdziecie precz z ziem naszych. Ścierw waszych żaden cmentarz nie przyjmie, wilcy chyba się nad nimi zlitują! Idźcie z nim! Idźcie!

Dobrogost zamiast mu odpowiadać, jakby nie słyszał, co mówił, odezwał się do starego:

— Gdyśmy na dwór do króla przystawali, kto nas tam słał? Ano wy sami, ojcowie i dziady. Pędziliście nas do niego i mówili: „Wierni mu bądźcie, miłujcie go, szanujcie, służcie mu”. Takeśmy uczynili wedle rozkazania. Teraz żądacie znów, byśmy tonącego rzucili i wypowiedzieli służbę, kiedy wszyscy nań biją!

Odolaj mruczał:

— Jaja mędrsze od kur! Jak to się tam nauczyło dworować, a czyjeż rozkazanie mocniejsze ma być, czy krwi waszej, czy króla?

— Krewże nas własna królowi oddała — rzekł Dobrogost.

— No, to gińcie i przepadajcie z nim razem! — zakrzyczał Mścislaw.

— Będziemy stać przy nim i nie zginiemy! — zawołał Dobrogost, ośmielając się coraz bardziej. — Garść nas jest, ale król w potrzebie na Ruś zawoła i na Węgry, przyjdą doń. Wszystkich wrogów swoich zgniecie i wytępi. Nie zwyciężyliście jeszcze nas, wy, z klechami waszymi! — dodał, zwracając się do Mścislawa.

— Hej, hej, niecnoto jakiś! Nim mu Węgry przyjdą i Ruś nadciągnie, nogi was tu nie stanie! — krzyknął Mścislaw.

— Ano! — odparł obojętnie Dobrogost.

— Wszystkie ziemie i powiaty, i co żyje u nas, przeciw wam! — wołał pan z Bużenina.

— Ino z królem lud i gmin! — odparł Dobrogost. — A na was ziemian garść i rycerstwa dość będzie, i tych z pałkami.

Już miało znowu przyjść do łajania, do razów może, gdy Odolaj gwałtownie w tok kijem stukać począł.

— Milcz, ty kobuzie jakiś! — krzyknął.

Dobrogost głowę spuścił, usta zadąwszy, a Odolaj zwrócił się do Mścisława.

— Otóż masz, widzisz, ty wścieklico — rzekł — że ja rodowi mojemu nie folguję. Widzisz, com im rozkazywał, słyszysz, co mi te gołowasy gadają. Jam nie winien.

— Tyś winien — gwałtownie wybuchnął Mścisław — ty i twoi! Po coście ich dali pookuwać w te dyby? Rzuciliście ich sami w tę kupę gnoju i dziwujecie się teraz, że gniją?

Odolaj w pierwszej chwili gniewu kij podniósł do góry, zamierzył nim, jakby go chciał uderzyć, i opuścił bezsilnie. Gościem był.

Mścisław dyszał wyciągnięty na ławie. Znużeni zamilkli wszyscy czas jakiś. Pan z Bużenina oglądał się i przysłuchiwał niespokojnie. Czekał on przybycia tych, którym oznajmił, że ma być w Jakuszowicach, i wezwał, aby w pomoc przyszli. Szło wszystkim o to, aby króla Boleszczyce, ile ich było, opuścili. Sobie i Odolajowi nie ufając, Leliwę, Kruka i Brzechwę napotkawszy, stawić się im kazał do Jakuszowic tego rana. Czekał, azali nie przybędą. Dobrogostowi stać jak przed kościołem w kunie¹ miło nie było i ozwał się szorstko:

— Jeżeli miłość wasza jużście wszystko rzekli, co chcieli, azali nie odpuścicie mnie?

— Idź na skręcenie karku! — krzyknął Odolaj. — Idź! Między mną a wami nie ma już nic, ani na pogrzeb mój nawet nie śmiejecie przyjść! Czeladź was kijami od trupa odpędzi...

Dobrogost ruszył się już.

— Spieszno wam — szydersko i gniewnie odezwał się Mścisław — wstyd, srom. Strzymajcie no się, jeśli odwagę macie, przybędą tu inni jeszcze, co wam od wszystkiego ziemiaństwa rzekną, co was czeka. Warto słuchu...

Stary się zachnął zagniewany.

— A kogóż wy tu do mnie śmieliście nawoływać? Wy, do mnie, a to jakim prawem?

— To sprawa ziemiańska — odezwał się Mścisław — a wyż kto? Każdy dom dla niej powinien być gospodą, chce czy nie.

Nic na to nie odpowiadając, Odolaj poszedł z kijem do kąta i położył się. Dobrogost szedł do drzwi.

— Czekaj! — zakrzyczał Mścisław. — Czy się boisz? Stój, gdy mówię, starszyzna przyjedzie! Boisz się?

— Ja?! — oburzył się Dobrogost.

— Nie boicie się, to przystańcie mało, bo oto jadą — dodał Mścisław — zaraz ich będziecie miał.

W istocie Leliwa i Kruk przybywali. Gdy w sieni już ich usłyszał Odolaj, ruszył się, zły był, mrucał sam do siebie. Gdy wchodząc zaczęli pozdrawiać gospodarza, za ledwie im półgłosem odpowiedział. Mścisław, powstawszy z ławy, wskazał na stojącego w kącie Dobrogosta.

— Oto macie jednego z tych Boleszczyców. Dziad mu próżno mówił, próżno kłął, jeszcze no wy powiedzcie, co macie.

Leliwa oczyma szukał Dobrogosta w ciemnym kącie izbicy. Widząc to obwiniony śmiało naprzeciw okienka wystąpił.

— Cóż wy mi rzec macie? — spytał zuchwale. — Co?

Zmierzył go oczyma od stóp do głów stary.

— Butne pany! — zawołał. — Co my wam mamy rzec, to krótkie słowo, tak jak z wami sprawa będzie krótka. Król nas chłopom chciał sprzedać, Kościoła nie szanował i my go, i Kościół znać nie chce. Kto z nim trzyma, przeciw nam idzie, wróg nasz. Rozumiecie? Chcecie z nim zostać, toście nie bracia nasi, ale wywołańcy, którego pochwycimy, głowę da. Majętności i ziemie wasze zabrane będą, bo ziemi niewart mieć, kto jej nie broni i swej braci. Oto, co was czeka. Zaprze się was ród, zaprze ziemia, będziecie zaprzańcami, głowy wasze zdejmie, kto zechce!

— Byle mógł — odparł pogardliwie i szydersko Dobrogost. — Co ja wam na to mam powiedzieć? Nic! Kto głową nałoży, to Bogu wiadomo, a co my czyniemy, wiemy dlaczego. Sumienia nasze-

go nikt nie ma prawa sądzić, ino my sami. A co więcej? — spytał w końcu.

Kruk popędliwie wtrącił:

— Jeszcze wam mało?

— Upamiętajcie się — łagodniej począł Leliwa — choć sprzeniewierzona, wyście tak-i nasza krew. Żal was. Poszaleliście z szalonym królem waszym... On już nie król.

Dobrogost ramionami ruszył i powtórzył znów obojętnie:

— A co więcej?

Kruk się zzymnął, rękami rzucił i odwrócił od Dobrogosta, jakby nań już patrzeć nie chciał. Mścisław, oburącz przebierając we włosach, darł je z głowy. Gdy zamilkli, Dobrogost, który nabierał odwagi i gniewu razem, odezwał się:

— Ja powiem wam jeszcze jedno! Ani pana, ani nas tak łatwo, jak się wam zdaje, mieć nie będziecie. Poleje się jeszcze krwi dużo, poleje! Macie wy siłę, ma król też swoich. Wy sprowadzicie Czechów, on Rusinów i Węgrów. Będzie to, co było za Kaźmirza, gdyście wy wygnali precz z kraju pana, a potemieście na kolanach prosić go musieli, aby do was powrócił. Za to was pan nasz miłować ma, żeście jego rodzica wygnali? A kto to uczynił, jak nie wy? Dziś jego precz chcecie wyżenać, aby wam z biskupami panowanie zostało! Próbujcie! Król pewno nie pójdzie, jak Kaźmirz, po dobrej woli. Kaźmirz król inny był, wygnąć go łącniej było. Na Bolesława, choćby i klątwa padła, twardy pan nasz, nie zgniecie go. Ludu przy nim zostanie dosyć, aby na obronę przeciw wam stało. Wy naszym głowom grozicie, nie wiem, co z waszymi będzie.

Leliwa słuchał nie przerywając.

— Ano, ano — rzekł — lepiej nam z księżmi i klechami niż pod jego różgą na równi z chłopcy i niewolnikami.

Wszystkim się już od tej mowy swarliwej twarze paliły. Mówić nie było co więcej, chyba łajać i bezcześcić, a odgrażać.

Dobrogost spojrzął po nich, zawrócił się i z wolna szedł ku drzwiom precz. Zwrócił się ku Odolajowi.

— Głową ojcu panu! — odezwał się.

—Ja was znać nie chcę! — krzyknął stary. Zwij sobie ojcem psa rudego. Słyszysz, idź mi won!

Wśród śmiechu wyszedł Dobrogost. Kipiało w nim. Za progiem stanął tchnąć tylko, tu nań stara

Tyta czekała.

— Cóż wy tu robicie? — zapytała. — Jam was po głosie poznała. Stary na was zły, łajał!

— Cóż, przyszedłem tu na jego rozkazanie własne, aby mnie przy obcych na współ z nimi zesromocił. Bywajcie zdrowi, ciotko miła, już tu bodaj noga nasza nie postanie! Przyszło nam na to, że dziad wygnał... Zdrowi bywajcie!

To mówiąc, Dobrogost za próg się wysunął, spojrzął po starym swym gnieździe spokojnym, które porzucił na zawsze, wypędzony; ciężko mu się stało, lecz zmienić, co czynił, już nie mógł.

— Stanie się, co ma być! — rzekł w duchu.

A stary Odolaj, znowu leżąc w kącie, mruczał:

— Krew nasza! Psubraty! Szyję dadzą, a woli ich nie złamać. Biciem nic nie zrobisz z nimi ani groźbą. Krew nasza!

Dobrogost do konia się swojego brał, gdy za nim i Mścisław się wysunął. On także nie miał tu już co czynić, musiał jechać dalej, wioząc z sobą nawoływanie do zemsty.

Dobrogost dał mu się wyprzedzić i z wolna pociągnął nazad ku Krakowu. Porzucił był zamek wśród uczty, a gdy wrócił nań, zastał go jeszcze gwarliwszym, pełnym ludzi, hałasu i śpiewu. Nadjechali do króla Rusini, których przyjmował ochoczo, rad, że mu się goście obcy trafili. Drugi już dzień na zamku trwały szalone igrzyska. Końmi się uganiano, ciskano włócznie, z łuków strzelano, król dawał nagrody, a strojnej Kryście i żeńskiemu dworowi królowej siedzieć kazał, przypatrywać się, pieśni śpiewać i dodawać wesela.

Gdy Dobrogost wjechał w tę wrzawę i tłum, po tym, co słyszał i co wycierpiał, jakoś mu to się niemiłym wydało, że król, mało o sobie myśląc, nie wając odgrózek, lekko brał, co nań ciągnęło. Dobrogost czuł, że tu na uczty czasu nie było. Okolice, które

przebył, ludzi, których spotykał, co się o uszy jego obilo, oznajmywało, że wszyscy się w obronie biskupa przeciw królowi gotowali. Lud, choćby go Bolesław miał za sobą, niewiele mógł; z ziemian z nim nikt prawie nie trzymał, z rycerstwa znaczniejsza część i najdzielniejsza po kijowskiej sprawie go odstąpiła. Tymczasem król urągać się zdał nie bezpieczeństwu, im ono widoczniejszym się stawało, tym mniej okazywał, że je widział i czuł.

Tego wieczora szczególnie huczno na zamku było, ucztowano w podwórcach, na wałach, tak aby wszyscy widzieli, iż król się nie trwożył. Beczki wytaczano jedne po drugich, z miasta i przedmieść czerń, choć wiedziała, że biskup zabraniał zbliżania się do króla, oprzeć się nie mogła ponęcie jadła i napoju. Lud też zawsze był przywiązany do niego, czując, że miał w nim opiekuna, a kościelnych kłątów niewiele rozumiał i w wierze mocen jeszcze nie był. Gdy brakło ziemian i rycerstwa, on zastępował ich u stołów. Król dla oka i dla swawoli wielu z nich poprzyodziewać kazał bogato, co im równie jak miód głowy zawracało.

Dworni królewskiej ta czerń, co się na równi z nią stawiała, nie bardzo była do smaku, lecz pokazać tego nikt nie śmiał. Gdy we łbach zaszumiało, cała szorstkość i dzikość ludzi tych wychodzić na jaw poczęła i uczta zmieniała się w istny szal, wśród którego zaledwie król już był poszanowany. Ci, co wczoraj głodni włączyli się w łachmanach, a na których dziś powdziejano jedwabie i do syta im dano najprzedniejszego napitku i jadła, pamięć straciwszy, sami się królami sądzili. Głowy się zawracały.

Boleszczyce, stojąc przy królu i za nim, ostro na to patrzali, ale król sam śmiał się i podzegał jeszcze zbytujących, rzucając im, jak kości psom do gryzienia, nazwiska znienawidzonego sobie rycerstwa. Jednego z charłaków kazał przybrać niby w biskupie szaty i dać mu na głowę czapkę o dwu rogach, a w rękę kij zakrzywiony; dopieroż z niego strojono żarty, a on się popisywał z bezwstydy. Widząc, że wolno obelgi miotać i bluzgać, ludzie też gąb nie żalowali. Za każdym słowem dobitniejszym cizba śmiechem odpowiadała jak chórem. Na tę zabawę, wśród której nikogo nie oszczędzano, natrafił Dobrogost i właśnie się w tłum wmię-

szał, gdy mieszczanin Sroka, którego odziano w oponce wyszywaną, szłyk i łańcuch, na rycerstwo całe wydziwiał, żony i domy bez czesząc.

— Hej, panku na Bużeninie! — wołał pijany. — A gdzie żonka twoja? Wysoko poleciało białe ptaszę, wysoko! Siadło na złotej jabłoni, a tyś goniąc za nim, wlaź w błocko po kolana!

Krysta, słuchając, twarz zakrywała zarumieniona, łzy się jej w oczach kręciły. Wstyd jej było, po raz pierwszy może, być tak wziętej na języki przy ludziach i w oczy, ale król patrzył na nią śmiejąc się i jeszcze mówiącego podżegał.

— Hej, panku Leliwo — ciągnął Sroka dalej — któremu król dolewać kazał. — Panku Leliwo, z tobą gorzej być może! Król ci nie żonkę weźmie, bo stara i nieharna¹!, ale siwą główkę zetnie jak makówkę i każe zatknąć na płocie, aby sobie przeszyła.

Śmiech się znowu rozległ jak grzmot dokoła. Sroka, siedząc u stołu na miejscu, które dawniej pany zajmowały, pysznił się, nadymał, rozpierał, szłyka poprawiał, pił ciągle i na króla tylko patrzył, czy mu to miłym było.

— Ej, ej — mówił popijając mnogo — im nasze parobczaki żonek nazabierali, ano to tylko za nasze dziewczki po dworach płacą! Resztę im jeszcze białych głów odjąć trzeba, aby się plemię nie rozradzało! Dostyc było ich panowania, za naszego króla przyjdzie kolej na tych, co byli spodem, żeby nawierzch wyleźli. Kto wieszał, tego powieszą, kto ścinał, tego zetną, reszta co zostanie, do pługów ich zaprzężemy i batem po uszach: wiu hot! Nie chcieli pana słuchać dobrego, będą złej pletni słuchać musieli: wiu hot, po uszach!

Ludzie się aż kładli ze śmiechu, król twarz też miał wesołą, tylko drużyna pańska, ziemian dzieci, burzyła się i krew w niej wrzała słuchając.

Sroce się gęba nie zamykała.

— Królu, Panie Miłościwy — wołał kubek podnosząc — daj ci Boże panowanie na długie lata! Tyś się nad nami litował, my tobie służyć będziemy krwią i potem. Pójdziemy za tobą w ogień i wodę. Niechaj się panowie rycerstwo policzą, zobaczemy, kogo

więcej, czy mrówek na polu, czy ptactwa, co nimi żyło. Setne lata Panu naszemu! Setne lata!

I pili tak a wywoływali; król z Rusinami siedział i słuchał. Wśród tej wrzawy, bracia postrzegłszy, że Dobrogost powrócił, na stronę go odciągnęli, aby się od niego dowiedzieć, z czym przybywał. Wprawdzie z lica mu się tego było można domyśleć, ale posłyszeć chcieli, jak tam było. Odeszli z nim na podsienie, kędy nikogo nie było i gdzie tylko pijane do chodziły śmiechy, i Borzywój badać począł, co się w Jakuszowicach działo.

— Co ma być? — rzekł Dobrogost. — Tam toż samo, co wszędzie, albo to nie wiecie?

Źle dla nas słyhać i dla pana. Stary dziad o mało mnie od siebie nie wyszczuł psami, a z tym.. Mścislawem musiałem się chwycić za bary i tylko żem go nie udusił. Leliwa i Kruk gardłem nam grożą, mówią, że kogo z królem pochwyca, żywcem nie puszcza. Ot, co słyhać! Rycerstwo i ziemianie zjeżdżają się, gromadzą na głos duchownych; jeden wszędzie krzyk: „król wyklęty, znać go nie chcemy”. Spotykałem po drodze poczty zbrojne, dobrze, żem z życiem uszedł; Boleszczyce razem z Bolesławem wyklęci. Nie będąc silny, coraz się musiałem w las kryć przed zbrojnymi kupami. Mścislaw szalony objeżdża dwory, nawołując przeciw królowi, za swój i całego ziemiaństwa srom i hańbę, za biskupa i Kościół! A stary dziad jak niegdy tak teraz kijem stuka i precz nam każe iść od króla, precz a precz, albo żebyśmy się jego rodem zwać nie śmieli. To mówiąc westchnął Dobrogost.

— Od króla iść po czasie — odezwał się Borzywój — teraz, kiedy na niego wszyscy szczują!

— Mówilem to staremu — rzekł Dobrogost — za to mnie ze psy królewskimi porównał i precz wygnał.

Stojący wkoło Boleszczyce zadumali się smutno. Działo się to na uboczu, ale niedaleko od zastawionych stołów. Jastrzębcy kołem oblegali Dobrogosta, milcząc a myśląc nad tym, co im przynosił, choć nowego dla nich nic nie było. Wtem król z siedzenia swojego ruszył, obejrzał się i ku nim zbliżać zaczął. Wiedział on o wyjeździe Dobrogosta, domyślił się pewnie, nad czym naradzać

się mogli, przystąpił do nich, w oczy im spozierając, jakby czytać chciał, co myśleli.

— Czy i wy tu już kupą stoicie, jakbyście kupą ode mnie iść chcieli? — zapytał szydersko.

Borzywój zwrócił się doń ze smutną a żałościwą twarzą.

— Miłościwy Panie — rzekł — nie krzywdźże tych, co wam służą wiernie. Wyrzekliśmy się swoich dla ciebie, a z drogi już się nie zawrócimy.

Król, nie odpowiadając mu, na Dobrogosta nastąpił.

— Coś ty przywiózł?

— Z czymem jechał, z tym wróciłem — rzekł zapytany — nie ma tam o czym mówić, zjemy, co nam zgotowano, nie dzieląc się, bo niesmaczna strawa. Miłościwy Panie, tyle powinienes wiedzieć, że zdrajcami nie będziemy.

Król, zmierzwszy ich oczyma, zawołał:

— Za wierność waszą weźmiecie, co zechcecie, choćby pół królestwa mojego!

Wtem Borzywój mu się do kolan pokłonił i rzekł z wymówką:

— Miłościwy Panie, a co by taka wierność była warta, za którą płacić potrzeba?

Król zmilczał, uderzył go tylko po ramieniu, a Borzywój ośmielony począł, stanąwszy przed nim:

— Dajcie słówko rzec, Miłościwy królu, a nie gniewajcie się. Na zamku, prawda, wesoło, ano pod zamkiem groźno. Ziemianie się kupią. Biskup nie śpi, rycerstwo się zbiera; nas garść, nas garść!

Król się do tłumu i czerni odwrócił i rzekł wskazując nań:

— Posłuchajcie no, jak ta Sroka skrzeczy! Policzcie no tych druhów moich, co tam siedzą, albo to oni rąk nie mają jak ziemianie? A mało ich jest? A co jest ich, to moje! To ziemiaństwo nowe i rycerstwo... Ja innego nie potrzebuję. Słuchaj no, jak ta Sroka skrzeczy! To gęba tego tłumu. Co on myśli na trzeźwo, ten po pijanemu wygaduje. Nie bójcie się, rycerstwo i ziemianie nie zrobią mi nic. Gdy zechcę, a skinę, gniazda ich zrównam z ziemią.

Gdy król mówił, patrzali nań Boleszczyce jakoś niedowierzająco i prawie litościwie, aż Borzywój do nóg mu się skłonił i rzekł:

— Królu, Panie nasz! Lud ten do krzyku i wrzawy dobry jest, a do roboty on licha wart! Czy my go nie znamy? Aby się napił, a najadł, a dobrze mu było, tak samo jutro ziemianom krzyczeć będzie, jak dziś tobie. Spłoszy się to łącno jak zające, choć pokrzykuje a odgraża się, gromada duża, a pociecha z niej niewielka. Dziesięciu zbrojnych a mężnych skoczy na nich i tysiąc tego robactwa rozpędzi i zmiążdży.

Król słuchał cierpliwie, odważył się przeto Borzywój wypowiedzieć, co na sercu miał, i ciągnął dalej:

— Miłościwy Panie, darujcie mi mowę moją. Nam kędyś po posiłki słać potrzeba, nie podołamy im. Małeż to wojsko jest, któremu biskup dowodzi, co po wszem świecie rozsiane, jednego wodza słucha? Kędy kościół i parafia, wszędzie u niego rycerz z poczem stoi. W każdej wsi swojego mają; dwór z księdzem, gdy sobie ręce dadzą...

Król pogardliwie głową potrząsł.

— U nich dwoje rąk czy czworo, a gromada we wsi moja!

Zamilkli wszyscy, tylko Dobrogost szepnął:

— Daj Boże, by tak było.

— Tak być musi — rzekł król.

Borzywój głowy ruchem zaprzeczał.

— Nie wszędzie tak będzie — szepnął — nie wszędzie.

— Tchórze i baby jesteście! — gwałtowniej wybuchnął Bolesław oburzony. — Jednego klechy, a choćby i stu, i kupki ziemian miałbym się lękać i za posiłkami słać?

Zmilczeli wszyscy.

— Ja im igrać i odgrażać się nie dam długo — dodał król. — Prędko się wszystko skończy. Padnie popłoch na nich i rycerstwo z ziemiany na kolanach przyjdzie łaski i miłosierdzia prosić.

Król się odwrócił.

— Co moich jest tu — rzekł odchodząc — wszyscy, żeby byli mi gotowi.

Znając króla nieustraszone męstwo i żelazną wolę, Boleszczyce nie śmieli mu się ani sprzeciwić, ani odzywać więcej. Gdy odszedł, popatrzeni na się smutnie. Widzieli go oni nieraz w wojnach, które prowadził, w kilkadziesiąt mieczów rzucającego się na tysiące, ale tu gorszy bój się zwiastował niż w otwartym polu, a samo męstwo nie starczyło.

— Ano będzie, co losy zrządzą! — westchnął Dobrogost.

— Król ma szczęście — dodał Borzywój.

Inni szeptali między sobą, wtem król nagle od stołów za wrócił ku nim znowu. Szedł krokiem prędkim i nachmurzony, odezwał się do Borzywoja:

— Prawda to, że biskup mi broni kościoła?

— Tak mówią — odparł Boleszczyc.

— Klecha ten śmie przede mną zamykać kościoły, które moi dziadowie im pobudowali! Mnie ma być wnijść nie wolno?

Wstrząsł się cały.

— Trzeba choć popróbować, czy do kościoła nie wpuści — począł szydersko. — Na zamek już nie chodzi, boi się!

— Na zamku od tamtego dnia kościół zaparty — rzekł Zbilut.

— A na Skałce mszę prawi? — zapytał Bolesław.

— Tak jest, co dzień na zaraniu dzwonią na nią — odpowiedział Borzywój.

— Jutro ze mną wszyscy na Skałkę! Oko w oko spotkamy się z obrzydłym klechą!

Niektórym z nich pobladyły twarze.

— Miłościwy Panie — ośmielił się wtrącić Dobrogost — kościół...

— Milcz! — zawołał król. — Gdzie indziej go nie chwycę, bo uchodzi lis przede mną. Jutro rano wszyscy na Skałkę!

Nikt się już odzywać nie śmiał. Król odszedł do stołów.

Gdy się to działo na podsieniu, u węgła stojący człek jakiś, sparty o ścianę, który wszystko mógł słyszeć, wysunął się natychmiast i zniknął w mroku. Za stołem Sroka jeszcze zabawiał króla

i gości, gdy człek ów wymknął się z zamku i korzystając z ciemności i zamieszania, zbiegł drogą ku miastu i Skałce.

W biskupim mieszkaniu świeciło się jeszcze; gwałtownie za pukał do drzwi. Nierychło otworzył mu czuwający kleryk.

— Z biskupem mówić potrzebuję — rzekł młody człek, który opończą szarą starannie ubranie swoje okrywał i wielce się zdawał niespokojnym.

Kleryk, rzuciwszy nań okiem, pomimo opończy poznał strój Boleszczyców dworski, odstąpił parę kroków i rzekł twardo:

— Królewski jesteś.

— Choćbym i królewskim był, czy przeto z biskupem mówić nie mogę?

— Żaden z was na próg tego domu nogą stąpić nie ma prawa, precz, ani się waż!

I drzwi zaraz zatrzęsnał.

Lecz przybyły upartym był i tym gwałtowniej się dobijać zaczął. Rachował na to może, iż biskup posłyszysz stukanie. Powtórnie ukazał się ten sam kleryk ze starszym, duchownym, który, rozwarłszy drzwi, groźnie przybysza precz gonić zaczął.

— A nie pójdziesz ty mi stąd zaraz, a nie pójdziesz! Precz, precz!

— Ja z biskupem mówić muszę — odparł stanowczo młody chłopak. — Był to z Boleszczyców najmłodszy Andrek. Spierali się tak głośno u drzwi, bo uparty chłopak nie tylko ustąpić nie chciał, ale prąc drzwi, zamykać ich nie dawał, gdy wreszcie wrzawą tą ściągnięty sam biskup się ukazał. Kleryk i ksiądz, zwróciwszy się doń, tłumaczyć mu poczęli, co za człowiek był i dlaczego mu wnijszcie tamowano, gdy Andrek, gwałtem prawie się wparłszy do środka, sam stanął przed biskupem.

— Ojcze Miłościwy — rzekł prędko — jeżeli się tu przyjść ważył, to nie w złej myśli, pozwólcie mi powiedzieć słowo!

Biskup, milcząc, wskazał mu na drzwi i sam go poprzedzając, wszedł do izby.

— Czego chcesz? — zapytał.

Andrek, który pobożny był, pokłękł przed nim.

— Ojczy mój! — począł. — Uczyniliście już z królem, panem naszym, coście požądali, litość miejcie nad nim i nad sobą. Jutro rano każcie zamknąć kościół wasz na Skałce i mszy w nim nie odprawiajcie! Zamknijcie dom wasz i do dnia ustąpcie z niego. Niech królewski gniew, który jest jak ogień straszny, przeminie...

Biskup słuchał spokojnie, ręce na piersiach złożonywszy.

— Czegóż się jutro mam obawiać? — spytał cicho.

— Ojczy mój, ja, ja nie wiem — zawołał Andrek. — Od króla i zapalczywości jego wszystkiego obawiać się można. A, panie! Miejcie litość nad nim i nad sobą!

To mówiąc do nóg mu się rzucił i ścisnąć je zaczął. Biskup go z lekka usunął.

— Nad sobą — powtórzył uśmiechając się — a cóż wasz król mi uczynić może?

— Ja nie wiem! Nie wiem, ale drzę i lękam się — mówił Andrek — słyszałem tylko, jak nakazywał, aby jutro z nim wszyscy w pogotowiu byli iść na Skałkę, na mszę do kościoła. A cóż, jeśli mu przystępu wzbronicie?

— Wzbronię! Jakom żyw! — zawołał biskup gwałtownie. — Noga jego chyba po trupie moim wejdzie do świątyni.

Andrek ręce załamał. Biskup spojrział nań razem z politowaniem jakimś i dumą.

— Ja — zawołał, jakby do siebie mówił — miałbym Boga mając z sobą, ustąpić przed nim i cofnąć się, aby triumfował, że Boga zwyciężył żelazem? Miałbym się ulęknąć pogróżek jego i waszych? Chłopcze małego serca i ducha, dobrym chcąc być, grzesznym jesteście. Ja nie człowieczą siłą, ale prawicą Wszchemocnego z nim wojuję! Cóż on mi uczynić może? Choćby krew moją przelać miał, tryśnie ona na niego i na plemię a ród jego. Mnie da życie wiekuiste, a jemu śmierć i potępienie!

Andrek drżał, widząc biskupa w uniesieniu niemal gniewnym i strasznym. Nie śmiał już mówić, wzrokiem błagał go tylko.

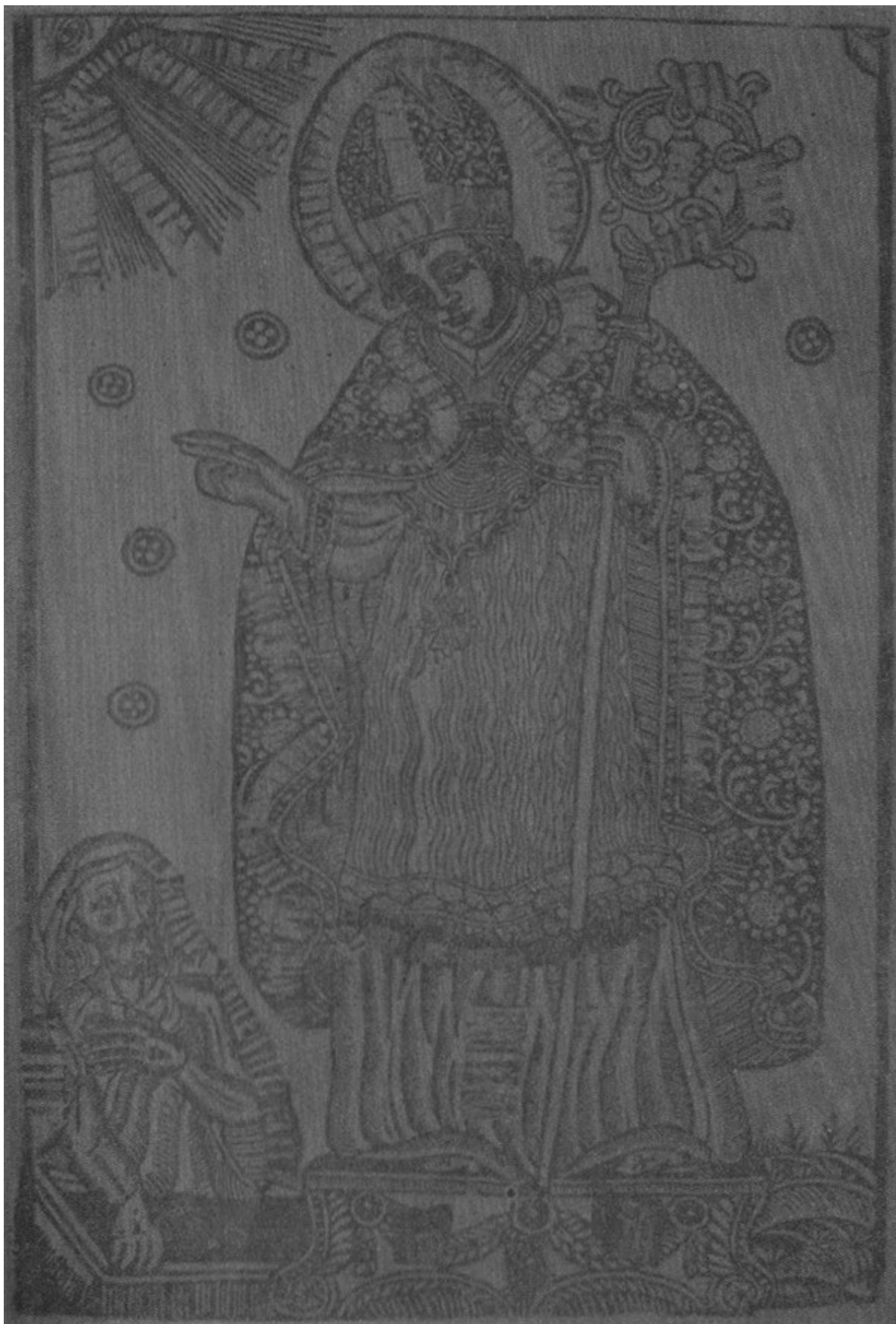
— Ojczy — zawołał wreszcie głosem cichym — ojczy! Król się może opamiętać, gdy z gniewu ochłonie! Pierwszy w nim ogień



9. Zabójstwo św. Stanisława, obraz olejny Jana Matejki



10. Bolesław Śmiały, drzeworyt z *Kroniki polskiej* Joachima Bielskiego



11. Św. Stanisław z Piotrowinem, drzeworyt ludowy z XIX w.



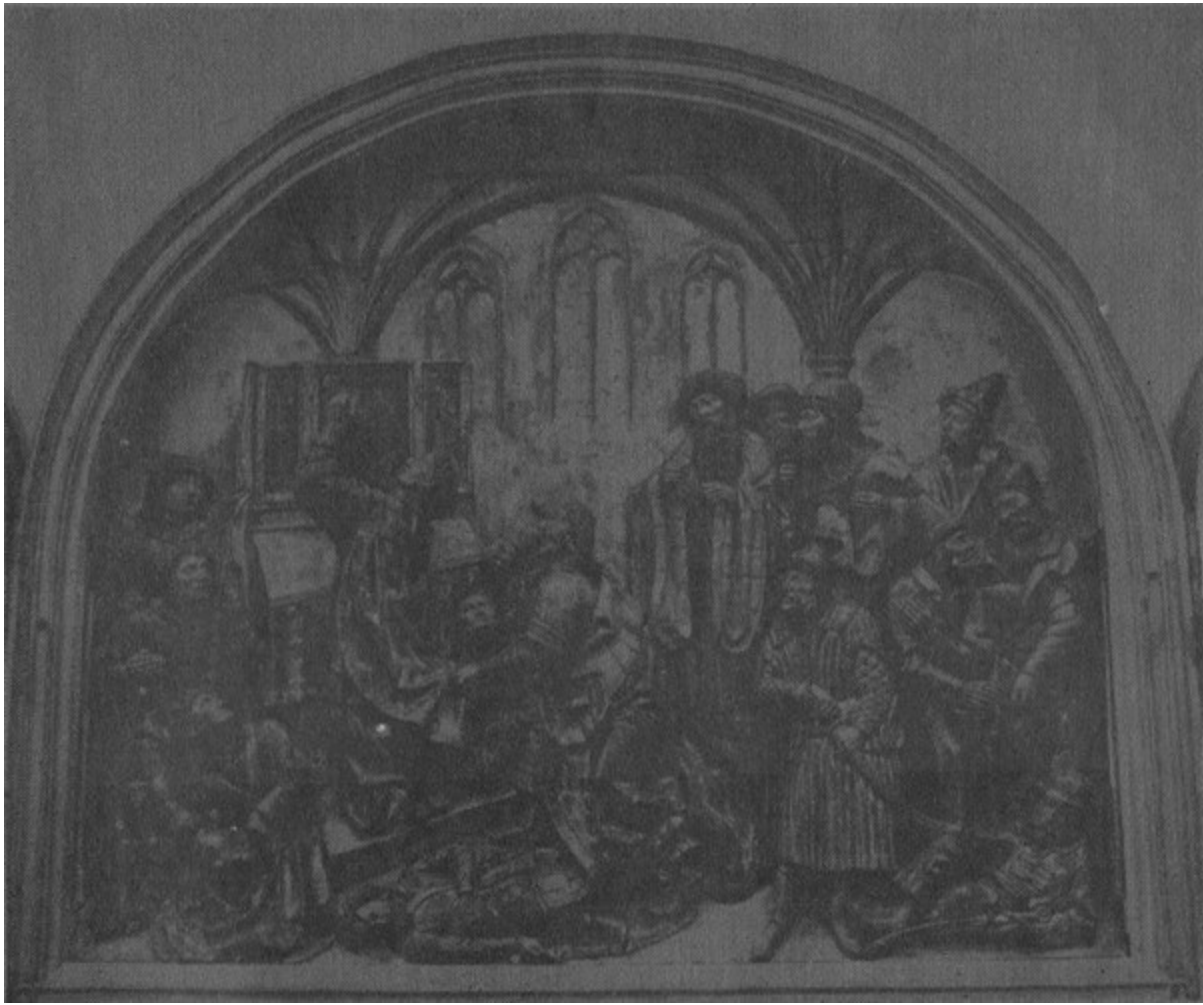
12. Zabójstwo św. Stanisława, nieznaną malarz, ok. poł. XVI w.



13. Kupno wsi, Mistrz Tryptyku ze Starego Bielska ok 1500 r.



14. Dawna Skałka, fragment Tryptyku z Pławna



15. Scena zabójstwa, fragment Tryptyku z Pławna



16. Świadczenie Piotrowina, Mistrz Tryptyku ze Starego Bielska ok 1500 r.

najstraszniejszy. Dziś w srogiej jest zapamiętałości, po ojcowsku by było ustąpić mu.

— Jam mu już nie ojcem ani on mi dziecięciem — zawołał biskup, unosząc się coraz bardziej i palcem na zamek wskazując. — Nie jest już ani królem waszym, ani bratem niczym, bo przestał być synem ojca naszego Jezusa Chrystusa i matki naszej, Kościoła świętego! Zwierz to dziki i wyuzdany bez opamiętania i rozumu.

Wyrok ten jak piorun padł na Andrka, który stał blady, ręce załamał i bezprzytomny palce sobie wykręcał, nie wiedząc, co począć. Chciał iść już, wtem biskup, który się parę razy przeszedł po izbie, stanął naprzeciw niego, popatrzał nań z politowaniem i począł mówić powoli:

— Wy wszyscy słudzy jego, co przy nim stoicie, co z nim jeszcze trzymacie, patrzcie, abyście z nim razem w bezdno piekielne i paszczę szatana nie poszli. Dlaczego nie odstąpiliście go? Wy to, wy nie macie miłosierdzia nad nim i gubicie go. Gdyby, co żyje, odeszło od niego, gdyby jak od trędowatego pierchnęli wszyscy, tedyby się może opamiętał i pokutował. Dlaczego stoicie przy nim?

Andrek odpowiedzieć nie śmiał. To z czym przyszedł, dokonane zostało, nie przyniósłszy skutku, nie mógł już nic więcej nad to; musiał powracać, z przerażeniem myśląc o tym, co jutro przyniesie, straszny ranek jutrzejszy.

— Prośba moja i zmiłowanie daremna — rzekł chłopak smutnie — niech się więc stanie, co Bóg przeznaczył.

Biskup go ręką tylko odprawił.

— Stanie się, co powinno — rzekł — a zaprawdę nie godzi się mnie ani cofnąć, ani ustępować, ani godziny odkładać, ani okazać, jakobym się lękał.

Wychodził Andrek, gdy w progu ukazał się stary benedyktyn, ojciec Otton, kapelan królowej, który wybierał się do Mogiły¹.

Wielisława dowiedziała się od sług sobie wiernych, że król

nazajutrz na Skalkę się wybierał. Ogarnęła ją też trwoga, posłała, szukać ojca Ottona, aby go do biskupa od siebie z błaganiem wyprawić. Benedyktyn nie mógł się już ukazać na zamku ani pójść ją uspokoić, lecz od ochmistrza królowej dowiedziawszy się, czego od niego żądała, przywłókł się do biskupa z niewielką nadzieją, aby prośba jego wyjednać co mogła. Znał on nieugięty charakter i surowość księdza Stanisława ze Szczepanowa. Wchodząc z poselstwem swym, ojciec Otto posłyszał odprawę, jaką biskup dawał Andrzkowi Boleszczycowi, domyślił się łatwo, z czym chłopak przyszedł, i zwątpił, aby jemu szczęśliwiej powieść się mogło. Nie pozostawało mu jednak nic nad spełnienie posłannictwa, choćby ono daremnym być miało.

— Padnę mu do nóg i będę go prosił! — rzekł w duchu. — Bóg go natchnąć może miłosierdziem!

Ojca Ottona znał biskup niewiele, widywał rzadko, u siebie go nie miewał nigdy, zdziwił się mocno zobaczywszy go o tej porze niezwyklej i odezwał się, przystępując doń, po łacinie:

— A wyż z czym do mnie przychodzicie o tej porze, ojczy Ottonie?

Biskup Stanisław Szczepanowski, jak wiadomo, w czasie pobytu swojego w Paryżu, oprócz szkoły biskupiej, uczęszczał też do benedyktyńskich. Miał nawet zamiar przywdziać suknię zakonną i zachował zawsze miłość wielką dla synów świętego Benedykta, których niemal za braci swych uważał. Dla ojca Ottona, którego z dala tylko i z odgłosu znał, szacunek miał, wiedząc, jak cnotliwy staruszek wśród zepsutego dworu samym przykładem swym wiele dobrego czynił i hamulcem był nieraz dla zbytników. Zamiast odpowiedzi na zapytanie, ojciec Otton, nie mówiąc słowa, przyklęknął przed nim, skłonił głowę siwą i ujawszy rękę pocałował.

— O przebaczenie naprzód proszę przewielebności waszej — rzekł — iż śmiem z tą samą pewnie prośbą, z którą mnie człowiek ten poprzedził, stawić się przed pasterzem! Ojczy wielebny, o króla i rodu jego losy przyszłe przywłokłem się was błagać. Dajcie mu czas, niechaj w nim płomień wygorzeje! Król z dziecka

żołnierzem jest, prawa on nie rozumie, władzy nad sobą nigdy nie czuł i nie znał. Czas mu dajcie! Nie narażajcie własnego żywota drogiego na wściekłość jego...

Biskup wysłuchał cierpliwie, oburącz potem podniósł z ziemi staruszkę i patrząc nań dobrotliwie, łagodnie mówić począł:

— Wyście to rzekli, ojczy Ottonie? Wy? Kapłan? Mąż świętobliwy i uczony? Nie znacież, czy nie chcecie pamiętać historii Kościoła naszego? Azali nie pomnicie, co uczynił Ambroży¹⁹, i nie chcecie mi dopuścić, bym stokroć gorszego niż Teodozjusz człowieka, który nie Tessaloniczan rzeź, lecz tyle krwi niewinnej, tyle zgorszenia, tyle plugawej rozpusty plam ma na sobie, wygnał tak precz z kościoła, jako mnie Ambrozego przykład naucza? Chcecie więc, bym ja, biskup, ustąpił przed katem, abym ja, kapłan, uląkł się żołnierza? Chrystus pan trwogi nie znał i sładzy jego znać jej nie po winni.

— Ojczy — odparł Otton z wolna — Teodozjusz był okrutnikiem, ale był chrześcijańskim monarchą, któremu światło ewangelii przyświecało, ten na pół poganinem jest. Nie bronię go! Nie ujmuję się zań, znam grzechy jego! Nie o niego mi idzie, ale o was, pasterzu, i o drogi żywot twój. Wściekły ten człek nie poszanuje nic, żadna go świętość miejsca ni osoby nie powstrzyma. Patrzałem nań, znam go; ojczy mój, drzę!

Biskup, słuchając, białe ręce złożył jak do modlitwy i łagodnie, z powagą odpowiedział ojcu Ottonowi:

— O moje życie wam chodzi? Ojczy! Dobry pasterz chętnie żywot daje za owieczki swoje! Cóż życie moje? Co życie człowieka? Możliwi je lepiej dać jak za prawdę świętą i dla na wrócenia obłąkanych? Nie wyzywam go ani wyzwę, ale nie cofnę się wyzwany! Kościół na tej ziemi chwieje się, podwalin trwałych nie ma jeszcze; nie powolnością, ale potęgą zakładać potrzeba ciosowe jego fundamenta. A jestli do nich krew moja jak wapno potrzebna, aby kamienie węgielne społa na wieki...

To mówiąc biskup zadumał się głęboko i dodał z wyrazem pokory:

— Nie sędzę, ojczy mój, by mimo zuchwalstwa swojego aż do

gwałtu nade mną posunąć się mieli, lecz Bóg niech rozporządza. Stań się wola Jego! Ojczy Ottonie, bądź dziś spowiednikiem moim i pozwól, bym przed tobą wyznał grzechy moje! Zasnę potem spokojny czekając, co mi dzień przyniesie jutrzejszy. Żołnierzem Chrystusowym jestem, jeżeli mi za Pana mojego życie dać przyjdzie, umrę szczęśliwy!

I biskup ukląkł przed świątobliwym staruszkiem do spowiedzi.

Na zamku ucztowano do dnia białego, dobrze się już na brzask brało, gdy Sroka, tłum ludu napiętego prowadząc za sobą, spuścił się z nim, zawodząc huczną pieśń, drogą z zamku około Skałki. Tu owe kupy stanęły umyślnie nieco z dala i na urągowisko biskupowi, bo im tak przykazano, poczęły szaloną jakąś pieśń swawolną porykiwać, za każdą zwrotką wykrzykując dzikimi głosy. Król ucztował także noc całą, spędził ją bezseną, czekając poranka. Odziany i zbrojny, rozgorączkowany, oczekiwał dzwonka, który się miał odezwać, wołając na mszę do Świętego Michała.

Dzień wschodził chmurny, z niebem mglistym, z światłem ołowianym, powietrzem chłodnym, słońce mu przyświecać nie chciało. W progach dworca stała kupka Boleszczyców, na których twarzach widać było, jakby na śmierć iść mieli i stracenie. Bledzi byli, drżący, nie mówił żaden słowa. Jedni stali jak kamienni nie poruszając się długo, jakby zapomnieli, że żyli; drudzy targali się z niepokojem, chodząc z oczyma w ziemię wlepionymi. Na pierwszy głos dzwonka kościelnego na Skałce, Andrek, który stał pod ścianą, upadł na ławę i zakrył sobie oczy. Inni wyprężeni słuchali, ku sieniom spozierając, skąd król wyniść miał.

Nakazany było dać znać, gdy się da słyszeć dzwonek; nikt jednak ani myślał spełnić rozkazu. Woleli karę znieść, niż mu zwiastować ten głos, co im brzmiał jak pogrzebny dźwięk...

— Usłysz sam król — powiedział starszy Borzywój — i snadź tak losy chciały. Nie dojdzie go on, niech się dzieje, co chce!

Rozdział III

Po wczorajszej uczcie, gdy wszedł dzień, około dworców królewskich dziwnie wyglądało. Noc długo kryła biesiadne śmiecisko; gdy rozwidniało, odkryło się ono w całej szkaradzie swojej. Czeladź spała, wypróżniwszy resztę beczek, nie było komu pozbierać łomów i brudów, jakie noc zostawiła po sobie. Naprzeciwko dworca stały jeszcze stoły poobnażane z nakrycia, powywracane i potrzaskane ławy; na ziemi leżał gdzieniegdzie kubek zgnieciony, stłuczony dzban, kości ostatki psy chodząc i warcząc ogryzały. Na boku walały się beczki z dnami wybitymi, kadzie i cebry pogniecione, których nie sprzątnięto. Zielone gałęzie, co wczoraj do umajenia uczy służyły, dziś śmieciem się stały, poobalane, w ziemię wdeptane, zmieszane z błotem.

W przedsieniach dworu, pod budynkami i okopami, na ziemi i ławach leżała rozpierchła, uśpiona jeszcze, pijana gawiedź ze psy razem. Dalej na wałach widać było precz wyrzucone dwa trupy tych, co się na śmierć zapili, na wpół odarte. Czekwały one, aż je gdzieś wywloką. Gdzieniegdzie stały brudne jakieś kałuże, jedne jakby krwawe, drugie od samej krwi ohydniejsze. Bili się i tłukli skłóceni, na śmiech drugim, a wielu z ranami i potłuczonymi wyszło głowami, nie czując kalectwa nawet. Szczątki biesiady opowiadały jej dzieje. Obok łachmanów leżały kosztownych sukien oderwane kawały, guzy złociste i konopne sznury, rozerwane bursztyny nogami pokruszone i pobite garnuszki proste. Męskie i niewieście czapki i chusty walały się społem. Ziemia, wczoraj porośła murawą, zmieszona była nogami, zgnieciona, zbita, a ślady nóg, rąk, głów odcisnięte na niej pozostały wyraźne. Skończyła się bowiem uczta po odejściu króla, po wypróżnieniu ostatka w beczkach, jak szatańskie wesele — zwierzęcym szałem ohydny. Na to obrzydliwe pobojowisko wczorajszego królewskiego przyjęcia spojrzeć nie było można bez wstrętu. Stało ono długo nie tknięte, aż nierychło zjawiać się poczęli parobcy, którzy je oczyszczać mieli. Wychodzili, przeciągając się zaspani, szukali mioteł

i łopat, wlekli się i stawali nad śmietniskiem zadumani, jak by czytając w nim, co ono wczoraj widziało. Podejmowali szczątki i rzucali je, śmieli się i pluli.

Zmęczona wczorajszą wrzawą, od której nierychło uciec mogła, Krysta spała długo; obudził ją dzwonek na Skałce u Świętego Michała, a potem zaraz tętent koni. Zadrzała, że rwała się, pobiegła w koszuli wyrzeć przez okno, odsunęła okiennicę i zobaczyła, jak król jechał otoczony Boleszczycami. Dokąd? Nie wiedziała, ale serce jej biło strachem. Król się nawet nie obejrzał ku oknu, oglądał się tylko Borzywój, pozdrawiając ją, i Zbilut jadący za nim. Krysta się ukryła zawstydzona, bo nie miała na sobie nic oprócz bielizny; włosy się jej we śnie porozplatały, czuła się zmęczoną, wiedziała, że była bladą.

Ona, co tak dobrze dawniej umiała śmiać się, o wszystkim zapomnieć, wesołością swą dziecinną drugich rozśmieszać, czasem aż do szału się rozpasać i rozgzić, wczoraj nie mogła być nawet wesołą. Coś ją cisnęło na sercu; oczy pana patrzyły jakoś tak dziko, szal tej uczyty półchłopskiej był tak straszno... Mimo woli przypominała sobie inne czasy, lata inne, macierzyńskie podwórko ciche, matki uścisk pieszczony i usypiający słodko, mężowski dwór taki spokojny, pieśń u kądzieli płynącą jak cichy strumień po darni zielonej, ciepłe ognisko domowe, co się śmiało gospodyni. Zapach wiosny przynosił jej z sobą wspomnienia młodości. Smutną była ciągle, a im ucza weselszą się stawała, tym ją strach większy ogarniał; smutniejszą jeszcze uciekła z piekielnego gwaru i położyła się do snu. W marzeniach sennych znowu przewijało się jej życie dawne z gorączką terażniejszą, trwoga i dreszcze przebiegały po niej. Zrywała się krzycząc:

— Jutro! Co będzie jutro?

I usypiała znowu, a przed nią stawał Mścislaw, nie taki, jakim był za dawnych czasów, gdy ją w czoło całował, ale ten, który się zjawił raz ostatni, straszny, mściwy, groźny i zrozpaczony. Mścislaw chwycił ją za rękę z jednej strony, z drugiej ciągnął

król, a pijana gromada stała przed nią wyszczerzając zęby i okrzykując ją królową. Męczyła się tak, spać nie mogąc, wstała wreszcie; dzień biały przez szpary okiennic zaglądał.

Jak ten dzwonek na Skałce brzmiał jakoś i jęczał strasznie, pogrzebowo! Był to ten sam, co w dniu kłątwy lud zwoływał i dzwonił świecom zgaszonym.

Gdy orszak królewski przesunął się przez podwórcę, na zamku zrobiło się jakoś pusto i czarno. Krysta wyrzała z trwogą ku temu miejscu, gdzie wczoraj takie brzmiało wesele. Tam parobcy z ostrzyżonymi krótko głowami, w brudnych sukmanach zwijali się z winnikami i mietli, śmiejąc się, śmietnisko. Niekiedy schylił się który, podjął błyszczącego coś i cieszył; zbiegali doń wszyscy, wyrywali sobie i śmiechem ich dzikim znowu rozlegało się podwórcę. Usłyszawszy go, Krysta schowała się i na pół zasunęła okiennice. Na zamku, po wczorajszej burzy wesela, cicho było jak w grobie; król wyjechał, goście poszli precz, Rusini spali, czeladź spoczywała, od miasta nawet głosów i życia słychać nie było.

Dzwonek na Skałce zadrgał raz jeszcze i dźwięk jego obumarł w powietrzu. Cisza ta wydawała się tak niemal straszna jak wczorajsza wrzawa. Dzień był żałobnie smutny, niebo krwiste oblekały mgły, spoza których słońce się wybić nie mogło. Białe osłony zdawały się ciężyc nad ziemią i dusić ją; nie było powietrza dla piersi, oko nie mogło przebić tych opon gęstych i nieprzejrzystych. Odetchnawszy, czuć było woń mgły dusząca, co jak spalenizna jakaś gryzie jakby dym i dławi.

Krysta siedziała w oknie o krawędź oparta, patrzyła i słuchała, myślała coś i rwały się jej myśli. Chciała odgadnąć, dokąd znów król mógł pojechać tak rano? Choć on jej nie widział, ona mu się dobrze przypatrzyła; miał twarz jakąś gniewną i rozjątrzoną, jak gdyby jechał ścinać i wieszać. Oczy mu stały słupem, a nic nie widział. Ludzie, co z nim byli, oglądali się dzikim wzrokiem, jak przestraszeni razem i zajadli. Borzywój i Zbilut spojrzeli ku niej nie po swojemu; oba tak jakoś patrzali, tak się kłaniali, jakby na stracenie szli, a żegnali na wieki.

— Dokądże tak rano jechali i gromadnie? Nie na łowy, psów

ani sokołów nie mieli z sobą, ani łuków, ani oszczepów, miecze tylko.

Wśród tej głuchej ciszy nagle, czy się jej przydało, usłyszała z dala krzyk okropny...

krzyk wściekłości jakiejś i morderstwa. Potem zmieszane głosy i wrzawę, dzwonek na Skałce począł się poruszać żywo, bijąc jak na trwogę raz po raz, nieustannie. Z dala znowu urwane jakieś jęki i wołania przerwały ciszę... Serce jej zaczęło bić strasznie; wczorajsza trwoga i smutek wróciły silniejsze jeszcze.

Trzebaż jej było żyć tak zawsze, godziną szczęścia i dniami nędzy a strachu? Za godzinę płacić wiekami? Aż łzy popłynęły z oczów. Była królową, toć królewskie życie.

Zatętniało nagle szalonym biegiem. Ktoś cwałem biegł ku zamkowej górze, jeden, dwu, kilkunastu... Gonili czy uciekali, gnali straszliwie. Krysta się wychyliła. W bramie ukazał się król; Krysta go nigdy jeszcze takim nie widziała straszonym, z krzykiem zakryła oczy. Błady był jak trup, a oczy mu wyskakiwały z powiek; usta miał otwarte, zęby zacięte. Patrzył i nie widział; na jednym policzku miał jakby plamę krwawą, krew zdawała się ściekać jeszcze, obie ręce krwią miał oblane, mieczyk, który mu wisiał u pięści, ściekał krwią i bryzgał kroplami.

Tuż za nim lecieli pobroczeni krwią jak on, pijani morderstwem Boleszczyce, krzycząc, popychając się, swarząc z sobą. Za nimi czeladź sunęła się wolniej, niby wylękła i przerażona, szepcząc między sobą, oczyma goniąc za panem.

U przedsięnia król z konia się zsunął wprost na ławę. Otoczyli go kołem Boleszczyce, gwar się wszczął jakiś, swar czy kłótnia, jakby nieprzytomni zajadać się chcieli. Stali, od chodzili, siadali, ocierając ręce krwawe o murawę, o ściany, o poły i otrzeć ich nie mogąc... Króla widać było, jak się rozsiadł dumnie, szeroko, ale pogrążony cały w sobie, nie słysząc, nie widząc nic, wąż gryzł w ustach, a palcami czasem krwawy policzek ocierał, jakby go ta plama krwi piekła.

Krysta ręce załamała. Krew, krew! Czyja to była krew? Zwierza na łowach ubitego czy człowieka w gniewie zamordowanego?

Tymczasem od miasta zaczynała buchać i dolatywać wrzawa jakaś, wzmagająca się coraz, rosnąca, podnosząca; płacz, krzyki i jęki z niej biły. Śmiertelną trwogą opanowana Krysta uczuła zimno w całym ciele i poszła skryć się w najciemniejszy izby kątek. Zasunęła okno, ale wnet wytrzymać nie mogąc duszącego powietrza izby, na nowo je otwarła. Stało się coś, nie wiedziała co, ale straszego coś stać się musiało.

Podwórce przebiegali ludzie, pędem lecąc ku miastu, jedni po drugich. Inni z miasta wpadali przez wrota i pędzili ku dworowi. Zajrzała Krysta, co się z królem działo; nie było go już. Boleszczyce bładzili u przedsieni. Dym kłębami buchał z łaźni. Z izb wyrywali się ludzie jacyś i powracali; słysząc było drzwi trzaskanie, a od teremu dwóch królowych jakby jeden płacz przeciągły i długi, jakby pieśń płaczek u trumny.

W mieście coraz mocniej wrzało i grzmiało.

— A, co się stało? Co stać się mogło? — myślała Krysta.

Wtem Ciarka wpadła zdyszana, oczy sobie zasłaniając, z krzykiem obaliła się na ziemię i ryczała wielkim płaczem. Krysta podbiegła do niej wołając, by mówiła, co jej było, ale dziewczyna słowa powiedzieć nie mogła, zachodziła się i oczy zakrywała. Wśród tej trwogi drzwi się otwarły, na progu ukazał się Borzywój. Był może pijany ucztą wczorajszą, bo się zataczał i na nogach ustać nie mógł; twarz miał trupią, a ręce obmyte nosiły jeszcze ślady krwi na sobie. Wszedł, obłąkanymi wodząc oczyma, mówić nie mogąc.

Szybko przypadła do niego Krysta, badającym mierząc go wzrokiem, patrzała nań. Patrzała i zobaczyła krople krwi przyschłej na twarzy, we włosach, ręce powalane, na sukni ledwie przysychające plamy, wszędzie krew! Krzyknęła i uciekła, kryjąc się przed nim do kąta. Borzywój stał sam, patrząc teraz na swoje ręce ze zgrozą, jakby obłąkany, tarł je, chował, dobywał, niepokoił się, szepcząc coś sam do siebie. Zawrócił do drzwi, jakby

wyniść chciał, potem znów ku Kryście i znowu ku drzwiom, i jeszcze raz, nie mogąc za suwy otworzyć, podszedł, gdzie Krysta siedziała. Na bladej twarzy jego pot występował kroplami.

Ciekawość przemogła strach i zgrozę.

— Gdzieżście byli? Co się stało? Krew, co znaczy ta krew?! — zawołała Krysta.

Borzywój, zawsze mężny i przytomny, teraz mruczał nie zrozumiale, mieszał się, mówić nie mógł.

Na ostatek buchnęło z niego:

— Król, król, dla króla, szliśmy z królem... bronili jego!

— Król! Król ranny? — załamując ręce krzyknęła Krysta. — Któż śmiał się porwać na niego?

Król?

Borzywój tylko głową potrząsnął. Męczył się znów długo, nim na słowo się zdobył.

— Nie ranny... — rzekł — klechę trzeba było ukarać... zdrajcę! Zabił go król! Zabił!

Krysta twarzą się rzuciła na siedzenie i płakała. Borzywój stał wciąż, patrząc na swe ręce i wciąż je ocierając. Milczał zadumany. Podniosła się spłakana Krysta wołając:

— O, Boże! Król!

— Uspokójcie się — bełkotał Borzywój, który sam spokojnym nie był i czoło spotniałe lub dłonie poźółkłe ocierał ciągle. — Uspokójcie się. Co król miał zrobić? Nie chciał go puścić do kościoła... Na progu... król ciął go... ciął... padł, porąbaliśmy w kawałki... małoż ludzi ginie na wojnie... Toć woj na była!

Krysta, pochwywszy te słowa, krzyknęła znowu i od biegła od niego daleko, kryjąc się w kącie izby i twarz tuląc do ściany.

Borzywój stał pomieszany w miejscu, sam sobie na próżno usiłując dodać ducha. Wtem nadbiegł Zbilut. I na nim ślady przelanej krwi widać było, i od niego czuć mordu gorączkę, Zobaczył od progu Borzywoja, oczyma poszukał Krysty. Spojrzeli na siebie bracia, może raz pierwszy po powrocie, i zadrżeli... Zdali się sobie ludźmi nowymi.

— Krew! — szepnął, wskazując Zbilutowi suknie jego, Borzywój.

— Krew! — odparł prawie razem, wyciągając ręce ku bratu, Zbilut i ukazując mu twarz jego, odzież i dłonie.

Krysta z dala wołała ku nim jęczącym głosem:

— Wynijdzie stąd! Wychodźcie! Krew przynieśliście ze sobą!

Zbilut zaczął coś mruzczyć niewyraźnie:

— Przyszliśmy, abyście byli spokojni, wszystko się już skończyło, wszystko!

Przestraszona Krysta, nie chcąc słuchać ich, wołać poczęła:

— Zbójcy! Idźcie stąd! Zbójcy!

Borzywój się chciał zaśmiać, nie mógł. Bił się w piersi ręką i mruzczał poglądając na brata:

— My nie poczynaliśmy... sam król ciął, prawda? W głowę... Trysnęła krew... Sam król... Kazał rąbać. Leżał już jak martwy na ziemi... wszyscy siekli... kiedym ciął, tyś wprzód nań padł!

— Nieprawda, ty!

— Nieprawda! Jam nie tknął!

Poczęli się kłócić z sobą bracia.

— A skądże u ciebie krew na rękach?

I słyszeć już nie było, co mówili, bo razem poczęli krzyczeć, przypadając ku sobie.

Krysta w rozpacz powtarzała ciągle jedno:

— Idźcie stąd, wy, zbójcy! Idźcie stąd!

Aż Borzywój, porzuciwszy kłótnię z bratem, zawołał na nią:

— Cóż, i króla przepędzisz, gdy przyjdzie? Toć nie my go zabili, ale on.

— Kłamiesz! Zbójco! Wy, nie on! — płacząc wołała Krysta. — Idźcie stąd!

Uparty krzyk kobiety wygnał ich nareszcie za drzwi; natychmiast oszalała ze strachu Krysta pobiegła za nimi i zasuwę zaparła, a sama się na ławę płakać rzuciła.

U drzwi jej, jakby nie wiedzieli, co robić z sobą, stanęli oba Boleszczyce, patrząc jeden na drugiego. Nie mówili nic, wzajem

tylko pokazywali plamy krwi na sobie. Z przedsienia słychać było gwar wielki na mieście... Wtem od królewskiego dworca krzyk donośny się rozległ:

— Tu bywaj!

Pobiegli natychmiast, wyścigając się; był to głos króla. Bolesław stał u wnijscia, blady, lecz już ostygły i przytomny. Ręce obie w boki wparłszy, patrzył dokoła, jakby szukał, kogo miał zabić jeszcze.

— Sam tu! — zawołał szybko szparkimi słowy, które się gonić za sobą zdawały, wskazując na Borzywoja. — Sam tu! Ład mi zrobić! Ludzie i konie w gotowości. U wrót strażę, czaty na wały. Na miasto niech pędzą konni i tłum od Skałki rozegnać precz! Biczami zagnać do domów! Na Bawole, na dolinie straż postawić, na gościńcach. Na zamek reszta i niech tu stoją! — krzyknął. — Żywo!

Borzywój chciał biec, strzymał go.

— Stój! Nie! Na zamku żeby ład był, więcej nie trzeba, trwogi nie ma, niech nie myślą, że się lękam... Kogo?

I rozśmiał się, ale razem brwi ściągnął, jak gdy zły bywał.

Rozbiegli się wszyscy, król na ławie w przedsieni ze psy siedział. Ludzie z zamku zaraz na miasto ciągnęli. Lecz rozkazy pana trudne do spełnienia były. Siła jakaś niewidoma ciągnęła wszystkich ku Skałce. Tłumy oblegały kościółek. Ściągał je widok okropny. W samych drzwiach kościoła stała kałuża krwi, od której krwawa ścieżka ciągnęła się aż do ołtarza. W progu leżał trup biskupa, a raczej szczątki okrutnie posieczonego ciała, którego każda część osobno rzucona z resztkami poszarpanych sukni i ornatu, krwią pobryzanych, rozproszone były. Ludzie stali nad nimi, zachodząc się od płaczu.

Kościół otwarty był i pusty. Na ołtarzu świece dogorywały jeszcze, na stopniach jego leżał wywrócony kielich, zgięta pod nogami patyna, chusta biała krwią zboczona...

Od kościoła rozbiegło się zrazu wszystko, co przy nim było, strwożone świętokradzkim morderstwem. Lud tylko u progu stał,

cisnął się, nie mogąc odejść, nie śmiejąc tknąć tych zwłok, które już uświęciło męczeństwo. Od tego okrwawionego kościelnego progu tejże godziny wieść leciała po całej ziemi: „Król przy ofierze świętej zamordował biskupa”.

Ludzie ją nieśli nieznani do kościołów, miast, na zamki i grody. Przez cały dzień na Skałkę płynęły i odpływały tłumy; nikt nie považył się pomyśleć o tym, aby cześć należną oddać relikwiom zabitego biskupa. Wieczór nadszedł, gromady pozostały w oddaleniu, patrząc w niemej rozpaczy na kościółek pusty i krew zaschłą na jego progu.

Noc zapadła na zamek, gród i okolicę; z Wawelu słuchając można było jeszcze pochwycić gwar nieuspionego miasta, tętent koni, wołania i krzyki. Z sąsiednich osad pieszo przy bywało duchowieństwo, konne poczty ziemian i rycerstwa. Około domku na Skałce nocą obozowała już cała gromada ściągającego się duchowieństwa, które się modliło, płakało i drżało, ku zamkowi spoglądając.

Posłańców wyprawiano na wsze strony świata, a gdy ranek wszedł nowy, zwłoki męczennika już znikły, ślady zabójstwa z nimi, kościół tylko zaparty stał, pieczęciami wielkimi na drzwiach obwarowany. I dzwonek się już nie odezwał dnia tego. Na Wawelu też drugiego rana pieczęcie czarne wisiały u zapartych wrót Świętego Wacława.

Cisza grobowa panowała na zamku, król zamknął się na nim, obwarował i nie ukazywał. Podwójne straże u wrót chodziły dniem i nocą, w podwórku stały gotowe konie i ludzie chodzili zbrojni, jakby je wnet dosiąć mieli. Zamek wydawał się oblężonym.

Trzeciego dnia przez Wisłę widać było przeprawiający się oddział zbrojny, który wszedł do miasta i obozem się położył u stóp Wawelu. Tym dowodził stary Leliwa. Nazajutrz Kruk z drugim nadciągnął, na noc Brzechwa z trzecim stanął. Wszyscy w milczeniu, spokoju, legli niedaleko zamku; z okien widać było obozowisko.

Król kazał ostrzyć miecze, łuki i oszczepy gotować, ludzi swych liczył. Niewielu ich miał też przy sobie; reszta żołnierstwa

rozsypana była po zamkach, na pograniczu, w grodach, w których się gromadziła siła zbrojna od dawnych czasów na zawołanie królewskie, gdyż żywić ją w jednym miejscu trudno było. Od tamtych oddziałów złe przychodziły wieści. Duchowieństwo już z wodzami było w porozumieniu, ten i ów wymawiali się, że przybyć nie mogą, inni milczeli, niektórzy wprost wypowiadali posłuszeństwo. Władzę tymczasowo chwyтали wojewodowie i żupany. Za każdą odebraną wieścią król się porywał, jakby lecieć chciał ukarać winnych, lecz siły po temu nie było. Po posiłki śłać i żądać ich od węgierskiego króla sromął się. Nie chciał się przed obcymi przyznać do słabości, spodziewając się zastąpić odwagą. Na zamku krzątano się żywo.

Jednego dnia o mroku król kazał Borzywoja przywołać. Obóz na dolinie pod zamkiem, na który co dzień patrzył, gniew w nim budził i niecierpliwość.

— Jedź — rzekł, wskazując ręką przez okno ku Wiśle. — Jedź tam, do tych ludzi, zapytaj ich, po co tu przyszli, czego tu stoją.

Borzywój, który od dnia popełnionego przez króla morderstwa chodził jak obłąkany i nieprzytomny, nic nie odpowiedział, wyszedł spełnić rozkaz. Konia nie wziął, towarzysza sobie nie dobrał, sam jeden, o mieczyku tylko u pasa, śmiałym krokiem skierował się do obozu u stóp Wawelu.

Gdy ujrzano jednego z Boleszczyków idącego ku namiotom, prawie bezbronnego, zdziwienie było wielkie; nikt przecie po drodze ani go zaczepił, ni się tknąć ważył. Dopuszczono go do namiotu Leliwy, który mu na zapytanie ludzie wskazali. Znalazł tu kołem zasiadającą starszyznę. Spojrzeli na wchodzącego, którego z oblicza znali, a ze stroju widzieli, iż do dworu należał. Nikt ani powstał, ani go pozdrowił; gospodarz spod brwi nawisłych patrzył nań pogardliwie.

— Przychodzę do was od króla — rzekł Borzywój.

— Od jakiego? — zapytał sparty na rękę stary. — Od króla?

My tu żadnego nie znamy. Ten, którego mieliśmy, wyklęty został i odsądzon od korony, a nowego jeszcze nie wybrano.

— Tak to już myślicie — rzekł Borzywój. — Dziwna rzecz, aby klechy miały królów sądzić.

— Przecie ich namaszczaają i koronują — odezwał się duchowny, który siedział za Leliwą.

— Nie moja sprawa to, a wasza — rzekł Borzywój. — Przychodzę od Bolesława, syna Kaźmirzowego, który dla mnie jak był, tak jest królem; po co tu obozem pod jego zamkiem leżycie? Chcecie z nim wojny? Przyszliście mu w pomoc? Król, pan mój miłościwy, wiedzieć potrzebuje.

Na to pytanie nikt nic nie odpowiedział, patrzali po sobie, jakby naradzając się, z czym go odprawić mają. Borzywój czekał na próżno, na ostatek zawołał niecierpliwie:

— Cóż, wrogami mu jesteście?

Leliwa patrzył w ziemię, mieczem, który trzymał w ręku, grzebiąc w niej. Wtem wstał zza niego siedzący duchowny, wieku podeszłego, twarzy ostrymi rysy oznaczonej mężczyzną, i z wielką gwałtownością, palec wymierzywszy ku dworakowi, począł:

— Powiedz temu zbójcy, krwią oblanemu, powiedz Kainowi twojemu, iż przyszli tu ziemianie, aby stali na straży i oblegali go, dopóki precz nie wyżeną. Krwią się jego mazać nie chcą, ale precz z tej ziemi musi iść.

Borzywój krzyknął z oburzeniem, chciał mówić, zahukano go; wszyscy podnieśli głowy, ręce powyciągali i wołali:

— Precz z tej ziemi musi iść! Precz! Precz!

Przyszedł wreszcie do głosu nierychło Boleszczyc i zawołał:

— Niełacno go wyżeniecie! Poskramiał on niejednych gorszych od was i silniejszych i was poskromić potrafi!

Zaczęli się śmiać, urągać i szydzić ziemianie, nie odpowiadając mu. Odwracali się tyłem do posła, rozmowy z nim nie chcąc prowadzić. Duchowny tuż zaraz słał chłopię po święconą wodę i księgę, aby po nieczystym człowieku, który się wdarł tu, miejsce splugawione przezeń modlitwą oczyścić. Borzywój nadto był dum-

ny, aby się długo z nimi spierał po takim przyjęciu. Kilka przekleństw srogich z ust mu się wyrwało, pięściami pogroził i z namiotu wybiegł wściekły z gniewu. Po drodze, przechodząc obóz i stojących kupami ludzi, co wycierpiał od szyderstw i przekasów, plucia i odgrózek, ledwie znieść potrafił. Nie mógł się do nikogo chwycić, boby żyw na zamek nie wrócił. Przyszedłszy tu, tak był jeszcze nieprzytomny i pomieszany, że do króla nie poszedł i siadł w kącie, aby to, czym go nakarmiono, wydychać. Przebył tak dość długi czas, gdy go zawołano do króla.

— Cóżżeś przyniósł?! — krzyknął niecierpliwie Bolesław. — Mów!

— Nie miałem z czym spieszyć — ponuro odparł Borzywój. — Znać oni was nie chcą. Krzyczą, abyś z tej ziemi uchodził.

Król, stojąc naprzeciw mówiącego, rzucił się z gniewu ku niemu.

— Moją jest ta ziemia, a nie ich! Moją! — zawołał głosem wielkim. — Korony mi z głowy nie zedrże nikt! Chcą wojny, to ją będą mieli, będą ją mieli!

Kazał sobie powtórzyć Borzywojowi wszystko, co w namiocie słyszał do słowa, i począł myśleć o obronie. Tegoż wieczora z ludzi, którzy przy nim pozostali, wybrał Bolesław najwierniejszych sobie, najzręczniejszych i najśmielszych, kazał im dać odzież i uzbrojenie, po którym by ich nie poznano łatwo, i wyprawił z zamku, polecając, aby lud zbrojny między pospólstwem dla niego ściągali.

Niełatwą to było sprawą teraz, lecz Bolesław jeszcze na wielu rachował po powiatach, których niegdyś obficie opatrzył majątkościami i wszelkim mieniem. Tymczasem bezczynność ziemian pod zamkiem stojących dodawała otuchy, iż się posiłków król doczeka. Znikąd ich jednak widać nie było.

Jednego z pierwszych wieczorów po dokonanych morderstwie, gdy ochłonał nieco Bolesław, przypomniał sobie opuszczoną Krystę i poszedł do jej dworca. Dziwiło go, iż się do niego przez sługi

nie odzywała jak dawniej. Drzwi znalazł stojące otworem, nieład jakiś w mieszkaniu, dziewczęta z włosami porozplatanymi, w bieliźnie jednej, siedziały na ziemi, jedne płacząc, drugie jakby snem znużone. Oczyma zdumiałymi popatrzył król dokoła. Krysty nigdzie widać nie było. Gniewnie potracił nogą leżącą na ziemi Ciarę.

— Gdzie wasza pani? — zakrzyczał.

Dziewczęta płakać i jęczeć, nie odpowiadając, zaczęły.

— Gdzie ona jest? — zagrzemiał powtórnie głosem groźnym, podnosząc rękę jak do bicia.

Dziewczęta, porwawszy się, zaczęły uciekać przerażone, a Ciarka, którą król za włosy pochwycił, padając na ziemię, przelękła wołać poczęła:

— My nic niewinne! My niewinne! Nie wiemy, co się z nią stało! Poszła! Wczoraj jej już nie było...

Król stanął, z gniewu się trzęsąc. Chciał pytać, ale ze strachu od przytomności odchodzące dziewczę jęczało, odpowiedzieć nie umiejąc. Stała się wrzawa i wołanie na wszystkie strony, zbiegli się ludzie, poczęły pytania. Nikt nie umiał wskazać, ani kiedy, ani jak uszła Krysta, sama jedna czy przez kogo uprowadzona. Rozesłano dwór szukać jej po całym zamku, po kątach i komorach, lecz nie znaleziono nigdzie, nie widział jej nikt. Wszyscy byli tak królem i sobą samymi za jęci, iż nikomu zajmować się nią na myśli nie powstało. Król wpadł w gniew niewysłowiony. Siec kazał z kolei sługi, groził śmiercią; żadna męka wydobyć z nich nie mogła wieści o Kryście. Wśród chłosty plotły każda co innego i coraz się przeciwiąc własnym wyznaniom. W istocie nikt nie wiedział, co się z nią stało.

Krysta potajemnie od dziewcząt swych chwyciła odzież prostą, płachtę grubą, wybrała chwilę, gdy sługi się pospały, i nieprzytomna, na wpół obłąkana, wysunęła się z zamku, ciągle jeden wyraz powtarzając: „Krew, Krew!”. We wrotach straż niewiast nie zatrzymywała, dano się jej wysliznąć, nie przypatrując nawet o mroku. Nie wiedziała, ani dokąd szła, ni co się z nią stać miało, uciekała od krwi, która goniła za nią. Ku miastu zszedłszy, zobaczyła kościółek Na Skałce i widok jego przeraził ją na nowo, ucho-

dzić zaczęła, pędząc co sił, bez drogi, na oślep a krzycząc: „Krew! Krew!”

Biegła tak drżąca, zdyszana, zapłakana, aż póki, dostawszy się na gościniec jakiś, nie padła. Oprzytomniawszy, poznała tę drogę. Stał nad nią drewniany krzyż, obwieszony płachtami chorych ludzi. Tą drogą, pamiętała, jechała niegdyś z królem, gdy ją z Bużenina na zamek uwoził, śmiejąca się jeszcze, szczęśliwa, marząc, że zostanie królową. Wracała nią teraz pieszo, zapłakana, nieprzytomna, przelękała, patrząc niespokojnie na siebie, na ręce swe, na szaty, na nogi i widząc wszędzie krew. Upadła znużona na ziemię wilgotną i zerwała się prędko, bo mokra darń wydała się jej krwią przesiąkniętą... Chciała biec dalej, gdy brzęk oręży i tętent koni ją nastraszył; przypadła znowu, pragnąc się ukryć.

Gościńcem jechał cały zastęp ziemian zbrojnych, coraz bliżej, coraz głośniej chrzęszcząc zbrojami, brzęcząc łańcuchami; miejsce było odkryte, nigdzie ani krzewiny. Krysta zerwała się i biec poczęła co sił ku zaroślom. Uciekając posłyszała za sobą tętent konia, jeździec jakiś ją doganiał, dopędził i nagle za suknię pochwycił. Krysta zachwiała się i upadła na wznak; płachty, którymi głowę miała obwiązana, rozpadły się i twarz jej odkryły. Dwa razem krzyki ozwały się z piersi dwojga, krzyk radości i trwogi; nad nią stał Mścisław. Przecucie jakieś pognało go za uciekającą niewiastą.

— Krysta! — zawołał głosem pełnym bóleści — Krysta!

Ona omdlała leżała na ziemi, blada jak trup, a gdy Mścisław ocucił ją nareszcie, rzuciła nań wzrokiem obłąkanym, zawołała:

— Krew! — i zemdląca znowu.

Mścisław, choć rycerz i mąż wielkiej siły, oczy miał łez pełne. Nigdy on uwierzyć nie chciał, ażeby płochę to serce odwrócić się miało od niego; rozmówany był w niej zawsze, nawet gdy uwieszona na ramieniu króla wypowiedziała mu wiarę, i w tym jeszcze widział tylko kłamstwo dla ocalenia mu życia popełnione. Odzyskać swą Krystę pragnął najgoręcej; namiętność jego była ślepą. Rozradowany więc tym, co za cud prawie uważał, jak matka troskliwie około niej chodząc, począł ją cucić i tulić.

Krysta przerażona widokiem jego drżała ciągle i płakała, rękami odpychała go, a usta ciągle powtarzały jedno: „Krew!”

Nierychło przekonał się Mścisław, iż widok jego tak ją trwożył, iż jej zmysły odbierał. Musiał się odsunąć nareszcie i powierzyć opiece obcej, aby nowych omdleń i krzyku nie być przyczyną. Nie mogła nań patrzeć i zakrywała oczy. Z gromady ludzi, których miał z sobą, wysłał natychmiast dwu do miasta, aby mu wóz i starą jaką niewiastę do dozoru nie szczęśliwej sprowadzono. Do domu posyłać za tym zbyt było daleko. Sam z dala został, czekając na straży, osłoniwszy leżącą na ziemi z zakrytymi oczyma. Mścisław, który przeciw króla ziemian pobudzał, jechał razem z innymi łączyć się z Krukiem i Leliwą, jechał wrac zemstą i jątrząc drugich a nagląc do napaści. Lecz teraz, co mu był król, wojna, zemsta, gdy Krystę odzyskał! O wszystkim zapomniał. Ludzi swych odprawił do obozu, sam pozostał.

Pod noc już, nierychło, nadciągnął wóz i znajoma mieszcza, babka z Krakowa, która nieraz w Bużeninie bywała, bo ją za lekarkę miano. Właśnie znużona płaczem i głodem może, Krysta usnęła była, leżąc na ziemi. Z wolna podniesiono ją i położono na wozie, a gdy zbudzona otworzyła oczy, ujrzała nad sobą nie już straszego Mścisława, ale twarz staruszki, która jej, jak nianka dziecku, głowę otulała. Zamknęła oczy, nie chciała patrzeć. Wóz z wolna się poruszył, a za nim Mścisław sam konno, gdyż go nikomu nie chciał powierzyć.

Do Bużenina z chorą było mu za daleko, bliżej do Góry, w której owdowiała matka Krysty mieszkała, bo tylko jeden mały dzień drogi. Tam też jechać kazał. Krysta na wysłanym wozie leżała jak w kolebce, dając się karmić i poić bezmyślnie jak dziecię. Zdało się jej, że to wszystko, co przeżyła, snem było, że znów powracały dni dzieciństwa i młodości, że mogła być znowu szczęśliwą, spokojną, kochaną. Tamto wszystko, co się jej przypominało z przeszłości burzliwej, zmorą jakąś było straszną, która przeminęła na wieki.

W nogach jej na wozie siedząca starucha zgarbiona otulała

ją ciągle i jak dziecku do snu nuciła. Mścislaw jechał umyślnie z daleka, aby tętent konia ją nie trwożył i brzęk żelaza, które miał na sobie. Drugiego dnia nad ranem koniom dla paszy i spoczynku stanąć trzeba było. Mścislaw, kryjąc się jeszcze przed nią przez litość, którą miał nad nieszczęśliwą, poszedł w zarośla spocząć opodal wozu. Stara pomogła Kryście chusty odrzucić, aby popatrzyła na świat boży. Przebudziła się zdziwiona, powiodła dokoła oczyma czarnymi. Las zieleniejący stał nad nimi, pusto było i cicho, ptaszki śpiewały w gąszczach, nad głowami lazurowe rozpościerało się niebo. Lice się jej rozpogodziło; trochę zapomniała przeszłości i pozbyła trwogi.

Wóz stanął na spoczynek nad gościńcem samym. Krysta jeszcze się zdumionymi oczyma rozpatrywała w łąkach i drzewach, gdy na drodze jeźdźcy się pokazali. Była to gromada ziemian zbrojnych, jadących także ku Krakowu na zawołanie starszyny. Ciągnęli powoli i przeciągać mieli mimo stojącego w cieniu wozu, gdy jeden z nich spojrzął, rozśmiał się głośno, dziko i z koniem do wozu przyskoczył.

— Hej, Krysta Bolesławowa! Hej, Krysta miłośnica! Cóżżeś to pana porzuciła? — krzyknął.

— Krysta miłośnica! — powtarzali za nim inni, śmiejąc się okrutnie i wóz otaczając dokoła.

— Krysta, a gdzie twój pan miły? Czy do piekła pojechał? Czy się skrył do Smoczej Jamy?

— Krysta miłośnica! — wołali jedni do drugich, pokazując ją sobie palcami.

— Zabić wiedźmę przekłątą! — poczęli wołać inni.

— Zgnieść to plugastwo wszeteczne!

— Krysta! Krysta! — odzywało się na wszystkie strony.

Nieszczęśliwa pod tą chłostą słów okrutnych, pod gradem tych wejrzeń strasznych padła jak nieżywa, zakryła twarz, wtoczyła się niemal na dno wozu i głosem rozdzierającym znowu krzyceć poczęła:

— Krew! Krew!

Obłąkanie wracało. Drżąc i miotając się stężała z boleścią na

wykrzywionych ustach. Gdy Mścisław, ściągnięty jej krzykiem, przypadł, aby ją bronić, zastał już omdlałą i prawie bez życia.

Ujrzawszy go nadbiegającego, nielitościwi ludzie, zamiast usłuchać wołania i próśb, jęli się z niego uragać. Mścisław się rzucił na nich jak wściekły, o mało do krwawego boju nie przyszło. Starszyzna, ulitowawszy się wreszcie nad nim, gdy go rozbrojono po krótkiej walce, odjechała szybko, zostawując leżącego na gościńcu. Nie obeszło się jeszcze bez wykrzyków nad Krystą i śmiechów a swawolnych wyrazów.

Gdy gromada odciągnęła, stara baba ledwie się nieszczęśliwej zdołała docucić. Życie z niej uszło prawie; skołowaciała leżała z pianą na ustach i oczyma nieruchomymi. Z życiem wracającym wróciła trwoga, krew i obłąkanie.

Mścisław, któremu w czasie walki u wozu koń się był przestraszony wyrwał i uciekł, idąc pieszo prowadził dalej Krystę do matki. Zdało mu się, że szedł za trumną. Gdy dwór się pokazał w Górze otoczony częstokołami, poszedł przodem do niego.

Zięć tam drugi gospodarzył, przy którym stara matka mieszkała. Sulisławowa córki tej, od czasu jak jej srom uczyniła, znać ni wiedzieć o niej nie chciała. Pusto było w Górze; siostra Krysty po chorobie niedawnej leżała, nie wstając jeszcze, stara Sulisławowa za nią i zięcia gospodarzyła w domu. Wielkie wrota pod dachem stały zaparte, cisza panowała we dworze. Mścisław, przez furkę boczną wszedłszy po cichu, matkę zastał na przedsieniu z kądzielą. Ta, ujrzawszy go i poznawszy, kądziel rzuciła, aż się stoczyła na ziemię, dłonie podniosła, krzyknęła i uciekać chciała. Wstrzymał ją krzykiem Mścisław.

— Matko moja! — zawołał. — Miłosierdzia proszę! Ratuj mnie i Krystę!

Usłyszawszy to imię, stara w ręce podniesione uderzyła, zatrzymała się i krzyknęła:

— Coś ty oszalał?

— Krystę do was wiozę, Krystę moją nieszczęśliwą, ledwie żywą. Uciekła ona sama z zamku, gdzie ją gwałtem trzymano. Znalazłem na polu, chorą, biedną...

Sulisławowa przerażona, niepewna, powtórnie chciała uciekać, rozmyśliła się i wróciła. Łzy miała na oczach, serce matki zwyciężyło.

— Oto ją tu wiozą, matusiu najdroższa! Ona jeszcze na mnie dla sromu patrzeć nie może... Chora jest, nieszczęśliwa, ulitujże się, ulituj!

A widząc, że się matka waha jeszcze, dodał:

— Cóż ona winna? Co winna?

A tuż i wrota skrzypiały, które na oścież otwierano, i wóz się powoli wtaczał w podwórze, na którym ledwie żywa leżała blada Krysta. Mścisław skrył się u węgła. Wóz się za trzymał u wnijścia. Sulisławowa już nie uciekała, łzy jej ściekały po policzkach, Starucha z wolna podniosła bezwładne chorej ciało, ręką ostrożnie jej odchyliła zasłonę z twarzy. Krysta otwarła oczy strwożone i natychmiast zamknąć je chciała, gdy przed sobą ujrziała i poznała matkę, która ku niej drżące wyciągała ręce. W jej umyśle znów stał się przewrót dziwny, życie znów niby się snem wydawało, a otwarcie oczów przebudzeniem.

— Matuś ty moja! — odezwała się.

— Dziecko moje! — I głowa nieszczęśliwej spoczęła na ramieniu starej, oczy się jej jak do snu spokojnego zamknęły.

— A, jaki to był sen okropny! — poczęła szeptać. — A to ja w Górze, w Górze... — oglądała się podnosząc trwożliwie. — Nieprawdaż, to Góra? Tu nie ma nikogo złego? Tylko ty, matuś, siostra i Krysta... a tamto wszystko, co było, to sen i zmora!

Sulisławowa, płacząc, potakiwała dziecięciu; powoli, ostrożnie z wozu ją zniesiono. Teraz dopiero przypatrzeć się jej mogła matka. Cóż się to stało z jej Krystą? z tą śliczną, białą różową jak kwiatek świeżą Krystą, przed którą królowie na twarz padali! Lice miała jak rąbek nie bielony, blade i żółte, usta sine jak zwiędły liść róży, oczy wpadłe; drżała jak gałąź osiny, nie mogąc się na nogach utrzymać.

— Góra — powtarzała po cichu — a! Co to za sen ciężki miałam, matusiu!

Znowu główkę sparła na jej ramieniu, płacząc pocichu, aby

gorzkie łzy, co jej ciążyły, wypłakać z siebie. Sulisławowa płakała z nią milcząca. Matczyna łza gorąca padła jej na twarz, Krysta się targnęła z krzykiem, wołając:

— Krew! Krew!

Dwie niewiasty obejmujące ją rękami poczęła odpychać przerażona, aż matki posłyszawszy głos, oczy w nią wlepiła, przytuliła się do niej i uspokojona szeptała:

— Sen to był, sen matusiu!

Baba, stojąca przy niej, powtarzała po cichu:

— Sen mara...

I matka potwierdzała, głaszcząc ją po zimnym licu:

— Sen, sen!

Tak ją do cichego zaprowadzono kątka i położono na spoczynek. Mścisław na przedsieniu usiadł, sparł się na rękach i jak wierny pies pozostał na straży. Odstąpić jej nie chciał i nie mógł, a przystąpić do niej nie wolno mu było.

Krysta nie była przytomną i nie była obłąkaną, zdziecinniała wracając do Góry, gdzie była niegdyś dziecieniem. Dobrodusznym, starym babkom, co ją otaczały, pojąć było trudno, co się z nią działo. Mówiły sobie, że to czary a uroki. Posłano po baby, aby urok odczywały, aby zamawiały lichu, by jej wróciły przytomność i zdrowie.

Mścisław, któremu niedawno tak pilno było iść z innymi wraz na króla, upadł na siłach i męstwie; siedział w drugiej izbie na ławie lub sparłszy się na stole drzemał, czatując a pilnując, co się z Krystą dzieje. Próbował do niej iść, lecz ile razy się pokazał, oczy zakrywała, mdlała ze strachu przed nim, choć łagodnymi do niej mówił słowami, a pieścił ją jak dziecko. Matka go też precz pędziła, musiał wracać do pierwszej izby w kąt, na ławę, przysłuchując się stąd głosowi cichemu Krysty, która z matką dziecinniała.

W Krakowie na zamku coraz, co dzień, puściej było. Ucieczka Krysty zgniewała króla i przybiła, przypisywał ją księżom i zdra-

dzie. Chodził po izbach pustych, patrzył po kątach ciemnych, czasem się gniewem wielkim unosił, a co mu naówczas pod rękę wpadło, tłukł i zabijał. Od dnia popełnionego morderstwa godziny spokoju nie było. Każdego ranka ktoś uchodził. Posyłał król po kogo, nie przybywał; nie było dlań żywej duszy, oprócz garści dworu, drużyny i niewielu zbrojnych ludzi, co na zamku stali, nie miał z sobą nikogo. Duma pańska walczyła z tym wypowiedzeniem wojny przez kraj cały. Nie ustępowały z błoni pod zamkiem kupy nagromadzone ziemian i rycerstwa, które go znać za króla nie chciały; nie ustępował on z Wawelu.

Często na złość im król wychodził albo wyjeżdżał sam jeden, mijał je powoli, nastęczał się oczom, zdawał ich wyzywać bezbronny. Naówczas zoczywszy go, ludzie odwracali się, jakby go nie widzieli; gdy wołał, udawali, że nie słyszą; gdy pytał, nie odpowiadali, niektórzy bojaźliwsi uciekali od niego. Nie porywał się nań nikt, ale mijali wszyscy.

Z dniem każdym stawało się gorzej. Kościoły pozamykane były wszystkie, nigdzie dzwonu ni modlitwy, nigdzie księdza u ołtarza, lud ochrzczony i już chrześcijański, szczególnie po miastach, próżno się domagał spowiedzi, ślubów, pogrzebu. Księża się przed nim zamykali.

Spróbował król wysłać zaufanych do Poznania, do Gniezna, do Płocka, do Wrocławia, wzywając, aby się doń zjechali biskupi; wszyscy mu jedną dali odpowiedź, iż zabójcy i świętokradcy za pana znać nie chcą ani głów na miecz jego narażać. Odpowiedzi przychodziły mniej więcej zgodne, łagodniejsze lub ostrzejsze, odmowne wszystkie. Uśmiechem złym król pokrywał gniewy; ramionami potrząsał i wiodł życie po staremu, nie zważając na nic. Tylko na zamku z dniem każdym było samotniej, a i ludu prostego trudno zwabić jadłem i napojem. Przy nim stała wierną tylko ta gromadka Boleszczyców, co się na wszystko poświęciła, byle dochować wiary, dwie królowe i Rusini ich dworu. Zamek jak wyspa na morzu stał odosobniony od świata. Kto w nim mieszkał, do tego już w końcu mówić nie chciano i sięść z nim do jednego stołu ani mu ręki podać nikt się nie ważył.

Bezsilny gniew króla rozbi-

jał się o milczący, zimny opór kraju. Nie napastował nikt, lecz nikt nie chciał go. Dnie bez końca długie, milczące, straszne wlokły się na Wawelu, co gorsza, bo bez jutra.

Dworacy Bolesławowi za niego się trwożyli i biegali. Był jeszcze na stolicy wrocławskiej naówczas biskupem Jan Jastrzębiec, Odolaja syn najstarszy. Borzywój, po naradzie ze swoimi, nic królowi nie mówiąc, dnia jednego wybrał się do Wrocławia do niego. Mało stryja tego znał, ufał przecie związkowi krwi z nim, że tam znajdzie radę i opiekę. Na podróż tę przywdziać musiał odzież inną, aby się nie wydawać ludzkim oczom z tym, że do dworu króla należał; a że i z twarzy go dość znano, przebierać się musiał manowcami i lasami ku Szląskowi, co podróż wielce przedłużyło. Dopiero w świat ruszywszy, przekonał się, jak trudno było króla ratować. Wszystkie głosy odzywały się przeciw niemu, duchowieństwo trwogą, nawet lud, na który król rachował, odeгнаło od niego. Nikt nie myślał stawać w obronie tego, którego dusza i ciało były w mocy szatańskiej. Rycerstwo i ziemianie górę brali, siali przestach, nikt ruszyć nie śmiał przeciw nim. Pamiętano czasy po wygnaniu Kazmirzowym, gdy cały kraj się zawichrzył i zasypał gruzami i popiołem; obawiano się ich powrotu, w ciszy i trwodze czekano jakiegoś końca. Za królem nikt się ani odezwać nie śmiał, choć może go kto żałował. Rozpowiadano już o cudach u grobu męczennika, o orłach, co porąbanych zwłok jego pilnowały, o światłości, co nocami nad grobem jego gorzała.

Borzywój, kryjąc się z sobą, i czym był, i z czym jechał, znużony i znękany przybył wreszcie na dwór stryjowski. Tu u progu się opowiedział jako synowiec pański, ale niewiele to pomogło, bo nierychło go dopuszczono. Biskup Jastrzębiec był już starcem, złamanym wiekiem, z długą brodą siwą, o kiju chodzącym, ale na umyśle przytomnym. Gwałtowny charakter Odolaja w części po nim odziedziczył, chociaż go chrześcijańskie wychowanie znacznie złagodziło. Popędliwość ojca w synu się stała surowością nieubłaganą.

Milczący kleryk zaprowadził Borzywoja po długim oczekiwaniu do biskupa. Izba była przyciemniona, starzec opodal w krześle poduszkami obłożony siedział, i gdy Borzywój stanął w progu, podnosząc nań oczy zbladłe spod nawisłych brwi siwych, zapytał naprzód głosem ostrym:

— Z tych jesteś, co przy królu byli?

— Z tych, co przy królu są — odparł Borzywój z westchnieniem.

— Nie zbliżaj się do mnie! Z dala stać! — krzyknął biskup. — Nie waż się z progu! Czego tu chcesz? Wszyscyście razem z nim wyklęci! Znać cię ani mówić z tobą nie chcę. Precz!

— Miłość Wasza pozwoli...

— Powinni cię byli pod ten dach nawet nie wpuszczać! — wołał biskup, ręką bijąc o poręcz. — Czemuś go zaraz nie porzucił? Odprawiłeś pokutę? Przejednałeś się z Kościołem? Mordercy! Świętokradcy!

— Jakże mogłem króla odstąpić! — rzekł Borzywój. — Gdy wszyscy nas i jego odpychają, nawet rady znaleźć nie umiemy.

— Rady? Nie ma jej dla bezbożników, dla zbrojców w grzechu zakamieniałych — mówił biskup.

— Gdzie ten morderca?

— Na zamku w Krakowie.

— Trwa więc w złości swej zabójca błogosławionego brata naszego i swojego! Kain ten krwią obłuzgany, rozpustą zgniły!

Borzywój zmilczał. Biskup popatrzał nań surowo, zdawało się, że w nim trochę litości obudził. Borzywój, nie wiedząc, co już mówić ma, spytał:

— Co król uczynić by powinien, aby mu odpuszczone było?

— Azali mu ta zbrodnia odpuszczoną być może? — krzyknął Jastrzębiec. — Świętokradztwo! Ojcobójstwo! Jeden tylko biskup rzymski, pan nasz, naznaczyć mu może pokutę, a ta lekka nie będzie.

Borzywój słuchał milcząc.

— Pokuta — mówił stary biskup — z powrozem na szyi, boso, ze świecą w ręku, u drzwi kościelnych stać lata całe, Kościoło-

wi oddać wszystko, co ma, a precz iść z kraju, bo pomazany krwią ojcowską, pomazańcem bożym być nie może.

Wzdrygnął się Boleszczyc. Biskup pilnie go śledził oczyma.

— Toż samo was czeka, służalców, coście z nim byli. Ty? Byłeśli tam? Podniosłeś rękę?

Borzywój nie odpowiedział, ogarniał go przestach i zgryzota, głowę spuścił jak winowajca. Milczenie za odpowiedź starczyło.

Biskup rękę suchą wyciągnął i drzwi mu wskazał, uparcie trzymając palce drżące skierowane ku nim. Borzywój nie odchodził.

— Chwili mi tu nie powinienes zostać! — wołał stary Jastrzębiec głosem wzruszonym. — *Vade retro!*²² *Vade retro!* Precz! Nie znam cię jako krew naszą! Precz!

— Ojczy mój — odezwał się, zimnym oblany potem Borzywój — pójdę, nie idzie mi o siebie, ale o pana mojego. Radźcie, co czynić ma.

— Tak więc jeszcze kochacie tę potworę? — krzyknął Jastrzębiec. — Tak stoicie o tę zgniliznę, co się tylko zdała na ogień piekielny? Ha! Czujecie, że współnictwo zbrodni was z nim wiąże! Razem diabłu wpadniecie w paszczę!

— Rady! — krzyknął Borzywój błagająco.

— Niech się wlecze w żebraczym odzieniu do Rzymu, niech tam u nóg ojca naszego, papieża, padłszy, błaga o rozgrzeszenie, a królestwo niech opuści, bo dopóki on je kala przytomnością swoją, ani świętej ofiary, ani błogosławieństwa nie ujrzy ta ziemia, odłogiem zalegnie, spustoszeje, ogień ją pożre jak Sodomę i Gomore.

Gniew wzrastał w piersiach biskupa. Borzywój nie śmiał się odzywać, myślał się już w ostatku cofnąć, gdy Jastrzębiec zawołał nań:

— Litość mam nad tobą — rzekł. — Jeżeli się kajać będziecie, ty i twoi bracia, naznaczę pokutę i wyjednam oczyszczenie! Zostań poza obrębem mojego dworu, za bramą, los ci obmyślę.

— Ojczy mój — odezwał się Borzywój — dzięki wam składam najpokorniejsze, ale ja jeszcze sługą i do mojego pana powrócić muszę.

aZaledwie usłyszawszy tę odpowiedź, biskup się porwał, trzęsąc, z siedzenia.

— Precz, zatwardziały! Precz, nie poprawiony, bezecny, który wracasz do nieprawości swej jako pies do tego, co z siebie wyrzucił! Precz! Noga twa niech tu nie postanie, oczy moje niech cię nie widzą więcej!

Biskup gwałtownie w ręce bić i kija wyszukawszy, stukać nim zaczął, miotając się cały zburzony. Wpadł kleryk przelękły.

— Precz z tym poganinem! Za wrota go wyrzucić! Niech mi nie kała podwórza i progu! Precz!

W gniewie namiętym biskup, któremu głosu brakło, upadł na krzesło, a kleryk, z lekka za rękaw ująwszy Borzywoja, natychmiast, wedle rozkazu, wywiódł go ze dworu. Otwarto wrota, wyprowadzono konia ze dworu biskupiego, wyrzucono na ulicę i wrota się za nim zamknęły na wrzeczadze. Po wyjściu jego jeszcze starzec zajadły przywołał ludzi, nakazując im, aby mu ni chleba, ni wody nie dawali, choćby z głodu umierał.

Pozostawszy tak na gościńcu u wrót, Borzywój, który choć chwilowo spodziewał się przytułek znaleźć u stryja, w obcym miejscu, sam jeden, nie bardzo wiedział, jak się obrócić. Na dworze biskupim miał wprawdzie bratanka Pawła, którego stary Jastrzębiec wziął do siebie, aby go do stanu duchownego sposobić, lecz o tego ani się teraz dowiedzieć, ni doń było można przystąpić. Chciał spróbować ludzi pytać, lecz po zatrzaśnięciu wrót, gdy przez okno go postrzeżono stukającego, nikt nawet mówić doń nie chciał.

Stary Jastrzębiec długo potem uspokoić się nie mógł. Od niego Paweł, bojaźliwy, zahukany nowicjusz, dowiedział się o losie Borzywoja, lecz szukać go, mówić z nim byłby nie śmiał jak z wyklętym. Klątwa wszystkie węzły rodziny zrywała.

Borzywój pociągnął do miasta, ubogiej sobie szukając gospody, aby trochę w niej spocząwszy, zaraz nazad powracać do Krakowa. Po Szląsku już chodziły wieści, że się tu znowu Czechów spodziewano, którzy kraj, jako bezpański, prawem dawnego podboju²³ zajmować chcieli. Przynosiło się znowu rozerwanie

królestwa i łupieżę. Borzywój, który ze wszystkich najczynniejszym był, nazajutrz już siadł na koń i wracał do Krakowa, postanowiwszy zataić przed królem, co od biskupa usłyszał. Znowu tymi samymi manowcami puścił się w swą drogę, unikając ludzi, omijając gościńce, noclegując po lasach i gęstwinach. Gdy na Wawelu stanął, znalazł wszystko, jak było, tylko garść, co przy królu stała, zmniejszoną, a Bolesława ogarniętego jakimś szalem niby wesołym, w istocie rozpaczliwym, urągającym się światu całemu. Przez tyle dni nie widząc Borzywoja król, gdy go znowu postrzegł przy sobie, nie spytał nawet, gdzie był i co poczynał, popatrzał tylko nań długo, odwrócił się i poszedł. Dumny król o tym, co mu groziło, co go otaczało, dotykało, nie wspominał nigdy, mówić nie chciał, zdawał się nie widzieć. Występował z całym królewskim przepychem, sypał skarbami i o jutro nie zdawał się troszczyć wcale. Z drużyną rozprawiał o łowach, koniach, sokołach, o kobietach, o wojnie, o dawnych czasach, nigdy o tym, co się działo. Gdy kto słowo jakieś wtrącił o sprawach obecnych, odbierał wejrzenie groźne i zmuszonym był milczeć. Twarz tylko królewska świadczyła, że to, co z niego nie wychodziło, pożerało go wewnątrz. Żółkł, starzał, posepniał, a wesołym chcąc być, stawał się złym. Najmniejsze przewinienie we wściekłość go wprawiało.

Wieczorem, po powrocie, Borzywój poszedł z innymi za królem do sypialni, a gdy się tamci porozchodzili, u drzwi po został. Król, zobaczywszy go stojącego uparcie, w chwili, gdy na sen kubek miodu dopijał wedle zwyczaju, odezwał się ostro do niego:

— Czego ty chcesz ode mnie?

— Miły Panie — odparł Borzywój — czasem i o tym mówić trzeba, co boli.

— Nie! — zawołał król. — O tym, co boli, tylko baby rozprawiają, mężowie ból powinni umieć zwyciężyć i śmiać się!

— Gdybyście pozwolili, Miłościwy Panie — odezwał się Borzywój.

— Mów, gdy cię język piecze — rzekł król niecierpliwie — mów, a nie baw mi długo.

— Nie kazalibyście mi do Węgier jechać i przyprowadzić trochę ludu?

— Ja? Prosić o posiłki u cudzych ludzi na domowe sprawy! — wybuchnął król. — Cóż mi grozi?

Stoją i patrzą, poczynać nic nie śmieją. Lud trzeba ruszyć, a nie obcych ściągać, lud, gmin!

— Miłościwy Panie, lud teraz się wyciągnąć nie da. Za późno!

Król się obruszył gniewny.

— Boście wy wszyscy baby, tchórze i bez mózgu czereda! Nie umiecie nic, a ja sam od chaty do chaty chodzić nie mogę!

— Od chaty do chaty chodzili księża i postraszyli ich...

Bolesław legł, dopiwszy kubka, odwrócił się do ściany i natychmiast zmienił rozmowę; chciał się dowiedzieć o liczbie ziemian i rycerstwa, które pod Wawelem stało, Borzywój nie umiał odpowiedzieć na to, uląkł się tylko, gdyż przewidywał myśl króla, który mógł z garstką sobie wiernych rzucić się na tłumy. Wszystka ta gromada, jaką król miał przy sobie, ograniczała się do kilkuset głów zaledwie, a zbierający się ziemianie i rycerstwo po przedmieściach i stojący w okolicy na tysiące się liczyli; byli dobrze zbrojni i przez samego niegdyś Bolesława do wojen zaprawieni. Była to czujna straż otaczająca Wawel, wyczekująca na ustąpienie króla, do którego zmusić się go, na ostatek choćby głodem, spodziewali.

Długo milczał król, jakby usypiał, potem porwał się i zawołał, sięgając do próżnego kubka, który sobie nalać kazał:

— Wyjść i stłuc to na miazgę, a będzie spokojnie!

Borzywój nie mógł już milczeć dłużej.

— Miłościwy Panie — rzekł — gdybyśmy ich nawet pobili, jeżeli sami rozpoczniemy wojnę, gdy oni porywać się nie śmieją, ściągniemy na siebie wszystko, co żyje, i nie ujdzie nas stąd ani noga.

— Nieprawda! — krzyknął Bolesław. — Nie zwyciężą mnie i nie uczynią mi nic! Imię moje posłuch sprawi! Pierzchną jak zające przede mną, gdy śmiało spadniemy im na karki. Niepraw-

da! Lud się naówczas ruszy, gdy zobaczy, że wojna ze zdrajcami rozpoczęta.

Borzywój chciał coś rzec, król zamknął mu usta, nie znosił przeciwieństwa, począł łajać i urągać drużynę swą, zwąc tchórzami zdatnymi do kądzieli i spódnicy, lecz i o wycieczce zamilczał. Nazajutrz, jakby się do wytrzymania oblężenia przygotowywano, wysłano w okolice po żywność i zapasy, król opatrywał wały, ostrokoły i bramy. Srogi był, gniewny, lecz czynny i rozgorączkowany. Borzywojowi już słowa sobie powiedzieć nie dawał i unikał z nim spotkania.

Rozdział IV

Upłynął rok cały.

Pomiędzy królem a krajem trwała tu wojna niekrwawa, milcząca, zacięta, w której nikt się do oręża nie śmiał porywać ani go składać, a z obu stron walczono z uporem, trzymając się na stanowisku. Gromady snuły się pod sam zamek podchodząc, rozkładając się u stóp jego; nieustraszony pan siedział na grodzie swym i urągał się im królewską pychą, starym obyczajem, świętym dworem. Z całego państwa po została mu posłuszną jedna ta Góra Smocza, a z zastępów mnogich tylko ta garść ludu, którą umiał do siebie przywiązać.

Dwie królowe pędziły dni w nieustannych łzach i trwodze. Niewiasty przynosiły im wieści straszne o jakichś napaściach, zdradach, rzezi i zemście. Niejedną noc dwie panie przemęczały przed obrazami świętych, modląc się i oczekując śmierci. Po kilkakroć młoda królowa na klęczkach namawiała Bolesława do ucieczki; król ze śmiechem przyjmował namowy i nie odpowiadał na nie.

Stara matka tylko milczała, ta jak syn nie chciała się dać wygnać i gotową była czekać na los, jaki ich mógł spotkać, nie ruszając się z zamku.

— My tu panami — mówiła. — Król namaszczony i koronowany, nic mu uczynić nie mogą. Choćby poszli stąd wszyscy, ja się nie ruszę, tu umrę; nikt mnie palcem tknąć nie będzie śmiać.

A gdy Wielisława, tuląc syna, w imię dziecięcia się odzywała, nawet to nie poruszało babki; stawała zamyślona, pewna siebie, nie złamana i powtarzała:

— Róbcie wy, co chcecie, ja tu umrę, ja się nie ruszę!

Bolesław też zdawał się bodaj chcieć umrzeć na swym grodzie z koroną, aniżeli ją dać wydrzeć sobie.

Druga wiosna (1080) nadchodziła. Zamek na Wawelu wyglądał jak gród długim oblężeniem znękany. Na podwórcach jego trawa rosła, a dla koni brakło paszy, dla ludzi strawy; z czeladzi co-

raz ktoś wymykał się i nie wracał. Pilnowano u wrót; nocą spuszczała się z ostrokołów na wały i znikali. Trwoga i niepokój ogarniały najśmielszych, lecz ktokolwiek odważył się szemrać, król strasznymi groźbami i przekleństwami usta mu zamykał. Niektórych sromotnie poprzybieranych w skórki zajęcze, z kądzielami u pasa, na pośmiewisko z zamku kazał wypychać.

Połowa budowli na Wawelu pustką już stała, do stołów nie było przychodzić komu, do weselości trudno było przymusić. Zaufani wysłańcy królewscy próżno nocami po osadach chodzili i przekradali się, próbując zaciągać lud do pułków królewskich. Strwożona czerń, panów swych widząc pod bronią, lękała się ich zemsty nad rodzinami i ruszyć nie śmiała. Po tajemniczo dawano królowi żywność i paszę, ale się go jawnie zapierano.

Pomimo tej trwogi król nie porzucił jak za dawnych czasów jeździć na łowy, nakazując tylko pilno strzec wrót i wałów; później dowiedziawszy się, iż czasu jego niebytności próbowano ubiec Wawel, nawet tej rozrywki wyrzec się musiał. Siedział lub leżał, najczęściej w izbie swej ze psami, czasem w oknie, z którego szeroki kraj i Wisłę widać było, całymi godzinami mrucał coś do siebie, rzucał się i przeklinał. Gdy kto z ludzi wszedł, wesołego udawał, a szczodrym był jak nigdy. Z tej weselości najmniejsza rzecz do wściekłości i gniewu go obudzić mogła. Naówczas z tych resztek ludzi, co przy nim pozostali, wybierał ofiary gniewu swojego, ścinał, wieszał i nazajutrz postradanych żałował.

Jednego ranka, gdy na pół odziany jeszcze ze psy swoimi siedział, konia sobie kazawszy przywieść pod okno, aby się nań choć popatrzeć, wszedł Borzywój, który teraz podkomorzego przy królu sprawiał obowiązki, i po długim wahaniu oznajmił, iż ziemian kilku u wrót czeka, domagając się z królem rozmowy. Zadumał się Bolesław, pierwszą myślą jego było kazać ich precz odegnąć; z niczym dobrym przyjść nie mogli. Już miał rozkaz na ustach, gdy zmienił postanowienie i wołać ich kazał. Sam, zaledwie się przyodziawszy, poszedł do izby, w której dostojniejszych gości daw-

niej przyjmował. Gdy się tu znalazł sam, mimowoli stanęła mu przed oczyma ostatnia bytność biskupa; cień zabitego zdało mu się widzieć tu jeszcze, grożącego karą niebios. Zachmurzony padł na swe siedzenie królewskie, oczy odwracając od tego miejsca, w którym zdało mu się widzieć widmo krwawe z roztrzaskaną czaszką, pozzywające na Sąd Boży.

Wtem kroki się słyszeć dały: Borzywój prowadził za sobą Leliwę, Brzechwę i Kruka. Dawniej nie tak oni do królewskiego zbliżali się majestatu. Dziś szli jak do obcego, któremu nic nie byli powinni, wsunęli się powoli, nie skłonili głów nawet, u progu stanawszy z dala, rozglądać się zdali obojętnie. Bolesław patrzył na nich oczyma nienawiści pełnymi, oni odpowiadali mu dzikimi wejrzeniami. Milczenie trwało dość długo.

— Myśmy tu przyszli — przemówił Leliwa — bo czas coś stanowić, kraj się bez pana nie ostoi. Nim my was głodem weźniemy, może upłynąć kilka miesięcy. Idźcie lepiej dobrowolnie stąd, zanim my was wyżeniemy.

— Tak, idźcie sobie na Ruś — pochwycił Kruk — albo i gdzie się wam spodoba, bo tu długo siedzieć nie będziecie, nie!

— Nas dosyć jest — dodał Brzechwa — aby i zamek zdobyć, i ludzi wyrzezać, nie muście nas do tego, nie czekajcie na to. My wam wolne wyjście dajemy.

— Węgier wam też sprzyja za dawne posługi, toć i do niego możecie — dodał Leliwa.

Milczał król, słuchając, jakby nie słyszał. Nigdy nikt jeszcze do niego tak się mówić nie ośmielił. W sercu mu miecz wrazili tymi słowy. Podparty na rękę śmiał się.

— Jacyżście to miłościwi nade mną! — krzyknął. — Wolne wyjście mi dajecie! Wy mnie!

Nagle mowę przerwał, wstał i innym głosem zakrzyczał:

— Miłościwe pany, won a żywo! Bo was jak psów powieszać każę!

Ziemiańskie, wcale się nie uląkszy, popatrzali na siebie i Leliwa odpowiedział spokojnie:

— Powiesić nas pewnie możecie, myśmy o tym, idąc tu, wie-

dzieli, Co z tego? My starzy, niewielka nas szkoda, a do wieczora i kamień na kamieniu tu nie zostanie. Popatrzcie, ilu nas tu dokoła stoi! Nie chcemy krwi waszej, bo choć nam królem nie jesteś, aleś nim był. Puścimy cię ze wszystkim, co masz, kędy chcesz. Miłosierdzie czynimy.

Milczenie głucho nastąpiło. Bolesław sam do siebie powtarzał:

— Miłosierdzie! Oni mnie miłosierdzie!

— A miłosierdzie! — powtórzył śmiały Brzechwa. — Łatwo by nam nielitościwymi być. Jest przy was może parę setek ludzi, a u nas na tysiące miecze się liczą i takie, co dawniej wam służyły. Na pospólstwo rachowaliście, ale my się mu ruszać nie damy.

Zamilkli, król spuścił się na siedzenie i milczał także. Zmiana jakaś dziwna, nagła zaszła w jego usposobieniach, gniew ustąpił goręczy.

— Cóżem ja wam uczynił? — zapytał.

Posłowie popatrzali na się. Jeden drugiego do mówienia oczyma naglił, aż Kruk się ozwał:

— Od Kijowaście się zaczęli znęcać nad nami, niewiasty nasze sukami zwaliście, nas w niewolę chłopom dacieście chcieli, albo to mało? A krew biskupa?

Król rzucił się gniewnie znowu.

— Zdrajcą był! — krzyknął. — Spotkała go kara zasłużona!

— Gdyby nawet był nim — przerwał Brzechwa — a któż go nim uczynił? Kto, jeśli nie wy?

Bolesław, jakby nie słuchając, patrzył w strop nad sobą.

— Chrześcijańskiemu narodowi panować nie możecie — do kończył Leliwa.

Miotłał się czas jakiś Bolesław, zdając się z sobą walczyć, czy ich miał za zuchwalstwo karać; potem, niby zapominając o nich, odwrócił się ku oknu otwartemu i zapatrzył w dolinę. U podnóża Wawelu roilo się kupami rycerstwa, ziemian i zbrojnych pocztów. Gwar od nich aż tu dolatywał. Posłowie, nie czekając odpowiedzi, widząc, że o nich zapomniał, poszeptawszy coś między sobą, za-

wrócili się i wychodzić poczęli. Król siedział, jakby wrósł w krzesło swoje, nie poruszony, nie dając żadnych rozkazów, nie zdając się zważać na wychodzących. Nie tknięci i nie zaczepieni przez nikogo przeszli przez szeregi stojącej drużyny i dworu, wiodących za nimi oczyma, i bezpiecznie do wrót się dostali. Straż ich wypuściła.

Jeszcze król nie wstał z siedzenia, gdy królowa Wielisława z synem przybiegła i rzuciła mu się do nóg z płaczem błagając, aby siebie i dziecko swe od zagłady ratował. Zamek otaczały, naciskały tłumy coraz groźniej. Bolesław nie spojrzał nawet ani na nią, ani na dziecko swe, porwał się z siedzenia i jakby uprzykrzonego unikając widoku, wyszedł nagle.

W istocie dnia tego obozowisko Wawel otaczające poruszone było, zwiększało się coraz i zdawało gotować do jakiegoś stanowczego kroku. W kilkaset ludzi ani się bronić długo, ani obronić było podobna tłumom, nie mając żadnej odsieczy nadziei. Bolesław sam szedł na wały, patrzył długo, dumnie i wrócił krokiem wolnym do izby. Zawołano Borzywoja, skarbnych i pułkowodców. Król stał blady, z wyrazem hamowanego gniewu i złości na czole pofałdowanym.

— Skarbiec mój na wozy ładować! Ludzie niech będą pogotowiu do jednego! Nie jeden Kraków dla mnie na świecie. Wyjdę stąd z garścią, a wrócę z tysiącami, ale biada tym, których tu zastanę!

Natychmiast starszyzna poczęła wydawać rozkazy do drogi, które wszystkim były pożądane. Rzucili się ludzie ochotnie. Dnia tego widać było tylko ładowane wozy, ściągane sakwy, konie, które sposobiono, zamęt, który podróż poprzedza. Król z izby się nie ruszał, nie spojrzał, nie spytał o nic, pytających precz odganiał; leżał odrętwiały i zobojętniały, psy kośćmi drażniąc i śmiejąc się, gdy się gryzły. Gwar ogromnego tłumu, który chwilami wiatr otwartymi przynosił oknami, nie zdawał się go obchodzić.

Cała ta noc zeszła przy pochodniach na przyspieszonych przy-

gotowaniach. W mieszkaniu dwóch królowych niewiasty, płacząc, odzierały opony, chowały sprzęty, biegały wylękle, z rąk wypuszczając bezsilnych, co która chwyciła. Wielisława tuliła syna. Mieszko dopytywał, niemal wesoły, dokąd jadą. Stara Dobrogniewa, jak pierwiej rzekła, tak strzymała; ona ani jej dwór nie myśleli z zamku wychodzić. Ochmistrowi swemu rzekła niewiasta surowa:

— Niech sobie idzie, kto chce, a ja tu zostanę. Królową jestem i mam prawo tu być, tu będę mieszkała i tu umrę. Niech ucieka, kto chce, ja zostaję!

Próżno prosiła ją synowa, błagał Mieszko. Pogłaskała go po włosach miękkich, pocałowała w czoło, dwie łzy się jej puściły i rzekła:

— Idźcie wszyscy, ktoś przecie zostać musi, aby ród królewski nie zginął cały i nie ustąpił miejsca. Niech mnie wypędzą! Zobaczymy, czy będą śmieli, lub niech zabiją, ja zostanę!

Powiedziano o tym królowi, posłuchał i nie rzekł nic. Nie myślał się jej sprzeciwiać. Wieczorem poszedł sam do niej. Spojrzała nań Dobrogniewa.

— Idź, Panie mój — rzekła. — Wam trzeba iść, pomocy u ludzi szukać, ja starych kości wlec nie myślę po szerokim, białym świecie. Ja na was będę czekała. Tu zostanę.

I jakby dla nadania sobie samej siły, Dobrogniewa powtarzała ciągle:

— Zostanę tu!

Nazajutrz jak świt, wszystko było na nogach, zamek stał odarty i opustoszony, podwórce pełne, jak nabite, ludem się roiły. Gdy królowę z Mieszkiem wyprowadzono do wozów, które iść miały w pośrodku, stara Dobrogniewa, którą dwóch jej wiernych komorników pod rękę prowadziło, wyszła ze złotym obrazem w ręku, ze dwoma łez strumieniami na oczach, kazała się trzymać ludziom i drżące ręce podniósłszy do góry z obrazem, odjeżdżających błogosławiła.

Naprzód jechał sam król na siwej Orlicy pod złotą deką, we zbroi pozłocistej, w płaszczu królewskim, z łańcuchem na szyi,

z pasem kamieniami sadzonym, ubrany jak zwycięzca, w hełmie z koroną. Na bladej twarzy dumę widać było i wzgardę, żadnej skruchy i upokorzenia. Patrzył z góry i grozić się zdał:

— Powrócę!

Za nim jechali zbrojni, obwieszani łukami, żelazem, mieczami, Boleszczyce, drużyna, dwór, czeladź, żołnierze, między siebie wzięwszy długi szereg wozów ładowanych skarbami, koni powodnych², psów myśliwskich i sokołów. Na wozach płachtami poosłaniane jechały zawodząc niewiasty, dzieci, chorzy. Ani się obejrzał król, opuszczając zamczysko, oczyma dumnymi mierzył przed się. U boku jego powiewała chorągiew, niesiono miecze, szli z rogami ci, co ludziom nimi rozkazy dawać mieli.

Gromadka wiernych Boleszczyców z dobytymi mieczami stąpała w ślad za panem. I oni także rodziny, domy, ziemię swą, wszystko rzucili, dochowując ślubowanej wiary, wiedząc, że albo głowy za nią dać będą musieli, lub długie lata cierpieć na wygnaniu wśród obcych i w poniewierce. Na twarzach z bólem widać było żelazne męstwo złączone. Drgnął czasem który, słysząc za sobą płacz niewiast i kwilenie dzieci, i wnet się krzepił, aby sercu nie dać mięknąć. Gdy wszystko to wyciągnęło z podwórców, zamek pozostał pustym; kilku ludzi z Dobrogniewą, a u bramy jeden starzec powietrzem tknięty, co sobą nie władał, zostali załogą.

Orszak wysunął się za wrota, które otworem rzucono i po stępował poważnie wyciągając się powoli. U podnóża góry, przez ściśnięte tłumy ziemian, zdało się trudnym przerznąć nie dobywając oręża. Spojrzeli po sobie ludzie, azali ich umyślnie nie wywiedziono w pole. Lecz król przodem jadący ze swymi drogę sobie łatwo torował. Z dala już rozstępowali mu się w milczeniu ziemianie, jak przed pogrzebem, idąc z gościńca. Nikt szłyka nie podniósł, ale nikt nie rzekł nie zdarnego słowa ani śmiał nieszczęściu urągać. Patrzano na się z równą dumą, król na nich, oni na tego, co był ich królem. Milczenie jakieś straszne zalegało dokoła, nie mruknął nikt, nie odezwał się, nie poruszył. Gdy wozy królowej i płaczące nadciągały niewiasty, chmurniały twarze; puszczone nie żegnając.

Rodziny Boleszczyców, Jastrzębce, Drużyny, Śreniawy, gdy je mijał orszak królewski, nie dały znaku swoim braciom, nie obejrzały się ku nim. Szli wierni słudzy na wygnanie, zaparci przez swoich; żadna się do nich dłoń nie wyciągnęła. Dopiero w dali za orszakiem króla, który z wolna za Wisłę się przeprawiał, szmer zaczął powstawać, rosnać, wrzawa się zrywać zaczynała. Leliwa i Brzechwa chcieli zaraz pusty zamek zajmować, drudzy go pustym zostawić chcieli, dopóki by nowego króla nie było i kościelna klątwa z ziemi i grodu nie została zdjeta.

Wtem wśród narady nadszedł ktoś z doniesieniem, iż stara królowa matka z kilkorgiem czeladzi pozostała na zamku i ustępować z niego nie myślała. Starszyzna zdumiała się jej męstwem, lecz je poszanowała. Posłano wnet do Dobrogniewy, zapewniając ją, iż bezpieczną pozostać może, a o potrzebach jej staranie mieć będą starsi. Dowiedziawszy się o niej na zamku, tym już mniej zajmować go myślano, porzucono go, jak był pustką i ruiną.

W obozie ziemian dnia tego wesele było wielkie jakby z odniesionego zwycięstwa. Dzień jeden stali wszyscy, aby się upewnić, że król nie powróci, naradzić, co czynić dalej; rozesłano posłańców do biskupów, do żupanów po zamkach i grodach, a drugiego dnia groźne owe zbiorowisko od podnóża Wawelu rozbiegać się, rozjeżdżać i rozchodzić zaczęło.

Tegoż samego dnia, gdy król z krakowskiego zamku wyciągał, na mogiłki w Górze wieziono czarnymi wołami zaprzężonym wozem, trumnę, przy której nie szedł nikt tylko matka stara, zestarzały nagle Mścisław, mąż Krysty i płaczki najęte. Szalona niewiasta, rok przeżywszy na przemiany we łzach, obłąkaniu, śpiewach, snach i boleściach, jednego ranka marząc o lepszym świecie, już się nie zbudziła. Matka ją w gziło białe odziała, płacząc, do trumny, mąż narzucił kwiatami; wywieźli na wzgórze i w żółtym piasku pochowali.

Rozdział V — Epilog

Znowu upłynął rok i była wiosna; nie ta, co się budzi leniwa, senna, drzemiąca, jakby się jej na świat nie chciało, ale spóźniona, spiesząca się, której pilno zmieść zapomniane śniegi, połamać lody, wyzwolić ziemię, rozwiązać pączki zamknięte i życiu otworzyć wrota. Długo na nią ludzie oczekiwali, lecz przychodziła teraz zdyszana i robiła cuda. Gdzie wczoraj jeszcze skorupy leżały brudne, dziś już tryskała zieloność, drzewa rozwijały liście, potoki wezbrane leciały z gór, unosząc z sobą ogromne suchych drzew kłody i kamienie obłamane. Nigdzie może piękniej i groźniej, z całą wszechmocnością swą, nie występowała wiosna jak w tych górach lasami okrytych, które otaczają benedyktyński klasztor w Osjaku²¹.

Tu ojciec Otton, który po wygnaniu go z zamku krakowskiego zrazu się udał do Mogiły, za rozkazem zwierzchności swej, przeniósł się dokonać żywota. Rok już przeszło staruszek wśród nowej znajdował się braci. Przyniósł z sobą mały węzełek swój, deski i farby, chcąc i tu na chwałę bożą pracować malując, ale i wiek, i trud, i łzy może wzrok mu nadwątlily. To, co stanowiło największą rozkosz cichego żywota, praca około obrazków świętych stała się niepodobieństwem, widział mało, mgłą zachodziły źrenice. Snadź Pan Bóg żądał odeń ofiary tej. Ojciec Otton poddał się z pokorą woli Pana, rzekł: — Stań się wola Twoja — i przełożonego, ucałowawszy w rękę, prosił go o inne zajęcie.

Niegdyś czytał był wiele ksiąg lekarskich, znał zioła; przy klasztorze była mała apteczka, przyszło mu na myśl, iż około niej chodząc, mógł być jeszcze użytecznym. Skromnie i pokornie poddał to przełożonemu, który ohotnie się zgodził, aby ojciec Otton zajął się zbieraniem ziół, przygotowywaniem smarowań, maści i wód, jakich natenczas medycyna używała. Stało się to wielką dla staruszka pociechą, gdy nowe znalazł zajęcie. Modlitwa żywiła ducha jego, ale sama reguła zakonu i charakter jego wymagał

czynnego zatrudnienia do życia. To było znalezione i ojciec Otton prawie oczu swych i malarstwa nie żałował.

Już jesienią rozpoczął przechadzki po górach, szukając ziół, o których cudownych właściwościach miał wiadomości, lecz jesień ledwie go zaopatrzyła w korzonki roślin; kwiatów musiał czekać do wiosny. Najskuteczniejsze liście młode, pączki, kwiecie dać mu dopiero miała ta pora roku, co nowe soki wlewa w martwe i uspięone istoty. Ojciec Otton oczekiwał jej jak wybawienia z zimowej niewoli, a w tym roku później jakoś niż zwykle przychodziła. Góry długo stały śniegiem okryte, lasy szronem osypane, ziemia obleczona zmarzłymi skorupy, słońce się nie ukazywało, wiatr z południa nie zwiastował zmiany. Ale ptactwo wędrowne już górą ciągnąć zaczynało, o południu czasem tajały na dachach śniegi, a jednego dnia rozdarły się zasłony płowe i wesołym blaskiem oblała okolica. Wiatr już wiał z południa.

Naówczas, w mgnieniu oka prawie, jak to bywa w północnych krajach, metamorfoza² świata się dokonała. Zima, co już się zdawała wieczną, nie przeżyła dnia jednego słonecznego. Poruszyło się w górach wszystko, spadły deszcze, powiały wiatry gorące, topniały śniegi w oczach, i strumienie, których wczoraj nie było, dziś się stały groźnymi rzekami. Ojciec Otton patrzył na to przez okienko swej celi i radowała się dusza jego... miały mu zakwitnąć pierwiosnki, miały pękać pączki brzoźowe, leśne bogactwa dla niego się rozwijały.

Nigdy dzieło bożej ręki cudowniejszym mu się nie wydawało. To budzenie się do życia całej natury łązy zachwyty wywołało mu na oczy. Cudem zdawało mu się wszystko, choć tyle wiosen przeżył w życiu swoim, choć tyle ich widział i pamiętał. Zdało mu się, że żadna jeszcze taką jak ta nie była.

Drugiego dnia stała się zieloność na łąkach w górach, trzeciego ponabierały pączki i przyleciały jaskółki niespokojne lepić gniazda, bociany chodziły ponad strumieniami, dzikich gęsi wiły się sznury spóźnione i żurawie klekotały gdzieś, lecąc pod obłokami wysoko. Nawet w spokojnym osjackim klasztoru, którego życie latem i zimą jedno było, wiosna przyniosła wesele i głośnieję

chóry nocne zakonników chwałę nuciły bożą. Dla wielu z nich, jak dla ojca Ottona, pora ta zwiastowała także pracę w polu, ogrodzie, około budowli, od której odpędziła zima. Radowali się wszyscy, bo praca nie karą bożą, ale darem najdroższym Opatrzności, osładzającym życie.

I jednego dnia tej wiosny, tak szybko nadciągającej i wesołej, ojciec Otton z kijem w ręku, z nożem w kieszeni, z koszyczkiem, w którym chleba i sera był kawałek, wychodził już za pozwoleniem przełożonego z furty klasztornej na cały dzień, na łowy lekarskie, po zioła, pączki, korzonki i co las a góry dać mogły. Śmiała mu się pomarszczona twarz spod czarnej czapeczki, która całą głowę i uszy zakrywała. Już miał wyniść, gdy ojciec Augustyn, przełożony, zjawił się we drzwiach klasztornych i widząc go w progu, rzuciwszy okiem na to, co koszyczek zawierał, ozwał się doń łagodnie:

— A wzięliście, ojcze Ottonie, choć maleńką flaszeczkę wina, abyście mieli się czym pokrzepić? W waszym wieku niezbędnie to potrzebne, reguła pozwala, zdrowie wymaga.

Ojciec Otton potrząsał głową.

— A woda z tych kryształowych źródeł górskich nie jestże to najzdrowszy z napojów?

— Przyda się do niej dla was choć kropla wina — dodał ojciec Augustyn. I skinąwszy na przechodzącego braciszka, kazał mu z refektarza przynieść małą wina flaszeczkę, którą pod posłuszeństwem wziąć polecił, aby od wody staruszek febry, na wiosnę częściej, nie chwycił.

Ojciec Otton podziękował, choć mu się to wcale potrzebnym nie wydawało. Przełożony wesoło życzył mu szczęścia, zalecił ostrożność i tak go w góry wyprawił. Wyszedł staruszek, powoli krocąc i rozpatrując się po świecie. Dzień był prześliczny, dzień złocisty, na niebiosach świąteczny, na ziemi radosny, a ojciec Otton, modląc się, Bogu zań dziękował. Piękniejszego na podróż w góry wybrać było niepodobna. Powietrze, nie gorące ni chłodne, żywiło, nie osłabiało, wiatr chodził ostrożny, aby się nie naprzykrzył nikomu; promienie słoneczne nie dopiekały, a wśród ciszy

pozornej chóry pieśni brzmiały, gdy się ucho wsłuchiło w nie. Śpiewała pszczoła pieśń miodową, szczebiotała jaskółka gniazdkową, skowronek rolniczą, bocian satyryczną, a strumień, stary plotkarz, bełkotał trzy po trzy nowiny, które niósł do morza. I ludzi nie było dokoła ani ich gwaru, ni swaru, ni troski, ni śmiechu straszniejszego czasem niż płacz sam.

Staruszek znał już wszystkie ścieżyny w góry i lasy. Były one zaledwie dojrzone dla innych, dla niego znaczne bardzo, a choć się piąć było trzeba po nich z pomocą kija, powoli idąc, oddychając, ojciec Otton dostawał się na najwyższe wierzchołki. Na tych to wyżynach rosły i kwitły kwiaty, których doliny nie miały, a stanąwszy na górze, cóż to za widok u stóp staruszka się roztaczał! Oczy jego, co na książce z trudnością czytały skutkiem popsucia swojego, w dal sięgały wielką i dopatrywały, czego pospolitego człowieka wzrok nie mógł zobaczyć. Tam stały szeregami wierzchołki białe, szare, sine, zielone gór piętrzących się ku niebu, po których szczytach czepiały się chmury jak dymy; bliżej zieleniały całe boki wzgórzów lasami przyodziane, majowymi łąkami poprzecinane, a gdzieś wśrodku drzew białeły i złociły się, szarzały i czerwieniały jak odrąbane skał ściany, po których leciały w dół pianą okryte strumienie. Na te obrazy pięknego górskiego świata bożego ojciec Otton czasem się zapatrywał aż do grzechu. Wyrzucał sobie nawet to rozmiłowanie w pięknościach znikomego świata, choć tłumaczył sobie, że w nim było i uwielbienie wszechmocności Boga. Gdy patrzył, łzy mu płynęły jakież z nieznanego źródła i były niemal modlitwą.

Cóż, gdy na ten krajobraz bez końca, którego skrajów nie mogło dosięgnąć oko, padły cienie od chmur i promienie słońca, czyniąc sobie igraszkę jakby z gór jasnych, które czyniły ciemnymi, czarnych, które nagle okrywały blaski złotymi. Wówczas świat ten ożywał się, mienił, dyszeć się zdawał i przechodzić jakieś dzieje rozkoszy i boleści. Całunem mgły osnuwała się góra i stała jak wdowa w żałobie, a drugie urągały się jej purpurą i złotem. To znowu z między dwu chmur strzelał promień długi, niby oszczep złożony, przerzynał lasy, ubiełał skały i odkrywał

kątki rozkoszne jak ogródki, które wprzód ciemność światu kradła. Jak łaska z niebios zstępowała jasność na lasy i widać je było z najdrobniejszymi gałązki, jakby z brązu odlane, na tłach sinych gór dalekich. Chwila tylko, chmura tylko, wnet co się pyszniło, już znikło, co nie żyło, wstało do życia.

Ojciec Otton, gdy się nakarmił widokami tymi, gdy się w piersi nabił za to, że się zbyt nimi rozkoszował, szedł i zbierał już pilnie zioła. Tego dnia stała się rzecz dziwna z nim, bo się dał słabostce małej uwieść i zapomniał o celu wycieczki. Równie jak roślin, ojciec Otton ciekaw był i stworzeń bożych, ptactwa, zwierząt, motylów, nawet i muszek. Zaledwie wszedł w las ścieżyną sobie znajomą, na gałęzi drzewa postrzegł ptaka, którego nie widział w życiu. Zdało mu się, że to być musiał przybysz z obcych krajów, może wędrowiec, który tylko w drodze spoczywał. Ptak był kształtny, ale szczególnie pióra jego wdzięczną barwę miały, skrzydła zdobiły niebieskie wyłogi jasne, bladolazurowe. Ojciec Otton nigdy w lesie podobnego nie spotkał ptaka. Chciał mu się przypatrzeć z bliska, podchodził ostrożnie, ale ptak, dawszy się zbliżyć do siebie, unosił nieco dalej i o kilka kroków przysiadł znowu.

Ojciec Otton podchodził ostrożnie bardzo, po cichu, kryjąc się za gałęzmi, lecz zaledwie przystąpił nieco, niebieskoskrzydły zlatywał z gałęzi, często niedaleko sobie obierając nową, na której siedząc, to piórka poprawiał, to dzióbek czyścił o drzewo, to nóżkę jedną podnosił i skrobał się nią. Zdawał się nie lękać wcale podchodzącego, ale nie życząc sobie, aby mu się przypatrywał zbyt blisko, porywał się i leciał dalej, zawsze w jednym kierunku, w głąb lasu. Ani się spostrzegł ojciec Otton, gdy za ptaszyną tą zaszedł tak daleko, że gdy się obejrzał za siebie, już przez pnie drzew sinych w dali gór widać nie było. Znając doskonale okolicę, bynajmniej się tym nie strwożył; postanowił się ciekawemu ptakowi przy patrzeć i szedł dalej jeszcze. Tu już gąszcz leśna zaczynała być coraz mniej dostępną, ścieżynka nawet pod stopami niknęła, a zastępowała ją wryta wodami w ziemi rozpadlina, którą reszta zbiegających z wierzchołków wód spadała w dolinę.

Dziko było i samotnie, wśród drzew zielonych przebijały się już ciemne gałęzie jodeł starych, a gdzieś obnażone ich pnie jak ogromne słupy. Na drodze leżały w poprzek na pół zgniłe kłody, susz obłamana wiatrami jesiennymi, śliskie mchy i na pół przegniłe liści kupy. Ptak, który ciągle był na widoku, znikł gdzieś w czarnych tych, Rozwieszanych ku dołowi, ciężkich świerków konarach; droga stawała się ciężką nie do przebycia, tchu brakło starcowi; obejrzał się nareszcie, czy gdzie nie znajdzie kłody, na której by mógł przysiąść i spocząć.

W lesie panowała cisza uroczysta świątyni, ani listek się nie poruszał, zaledwie bliżej podlatujących muszek brzęczenie chwyciło ucho. Podeszedłszy jeszcze kilka kroków, ojciec Otton znalazł obalony pień wywróconego drzewa, na którym jeśli nie usiąść, mógł się zeprzeć przynajmniej. Pot biegł mu z czoła. Chwilę tu postawszy i oglądając się, czy której z górskich roślin potrzebnych mu nie odkryje, nagle usłyszał dźwięk jakiś dziwny, niezrozumiały, dla którego i o ptaku, i o kwiatkach zapomniał. Wśród milczenia puszczy nie opodal gdzieś słyhać było niby jęk, niby oddech ciężki z piersi jakby ludzkiej się dobywający. Mogło to być sapanie dzikiego zwierzęcia? Nie! Ojcu Ottonowi razem z tym głosem przyszło po czucie, że jakiś człowiek nieszczęśliwy wydawać go musiał. Takim westchnieniem z głębi piersi nie dysze zwierzę żadne.

Wnet ustąpiło znużenie własne, a obawy nigdy na chwilę nie miał staruszek, ruszył się więc żywo, posiłkując kijem swoim, ku górze, idąc na to stękanie, które coraz bliższym mu się być zdawało. Oczy naokoło szukał i podpatrywał, skąd głos mógł wychodzić. Przed nim stał ogromny dąb stary, którego cień i korzenie rozpuszczone szeroko żadnym zarośлом dokoła puścić się nie dawały. Małeńka trawka i mchy okrywały jego podnóże. Tu u pnia dostrzegł Otton leżącego człowieka, u którego nóg pies jeden leżał jak zdechły, drugi dogorywać się zdawał. Sam człek, gdyby nie ciężki oddech, co mu się z piersi wyrывał, za trupa mógł być wzięty. Nie po ruszał się wcale. Głowę miał na zgiętym ręku opartą, zwróconą ku górze, bladą, z zamkniętymi oczyma

i usta otwartymi. Włos obfity rozkładał się około niej w nieładzie. Na sobie miał suknię ciemną i płaszcz, który podesłał na ziemi, u boku miecz w pochwie. Obok leżał łuk rogowy piękny i oszczep. Z ubioru i twarzy poznać było można możnego pana, który albo się zbłąkał na łowach, lub ranny, sam jeden, legł, nie widząc już dla siebie żadnego ratunku. Na sznurze, który przewieszony był przez plecy, mnich dostrzegł róg mały, w kawałki zdruzgotany. Tłumaczyło to poniekąd, że nikogo do siebie przywołać nie mógł.

Na widok tego nieszczęśliwego ojciec Otton zrazu się żywo poruszył; pies, który u nóg pana konał, podniósł głowę nieco, spojrział nań oczyma jakby wzywającymi ratunku i padł bezsilny. Z oczyma wlepionymi w twarz tę bladą pośpieszał zakonnik, gdy nagle podszedłszy bliżej, a wpatrzywszy się w nieznajomego, jak osłupiały stanął. Oparł się o drzewo, zdając wahać już, czy iść miał dalej. Oczu nie spuszczał z leżącego, a na twarzy jego malowała się walka wewnętrzna. Wreszcie złożył ręce jak do modlitwy, podniósł oczy ku niebu, łza mu się pod powieką zakręciła i jakby przemógłszy przeszkodę jakąś, szybszym krokiem przybliżył się do nie szczęśliwego, który ani szmeru rozgarnianych gałęzi, ani chodu nie zdawał się słyszeć. Leżał tak, konać się zdając, mąż ogromnej i silnej postawy, złamany cierpieniem jakimś i walczący z pozostałą życia odrobiną przeciw zbliżającej się śmierci. Strasznie blade miał lice, sfałdowane czoło, a dokoła ust ból ściągnął policzki i nadał mu wyraz męczeński. A jednak, mimo tej męki, widać w nim było nie złamaną jeszcze dumę i jakby urąganie się cierpieniu.

Ojciec Otton, złożywszy kij swój i koszyczek, podszedł i przyklęknął przy nim. Wierny pies leżący u nóg jęknął dziwnie. Ojciec Otton z lekka rękę do czoła przyłożył zemdlątemu. Zaledwie ona spoczęła na nim, gdy całe ciało zadrgało, głowa się poruszyła, oczy otwarły czarne i widać było usiłowanie zdrętwiałego, aby się porwać z ziemi. Sił nie miał; miotał się w miejscu, obłąkanym wzrokiem, przestachu jakiegoś pełnym, wpatrując się w staruszka. Rysy twarzy malowały zdumienie i niedowierzanie; czekać się zdawał na to, ażeby mnich doń przemówił.

Ojciec Otton nie rzekł słowa, ręką tylko badał ciało, a widząc osłabienie, którego głód i znużenie mogły być przyczyną, zwrócił się ku koszyczkowi swojemu. Szczęściem, leżała w nim owa mała flaszcza wina, którą mu ojciec Augustyn na drogę narzucił. Dobył ją, dziękując Bogu, i pośpieszył do ust przyłożyć wycieńczonemu, który jeszcze poruszyć się nie mógł. Ostrożnie po kilka kropel wlewał mu w zaschłe wargi i natychmiast prawie życie wracać zaczęło. Głowa się dźwignęła pierwsza, ręka rozprostowała i myśliwiec siadł z wolna, opierając o pień, który miał za sobą. Żrenice jego ani na chwilę nie schodziły z tego, co go ratował. Mówić czy nie mógł, czy nie chciał jeszcze. Gdy po raz drugi czy trzeci ojciec Otton flaszczykę swą do ust mu przyłożył, oczy się jego zapaliły, drgnął i ręką odpychając go z lekka, wołać począł głosem ochrypłym:

— Klecha jadem poi! Klecha...

Nic nie odpowiadając na to, Otton potrząsnął tylko głową smutnie.

— Znasz ty mnie? — odezwał się głośniejszym głosem nieznajomy.

Na to pytanie ojciec Otton, nierychło się zebrał na odpowiedź, głowę spuścił, zamyślił, blada jego twarz oblekła się jakby dziewiczym rumieńcem, gwałt widocznie zadawał sobie i rzekł cicho:

— Nie.

Nieznajomy zdumiał się i patrzył nań, brwi marszcząc. Z wolna oczy jego zeszyły z mnicha i błędzić poczęły dokoła po lesie, padły na psy, potem się potoczyły po drzewach i okolicy.

— Nie znasz mnie, rzekł jakby sam do siebie, a po coś mnie do życia ocucił? Klecho, chcesz, abym męczył się dłużej? Wszyscyście tacy, przez miłosierdzie męczycie!

Wtem oko jego padło na róg wiszący u boku, wziął go w rękę. Był to złamek już tylko, który nie mógł wydać głosu, odrzucił go wprędce. Pragnienie paliło, głód dokuczał i zapomniawszy się, ręce obie wyciągnął do flaszczyki, którą mnich trzymał przed nim, chwycił ją, a raczej wyrwał, na chylił i nie dając sobie odebrać, wypił do dna, potem z po gardą i szyderstwem rzucił precz

w krzaki, dziko się śmiejąc. Na wycieńczonym człowieku napój w mgnieniu oka skutkować począł, oczy zajaśniały, twarz zadrgała, lice poczynąło się rumienić. Ojciec Otton z początku z przestraczem na to patrzył, potem z radością; życie jeszcze nie wyczerpane powracało.

Mnich, chociaż sam głód czuć poczynął, zwrócił się do koszyczka, przypomniawszy chleb i ser, który miał z sobą. Na widok jada myśliwiec przegiął się cały ku niemu i znowu dłonie wyciągnął niecierpliwie. Nie zostawując nic dla siebie, mnich oddał, co miał. Ze zwierzęcą chciwością rzucił się na chleb wygłodniały; nie patrzył na księdza, cały w sobie, jadł żarłocznie i śmiał się. Raz na żywego jeszcze psa spojrzął, jakby z nim podzielić chciał strawę, lecz głód przemógł, pożerał, nie oglądając się więcej. Życie wracało coraz widoczniej, poruszał się swobodniej. Uradowany dziełem swoim ojciec Otton pomyślał, że woda świeża byłaby pożądaną dla głodem zgorączkowanego człowieka, poszedł więc po flaszkę leżącą w krzakach, która szczęściem nie rozbiła się całkiem, wyszukał ją i spuścił się ku strumykowi z gór bieżącemu, aby w nim zaczerpnąć. Uradowany niosąc ją, wrócił ze świeżym napojem do myśliwca, który, nie mówiąc nic, wodę chciwie wysączył. Po pierwszych słów wymianie nie mówili do siebie.

Nieznajomy człek zadumał się głęboko, potem popatrzył na ojca Ottona i powtórzył pytanie:

— Znasz ty mnie?

Rumieniec oblał znowu twarz mnicha, który głową potrząsał tylko, nie mówiąc nic.

— Weź twój kij — począł myśliwiec — weź koszyk i idź, idź, idź! Widzisz, miecz mam u boku, zabiję cię. Zabiję cię dla sukni, którą nosisz, dlatego, żeś mi życie przywrócił, że klechów cierpieć nie mogę, że potrzebuję krwi!... Idź, zabiję!

Ojciec Otton nie poruszył się z miejsca, a myśliwiec mówił mruczając sam do siebie.

— Wszyscy tacy! Nie ustąpi żaden... węże zjadliwe, od których zabójstwa puchnie człowiek i umiera...

Nogą kopnął, jakby mnicha chciał potraścić, który z głową spuszczoną, a rękami złożonymi, zdawał się modlić po cichu.

— Psy pozdychały, a ja nie mogłem! — odezwał się myśliwy. — Trzy dni, dwie nocy i śmierć nie przyszła...

Ojciec Otton zwrócił ku niemu oczy.

— Bóg miłosierny chce ci dać życie, abys się do niego zbliżył, pokutował i umarł rozgrzeszony.

Te słowa jak piorun podziały na myśliwca, chciał się zerwać z ziemi.

— Kłamco! Znasz mnie! — krzyknął, chwytając za miecz. — Znasz! Kto cię tu przysłał?

— Pan Bóg — odparł mnich spokojnie.

Siedzący pod drzewem nie odpowiedział, ręką tylko dał mu znak, aby precz szedł, lecz ojciec Otton się nie ruszył. Korzystając z milczenia, począł mówić głosem spokojnym:

— Znam cię — rzekł — choć tegom ci mówić nie chciałem. Znam cię. Byłeś królem, zostałeś zbójcą, jesteś grzesznikiem, a pokutą zbawionym być możesz. Dlatego ja, robak mizerny, nie wahałem się napić wyklętego i nakarmić, narażając duszę własną, bym ocalił twoją.

Król Bolesław, on to był bowiem, uśmiechnął się szydersko, patrząc na mnicha.

— Mojej duszy nic nie dobędzie ze szpon szatana! — zawołał. — Wy, klechy, oddaliście ją jemu, a teraz litujecie się nad nią! Idź, idź i daj mi tu zdechnąć ze psami. Zaszedłem na puszcę, aby ludzkie oko mojej śmierci i szatanów, co po duszę przyjdą, nie widziało.

Idź, bo zabiję! Dwu klechów czy jeden nie zaważy więcej...

To mówiąc Bolesław wziął powoli za miecz, dobył go na wpół z pochew i przypatrywać mu się zaczął.

— Ten sam — rzekł cicho. — Ciąłem go w czaszkę. Kość pękła, tak mocno gniew rękę pędził. Nigdy tyle krwi w jednym nie było człowieku... nigdy! Lała się strumieniami, oblała mnie, ich... próg, kościół, popłynęła strumieniem do Wisły... Rzeka potem stała czerwoną rok cały! Tyle krwi w jednym człowieku!

Zadumał się król i począł nieco spokojniej:

— Klecho, prawda to? Musisz wiedzieć! Prawda, że mi dadzą straszną pokutę? Straszniejszą niż cesarzowi, który nie ubił żadnego mnicha... Boso, z powrozem na szyi, od kościoła do kościoła przez cały świat iść, w koszuli jednej, podpasanemu stryczkiem... obrzuconemu błotem, oplwanemu przez gmin... smaganemu przez oprawców! Prawda to?

Ojciec Otton zamyślony patrzył nań.

— A gdyby nawet taką była pokuta — rzekł — a po niej otwarło się niebo jasne i Chrystus, z krzyża schodząc, otworzył ci ramiona, aby grzesznika do piersi przycisnąć? Gdyby krwawym oblanego potem anioły na skrzydłach wniosły do niebieskich przybytków wiekuiestej chwały?

Król głową potrząsnął i spytał:

— A ta krew? Ta krew?

— Łzy zmywają krew nawet — odparł ojciec Otton — a jedna łza unosi z sobą potoki... lecz trzeba, aby z głębin serca trysnęła.

Bolesław milczał i jakby już nie słuchał mnicha, począł:

— Ludzie psów nie warci! Słyszysz, klecho? Psy pozdychały dla mnie, a ludzie opuścili wszyscy. Nie mogę powrócić do ludzi ani do świata, ani do państwa mojego, ani w tę gošcinę węgierską, z której mnie kosymi oczyma pędzą, mnie, com posadził tego słomianego króla² na tronie, com państwo jego mógł wziąć i trzymać, mnie! Nie, tu zdychać trzeba...

Pochylił się ku ojcu Ottonowi.

— Daj mi jakiego jadu, trucizny takiej, żeby duszę wypędziła z ciała jak strzałę z łuku; dam ci...

Tu począł się oglądać po sobie.

— A nie mam ci co dać, chyba miecz ten, na którym przyschła krew twojego brata. Nie mam nic, rozdałem wszystko. Daj jadu przez miłosierdzie, słyszysz? Daj jadu, bo cię zabiję, jadu! Jadu mi daj!

Podnosił głos i sunął się ku mnichowi, który cicho rzekł tylko:

— Jadu nie mam, lekarstwo ci znaleźć mogę.

Król oczy w niego wlepił.

— Chodź ze mną — mówił mnich. — Tam u stóp góry klasztor nasz stoi, cichy, oddalony, spokojny, gdzie możesz nie po znany odbyć pokutę i zbawić twą duszę. Klasztor, tak mówił Otton, klasztor to jest kruchta niebieskiego kościoła, gniazdo ciche w pustyni. Oko ludzkie widzieć cię tam nie będzie. Przywdziejesz suknię, poczniesz służyć Bogu, jak dotąd służyłeś grzechowi... Bóg zmiłuje się nad duszą twoją.

Bolesław potrząsał głową i zamiast odpowiedzi pokazał mu do pól obnażony miecz. Czy chciał przez to powiedzieć mu, jak wielki był grzech jego, czy grozić... Ojciec Otton nie ustąpił.

I nadeszło południe. Siedzieli jeszcze, rzadkie wymieniając słowa, mnich nie odchodził. Głód i pragnienie mu dojmowało, poszedł je ugasić w strumyku, z którego dłonią zaczerpnął wodę, wrócił i siadł przy królu. Ten leżał znów na ziemi, patrząc w górę, nie chcąc widzieć mnicha ani z nim mówić. Słońce zaczynało się pochylać ku zachodowi, oba nie ruszyli się z miejsca jeszcze.

Wieczorem niepokój wielki panował w osjackim klasztoru, ojca Ottona nie było. Zwykle powracał na wieczorne w chórze modlitwy. Ojciec Augustyn lękał się bardzo, aby starca biednego jaka przygoda nie spotkała w górach, zwierz dziki, upadek ciężki, kalectwo, obłąd w lesie lub zbój jaki, włóczęga. Posłano dwu młodych nowicjuszków ku górcom na zwiady, nie każąc się im oddalać bardzo; powrócili przed nocą, smutni, nie znalazłszy ani śladu, ani wieści o ojcu Ottonie. Przy modlitwach wieczornych i nocnych bracia dołączyli jedną na intencję staruszka.

Następnego poranka nie było go jeszcze; trwoga coraz większa opanowywała zakonników, którzy kochali ojca Ottona. Już miano najętych ludzi wyprawiać do lasu, aby przynajmniej ciało znaleźć i pogrześć je po chrześcijańsku, gdy około południa wbiegł nowicjusz do przełożonego z radością wielką i przyklękawszy, w rękę go całując, oznajmił mu, iż na drodze od lasu widać było wracającego ojca Ottona, który z sobą wiódł jakiegoś, o ile z dala rozpoznać było można, chorego czy osłabłego człowieka.

Natychmiast wysłano naprzeciw dwu młodych braciszków, gdyż idący wlekli się tak z wolna, jakby posiłku i pomocy potrze-

bowali. Sam ojciec Augustyn stał w progu, czekając na przybywających.

Nierychło do furty się przywlekli, przodem staruszek, żwawy jeszcze, choć zmęczony trudem i głodem, za nim podtrzymywany przez braciszków mężczyzna, który z głową zwieszoną włókł się, zaledwie mogąc utrzymać się na nogach. Ojciec Otton opowiedział po cichu przełożonemu, jak go znalazł zgłodniałego na puszczy, i że człowiek ten grzesznikiem był, który naprzód dobrowolnej śmierci szukał, potem do odbycia w klasztorze pokuty w sukni zakonnej dał mu się na klonić.

Przybyły, jakby poprzysiągł na milczenie, nie odzywał się ani słowa, dał się naprzód zaprowadzić do izby przeznaczonej dla chorych i tu leż na posłaniu, kilkanaście dni w gorączce, pilnowany przez jednego ojca Ottona, gdyż nikogo więcej doń nie dopuszczano. Gdy po dwu z górą tygodniach wyszedł z infirmerii ów chory, nieznaną człęk, ci, co go tu przybywającego widzieli, ledwie oczom swoim wierzyć mogli, tak strasznie był zmienionym. Leż na łożu olbrzymem silnym, wstał z niego niemal kościotrupem obleczonym skórą. Zmieniło go to, że włosy mu ostrzyżono jak wszystkim nowicjuszom, suknię czarną wdziano, i począł od tego dnia pełnić w klasztorze posługi, które z kolei przyjmowani do zakonu braciszkiowie spełniali. Przypadło nań noszenie wody, rąbanie drew, posługa kuchenna, motyką przygotowywanie roli na ogrody; a choć wychudły człęk zdał się na oko bezsilnym, nikt mu nie zrównał w ciężkiej pracy. Owszem, zdawała mu się ona ulgę przynosić i czynić przyjemność, tak gorliwie, tak zapalczywie rwał się do niej. Wstawał o brzasku, szukał zajęcia do nocy, a gdy czemu inni podołać nie mogli, biegł, jakby życia się chciał pozbyć, gdzie był największy trud i niebezpieczeństwo. W kościółku zrazu rzadko się ukazywał, stawał w kruchcie lub progu i dalej iść nie chciał. Obudzał w klasztorze powszechną ciekawość, gdyż i z postawy i z ubioru, który rzucił przybywszy, domyślano się w nim możnego jakiegoś pana. Inni mieli go za leśnego zbójcę, który w górach długo był postrachem podróżnych, nikt jednak nie wiedział nic o nim, a ojciec Otton milczał.

Trafiało się, że do ustronnego klasztoru zajeżdżali czasem panowie możni z Węgier i słowiańskich krajów jadący, stając tu na noc gospodą. Naówczas, zapewne za pozwoleniem przełożonego, braciszek, któremu dano imię Pawła, nie ukazywał się wcale. Krył się w budzie ogrodowej, zamykał w celi i do posługi nawet nie wychodził. Najbardziej to było uderzającym, gdy we dwa miesiące po przybyciu jego do Osjaku, wieczora jednego kilkunastu polskich rycerzy, przebywających na dworze króla węgierskiego, do klasztoru przybyło. Byli to, pozostali do końca przy Bolesławie, królowej i młodym Mieszku, Boleszczyce.

Jak wszystkich podróżnych ojciec Augustyn przyjął ich gościnnie. Braciszek Paweł, gdy im wrota na podwórze otwarto, niósł właśnie na plecach wiązkę drzewa, pod którą szedł zgarbiony, znikł natychmiast w kuchni i cały wieczór a następny ranek szukano go na próżno. Ulękniono się nawet, czy mu się co złego nie stało, ale ojciec Otton pobiegł do przełożonego, a ojciec Augustyn powiedział, że sam posłał Pawła z poleceniem jakimś od siebie na nowiny, które właśnie karczowano.

Boleszczyce, przyjęci w izbie dla obcych przeznaczonej, mówili tylko z ojcem Augustynem i Ottonem, którego zaraz poznali. Zapytał się staruszek, co poczynali i jak im było na świecie. Pytanie to było nawet zgoła niepotrzebne, bo jedno spojrzenie na nich uczyło, jak ta rześka i świetna młodzież wiele uciepieć i strasznie przyboleć musiała.

— Mój ojcie — zawołał Dobrogost do staruszka, bo Borzywój, dawniej najmowniejszy, teraz niemal mowę postradał — mój ojcie, nie pytajcie lepiej, abyśmy, odpowiadając wam, serca sobie nie krwawili. Nieszczęsna to była godzina, gdy się z Kijowa wróciło, wojen poprzestało, a doma ze swymi wojować rozpoczęło. Nie byliście już pono w Krakowie, gdy króla i nas z nim precz wyparto po onym zabójstwie biskupa. Jechał Bolesław w tej jeszcze nadziei, że powróci z potęgą wielką i kraj zmusi do posłuszeństwa. Z pańskim przepychem i okazałością przyjechaliśmy na Węgry, a nie można rzec, aby nas tam źle przyjęto. Ale pan nasz serce miał uciśnięte i myśli pomieszane. A zamiast za gościnę

królowi węgierskiemu być wdzięcznym, tak się z nim obchodził, jakby on mu podległym był. Król i to od dobroczyńcy znosił, ale panowie węgierscy szemrać, sarkać i burzyć się poczęli. Więc gdzieśmy pokoju i druhów szukali, znaleźliśmy nieprzyjaciół i nowe utrapienie. Król jak w domu ze wszystkiego się urągał, tak i tu lekceważył wszystko. Z dumy swej nie ustąpił na włos ani się chciał dać ugłaskać. Ciężkie z nim były godziny nasze; a co przyszło wycierpieć i każdemu z nas, i wszystkim nam, jednemu Bogu wiadomo. Im bardziej doskwierało nieszczęście, a z Polski gorsze wieści dochodziły, tym on na przekór szaleńszym był i rozpasańszym. Kilka razy we dworze się przyszło zamykać i u ostrokołów bronić przed nacierającymi Węgrami, których gościnności ani chciał szanować, ni być wdzięcznym za nią.

— Ja tu panem jestem! — mówił głośno. — Kto króla wam dał, kto spokój przywrócił? Ja! Króla macie z ręki mojej, kraj wasz, kraj mój.

I tak też poczynął sobie jakby doma, a gdyśmy Borzywój, ja, Drużyna, Miszko i inni prosili go, aby się miarkował, nogami nas kopał i psami łajał. Królowej płacz na nic się też nie zdał, chyba żeby go do większej pobudzić złości. Milczeć trzeba było i cierpieć. Zdało się czasami, nocą zwłaszcza, jak by rozum postradał, bośmy sypiając u drzwi słyszeli, jak sam z sobą mówił i krzyczał, iż strach brał. Odzywał się, jakby przed sobą biskupa widział stojącego, to wołał Krysty, to innych pomarłych i pobitych, potem się śmiał, głową o ścianę tłukł, psy swe mordował, a potem, gdy nazajutrz wstał, znów rozum miał, tylko milczał i patrzył okrutnie, aż krew w żyłach zastygała. Posyłał raz w raz to na Ruś, to do Polski, od jednych posiłków żądając, a w domu chcąc do siebie rycerstwo przeciągnąć. Rusini ani myśleli ruszyć za niego, chyba dla siebie, a rycerstwo znać go i nas nie chciało. Tylko kto tam poszedł, każdy się wstydu napił i z ciężkim sercem powracał. Jak się dowiedział, że do księcia Władysława posłano, aby po nim koronę wziął, zaraz do niego wyprawił, aby się nie ważył jej tknąć, bo ją życiem przypłaci. Książę też i tak obawiał się, i uchodził, krył się, aby go nie kuszono. Namówić go chcieliśmy, aby syna z królową

posłał, któremu by stryj za opiekuna mógł służyć, ale za to omal mówiącego nie zabił, twierdząc się panem i zapowiadając, że nazad mścić się powróci.

— Cóż się z nim stało? — zapytał ojciec Augustyn.

Na to Dobrogost i Borzywój westchnęli tylko.

— Nikt nie wie — rzekł pierwszy z nich. — Będzie temu dwa miesiące, gdy się z nami na łowy wyprawił właśnie w te okolice. Nie dalej nad mil dziesięć stąd nocowaliśmy. Król przez pierwsze dni łowów chmurniejszy był i gniewliwszy niż zwykle. Zaraz drugiego dnia psiarczyka pięścią w czoło uderzył i na miejscu go położył. Biegł z koniem tak, nie zważając na przepaście, na góry, na nic, iż zdało się, że chyba śmierci szuka; my za nim ani podążyć, ani z nim zrównać się nie mogliśmy. Trzech konie postradało, bo karki pokręciły, Andrek rękę wyłamał, Śreniawa żebra potłukł. Na noclegu, gdyśmy się opowiadali, ani słuchać chciał.

— Licho bierz tych, co koni nie mają, a kto kaleka, niech do jamy rusza i liże się!

Nikommu nie dał słowa dobrego.

— Wszyscy karki pokręćcie — powiedział mi — nie będę po was płakał! Tak z wami jak bez was.

Zmniejszała się liczba nasza, a król na to nie zważał. Ostatniego dnia sześciu nas zostało, obejrzał się, policzył oczyma, splunął, zaśmiał się i ruszyliśmy w lasy. Do południa zwierza nie było, pomordowaliśmy się srogo, konie ledwie się wlekły, padały, trzeba było stanąć na popas i spoczynek. My też popadaliśmy na ziemię jak nieżywi, jeść się odechciało, byle spać. Zasnęliśmy twardym snem, postawiwszy Miskę Drużynę na straży, aby zbudzić było komu, gdy znowu nas popędzi.

Budzi mnie Miszko:

— Wstawaj!

Myślałem, że jechać czas, rzuciłem się do konia. Wtem Drużyna powiada:

— Króla nie ma!

— Jak to, nie ma?

— Gdyśmy stanęli, parę psów ze sobą wziął najulubieńszych

i poszedł w las zakazując, aby za nim nikt się iść nie ważył. Powiedział, że powróci, aby nań czekano.

Tymczasem i słońce się ku zachodowi schylać zaczęło, a króla ni słycho. Sądząc, że się obłąkać mógł, wzięliśmy się w rogi trąbić bez ustanku, jeden po drugim, co jeden się zmordował, poczynął z kolei inny. Król z sobą róg wziął, na słuchiwaliśmy, czy nie zatrąbi — ani słycho.

A tu noc. Rozpaliliśmy więc ogień ogromny, aby na łunę się mógł kierować, nie śpiąc przesiedzieliśmy noc całą do rana. Nie było go. Dopiero straszna ogarnęła nas trwoga, jak tu powrócić do królowej, co powiedzieć? Ludzie, co widzieli srogie pana obchodzenie się z nami, posądzić nas mogli, żeśmy go nawet zabili!

Jęliśmy tedy dokoła las cały strzęsać, przeszukiwać, biegać po nim, ludzi w pomoc brać, po osadach i chatach zaglądać, czy gdzie nie dostaniemy języka. Nigdzie nikt nie widział go, nie słyisał o nim, śladu najmniejszego... Dziś już tylko chyba trupa szukać trzeba, bo żywym być nie może. Obłąkał się pewnie na puszczy i z głodu zemrzeć mógł.

Ojciec Augustyn dziwnie popatrzał na ojca Ottona i odezwał się do Boleszczyców:

— Powiedzcież nam, jak ten wasz pan wyglądał, abyśmy na wypadek i drugim o tym oznajmić mogli.

Dobrogost zaraz począł opisywać, jakiej był postawy, włosa, jaki przy sobie oręż miał, suknię, jak chodził i mówił.

Gdy to mówił, ojciec Augustyn patrzył na ojca Ottona, a staruszek ręką po twarzy tarł i rumienił się jakiś niespokojny. Wieczorem, gdy się rozmowy skończyły, przełożony kazał za sobą iść ojcu Ottonowi do swojej celi. Gdy weszli, a drzwi się zamknęły za nimi, odwrócił się ku niemu i rzekł, ręce mu kładnąc na ramionach:

— Ten jest, o którym opowiadają!

Ze złożonymi na piersiach rękami ukląkł staruszek.

— Przebaczcie mi — odezwał się — zgrzeszyłem kłamstwem wielkim, ten jest! Spowiadam ci się, ojcze, że to uczyniłem, abym

duszę jego zbawił. Pokutę mi naznaczcie, choć by najsroźszą, najstraszniejszą, a nieszczęśliwego mordercę nie wyganiajcie od progu tego i niech miłosierdzie pańskie nań zstąpi.

— Ojcie mój — odezwał się przełożony — nie na pokutę zasłużyliście, ale na chwałę.

Niech się stanie, jako Bóg zrządził przez was!

Natenczas ojciec Otton opowiedział dopiero, jak go ów ptak niebieskoskrzydlaty wiódł cudownie, podlatując aż ku miejscu temu, na którym króla znalazł, i oba wielbili Opatrzność Bożą.

Nazajutrz rano już się Boleszczyce wybierali dalej jechać, gdy Zbilut, który ciekawy był wszystkiego, ogród postrzegłszy klasztorny, a w nim kwiaty i różne ziele i drzewa, które mnisi z cieplejszych krajów tu z sobą przynieśli, zapragnął bardzo wirydarzowi onemu z bliska się przypatrzeć. Na to pozwolenia nie było trzeba, więc wszedł.

Król w sukni zakonnej braciszka, brudnej i starej, właśnie schroniwszy się do budy ogrodowej, siedział w niej, nie spodziewając się wcale, aby tu który z Boleszczyków miał się zjawić, gdy Zbilut stanął przed nim. Stanął, spojrzął i osłupiał. Poznał zaraz, choć wychudzoną, twarz królewską, ale oczom nie chciał wierzyć. Zerwał się król i dawny gniew go opanował, tak że się na Zbiluta rzucił, jakby chciał zamordować, ano wnet opadły mu dłonie i sam na ziemię padł, twarz kryjąc w dłoniach. Zbilut mu się też u nóg położył płacząc i z radości, że pana znalazł, i z litości nad stanem jego.

Wtem król się podniósł i głosem zmienionym prosić począł, aby tajemnicy jego nikomu nie wydawał. Zbilut poprzysiągł, ale do nóg jeszcze raz padł, aby braciom jego widzieć się po zwolił. Bolesław nie przystał na to, jednego tylko Borzywoja do siebie zawołać kazał. Gdy inni śniadali, o niczym nie wiedząc, Zbilut brata starszego królowi przyprowadził, z którym Bolesław tylko krótką mówił chwilę, nakazując im powracać do królowej, Mieszka i pani tej strzec, a im pozostać wiernymi.

Wyjechali Boleszczyce z Osjaku nazad i wprost do Wielisławy zdążali, aby spełnić ostatnie pańskie przykazanie. Borzywój, który na tajemnicę nie przysięgał, długo ją trzymał; aż raz, gdy królowę widział wielkim żalem zdjętą nad zgonem męża, bo wieści chodziły straszne, nie wiedzieć przez kogo rozsiewane, że go psy rozszarpały, czy że sam śmierć zadał sobie, ulitowawszy się boleści jej, opowiedział o wszystkim, jak było.

Radość królowej nadzwyczajna o mało tajemnicy nie zdradziła, lecz Borzywój uprosił ją, by się miarkowała i nie wydawała króla, który pokutą oczyścić się pragnął. Wymogła tylko królowa na nim w rok potem, aby on sam jeden, nikomu nic nie mówiąc, do Osjaku znowu jechał, pozdrowienie od niej zawiózł i o rozkazy dla Mieszka i jej prosił. Borzywój, wiedząc, iż niemile przyjęty będzie, prawie rok się ociągał z podróżą; wreszcie uprosić się dał i pojechał. Było to już jesienią, drogi nie bardzo bezpieczne, dni krótsze, dosyć, że podróż trwała dłużej, niż Borzywój rachował, i ledwie, po stradawszy dwa konie, do klasztoru się dostał.

Przełożony poznał go zaraz. Zapytał o ojca Ottona.

— Pogrzebaliśmy go tej wiosny — odpowiedział ojciec Augustyn — i żal nam go, bo niełatwo kto zastąpi człowieka, co wszystko umiał, a pokorny był, jakby nie znał nic.

O króla zapytać się nie śmiał i nie wiedział jak Borzywój; wtem sam przełożony zagadnął go:

— Wszak z polskiej ziemi jesteście?

— Tak jest — rzekł Borzywój — i służyłem na dworze króla, który...

— Któregośmy tu pochowali — dodał cicho ojciec Augustyn.

— Umarł!³¹ — odezwał się z wyrazem głębokiego żalu i zdumienia Boleszczyk. — Umarł!

— Skończył przykładnie — rzekł ojciec Augustyn powoli. — Pan Bóg mu dał śmierć lepszą, niż było życie. Dziś nie jest to już dla nikogo tajemnicą, chociaż umierający życzył sobie, aby ani o jego zgonie, ni o miejscu pogrzebu nie wiedziano, a przynajmniej nie rozgłaszano po świecie. Kazaliśmy na pamiątkę pokuty

nad grobem jego kamień położyć. Zobaczycie go przy kościele na cmentarzu.

— Człowiek był jeszcze niestary, silny! — zawołał Borzywój.

— Ale go złamało życie, zgryzota, upadek — mówił przełożony. — Jeśli się nie mylę, wyście go tu widzieli już w sukni naszej, naówczas był wychudły i zwiędły, później zamęczył się sam pracą do upadłego, dobrowolną. Była to natura gwałtowna i namiętna, która potrzebowała być czynną, a gdy dobrze czynną być nie mogła, naówczas szła ją porywał. W klasztorze na chwilę nie można go było namówić do spoczynku. Najcięższa robota najulubieńszą dlań była. Gdy pot ciekł ze skroni, całe ciało drżało z wysilenia, siły się wyczerpywały, naówczas uspokajał się w nim ów duch buntowniczy. Gdy siedział beczynny, gryzły go wspomnienia, pożerały myśli, zrywał się choć w nocy i biegł, albo poruszać młyn, lub bić w stępie³¹, lub drzewo rąbać. Nawet gdy już chorzał, na łożu go utrzymać nie było podobna. Do ostatniej godziny ze złożonymi rękami domagał się, błagał roboty ciężkiej. Najogromniejsze ciężary kładł na barki, zaprzęgał się nieraz do wozów, włókł kłody z lasu, a przytym pokarmu używał mało i wodę pił tylko. Zdawało się, że w ten sposób chce życie w sobie zgasić, a była go w nim jeszcze taka potęga i moc, że w zdumienie nas wprawiała. Stary człowiek, król i mocarz budził się w nim jeszcze czasami, gdy rycerzy przybywających tu widywał; lecz zwyciężał w sobie te wybuchy i uciekał od widoków, które mogły je wywołać. Raz nocowali tu sascy rycerze, którzy nad ranem wyjeżdżać mieli. Braciszek Paweł, gdyż tak się zwał między nami, szedł z wiązką drzewa przez podwórze, gdy jednemu z Sasów koń się wyrwał i począł dokazywać. Nikt się doń przybliżyć nie mógł, próbowali z kolei i panowie, i pachołki, tłukł ich wszystkich i kasał. Brat Paweł stał na progu, wiązkę drzew położywszy przy sobie, zarumieniła mu się twarz, uśmiechał się szydersko. Nagle, jak by wytrzymać nie mogąc, zapomniawszy się, poskoczył do konia śmiało, pochwycił go u łba za wiszące cugle, a gdy się jeszcze wyrwał, ściągnął tak, że zwierzę paść musiało. Wszyscy, co na to

patrzali, osłupieli z zadziwienia, podbiegł Sas korzystać z tego, że koń był schwycony, a brat Paweł jak zawstydzony i upokorzony, że w nim krew zawrzała, uciekł i skrył się. W ostatnich czasach, i w ogóle w ciągu pobytu w klasztorze, prawie nie mówił do nikogo, nie obcował z nikim, od ludzi uciekał. Dopóki żył ojciec Otton, słowo czasem przemówił do niego, po jego zgonie, zapytany tylko i zmuszony odpowiadał słowem jednym na pytanie. Gdy mi dano znać — ciągnął dalej ojciec Augustyn — że dnia jednego za nie mógł brat Paweł, zaraz-em źle wróżył o nim, bo choć chory, nigdy się nie kładł i pracować nie przestawał. Poszedłem doń naówczas. Wybrał sobie na garści słomy posłanie w ciemnym kącie nędznej szopy, a gdym go do klasztoru chciał kazać przenieść, prosił mnie, aby mu wolno było po zostać na tym barłogu. Mało życia już w nim było, dyszał strasznie, oddychać nie mogąc, oczy miał rozgorzałe gorączką, rzucał się niespokojny, czuł nadchodzącą godzinę ostatnią i walkę z żywotem nędznym, co go zamknąć miała. Chciałem mu posłać ojca Zachariasza, który na ziołach się znał i na lekach, ale wszelkiej pomocy odmawiał. Wieczorem zastałem go już na poły obłąkanego, z twarzą i usty spalonymi, lecz przyszedłszy do siebie, spowiedź odbył przede mną i ostatni znak, jaki jeszcze miał swojej dawnej wielkości, oddał mi, swój pierścień królewski. Zbliżał się zgon, chciałem go dopilnować w ostatniej godzinie, nie dozwolił na to, błagał, abym się oddalił. Uczyniłem, oddawszy mu posługę i na wieczną podróż opatrzywszy go sakramentami, czego żądał ode mnie. Młodemu braciszkowi tylko niedaleko szopy siedzieć kazałem na wypadek, gdyby wołał o co lub posługi potrzebował. Umarł w nocy, po ciężkim samotnym konaniu, w jękach i płaczu, a gdyśmy rano przyszli do ciała, znaleźliśmy je twarzą na ziemi leżące, z pięściami boleścią zaciśniętymi, z garściami pełnymi ziemi, którą darł konając...

Ojciec Augustyn dokończył i westchnął. Borzywojowi łzy stanęły na powiekach, gdy wspomniął wielkość i potęgę tego Pana, który w takiej nędzy i męczarniach żywota dokonał. Poszli potem do grobu, u którego w ścianie kościółka wmurowany był już kamień³². Niewprawna ręka jednego z braci wyciosała na nim ry-

cerskie i książęce godło, naówczas na pieczęciach i na grobach władzę oznaczające i panowanie konia. Dokoła w łacińskim języku krótki napis świadczył, że tu spoczywał Bolesław, zabójca biskupa Stanisława.

Dzień cały zabawiwszy w Osjaku, Borzywój puścił się w drogę nazad ze smutną wieścią do królowej.

W Krakowie już zmuszony do objęcia rządów Władysław Herman króla zastępował; Mieszka i matkę jego wzywano na powrót do kraju...

Rozdział VI

Wieczór był letni skwarneego dnia, który zwykł burzę poprzedzać, nie było czym tchnąć, tak cisnęło brzemienne piorunami powietrze. Najmniejszy wietrzyk nie poruszał liści na starych drzewach, które wały jakuszowickiego zamczyska porastały. Cisza smutna panowała dokoła, tym dziwniejsza, iż mnogiego ludu tłumy zalegały wały, podwórce, nawet gościniec prowadzący od zamku do maleńkiego kościółka drewnianego, który stał u stóp jego. Od niepamiętnych czasów takiego napływu ludzi nie widziano na spokojnym grodku Odolajowym. A był to lud po większej części rycerski, ziemianie i żołnierze, wszystkie plemię Jastrzębców i ich powinowatych. Ani szczupła izbica, ni szopy, ni podwórce tego natłoku gości pomieścić nie mogły, stali więc, siedzieli, leżeli na wałach i na łące pod grodem jakby wielkim obozem. I widać było, że nie wypadkiem się tu znaleźli, ale zwołani na uroczystość jakąś, która ich tu gromadziła, bo każdy przywdział, jaką miał najlepszą, zbroję, hełm i miecz; każdy się przy stroił, jak go stało, najczyściej. Rozrodzone plemię trzymało się w większej części gromadkami przy ojcach, dziadach i starszej braci, jakby poczty składając. Od starców siwych począwszy do wyrostków zaledwie z dzieciństwa wychodzących, wszystkie wieki stawily się na to zawołanie. Na wszystkich twarzach widać było jeden wyraz jakiś posępny, uroczysty, poważny. Mówiono po cichu, nigdzie śmiechu na ustach, nigdzie nawet zwawszego ruchu dostrzec nie było można.

Najtłumniej gromadzili się starsi około izbicy, której okna były poodsuwane, drzwi wyjęte, a przez nie dostrzec mogło oko światło we wnętrzu, z którego pieśń smutna, powolna płynęła, przerywana jękami płacziwymi. W środku izbicy, na wysłanym wysoko łożu, okrytym skórami niedźwiedzimi, spoczywało ciało Odolaja, wedle rozkazów jego odziane w szarą opończę, jaką nosił za życia. W skostniałe ręce krzyżyk mu dano i krzyż stał w głowach, a przy nim dwu księży psalmy odśpiewywało. Czekano na

trumnę, którą właśnie czterech ludzi dźwigało na barkach. Ówczesnym obyczajem była ona w jednym olbrzymim kłocu dębowym wydrążona, a osobno niesiono wieko, które ją przykryć miało.

Prawie tak staro i zgrzybiało wyglądający jak ten, którego na wieczny spoczynek odprowadzać miano, o kiju, przygarbiony, z włosy siwymi stał u drzwi Mszczuj, Odolajów wnuk najstarszy po Mieszku, zapatrzony w ziemię i jak nieprzytomny. Otaczali go dokoła młodszy bracia, bratankowie i dalsi plemiennicy. Wszystkich oczy zwracały się ku temu starcowi, którego boleść wielka litość obudzała.

Jaromierz, drugi z wnuków, położył mu z lekka rękę na ramieniu i szepnął:

— Co się tak smucicie? Wszystkich to nas los — na ostatku mogiła, a nasz dziad dożył takiego wieku, jakiego z nas żaden mieć nie będzie, i należał mu spoczynek.

Mszczuj milczał długo, potrząsając głową, potem dobył się z piersi jego głos jakby grobowy.

— Dziada płacze — rzekł — tak, ale i nad sobą też razem. Dobrze mu było do trumny się położyć, zostawując po sobie syny, wnuki i prawnuki, mając komu przekazać ojcowiznę, imię i pamięć swoją. Nie tak ze mną, nie tak! Jam sierota! Ty wiesz... Z licznej rodziny mojej nikt mi nie został, nikt! Sam stoję nad mogiłą, nie będzie mi komu oczu zawrzeć. A i sam ja winienem sieroctwu mojemu!

Pomilczał trochę Mszczuj, patrząc w okno, jak do trumny na posłanie z chmielu i kwiatów kładziono ciało ojcowskie, potem począł znów cicho, jakby w sobie boleści wstrzymać nie mógł:

— Sześciu ich miałem! Nie byłoż mi na stare lata, by jednego sobie jak kija do podparcia się zostawić... Wszystkich oddałem królowi i z nim mi oni wszyscy zginęli!

— Któż to wie! — odezwał się Jaromierz. — Wprawdzie głucho o nich, ale żywi są pewnie i wrócić jeszcze mogą.

— Jak? — podchwycił żywo Mszczuj. — Po co? Czyż nie wiecie, że razem z Bolesławem wyklęci są i wywołani? Stary Odolaj się ich wyparł i przeklął; ziemię, co im przynależeć miała, za-

brano i innym rozdano. Nie mają ni po co wracać, ni do czego. Kto wie zresztą, azali żyją!

Jaromierz go nie śmiał czy nie umiał pocieszać. Wtem przy słuchający się rozmowie, milczący dotąd, Bronko Jastrzębiec rzekł cicho:

— Mówią, że syna Bolkowego Władysław wezwał do powrotu, i matkę jego. Kto wie, azali i nasi z nim nie przy ciągną!

Niedowierzająco Mszczuj głową potrząsał.

— A z królemże co się stało? — spytał.

— Różne są mowy — odezwał się Bronko. — Gdzieś pono przepadł bez wieści. Prawdy nie dojść. Mówią, że oszalał, że uciekł gdzieś, że do Rzymu boso poszedł; drudzy, że w klasztorze pokutę sprawuje...

Mszczuj głowę podniósł.

— On?! — zawołał z goryczą. — On by miał pokutować? Szaleć i błąkać się może, ale z tej krwi się obmyć... hej hej! Zatwardziały to człek!

Ustała na chwilę rozmowa, gdyż księża zaśpiewali głośniej, trumnę zabijać miano. Ruszyli się synowie, wnuki i prawnuki żegnać raz ostatni Odolaja i płacz się dał słyszeć bolesny. Klęcząca u trumny Tyta zawodziła głosem jęklwym.

Więc szedł przodem najstarszy wnuk Mszczuj do dziadowskiej ręki, pokląkł i całował ją, i płakał, za nim Jaromierz, Bronko i drudzy. Nie wszystkich jednak do zwłok dopuszczano, gdyż zbyt wielka była gromada, a dalsi i najdalsi docisnąć się nie mogli; i trumnę zasypaną kwieciami zabijać poczęto. Wzięli ją na ramiona synowie i wnuki i z wielką trudnością z ciasnych drzwi izbicy wynieść potrafili. Za trumną, odpychany na próżno, z głową spuszczoną włókł się Hyż wychudły, z najeżoną sierścią i zwieszonym ogonem. Prowadzono też konia starego pod okryciem na znak, iż Odolaj rycersko służywał, na którym łuk wisiał i strzały a toporek. Płaczki najęte prowadziła Tyta, szło duchownych dwu, dalej w po rządku owe seciny rodu całego, gromadami przy swej starszyźnie. Cały ten orszak z izbicy wyszedłszy, z wolna w po dwórcę wyciągnął i ku wrotom zmierzał. Z osad i wsi, które do Odolajowych ziem należa-

ły, wielkie gromady ludu, obok drogi do kościółka, stały ściśniętymi szeregi, w milczeniu z głowy odkrytymi. W kościółku odzywał się dzwonek powoli.

Dębowa trumna, kołysząc się nad głowami niosących, już ze wrót zamku wychylała się na drogę, gdy tuż około niej idący, jakby widok jaki nadzwyczajny oczy ich uderzył, mimowolnie półgłosem krzyknęli. Mszczuj, który zgarbiony dźwigał dziadowskie zwłoki, mimowolnie głowę podniósł nieco, i gdyby nie bratanek obok idący, może by był padł na widok, który oczy jego spotkały. Za gościńcem, naprzeciw idących, na koniach stało we zbrojach czarno odzianych sześciu ludzi, stało i zdawało się miłosierdzia prosić. Z taką pokorą, z głowy pochylonymi orszak witali pogrzebowy. Byli to Boleszczyce, sześciu synów Mszczuja, których on już nigdy widzieć się nie spodziewał, a Odolaj wygnał precz, nawet na pogrzeb swój im nie dopuszczając przybyć, wyłączywszy z rodu i plemienia, Boleszczyce razem z królem wyklęci i za traceniami, zjawiający się jakby cudem w Jakuszowicach w godzinie ostatniej posługi. Nie śmieli oni wjechać na gród ani się do orszaku przyłączyć, stali na uboczu, oczekując, jaki los i wyrok od własnej krwi ich spotka.

Na widok ich pobladło i zarumieniło się lice ojcowskie, chciałby się był rzucić ku nim, aby raz jeszcze dzieci uczuć przy sobie, ale dziadowskiej trumny nie godziło mu się opuścić. Choć drżały pod nim nogi, musiał iść dalej. Dokoła, mimo śpiewu i płaczu, szmer coraz głośniejszy było słyhać, odbijający się w sercu Mszczuja to strachem jakimś, to na dzieją. W tłumach czuć było i oburzenie na zuchwalstwo, z jakim Boleszczyce się pokazać tu śmieli, i radość z ich ocalenia i przybycia. W mnogiej rozrodzonej rodzinie jedni byli za nimi, drudzy przeciwko nim. Starszyzna prawie cała sądziła ich nielitościwie a srogo za to, że władzy ojcowskiej i dziadowskiej nie poszanowali; młodzież litowała się nad nimi i czuła, że poświęcenie się dla nieszczęśliwego króla, wiara dotrzymana mu, to, co ucierpieli dlań, mogło im wyjednać prze-

baczenie. Głośniejszym jednak słyszeć było oburzenie i szmery niechętnie niż objawy życzliwe. Nikt nie skinął na nich, aby posiadali z koni i z orszakiem się połączyli, nikt się nie zdawał ich widzieć ani troszczyć nimi.

Sześciu Boleszczyców, jak stali na koniach szeregiem nad drogą, tak pominięci, nie powitani, wzgardzeni pozostali sami jedni. Dopiero gdy przepłynął tłum cały i czeladź szła a parobcy dworscy, oni też na drogę wjechali i z tyłu jadąc za wszystkimi, aż do cmentarza i kościołka się zbliżyli. Z rodziny wszyscy weszli w ogrodzenie otaczające cmentarz, oni na koniach przed wrotami się zatrzymali.

Trumnę niesiono naprzód do kościoła, gdzie odśpiewane być miały psalmy i dokonana reszta obrzędu. Na cmentarzu już obyczajem chrześcijańskim widać było wykopany dół, do którego ciało spuścić miano.

Stojący na koniach Boleszczyce nie ruszyli się stąd, do kościoła wniknąć nie śmieli. Kilkoletnie wygnanie patrzyło z ich opalonych i bladych twarzy. Wszyscy postarzelisi nad miarę, a każdy rok tułactwa dwoma i trzema zapisał się na licu marszczkami. Borzywój na pół był siwy. Owych młodzieńców wesołych, rażnych, gotowych w ogień i wodę, poznać w nich było trudno. Między obcymi stracili dawną swą butę, przywieźli do domu znękaną niewczasami ciała i wymęczone dusze. Stali, do siebie nawet przemówić nie śmiejąc, pogrążeni w smutku, a Andrkowi w oku łza się kręciła. Szmer oburzenia i niechęci, jakim ich przywitano, tkwił im w sercach, więcej się spodziewali litości u swoich. Nikt, nikt nie wyciągnął dłoni, nie powiedział dobrego słowa, mijali ich starzy, mierząc oczyma groźnymi, a młodzi, spuszczać oczy. Nie wiedzieli więc, co się z nimi stanie, a nawet dokąd się po pogrzebie udać mieli.

Na zamku przygotowaną już była stupa, w której wszystka rodzina miała zasiąść do żałobnych stołów. Gdy na cmentarzu pogrzeb się odbywał, na grodzie w podwórcach stawiano na prędcę z desek układane na pniakach stoły, gotowano mięsiwa i beczki piwa i miodu. Stosy chleba leżały przy nich, całe barany i kozły

piekły się na ogniskach, a czeladź się około uczy krzątała. Nie było bowiem naówczas najuboższego nawet pogrzebu bez stypy, którą po sobie pogański jeszcze zostawił obyczaj, a biesiady te niekiedy tygodniami trwały. Ów tysiacyjny lud i ród nakarmić nie było łatwą sprawą, choć nie wiele wymagano dla ugoszczenia: chleb, mięso, kasza, miód i piwo starczyło.

Na trumnę starego Odolaja sypał się już piasek żółty, którego pierwszą garść rzucił syn najstarszy, a Boleszczyce stali jeszcze niemi, zboleli, nie wiedząc, co dalej poczynać mają. Wejrzenie ojca, z którym się spotkali, nic ich nie nauczyło, był w nim raczej przestach niż radość, więcej przerażenia niż miłości rodzicielskiej. Znali ojca jako surowego i nie ubłaganego sędziego, stali się mu nieposłusznymi, nie wiedzieli, co ich spotkać miało.

Gdy tłum ze cmentarza miał zacząć odpływać nazad ku grodkowi, stojący u wrót Boleszczyce ustąpili znów na bok z drogi, a Borzywój postanowił czekać cierpliwie, czyli się nad nimi nie ulitują i nie powołają ich. Tak na uboczu przy stanawszy, oczyma ojca szukali. Ukazał się Mszczuj wreszcie, ale zesłabły znać wzruszeniem i niemocą dawniej złamany, nie sam już szedł, dwu bratanków, synów Jaromierza, prowadzili go pod ręce. Głowę miał zwieszoną i włókł się jakby nieprzytomny. Za nim szła żywo i coraz głośniejsz starszyzna rodu, a potem zmieszany tłum powinowatych i krewnych. Śmieiej oczy wszystkich zwracały się ku Boleszczycom, ale nikt ani się zbliżał, ani słowa przemówić nie chciał.

Mszczuj, idący z głową spuszczoną, jakby unikał synów widoku, stanął nagle, podniósł niespokojne oczy, drgnął, szukał wzrokiem dzieci swych, postrzegł i zdał się wahać, czy ma ich pominąć, czy przywołać.

Zatrzymał się tłum za nim idący; zamieszanie jakieś widać było. Mszczuj, postawszy nieco, począł się ku synom przedzierać. Rozstąpili mu się ludzie. Z groźną twarzą przybliżył się ojciec ku stojącym, oczy mu się zaiskrzyły gniewem, usta zabełkotały coś niewyraźnie, lecz mówić nie mógł i ręce wyciągnął. Wszyscy sześciu skoczyli w tej chwili z koni i przy biegli upaść mu do nóg.

Starzec łkał i płakał, dał im przystąpić, lecz ani tknął żadnego, ani się odezwał słowem. Nareszcie przemógłszy ból i gniew, zawołał:

— Na sąd idźcie! — i wskazał ręką na gród. — Na sąd jako winowajcy!

Starszyzna powtórzyła za nim groźno:

— Na sąd!

Mszczuj, lękając się słabości własnej, dźwignął się ku zamkowi, a Boleszczyce, konie zdawszy czeladzi, jak stali razem, połączyli się z tłumem wracającym z kościoła. Otoczeni byli rodziną, znajomymi, swoimi, lecz jak od zapowietrzonych odsuwali się wszyscy, cofali się jedni, wyprzedzali drudzy; zostali sami jak wśród obcych, odróżnieni jak winowajcy. Tak w milczeniu, otoczeni złowrogim gwarem, musieli powoli ciągnąć na zamek, a droga wydała się im długą i nieskończoną. Idąc mogli dostrzec, iż zapowiedziany na nich sąd teraz się już przysposabiał, zwoływali się i umawiali starsi, otaczali Mszczuja i gdy przeszedłszy wrota, szukali ojca oczyma, zobaczyli go ze stryjami idącego wprost do dziadowskiej izbicy. W ślad z wolna ciągnęli za nimi. Kilka razy w pochodzie tym znajomsze spotkali twarze, próbowali pozdrawiać krewnych, ale ci się odwracali. Chwilę postawszy przed izbicą, gdy niepewni byli jeszcze, czy czekać mają, czy wchodzić, Jaromierz przez okno dał znak ręką, aby przybywali.

W pustej izbicy, w której jeszcze resztki pogrzebowego łoża nie sprzątnięte leżały w pośrodku, na ławach siedzieli wedle starszeństwa stryjowie wszyscy, Mszczuj na ich czele. Na kiju sparty, nie spojrział nawet, gdy weszli i stanęli synowie. Nie podniósł on głosu; Jaromierz odezwał się pierwszy.

— Jaceście się tu zjawić śmieli? — zawołał. — Dla kogoście wypowiedzieli dziadowi i ojcu posłuszeństwo, z tym sobie trzymajcie i gińcie z nim! Co tu robicie? Wyście nam obcy!

Borzywój wysłuchał gniewnego głosu, pomyślał chwilę i z wolna, dobywając kawał pargaminu zza sukni, począł:

— Król Bolesław nie żyje, umarł na pokucie w klasztorze. Otrzymaliśmy przebaczenie kościelne, wróciwszy na rozkaz księcia Władysława Hermana, odwożąc mu królową wdowę i syna Bolesławowego Mieszka. Wygnanie nasze z łaski nowego pana się skończyło, wracamy z wywołania do praw innych ziemian królestwa tego. Czyż tylko własna krew i ród od mówi nam łaski i przebaczenia?

Mszczuj podniósł oczy szeroko otwarte i twarz mu się wyjaśniła; lecz inni wszyscy milczeli. Na stryjach widać było zdumienie wielkie i nie dająca się ukryć niechęć. Znaczne ziemie i posiadłości na Mszczuja przypadające, gdyby Boleszczyce przez ród swój zaparci i wyrzuceni zostali, przypadały bratankom; nie bardzo więc powrotowi i łasce radzi byli krewni. Ojciec odezwać się jeszcze nie śmiał, gdy Jaromierz począł.

— Mógł nowy pan łaskę uczynić, rzekł, w tym wolę swą miał, a nieboszczyk nasz dziad, któregośmy dziś pogrzebali, co rzekł, tego z mogiły nie odwoła, a co on wyrzekł, to my święcie spełnić powinniśmy. Słowa jego były, że znać was nie chce, jeśli króla nie opuścicie, prawem dla nas jego słowa! My was za swoich znać nie chcemy! Co głowa rodu postanowiła, to ród spełnić musi, inaczej na świecie ładu, po słuchu rodu, i domu, i narodu nie będzie!

Zamilkł, inni spoglądali po sobie. Mszczuj głowę spuścił, milczał.

— Takli wyrokuję i ojciec rodzony na synów swych? — spytał Borzywój.

Mszczuj nic nie odpowiedział. Głębokie panowało milczenie. Jaromierz ze słowem pospieszył:

— Otrzymaliście łaskę pańską, wracacie jako ojczyce do ziemi tej z przebaczeniem. Co nam do tego? Idźcie sobie rodem osobnym Boleszczykami, a do nas się nie łączcie, nie chcemy was!

Dwóch stryjów powtórzyło za Jaromierzem:

— Nie chcemy was!

— Takli mówi i ojciec rodzony? — odezwał się Borzywój.

Stary milczał wciąż z głową spuszczoną.

— Przynieśliśmy list królewski, który łaskę nam swą świadczy, dodał Borzywój, rozwijając kartę pargaminową.

Stryjowie popatrzeni na nią z dala, lecz nikt z nich czytać ni pisać nie umiał, i co stało na karcie, tajemnicą dla nich było*. Głowami strzęśli.

— Co książęciu do spraw rodu i domu? — zawołał z kąta Mieszko. — Odolajowe słowo odwołane być nie może. Sam słyszałem od niego, gdy mówił, że na pogrzeb jego jeśliście przybyć śmieli, czeladź kijmi was od trumny przepędzi! Nie śmiała się porwać czeladź, ano my synowie i wnuki poszanować wolę nieboszczyka musimy. Dla was tu miejsca nie ma.

— Takli mówi i ojciec rodzony? — po raz trzeci odezwał się Borzywój, ku Mszczujowi poglądając.

Ojciec siedział jeszcze jak głuchy, osłupiały i bez życia, walczył z sobą, trząsał się i z oczu ku ziemi spuszczonej łzy mu ciekły. Milczeli wszyscy, odpowiedzi jego czekając; podniósł głowę stary, spojrział na Borzywoja i stojących za nim.

Ojciec rzekł głosem poruszonym:

— Ojciec pójdzie za dziećmi swoimi. Wyprze się ich ród za wierność nieszczęśliwemu okazaną, niechże się i ojca wypiera...

Rękę wyciągnął do Borzywoja:

— Sam tu, rękę mi daj, chodźmy, a rozstańmy się z rodziną i braćmi, i będziemy nowego rodu głową, gdy nas od tego jako suchą gałąź odcięto...

Jaromierz i ci, co przy nim siedzieli, z ław powstali, zrobił się szmer; Mszczuj był teraz najstarszym, głową rodu.

— Nie może to być, abyś ty nas opuścił! — zaczęto wołać. — Nie może być! Ty z nami!

— Dzieci dla was się wyrzec nie mogę — rzekł Mszczuj. — Przebaczył im Kościół, darował pan, a ród ma być nieubłagany? Pogańska zemsta ma ciążyć nad nimi? Chodźmy stąd! Idźmy!

* Długosz wspomina to pismo Władysława Hermana, pod r. 1084 „Et cum eo (z Mieszkiem) Borzywój filius Mstae, Zbilitus, Dobrogostus, Zema, Odolaj, Andreas et alii omnes milites, qui cum Boleslao rege in Hungarium effugerunt, omnia forum mobilia ad plenum restituit”³² (przyp. aut.)

Borzywój i wszyscy synowie otoczyli starca, i nie mówiąc słowa, zbierali się go wyprowadzić z izbicy, gdy we drzwiach szmer się dał słyszeć i w progu ukazał się duchowny. Był to młody ów Jastrzębiec, którego biskup wrocławski na księdza wyświęcił. On teraz w Jakuszowicach na probostwie siedział, on starego Odolaja przy skonaniu po chrześcijańsku na śmierć przygotowywał, i wracał właśnie ze swego kościółka, gdy w izbicy sąd na Boleszczyców zasiadł. Stał za progiem przez cały czas, zakryty przez innych, a teraz, gdy ostatnie słowa usłyszał, rozzgnany stojących, wcisnął się do środka.

— O nieboszczyka Odolaja wolę chodzi? — rzekł cichym głosem.

Jaromierz wtrącił:

— Tak jest, bo wyraźna była i po stokroć nam wszystkim powtórzoną, iż tych, co z wyklętym królem trzymali, znać nie chce i w rodzie ich cierpieć.

— Tak było — odezwał się głosem łagodnym duchowny — lecz mogę wam kapłańskim słowem ręczyć, iż na łożu śmierci przebaczył im, jak przebaczył wszystkim, co mu zawinili.

Spowiadałem go i nie byłbym mógł rozgrzeszyć inaczej. Rzekł mi osłabłym już głosem: — Żyw bym im nie darował nieposłuszeństwa, gdy każecie, muszę...

Zamilkli wszyscy.

Jaromierz syknął niechętnie. Mszczuj się zatrzymał, Stryjowie się wahali chwilę i pomiędzy sobą szeptali. Toczył się spór widocznie, który słowo duchownego przeważało na Boleszczyców stronę.

— Jeżeli stary przebaczył — odezwał się Jaromierz choć niechętnie — Bóg z wami! Stoję przy jednym, zwijcież się Boleszczycami, nie Jastrzębcami, gdyście Bolesława przenieśli nad ród własny! Nie zapieramy się was, a pamięć tego, co się stało, niech zawołanie wasze zachowa po wiek wieków...

Nikt się już nie sprzeciwiał, nawet Mszczuj, którego otoczyli synowie, i tak w ich gromadce szedł starzec szczęśliwy ku stołom na stypę, a gdy z izbicy na podwórce się sędziowie i winowajcy

wysunęli, otoczono ich i witać poczęto Boleszczyców jako braci swych znowu. Dzień pogrzebowy był za razem dniem zgody i przejednania.

I stypa wśród opowiadań o losach króla, o przygodach na tułactwie, o młodym Mieszku, którego Boleszczyce kochali wielce, nadzieje na nim pokładając wielkie, siedem dni się przeciągnęła. Mszczuj, nie chcąc na Jakuszowicach siedzieć, ustąpił je najmłodszemu, a sam z synami w okolice Płocka, na Mazury, powrócił.

KONIEC

Posłowie

Podjmowanie tematów historycznych w literaturze i w sztuce XIX wieku, i to z troską o prawdę dziejów oraz wierność realiów, było zjawiskiem powszechnym, ale w warunkach polskich miało jeszcze dodatkowe przyczyny i cele; stawało się jedną z form walki o świadomość narodową i przyszłą niepodległość państwową. Nie jest więc sprawą przypadku, że w tym samym czasie Matejko pędzłem, a Kraszewski, obok kilku innych powieściopisarzy, piórem, malowali wielkie sceny z historii Polski.

Ambitnym dążeniem Kraszewskiego było stworzenie cyklu powieści historycznych, w których jak w zwierciadle odbić się miały najważniejsze momenty ojczystych dziejów. W tym łańcuchu utworów Boleszczyce są tylko jednym ogniwem, mogą jednak stanowić szczególny przedmiot refleksji historyczno-literackich, bo tym razem natrafił pisarz na temat wielokrotnie już w literaturze wyzyskiwany, na moment o wielkiej dynamice, na pobudzający fantazję dramat, jaki rozegrał się w XI wieku pomiędzy Wawelem a Skalką.

Podjęcie samego tematu przez Kraszewskiego nie wymaga innych wyjaśnień, natomiast emocjonalny stosunek do niego, naświetlenie zawilej sprawy konfliktu króla z biskupem, a zwłaszcza wybór głównego wątku fabularnego i postaci centralnych utworu mają jeszcze dodatkową a ciekawą genezę, na którą wskazuje między innymi choćby dedykacja: „Bratnim rodom, co Jastrzębca w godle noszą”. Wspomnijmy jeszcze, że Kraszewski używał pseudonimu *B o h d a n B o l e s ł a w i t a*, urobionego od tegoż imienia, co i nazwanie nadane wiernym druhom królewskim. Otóż Jastrzębiec był herbem rodziny Kraszewskich, autor uważał Boleszczyców za protoplastów, założycieli własnego rodu, podejmował więc również rehabilitację swych antenatów. Zaważyło to niewątpliwie na ukształtowaniu pomysłu, zdecydowało o sympatiach, a może i nadaniu pewnych rysów autobiograficznych postaci Jastrzębca, ale upodobania i studia heraldyczne były jednocześnie całkowicie zgodne z tendencjami historyzmu dziewiętnastowiecznego, ułatwiały ukazanie demokratycznych dążeń w przeszłości narodu. Jeśli więc przy pisaniu powieści autor czerpał pobudkę ze świadomości wspólnoty rodowej z Boleszczycami, to nasuwająca się mu wizja twórcza skądinąd również doskonale odpowiadała jego własnym poglądom na dzieje i nowszym hipotezom nauki.

Spór króla z biskupem i jego tragiczne zakończenie od pierwszej chwili obrastały legendą, przenikały w kronikarskie zapiski, ustną tradycję, w pieśń ludową i do literatury, niepokoiły nie tylko historyków, ale gawędziarzy i pisarzy. Informacje, pochodzące ze źródeł historycznych, były ską-

pe i niepewne, lecz średniowieczna fantazja dopełniła je szeregiem motywów trwale związanych z tematem, a pewien sposób interpretacji faktów wydawał się przez całe wieki ustalony i nienaruszalny.

Każda epoka odnajdywała temat równie ciekawym, ale ujmowała go inaczej, nadawała mu odmienny kształt w koncepcji artystycznej. Pisarze czerpali materiał ze wszystkich dostępnych źródeł, z kronik, z opracowań historyków, z tradycji i legendy, z na wpół bajecznych domysłów i z pomysłów swych poprzedników, a zawsze uzupełnić go trzeba było własną wyobraźnią, uformować obraz w pewną całość, dokonać wyboru spośród nasuwających się elementów i powiązać je jednolitą motywacją. Literackie upodobania epoki, założenia estetyczne i technika poetycka decydowały o powstawaniu utworów określonego rodzaju, formy i tendencji. Nie można zresztą mówić, że tak było, proces ten trwa nadal; Kraszewski, pisząc o królu Bolesławie i biskupie Szczepanowskim, miał już wielu poprzedników, ma i będzie zapewne jeszcze miał wielu następców. Nie wyczerpały się ani zaciekawienie wydarzeniem, ani możliwość tworzenia coraz to nowych wizji artystycznych w oparciu o te same wątki i motywy. Porównania pomiędzy utworami, przedstawiającymi te same osoby i moment dziejowy, można by snuć z różnych punktów widzenia. Odbijają one zmieniające się skłonności twórców i odbiorców, osiągnięcia literatury w zakresie środków artystycznych, kształtowanie się założeń światopoglądowych i przypisywanych literaturze zadań, że pomijamy tu już różnice w skali talentów pisarzy i wartości estetycznej utworów.

Zasadniczą zmianę w ujęciu tematu przyniósł schyłek XIX wieku, gdy po kilku stuleciach mniej więcej ustalonej opinii o charakterze wydarzeń, historiografia, mimo że oparta na tych samych źródłach, poprzez wnikliwszą ich krytykę i głębszą znajomość stosunków panujących w ówczesnym świecie, poprzez rozszerzenie zakresu problematyki i wszechstronniejsze badania epoki, rzuciła nowe światło na te wczesnodziejowe wypadki, podsuwając pisarzom odmienną wersję przebiegu tragedii i zmieniając pogląd na jej istotne przyczyny. Odtąd cały dorobek literacki związany z tym tematem podzielić wypada na dwa szeregi utworów, z uwagi na odchylenia albo zgodność z opinią nauki w zasadniczym przedstawieniu faktów, a niezależnie od elementów fikcji literackiej. Próba takiego podziału prowadzi do wniosku, że powieść Kraszewskiego stoi jakby na pograniczu tych dwu kategorii utworów. W założeniu realistyczna, oparta na dostępnych autorowi źródłach, wyprzedziła wprawdzie podstawowe dla problemu studia historyka Tadeusza Wojciechowskiego i nie mogła wykorzystać jego hipotez, niemniej umiarem, krytycyzmem i powściągliwością we wprowadzaniu motywów wyraźnie legendarnych odbiegła od tradycyjnych wzorów, ma charakter bardziej postępowy, bliższy dzisiejszym poglądom na epokę.

W średniowieczu dramat na Skałce służył jako temat wyłącznie hagiografii, budującym żywotom świętego Stanisława, pobożnej pieśni, kazaniom i misteriom religijnym. Główną osobą, na której skupiała się uwaga, była postać biskupa-męczennika; król występował wyłącznie jako zbrodniarz, odstraszący przykład upadku i kary; problem miał tylko charakter obyczajowo-religijny, a tendencja — moralizatorski. Rozkład cieni i blasków w tak malowanym obrazie nie podlegał żadnym zastrzeżeniom, dążono oczywiście do wyjaskrawienia kontrastów, a służyło temu mnożenie szczegółów cudownych o życiu i śmierci biskupa, a odrażających i ponurych o przestępstwach Bolesława. Dążenia takie widoczne są nawet w kronikach, które zresztą nie pozbawione są częściowo charakteru literackiego. O ile Gall, niemal współczesny wydarzeniom, opisał je ze względny obiektywizmem, a jak przypuszcza Wojciechowski, prawdomówność kronikarza ograniczona była jego położeniem dworzanina władców z linii antagonistycznej, wyniesionej na tron przez upadek Bolesława, co zmuszało Galla do dyskrecji i powściągliwości, to już Kadłubek, nie podając żadnych nowych faktów, pozwalał sobie na moralizatorskie ubarwienie opisu, pierwszy otoczył zdarzenia nimbem świątobliwej legendy, nie szczędząc fantazji i własnych komentarzy. Z czasem zaznaczył się jednak w literaturze pewien zwrot kierunku zainteresowań w stronę osoby króla, która pociągała tragizmem swych losów, zagadkowością, choćby z góry potępianych czynów, a obok pierwiastka religijnego dopatrywać się poczęto innych jeszcze zagadnień w konflikcie, zwracać uwagę również na stronę psychologiczną dramatu i tło polityczno-historyczne. Zanim jeszcze badania historyków przysły w pomoc wyobraźni literatów, już kontury w obrazie ulegać zaczęły pewnym przesunięciom, a całość zyskiwać na wyrazistości i bogactwie. Przecież i dziś, gdy lepiej rozumiemy wieloplanowość i wzajemny stosunek części tego obrazu, szereg w nim fragmentów pozostać musi całkowicie w cieniu dla naszej wiedzy, a rozbłyśnie tylko chwilowym blaskiem, jaki rzuca na nie fantazja artystów.

O atrakcyjności tematu w literaturze polskiej świadczy choćby fakt opracowania osobnego przeglądu poświęconych mu utworów (A.E. Baliński: *Bolesław Śmiały i święty Stanisław Szczepanowski w poezji polskiej*, Kraków 1905), tam też można znaleźć dokładniejsze o nich wiadomości. Wspomnimy więc tylko pokrótce, że w okresie Odrodzenia powstało kilka poematów na wzór antycznych, że pseudoklasycy pisali głównie dramaty i opowieści poetyckie, artystycznie słabe, naginając rodzime wątki do wymogów normatywnej poetyki. Nawet w tych nieudanych na ogół próbach wyznaczano już jednak królowi donioślejszą rolę, nie odmawiając zasług jako władcy, a równocześnie rozszerzał się ciągle krąg zagadnień, wynikających z rozważań nad położeniem ówczesnego państwa. Zasadniczej przemiany w ujęciu przedmiotu można by się spodziewać po romantykach, bo temat harmo-

nizował szczególnie ze skłonnościami romantyzmu; z jego historyzmem, lubowaniem się w tajemniczości, w zainteresowaniu tragizmem losów wyjątkowej jednostki, ale również z nawrotem do fantastyki średniowiecza. Podjęli go raczej poeci mniejszej miary, a tylko jeden z wielkich twórców tego okresu Juliusz Słowacki rozpoczął, lecz nie dokończył przedstawienia dziejów Bolesława. Dziś niepodobna nam nie kojarzyć losów nieszczęsnego króla z reminiscencjami ze wspaniałych rapsodów *Króla Duchy*, otwierających szerokie perspektywy na zawilóść przeznaczeń ludzkich, budzących takie uczucia, jakie według antycznych, greckich poglądów estetycznych, wyzwała prawdziwa tragedia. W szeregu nazwisk następców Kraszewskiego wypada wymienić z okresu Młodej Polski Stanisława Wyspiańskiego, autora aż trzech utworów o Bolesławie.

Widoczny zwrot do tematyki wczesno-historycznej, jaki obserwujemy już w okresie najnowszym, po drugiej wojnie światowej, przyniósł nam powieść Karola Bunscha zatytułowaną *Imiennik* i dramat Marii Dąbrowskiej pt. *Stanisław i Bogumił*, oba dzieła już na wskroś nowoczesne, całkowicie od dawnych odmienne w ujęciu i naświetleniu momentu historycznego. Na tym to rozległym tle pokrewieństw literackich rozważać można powieść Kraszewskiego, porównując i kształtowanie się fikcji, i ukazywanie prawdy dziejowej.

Stwierdzamy, że pewien typowy układ wątków i motywów, dotyczący sporu między królem Bolesławem i biskupem, śmierci krakowskiego pasterza i upadku władcy, stał się przechodnim w literaturze polskiej, wielokroć w niej opracowywanym i ciągle jeszcze żywotnym, jako źródło nowych koncepcji artystycznych. Chociaż każdy autor dysponował mniej więcej tym samym materiałem fabularnym, mógł w nim dokonywać wyboru, używać odmiennych środków artystycznych, a zwłaszcza wykorzystywać swoje prawo powoływania do życia świata nowego, wysnutego z wyobraźni. Ale to prawo nieskrępowanej twórczości musi być ograniczone w pewnym stopniu, chociaż w ramach o wiele szerszych niż te, w których wolno historykowi dokonywać swoich rekonstrukcji, nawet wówczas gdy, jak w tym wypadku, nie poprzestaje na stwierdzeniach bezspornych, lecz uwzględnia domysły. Jest zasadnicza różnica w metodzie pracy artysty i badacza. Historyk dowodzi swych hipotez logicznym rozumowaniem, prawdopodobieństwem wobec innych ustalonych faktów, ich związków i wzajemnych stosunków. Artysta uprawdopodobnia fikcję plastyką i sugestywną siłą swej wizji, spoistością i wewnętrzną prawidłowością kompozycji, motywacją psychologiczną, trafnym wycuciem, że chociaż nie wiemy, jak było, wyda się nam możliwym, że było właśnie tak, jak nam to autor przedstawia. Prawda literacka nie powinna pozostawać w sprzeczności z prawdą historyczną, ale też winna być od niej pełniejsza, bogatsza, bardziej ludzka i zrozumiała. Pod tymi więc względami ocenia się utwory historyczne.

W samym temacie kryją się zazwyczaj pewne możliwości opracowania artystycznego. Choć dzieła o Bolesławie Śmiałym i biskupie Stanisławie reprezentują niemal wszystkie gatunki literackie, to łatwo dostrzec, że w samym układzie motywów i wątków przeważa wyraźnie żywioł dramatyczny, a wybija się na plan pierwszy zwłaszcza w ujęciu tradycyjnym, nadającym konfliktowi tylko sens etyczny. Napięcie i dynamizm akcji, wysoka ranga społeczna bohaterów dramatu, katastrofa w zakończeniu, wszystko to nadaje fabule z góry cechy tragedii i to wedle klasycznego pojmowania jej istoty. Wraz ze zmianą naświetlenia i rozumienia sensu wydarzeń mogły się dopiero przejawiać również epickie elementy tkwiące w temacie. Opisywany moment historyczny mógł posłużyć do głębszej analizy ówczesnego świata i państwa, stanowić kanwę do rozsnucia opisu życia narodu i jego warstw, pokazania rozległej problematyki, do stworzenia dzieła epickiego. Od misteriów średniowiecznych poprzez dramat pseudoklasyczny, aż do Wyspiańskiego ciągnie się szereg koncepcji raczej dramatyzowanych niż pokazanych w opowiadaniu, utworów w przeważającej większości wierszowanych. Kraszewski był pierwszym, który podjął temat w dziele o współczesnej formie powieści historycznej prozą, przystępując do swego zadania z nowymi poglądami i odmiennymi środkami.

Czytelnik pragnący zorientować się, o ile wersja, na której oparł się Kraszewski, odpowiada dzisiejszym poglądom nauki, mógłby łatwo się o tym dowiedzieć bez sięgania do dzieł historycznych, choćby z przedmowy do powojennego wydania *Boleszczyców* (Warszawa 1951), ze wspomnianej powieści Bunscha i z bardzo ciekawych uwag Marii Dąbrowskiej we wstępie do jej dramatu (*Pisma wybrane*, Warszawa 1956). Współcześni pisarze nawiązują zgodnie do wyników prac badawczych Tadeusza Wojciechowskiego (*Szkice historyczne jedenastego wieku*. Wydanie 2 uzupełnione i ilustrowane, ze wstępem Stanisława Zakrzewskiego, Warszawa 1925), a te prowadzą do wniosków zaskakujących, a niekiedy wręcz paradoksalnych w stosunku do dawnych mniemań. W ich świetle okazuje się, że nie można traktować postaci Bolesława jak kukielki Heroda w budujących jasełkach, że z pomroki dziejów wyłania się przed nami świadomy swych celów politycznych potężny władca wielkiego narodu, szczęśliwie do czasu realizujący swe dalekowzroczone zamysły, przeciwstawiający się naporowi niemieckiemu i wojujący nie tylko mieczem, ale umiejący wyzyskiwać zręcznie koniunktury ówczesnej polityki międzynarodowej. Klęska Bolesława, jego upadek, to nie kara za występki prywatne, ale sukces wrogów, przygotowany umiejętnie, a mierzący w najistotniejsze interesy narodu.

W innym świetle widzimy dziś spór między władzą państwową i reprezentantem hierarchii kościelnej, jaki upatrywano poza zatargiem osobistym i obyczajowym. Co więcej, paradoksalnie omal wygląda przegrupowanie, jakiego trzeba dokonać, ustalając przynależność do przeciwstawnych obozów.

Po jednej stronie znalazł się Bolesław, jako polityczny sojusznik papieża Grzegorza VII i Węgrów w ich walce z Niemcami o wyzwolenie narodowe, po drugiej cesarz niemiecki Henryk IV, jego wasal Wratysław czeski, antagonistą Bolesława w Polsce — Władysław Herman, zbuntowani wielmoże, częściowo niemiecki kler i świadome lub nieświadome narzędzie orientacji proniemieckiej — krakowski biskup. Po dotkliwym ciosie, jakim dla Niemców była koronacja Bolesława, nastąpiła zasadnicza rozgrywka polityczna, a zwycięski w niej sukcesor Władysław Herman w dalszym rozwoju wydarzeń, jako sprzymierzeniec i powinowaty cesarski, stanął po stronie antypapy Klemensa, a więc przeciwko Rzymowi. W interesie wroga załamała się słuszna linia polityki polskiej, której właściwy kierunek nadał dopiero Bolesław Krzywousty, nawracając do koncepcji Szczodrego. Tak wygląda dla nas dzisiaj prawda historyczna o panowaniu Bolesława Śmiałego i katastrofalnej działalności w Polsce ówczesnej niemieckiej „piątej kolumny”, jak Dąbrowska nazywa sprawców upadku Bolesława. Silnie umotywowane przypuszczenia historyków mówią o siedmioletnich rządach Wratysława czeskiego w Krakowie oraz wskazują na celowe, zbrodnicze usunięcie najpierw Bolesława, a później jego syna Mieszka, prawdopodobnie skrytobójczo zamordowanych.

Odkryty głębszy mechanizm wypadków dziejowych wywołał opór i oburzenie, tak wydawał się sprzeczny z świątobliwą legendą. Ale historycy nie mogą dbać o moral, tam gdzie chodzi o prawdę. Zresztą, jak słusznie stwierdza Dąbrowska, realistyczne ujęcie problemu nie uwłącza bynajmniej kultowi świętego Stanisława, który mógł być w życiu osobistym prawdziwie świątobliwym, mógł działać w przekonaniu o swej słuszności, a dla polskich interesów odegrać rolę niekorzystną. Są to dwie oceny całkowicie różne.

Biskup Stanisław Szczepanowski w tej powieści to nie święty, ale pasterz diecezji, który potępia rozwiązłość obyczajową króla, lecz staje również na czele zbrojnej opozycji przeciw swemu władcy.

Kraszewski nie odbiegał wiele od tradycyjnej wersji, w samym jednak założeniu pragnął dać dzieło realistyczne i nie zaniedbał niczego, co w jego czasach mogło temu służyć. Sięgał do kronik i opracowań, dbał o realia i koloryt lokalny, a dla pogłębienia wrażenia wprowadził częściowo stylizację składniową i leksykalną, archaizując język powieści. W fabule ograniczył się do przedstawienia tylko końcowego okresu panowania Bolesława, napomykając zaledwie o takich zdarzeniach, które o wiele silniej absorbowały uwagę innych pisarzy, jak np. wyprawa kijowska, koronacja itp., a nawet ściślej związanych z zatargiem między królem i biskupem, jak sprawa Piotrowina. Kraszewski nie dementuje wprawdzie mitów hagiograficznych, ale też unika wprowadzania atmosfery nadzwyczajności, wszelkiego przejawaskrawienia i patosu.

Centralnym zagadnieniem powieści pozostał problem etyczny, ale uległ on pewnemu przesunięciu przez zastosowanie ciekawego chwytu konstrukcyjnego. Mimo że w istocie głównymi postaciami powieści pozostają nadal król i biskup, z większą dozą uwagi poświęconą postaci króla, żadnego z dwu przeciwników nie uczynił autor bohaterem tytułowym, ale podniósł do tej rangi przedstawicieli wiernej drużyny królewskiej. Ma to swój walor kompozycyjny i konsekwencje w rozwinięciu fabuły. Powiększył się dystans narratora w stosunku do postaci głównych, ukazanych pośrednio, ale za to pozwala na nie patrzeć z bliska oczyma świadków ich życia. Przesunęło się też zagadnienie moralne i zmieniło charakter rozwiązanie. Zamiast problemu winy króla, dominującym staje się dylemat, przed jakim stanęli Boleszczyce, zagadnienie wierności, oddania, konflikt między sprzecznymi nakazami sumienia. Zamiast tragicznego zakończenia fabuły, wyznaczonego tematem, bo przecież w losach postaci centralnych niczego się już odmienić nie da, powieść zyskała mimo wszystko rozwiązanie szczęśliwe, bo jest nim rehabilitacja Boleszczyców, ich pojednanie z rodziną, tak więc ostatni nastrój przynosi wyrównanie powikłań losu, powrót życia w normalny rytm, uciszenie i akcent pokoju.

Kompozycyjnie powieść jest dobrze przemyślana, nie ma w niej motywów luźnych, każdy wprowadzony w jej pole motyw służy w dalszym toku rozwiązaniom fabularnym i znajduje uzasadnienie. W trosce o wierność tła historycznego, w dbałości o prawidłową motywację i wewnętrzną spójność dzieła, we wprowadzonym do powieści psychologizmie, przewyższył Kraszewski swych poprzedników, ale nowością jego ujęcia było pokazanie wieloplanowości akcji, wydobycia nurtu społecznego. Obok faktów historycznych przedstawia też autor antagonizmy socjalne, wzajemne stosunki warstw społecznych; powody nienawiści wielmożów do króla widzi między innymi w jego dążeniach do oparcia się na ludzie wiejskim. Poprzez całą powieść przewija się ten wyraźny wątek innej jeszcze walki, innych konfliktów niż osobiste i polityczne. Takie sceny, jak np. uczta, na którą król zaprosił czerń, i przemówienia Sroki mają akcenty niemal rewolucyjne i trudno się dziwić, że musiały one razić współczesnych, konserwatywnie nastawionych krytyków.

Charaktery postaci literackich przedstawione są w powieści raczej statycznie, niezależnie od przeżyć i wydarzeń zewnętrznych, są one jednolite i na ogół posiadają już w założeniu cechy wyznaczające los bohaterów. Postać króla u Kraszewskiego uległa wprawdzie ważnym, ale jeszcze nie ostatecznym przemianom. Nie jest on już tylko ponurym zbrodniarzem, ale i cierpiącym człowiekiem, uwikłanym w sprzeczności swego losu, jednak człowiekiem dzikim i pierwotnym, władczy, opanowanym przez pospolite namiętności, kapryśnym i nieobliczalnym. Nawet w miłości król wydaje się niezdolnym do uczuć subtelniejszych. Jego klęski życiowe wynikają z gwał-

towności charakteru i pychy, a postępowanie usprawiedliwiają zbyt słabe motywy ponadosobiste, głębsze, ogólniejsze. Dalekie to jeszcze bardzo od takiego ujęcia, jakie dał np. Bunsch, choćby tylko w wersji wątku miłosnego między Bolesławem a piękną Krystą, że już nie powtarzamy uwag o przedstawieniu króla jako władcy i polityka. Z obrazu króla, jaki daje Kraszewski, trudno byłoby zrozumieć, jak ten człowiek, działający pod wpływem doraźnych bodźców, nieopanowany i niemal bezmyślny w swych reakcjach, mógł być odnosić nie tylko zwycięstwa orężne, ale i sukcesy dyplomatyczne. Pozytywnym rysem charakteru pozostaje jego szczodrość i demokratyzm, które są jednak raczej wynikiem wzdorliwej obojętności dla bogactw, których miał pod dostatkiem, niż dobroci, raczej wrogiej przekory wobec możnych niż współczucia dla biednych.

Ale i osoba biskupa potraktowana jest ogólnikowo i mało wyraziście. Przypisuje mu autor konwencjonalne cnoty duchownego, surowość wobec grzechu, a z indywidualnych rysów charakteru bodaj jedną tylko dumę i nieugiętość, odwagę równą albo i większą od królewskiej. Nie widzimy w nim wysokiego dygnitarza kościelnego o jakichś rozleglejszych horyzontach w walce o wyższy cel ani wybitnej indywidualności o ciekawych rysach osobistych. W sprzeczności ze źródłami historycznymi jest Kraszewski najbardziej w przedstawieniu Władysława Hermana i jego roli. Pokazuje go jako kochającego brata, usiłującego załagodzić spór z biskupem, niefortunnego wprawdzie, ale życzliwego mediatora, chociaż późniejsze wypadki potwierdzają wyraźnie oczywiste zaangażowanie się i interes tego spadkobiercy. Zabójstwo biskupa jest u Kraszewskiego tylko zbrodnią pospolitą, chociaż Gall mówił już o wyroku, skazaniu na karę za zdradę; kara więc, jej rodzaj i uzasadnienie mogły budzić wątpliwość. W tym wypadku poszedł więc Kraszewski za upraszczającą legendą, a mimo to zaznaczył niektóre okoliczności, pozostające z nią w sprzeczności, dające do myślenia, jak np. wzmianka o znoszeniu się biskupa z dworem czeskim i pragnieniu obalenia króla na rzecz jego szwagra. Wprawdzie autor *Boleszczyców* usiłuje pokazać czytelnikowi, że ostatecznie zaszkodziły królowi nielegalna miłośćka i okrucieństwo, ale nawet w takim ukształtowaniu powieści jest to mało przekonujące i czytelnik zwraca większą uwagę na powody, które pisarz pozostawia nieco w cieniu, chociaż ich całkiem nie pomija.

Ciekawą kompozycyjnie rolę wyznaczył Kraszewski niektórym postaciom drugoplanowym; tutaj właśnie śledzić można prawidłowość konstrukcji fabularnej pomiędzy ekspozycją a rozwiązaniem. Akcja skupia się głównie około Boleszczyców, ale częściowo ogniskuje się również wokół postaci mnicha Ottona, a jego osoba rysuje się plastycznie w powieści. Otton, początkowo ukazany epizodycznie na dworze królewskim, potrzebny jest autorowi w epilogu i nadaje specjalne zabarwienie emocjonalne zakończeniu. Przez swą pokorę i dobroć podkreśla kontrast między nieubłaganą surowością wyma-

gań Kościoła a wyrozumiałością, miłosierdziem jednostki o franciszkańskiej prostocie i głębi wewnętrznego życia. Galerię postaci wyraźnie odmalowanych uzupełniają: Mściśław, zawzięty, pochłonięty jedną namiętnością, mściwy, a jednak zdolny do uczuć serdecznych i tkliwych; konsekwentnie acz powierzchownie przedstawiona Krysta, dziecinna i naiwna w swej zalotności i występku; despotyczny, gwałtowny, ale psychologicznie zrozumiały Odolaj. Charakterystyka Boleszczyców jest mało zróżnicowana i wyraźna, zwłaszcza jak na postaci tytułowe.

Można by jeszcze wspomnieć o pewnych reminiscencjach, jakie nasuwa analiza kompozycji *Boleszczyców*. Okazuje się bowiem, że przechodnie w literaturze są nie tylko wątki i motywy, ale również i pewne chwytły, wprowadzanie momentów sytuacyjnych ułatwiających rozwiązanie fabularne i uzyskiwanie określonych efektów, zwłaszcza w utworach pokrewnego rodzaju. Czyż np. porwana Krysta nie przypomina Sienkiewiczowskiej Danusi z tym samym motywem obłędu, Mściśław — Juranda, rehabilitacja zaś Boleszczyców wsparta dokumentem królewskim zakończenia *Potopu*? Są więc i podobne elementy kompozycyjne, jak w innych powieściach historycznych i to górujących ciekawością fabuły nad dziełami Kraszewskiego, a przecież przejmującymi pewne jego pomysły.

W osiągnięciach artystycznych Kraszewskiego podkreślić trzeba obrazowość i plastykę niektórych scen, zwłaszcza masowych, wielostronność artysty w harmonizowaniu różnych efektów wyobrażeniowych, np. plastycznych, kolorystycznych, a nawet akustycznych, wskazać na dużą ekspresję dramatyczną dialogów silnie wyodrębniających się z narracji. Kraszewski był również malarzem i dramaturgiem i nie było to zapewne bez wpływu na kształtowanie się jego prozy artystycznej. Styl Kraszewskiego, mimo łatwych do zauważenia usterek, świadomie archaizowany leksykalnie i składniowo, często w szyku wyrazów odbiegający od zwykłego dla nas języka, ma jednak pewien poważny rytm, dobrze podkreślający momenty treściowe.

W całości *Boleszczyce* zaliczyć wypada do lepszych dzieł w historycznym cyklu Kraszewskiego. Nie można im odmówić stosunkowo znacznych walorów literackich i wolno liczyć, że będą i dziś jeszcze równie poczytne jak inne powieści autora *Starej baśni*, tym więcej, że mogą czytelnikowi dostarczyć ubocznie okazji do porównań i pogłębienia wiedzy o epoce.

Stanisław Sierotwiński.

Nota wydawnicza

Jak wynika z listów Wł. L. Anczyca do J. I. Kraszewskiego (Anczyc drukował pierwsze wydanie *Boleszczyków*), rękopis powieści ukończony był w lutym 1877, a druk wyszedł z początkiem maja tegoż roku. Na pierwszym i jedynym za życia autora wydaniu oparto niniejszą edycję.

Jeżeli udało się zestawić wyczerpująco, to *Boleszczyce* miały dotychczas następujące wydania, wszystkie warszawskie: pierwodruk w roku 1877, jako tom 5 Powieści Historycznych (Spółka Wydawnicza Księgarzy w Warszawie), potem w roku 1888, 1896 (M. Glücksberg); dalej kilka wydań M. Arcta, w roku 1902, 1912 pełne, streszczone popularne z roku 1913, 1922 i 1924, pełne z roku 1928 i ostatnie przedwojenne, skrócone z roku 1930; na arctowskim wydaniu z roku 1928 oparte były wznowienia Ludowej Spółdzielni Wydawniczej z roku 1950, 1951, 1952 i 1953 (a więc cztery wydania, a nie jak podano na druku z roku 1953 — wydanie 5). Ogółem naliczyliśmy 10 wydań pełnych i 4 streszczone; zatem edycję z roku 1961 należy uważać za jedenaste pełne albo piętnaste w ogóle, a jej wznowienie za odpowiednio dalsze.

Wprawdzie w zestawieniu odróżnialiśmy wydania pełne i skrócone, nie jest to jednakże całkowicie ściśle, ponieważ wypadaloby raczej mówić o pełnych, o redakcyjnie okrojonych i wreszcie o popularnych, streszczonych. Wystarczy bowiem przejrzeć nowsze wydania *Boleszczyków* i porównać z pierwszym, aby przekonać się, że dokonano w nich wielu zmian, skrótów, opuszczeń, przeróbek stylistycznych np. przestawień szyku wyrazów w zdaniach itp. Zakradły się tam nawet błędy, których nie popełnił autor (np. „msza zaledwie dochodziła do z a o f i a r o w a n i a...” zamiast jak być oczywiście powinno d o o f i a r o w a n i a).

Zagadkę tych wszystkich różnic, o wiele przekraczających uprawnienia edytorskie według dzisiejszych naszych poglądów, wyjaśnia nam broszura wydana przez Arcta z zapowiedzią nowego cyklu historycznych powieści Kraszewskiego [1928]. W artykule Władysława de Bondy czytamy: „[...] wspomnieliśmy o pewnych zarzutach czynionych Kraszewskiemu przez krytyków. Wśród nich spotykamy zarzuty rozwlekłości i powtarzania się oraz wprowadzania niekiedy do treści pewnego balastu kronikarskiego, nie mającego bezpośredniego związku z akcją. W niniejszym nowym wydaniu zostały uczynione pewne skróty, idące prawie wyłącznie po linii powyższych zarzutów” (strona 31). Wprawdzie dalej zapewnia nas autor artykułu, że „[...] poczynione skróty dokonane zostały z należytą uwagą i ostrożnością w stosunku do treści poszczególnych dzieł Kraszewskiego, z całym pietyzmem dla ich historycznej, artystycznej i literackiej wartości i z najwyższą czcią zarówno dla osoby autora, jak i dla jego twórczości” (strona 32), ale po-

równania dowodzą czegoś wręcz przeciwnego; wykazują mianowicie, że dość beztrąsko poprawiano Kraszewskiego, ze szkodą i dla treści, i zwłaszcza dla kształtu językowego dzieła, tracąc charakterystyczny styl a często świadomie wprowadzane archaizmy czy to składni czy słownictwa (np. staropolskie *wyrap oczy* zastąpiono dziwacznym *wyrąb oczy*, a *kobuzie* przez *łobuzie* itd. itd.).

Uzasadniony jest więc chyba dostatecznie powrót do pierwotnego tekstu i oddanie czytelnikowi powieści w tej formie, jaką nam autor przekazał. Zabiegi edytorskie około tekstu z pierwszego wydania ograniczono do modernizacji pisowni i ujednolicenia interpunkcji dla większej czytelności tekstu, starano się natomiast w niczym nie naruszyć jego zasadniczej postaci. Zgodnie z wytycznymi, przyjętymi obecnie w pracach edytorskich, a w szczególności ustalonymi dla niniejszego wydawnictwa powieści Kraszewskiego, poprawki wprowadzono w myśl obowiązujących przepisów ortograficznych. Nie wprowadzono natomiast zmian w brzmieniu wyrazów, zachowując ich osobliwości fonetyczne. I tak zachowano oboczność używania *ę* i *ą* w bierniku rzeczowników rodzaju żeńskiego, oboczności *o* i *ó* (np. *kościółek* i *kościółek*). Takie niekonsekwencje, co do których można przypuszczać, że nie popełnił ich autor, lecz zecerzy czy korektorzy, usunięto. Nie zmieniono pisowni imion własnych, gdyż Kraszewski zapewne umyślnie ją archaizował. W kilku zaledwie miejscach okazały się niezbędne drobne koniektury, polegające na dodaniu lub opuszczeniu wyrazu i to wyłącznie wyrazu znaczeniowo niesamodzielnego a składniowo pomocniczego (np. *by*, *ale*, *do*) lub uzgodnieniu końcówek fleksyjnych, np. między rzeczownikiem a określającym go przymiotnikiem. Mimo że niekiedy zdarzają się zdania nie całkiem poprawne składniowo lub podobnie jak w mowie potocznej niepełne (anakoluty i elipsy), ponieważ nie utrudnia to w niczym zrozumienia ich sensu, nie uprawnia do ingerencji edytorskiej. Założeniem wydawcy było wierne oddanie czytelnikowi tekstu w takiej postaci stylistycznej i fonetycznej, jaką mu nadał autor. Zbyt daleko idące próby unowocześnienia byłyby w tym wypadku tym niebezpieczniejsze, że wiemy przecież o zamierzonej przez autora archaizacji języka, a dziś trudno byłoby nam nieraz odróżnić, czy odstępstwo od obecnej normy językowej było jeszcze zwykłe w okresie pisania powieści, a nam wydaje się już formą przestarzałą, czy też jest stylizacją archaizującą.

W zakresie interpunkcji usunięto przede wszystkim nadmiar nieuzasadnionych wielokropków, zachowując je tylko tam, gdzie pełnią funkcję znaczeniową, ujednolicono sposób graficznego wyodrębniania replik w dialogach; gospodarkę przecinkami i średnikami dostosowano do wymogów współczesnej ortografii. W podziale tekstu na ustępy wprowadzono zmiany, polega-

jące na usunięciu zbyt licznych akapitów i scaleniu ustępów treściowo powiązanych, co również ma przyczynić się do uczynienia tekstu.

Opracowanie edytorskie dopełnia zwięzły komentarz. W przypisach objaśniono wyrazy obce i polskie dawniejsze, mało lub wcale już dziś używane, oraz podano informacje rzeczowe, głównie historyczne, które łącznie z posłowiem mają ułatwić czytelnikowi orientację co do tła powieści i jej wierności wobec prawdy historycznej. Ze względu na popularny charakter wydania nie odnotowywano w przypisach drobnych poprawek edytorskich w tekście i ich uzasadnienia.

Obecne wydanie *Boleszczyc* należy określić jako czwarte, tzw., komitetowe. W trzecim wydaniu komitetowym cyklu „Dzieje Polski” wyszła *Stara Baśń*.

Przypisy

Skróty: grec. — grecki; łac. — łaciński; st. pol. — staropolski; ukr. — ukraiński

Tom I

1. S z ł y k — czapa futrzana, kołpak
2. B e r ł o — drążek, na którym siada ptak łowczy, wyrażenie myśliwskie.
3. M i e s z k o — mowa o Mieszku II (1025-1034) i niepokojach w czasie jego panowania. Mieszko był ożeniony z Ryksą, umarł podobno w obłąkaniu.
4. B o l k o W i e l k i — Bolesław Chrobry (992-1025).
5. W czasie przeciągającej się drugiej wyprawy Bolesława na Ruś w r. 1077 miały się w kraju zdarzać liczne wypadki niewierności opuszczonych żon, co wywołało samowolny powrót rycerzy do domów, a Bolesław srogo karał występne niewiasty i zbiegłych ziemian. Te wydarzenia i związane z nimi legendarne szczegóły, jak np. o karaniu wiarołomnych żon, którym król kazał karmić piersią szczenięta itp., przewijają się we wszystkich źródłach do panowania Bolesława.
6. W ł a d y k a — zwierzchnik, panujący; również członek warstwy wolnej, w dobie piastowskiej pośredniej pomiędzy szlachtą a chłopami, obowiązanej do służby wojskowej.
7. D r u ż y n a — drużyna książęca lub królewska złożona z zawodowych żołnierzy, stała siłą zbrojna, niezależnie od pospolitego ruszenia.
8. Beżenność księży świeckich nie była jeszcze w tych czasach przestrzegana, a w Polsce nie udało się jej w pełni wprowadzić aż do drugiej połowy XIII wieku. Papież Grzegorz VII specjalnie nakazywał celibat.
9. Dwukrotnie, w r. 1069 i w r. 1077, a prawdopodobnie i po raz trzeci w r. 1078/79, podejmował Bolesław zwycięskie interwencje na Rusi na rzecz Izasława, swego kuzyna, pomagając mu w walce o tron przeciw braciom. Na Węgrzech wspierał Belę I w walce z Andrzejem (1060), potem pomagał w objęciu tronu synowi Beli, Gejzie, przeciw Salomonowi, synowi Andrzeja, szwagrowi cesarza Henryka IV (1063), a po śmierci Gejzy (1077) osadził na tronie węgierskim brata Gejzy, Władysława, wychowanego na dworze polskim.
10. M i e s z k o — Mieszko I (ok. 960-992) ożeniony był z księżniczką czeską Dąbrówką (Dubrawką).
11. O j c z y c (st. pol.) — prawy syn, dziedzic, członek znacznego rodu; także: człowiek tutejszy, z rodziny od dawna tu zasiedziały.
12. Legenda przypisuje biskupowi Stanisławowi wskrzeszenie ziemianina Piotrowina, aby ten złożył świadectwo w sporze o dobra sprzedane przez niego biskupowi.

13. Cesarz Henryk IV, wyklęty przez papieża Grzegorza VII, kajał się w styczniu 1077 r. w Canossie i uzyskał zdjęcie klątwy.
14. G ę d ź b a (st. pol.) — muzyka.
15. C i w u n (ukr.) — zarządca na dworze.
16. Bolesław decydował swym poparciem o obsadzeniu trony węgierskiego i kijowskiego.
17. Pierwsza zwrotka tej pieśni brzmi:
„Choćbym ja jeździł we dnie i w nocy Choćbym wyjeździł koniowi oczy, To ty moją musisz być, Wolę moją uczynić.”
18. W kronice Galla i w źródłach ruskich jest wzmianka o powstaniu ludowym w Polsce po wygnaniu Kazimierza.
19. Główną przyczyną toczącego się wówczas sporu między Kościołem a cesarstwem była sprawa tzw. inwestytury, czyli prawa mianowania biskupów. Co decydowało o przewadze politycznej władzy świeckiej lub Kościoła w ówczesnym ustroju feudalnym. W tym czasie w Polsce biskupów mianował król, ale w konflikcie między papieżem a cesarzem Bolesław był sojusznikiem papieża, prowadząc politykę antyniemiecką. Dzięki temu stanowisku mógł się koronować, a to było ciosem dla polityki cesarza, który też został tym m.in. przynaglony do pogodzenia się z Rzymem i odbycia pokuty w Canossie.
20. H i l d e b r a n d — późniejszy papież Grzegorz VII (1073-1085).
21. O b i a t a (st. pol.) — ofiara składana z pożywienia.
22. P i e c z y n g o w i e — lud koczowniczy pochodzenia turecko-tatarskiego. W wieku IX koczował między Wołgą a Uralem, potem w XI w. przesuwali się nad Don i Dniepr i napadali na Ruś.
23. Ż u p a n — wysoki urzędnik królewski, dygnitarz u Słowian południowych; w Polsce takiego urzędu nie było.
24. Biskupem wrocławskim od r. 1062 był, według Długosza, Jan z rodu Jastrzębców, pierwszy biskup Polska we Wrocławiu.
25. Z n o s e k (st. pol.) — małe jajo, przenośnie: twór nieudany.
26. Ś w i a t a w a — nazywana też Świętosławą, Świętawą, Świętochną lub Swatawą, była siostrą Bolesława, a żoną Wratysława czeskiego.
27. Ok. r. 1039 Brzetysław czeski, korzystając z anarchii po wygnaniu Kazimierza Odnowiciela, najechał na Polskę. Wojska czeskie dotarły aż do Gniezna i Poznania, a odparte, powracając z łupieskiej wyprawy, zajęły Śląsk, zabór ten potwierdził Henryk III. Śląsk odzyskał dla Polski zbrojnie Kazimierz w r. 1050 i mimo korzystnego dla Czech wyroku cesarza w r. 1054 nie zwrócił go Czechom.
28. Wspólna akcja Czech i Polski mogła być w tych czasach być istotnie dla oby państw bardzo korzystna, jednakże Czesi wspierali cesarza i do-

atkliwie dawali się we znaki Polsce; małżeństwo Wratysława z księżniczką polską, które można by uważać za próbę nawiązania przyjaznych stosunków, nie zmieniło kierunku polityki czeskiej. Rozmowa między biskupem a Toporem wskazuje, że Kraszewski przyjął wersję o porozumieniu między biskupem a dworem czeskim.

29. U g r o w i e (st. pol.) — Węgrzy.

30. J a z y g o w i e — mongolskie plemiona koczownicze, które dotarły aż do Węgier.

31. S o r o k (z ukr.) — czterdzieści sztuk.

32. K r o p i e r z (st. pol.) — czaprak, kapa, nakrycie na konia.

33. Ś w i e r z o p a (st. pol.) — młoda klacz.

34. N a m i o t k a , namitka (st. pol.) — zasłona na głowę, ubiór głowy kobiet zamężnych.

35. Przypis autora: „Gallus”. Gall istotnie opisuje w swojej kronice to zdarzenie, jednakże jego relacja różni się od przytoczonej przez Kraszewskiego. Gall pisze o obdarowaniu biednego kleryka, któremu król miał nawet użyczyć własnego płaszcza na zabranie skarbu, nie wspomina wcale ani o jego śmierci, ani o okrucieństwie króla, przeciwnie, pokazuje szczodrość Bolesława. Natomiast opis Kraszewskiego zgadza się z wersją Długosza.

36. G z ł o , giezło (st. pol.) — obszerna szata lniana, koszula.

37. Mieszko II z Ryksą musieli uchodzić z kraju na skutek buntu wszczętego przez brata Mieszka, Bezpryma.

38. Cesarz — tu: Henryk IV.

39. K l ą t w a — tu w znaczeniu: przysięga, zobowiązanie.

40. Bolesław objął tron mając lat około piętnastu.

41. Legenda o Małgorzacie, żonie Mikołaja z Zębocina koło Proszowic, powtarza się u różnych autorów (m. in. Podaje ją Długosz). Była wykorzystywana w dziełach literackich.

42. P o ż y ć (st. pol.) — pokonać.

43. *Anathema sit!* — (gr.-łac.) — niech będzie wyklęty!

44. W y w o ł a n i e c — skazany na wygnanie z kraju, banita.

45. B e r ł o ś w . M a u r y c e g o — włócznia św. Maurycego, kopi oryginalnej, była darem cesarza Ottona III dla Bolesława Chrobrego i jednym z insygniów koronnych polskich.

46. Tu całkiem wyraźnie wskazuje Kraszewski na udział biskupa w spisku przeciw królowi oraz na znoszenie się jego z Czechami, co by właśnie uzasadniało nazwanie biskupa przez Galla „zdrajcą” oraz wzmiankę o skazaniu biskupa wyrokiem.

47. „Smutną jest dusza moja [aż do śmierci]” — słowa Chrystuwa przytoczone w Ewangelii św. Mateusza rozdz. 26, w. 38, u św. Marka rozdz. 14, w. 34 i św. Jana rozdz. 12, w. 27.

48. Zi e m o m y s ł — ojciec Mieszka I.
49. W y r a p i ć (st. pol.) — wytrzeszczyć.
50. Z g a g a — przenośnie w znaczeniu: natręt, kłótnik, człowiek uprzykrzony.
51. Z ł o t o g ł ó w — materia jedwabna przetykana złotym drucikiem.
52. Z a k a z y w a ć — tu: polecać, przykazywać.
53. M a s ł a w o w s k i e c z a s y — w czasie rozprężenia po wygnaniu Kazimierza, dawny cześnik Mieszka II, Masław, sprzymierzywszy się z Pomorzanami, ogłosił się księciem Mazowsza i utrzymywał się tam przez 10 lat. Dopiero we wspólnej wyprawie ze szwagrem Jarosławem kijowskim pokonał Kazimierz w r. 1047 Masława, który poległ w bitwie, a Polska odzyskała Mazowsze i Pomorze.
54. O p a t r z y ć (st. pol.) — obmyśleć, przygotować, wybrać.
55. N i c w s z y j ę n i e p ę d z (st. pol.) — nic nie nagli, nie ma gwałtu.
56. K o m o r n i k — tu: posługujący na dworze.
57. T e r e m (z ukr.) — dom, dwór, mieszkanie.
58. D o b r o g n i e w a — Maria Dobrogniewa, matka Bolesława, była siostrą Jarosława ruskiego.
59. W i e l i s ł a w a — imię żony Bolesława niepewne, nazywana też Wisławą, Wyszesaławą, poślubiona została w r. 1065, była córką Świetosława czernichowskiego.
60. L i c h , l i c h o (st. pol.) — diabeł.
61. P o w o d y r (z ukr.) — powodyr, przewodnik.
62. S t a j e (st. pol.) — miara długości, 125 kroków.

Tom II

1. I n k a u s t (z łac.) — atrament.
2. „O c z y t w e u j r z ą p o m s t ę n a d g r e s z n y m i — cytata z Psalmu 91 w. 8.
3. A n a t h e m a (wyraz grecki przyswojony w języku łacińskim) — klątwa.
4. „D e u s l a u d e m m e a m . . . ” (łac.) — „Bóg chwałą moją...” cytata z Psalmu 108 w. 1.
5. A n a n i a s z i Z a f i r a — małżonkowie w Jerozolimie, którzy za przykładem innych chrześcijan oddali św. Piotrowi część pieniędzy za sprzedaną rolę oświadczając, że to jest wszystko, co posiadają. Św. Piotr poznał ich obłudę i ostro zgromił. Oboje małżonkowie zostali natychmiast ukarani nagłą śmiercią. (Według *Dziejów apostołskich*. Rozdz. 5).
6. A b i r o n i D a t a n — byli to według *Starego testamentu* synowie Eliaba, którzy wzięli udział w buncie Korego na pustyni przeciwko Mojżeszowi i Aaronowi. Mojżesz polecił Izraelitom oddalić się od namiotów Abirona

i Datana, a wówczas otwarła się ziemia i pochłonęła buntowników wraz z rodzinami.

7. *Fiat!* (łac.) — niech się stanie!

8. *Imiennik* — tu: Bolesław Chrobry.

9. *Szczerbiec i Złote Bramy* — mieć koronacyjny, zwany Szczerbcem, którym Bolesław Chrobry miał uderzyć w Złotą Bramę w Kijowie. Według Długosza wydarzenie to odnosi się do Bolesława Śmiałego, a nie do Chrobrego, co zgadza się też z wiadomością, że Złote Wrota kijowskie zbudował dopiero Jarosław.

10. *Jednym jeden człowiek* — tu w znaczeniu: sam jeden.

11. *Nieboszyk pan* — ojciec Bolesława, Kazimierz Odnowiciel (1039-1058).

12. Sprawa fundacji w Tyńcu nie jest dostatecznie wyjaśniona. Przypisywało się ją Kazimierzowi, ale źródła wskazują raczej, że fundatorem klasztorów benedyktyńskich w Tyńcu i w Mogilnie był Bolesław Śmiały.

13. *Monte Cassino* — klasztor benedyktyński w południowych Włoszech, założony w r. 529 przez św. Benedykta z Nursji.

14. *Kobuz* — ptak drapieżny, przenośnie określenie ujemne: nicpoń.

15. *Kuna* (st. pol.) — obręcz żelazna, umieszczana przy drzwiach kościelnych, służyła do zamykania szyi przestępcy, rodzaj pręgierza.

16. Zgodne ze stwierdzoną linią polityki Bolesława, który był sprzymierzony z Węgrami i Rusią, a we wrogich stosunkach z Czechami.

17. *Niehar na* (z ukr.) — brzydka.

18. *Mogila* — prawdopodobnie pomyłka albo autora, albo w odczytaniu tekstu. Zapewne chodzi o Mogilno, gdzie był wówczas klasztor benedyktynów; w Mogile powstał klasztor cystersów dopiero w XIII w. Poprzednio Kraszewski wspomina o Mogilnie.

19. *Amrozy* — św. Ambroży, biskup mediolański, wyklął cesarza rzymskiego Teodozjusza Wielkiego za rzeź chrześcijan w Tessalonikach w r. 390.

20. *Winniki* — różgi, miotełki z gałązek.

21. *Wojewoda* — wódz wojów; w czasach piastowskich był obok skarbnika i kanclerza jednym z najwyższych dostojników dworskich i zastępował księcia w sprawowaniu władzy cywilnej i wojskowej.

22. *Vade retro!* (łac.) — idź precz!

23. Czesi rościli sobie pretensje do zajętego za czasów Kazimierza Śląska, tym bardziej że znaleźli w tej sprawie poparcie cesarza, a Bolesław wbrew wyrokowi cesarskiemu nie płacił przysądzonej daniny (por. przyp. 27, t. I).

24. *Koń powodny* — koń idący na powodzie, tj. na pasie rzemiennym lub powrozie.

25. *Osjak* — Ossiach, miejscowość w Karyntii (Austria) nad jeziorem Ossiach, niedaleko Villach.

26. *Metamorfoza* (z łac.) — przemiana.

27. **Słomi any król** — Władysław Święty, syn Beli I, król Węgier. Bolesław rościł sobie pretensje do posłuszeństwa Władysława, gdyż pomógł mu w pokonaniu Salomona i objęciu władzy, Gall podaje, że Władysław: „od dzieciństwa chowany był w Polsce i pod względem obyczajów i życia niejako stał się Polakiem”. Szczegóły o pobycie Bolesława na dworze węgierskim po opuszczeniu Polski zaczerpnięte z kroniki Galla.

28. **Infirm eria** (z łac.) — izba dla chorych przy klasztorze.

29. **Wir yd ar z** (z łac.) — ozdobny ogród, zieleniec wśród murów.

30. Historia nie potwierdza legendy o pokucie i śmierci Bolesława w Osjaku, legendy podobnej do tej, jaką opowiadano o śmierci Świętopelka morawskiego w Nitrze lub Salomona węgierskiego w klasztorze w Poli. Śmierć Bolesława okryta jest tajemnicą, ale raczej prawdopodobne jest, że ręka wrogów dosięgła go zaraz po przybyciu na Węgry, zanim mógł wszcząć jakąś akcję, gdyż Władysław nie odmówiłby mu zapewne pomocy, a tego musieli się przeciwnicy Bolesława obawiać. Kraszewski mógł publikowane w tym czasie rewelacje o rzekomych pamiątkach pobytu Bolesława w Osjaku uważać za wiarygodne, ale wobec braku całkiem pewnych wiadomości miał swobodę wyboru w literackim przedstawieniu ostatnich chwil Bolesława.

31. **St ę p i e , s t e p y** (st. pol.) — przyrząd gospodarski do tłuczenia jęczmienia lub prosa.

32. **K a m i e ń** — kamień w Osjaku, jak stwierdzono, jest pochodzenia rzymskiego; napis znacznie późniejszy.

33. Tu przypis autora, jednak z cytatem zniekształconym przez opuszczenie znacznej części, którą, ujętą w klamry, uzupełniamy: „Długosz wspomina to pismo Władysława Hermana pod r. 1084: «...et cum eo (z Mieszkiem) Borziwoy Filus Mstae, Sbilithus, Dobrogostius, [Paulus], Zema, Odolan [et] Andreas et caeteri omnes milites, qui cum Boleslao rege in Hungariam effugerant; [quibus Wladislaus dux Poloniae] omnia [bona] forum [im] mobilia [universali decreto camerae ducali, propter necem beato Stanislao intentem et propter transfugii crimen applicata] ad plenum restituit»” co w przekładzie polskim znaczy: „... razem z nim (z Mieszkiem) Borzywój, syn Msty, Zbilut, Dobrogost, Paweł, Zema, Odolan, Andrzej i inni rycerze, którzy z królem Bolesławem do Węgier się byli schronili; tym Władysław, książę polski, wszystkie dobra nieruchome wyrokiem powszechnym za zbrodnię zabójstwa popełnioną na świętym Stanisławie i za zbiegostwo na rzecz skarbu zajęte, zwrócił w całości”.

Spis ilustracji i uzupełnienie objaśnień

1. Bolesław Śmiały, drzeworyt z *Kroniki polskiej* Joachima Bielskiego wydanej w Krakowie w 1597 r.
2. Projekty kostiumów (1904 r.), rysunki Stanisława Wyspiańskiego do napisanego przezeń dramatu *Bolesław Śmiały*.
3. Projekty kostiumów (1904 r.), rysunki Stanisława Wyspiańskiego do napisanego przezeń dramatu *Bolesław Śmiały*.
4. Tryptyk z Pławna powstały na początku XVI wieku, opowiadający legendę św. Stanisława, był prawdopodobnie fundacją polonizującej się rodziny Bonerów. Stanowi jeden z piękniejszych przykładów rzeźby tego czasu. Reprodukowany fragment jest portretem Bolesława Śmiałego.
5. Jedna z kwater ołtarzowych Tryptyku z Pławna ze sceną ćwiartowania zwłok bpa Stanisława Szczepanowskiego, przedstawia króla i drużynę.
6. Kwatera ołtarza Mistrza Legendy Jana Jałmużnika, ok. 1500 r. Przedstawiająca jeszcze jeden wątek legendy św. Stanisława: Ukaramie niewiernych żon. Widoczni: św. Stanisław i Bolesław Śmiały.
7. Ornat fundacji Piotra Kmity z I połowy XVI w. Jedno z najznakomitszych dzieł naszego hafciarstwa. Sceny wykonane w plastycznym hafcie (złota nić i perły) są scenami z życia i męczeństwa św. Stanisława. Istnieją związki formalne pomiędzy Ornatem Kmity i Tryptykiem z Pławna.
8. Bolesław Śmiały, drzeworyt z *Kroniki polskiej* Joachima Bielskiego, Kraków 1597 r.
9. Zabójstwo św. Stanisława. Obraz olejny Jana Matejki.
10. Bolesław Śmiały, drzeworyt z *Kroniki polskiej* Joachima Bielskiego wydanej w Krakowie w 1597 r.
11. Jedno z późniejszych (XIX w.) ludowych przedstawień św. Stanisława z Piotrowinem, świadczące o długotrwałej kontynuacji tego wątku hagiograficznego w naszej kulturze.
12. Nieznany malarz, ok. I połowy XVI w. Zabójstwo św. Stanisława; obraz powstał pod wyraźnym wpływem rzeźbionego tryptyku Wita Stwosza w kościele Mariackim w Krakowie.
13. Mistrz Tryptyku ze Starego Bielska, ok. 1500 r. Kwatera z kupnem wsi.
14. Fragment Tryptyku z Pławna, przedstawiający dawną Skałkę.
15. Centralna scena Tryptyku z Pławna, przedstawiająca zabójstwo św. Stanisława.
16. Mistrz Tryptyku ze Starego Bielska, Kwatera Świadczenie Piotrowina.

Wszystkie zdjęcia i odbitki fotograficzne wykonał Stanisław Sobkowicz (Warszawa)

Spis treści

Przedślowie	5
Tom pierwszy	13
Tom drugi	143
Posłowie	265
Nota wydawnicza	274
Przypisy	
Tom pierwszy	277
Tom drugi	280
Spis ilustracji i uzupełnienie objaśnień	283

a

Na cykl dotyczący dziejów Polski składają się następujące powieści historyczne J. I. Kraszewskiego:

STARA BAŚŃ / LUBONIE / BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY / MASŁAW / BOLESZCZYCE / KRÓLEWSCY SYNOWIE / HISTORIA PRAWDZIWA O PETRKU WŁAŚCIE / STACH Z KONAR / WALIGÓRA / SYN JAZDONA / POGROBEK / KRAKÓW ZA ŁOKTKA / JELITA / KRÓL CHŁOPÓW / BIAŁY KSIĄŻĘ / SEMKO / MATKA KRÓLÓW / STRZEMIĘCZYK / JASZKA ORFANEM ZWANEGO ŻYWOTA I SPRAW PAMIĘTNIK / DWIE KRÓLOWE / INFANTKA / BANITA / BAJBUZA / NA KRÓLEWSKIM DWORZE / BOŻY GNIEW / KRÓL PIAST / ADAMA POLANOWSKIEGO, DWORZANINA KRÓLA IMCI JANA III, NOTATKI / ZA SASÓW / SASKIE OSTATKI /

Opracowanie graficzne:

Tadeusz Pietrzyk

Redaktor:

Maciej Krassowski

Redaktor techniczny:

Jerzy Jaworski

Korektorzy:

Wanda Witkowska

Lidia Wrzosek

Dwa tysiące sześćset osiemdziesiąta dziewięć publikacja LSW

Wyd. IV. 40 000 + 290 egz.

Papier druk. mat. kl. IV 65 g A-0

Oddano do składania 26 VI 1975 r.

Podpisano do druku w marcu 1976 r.

Druk ukończono w kwietniu 1976 r.

Ark. druk. 18 + 1 ark. ilustracji

Ark. wyd. 15,25 + 1 ark. ilustracji

Zakłady Graficzne w Toruniu

87-100 Toruń, ul. Katarzyny 4

Zam. nr 1465

Cena zł 50,—